



3 1761 07962679 2



*Purchased for the*  
LIBRARY *of the*  
UNIVERSITY OF TORONTO  
*from the*  
KATHLEEN MADILL BEQUEST

Wtasnoie Feliksa Budy.  
1868r.







BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXX.



Digitized by the Internet Archive  
in 2011 with funding from  
University of Toronto

WIZERUNKI POLITYCZNE,  
DZIEJÓW PAŃSTWA POLSKIEGO.

---

TOM TRZECI.

---

REWOLUCYONIŚCI I STRONNICTWA WSTECZNE

W 1848 ROKU

PRZEZ

EDMUNDA CHOJECKIEGO.

WYDANIE POWTÓRNE, PRZEJRZANE, Z DODANIEM WSTĘPU  
O WYPADKACH OBECNYCH

PRZEZ

LEONA ZIENKOWICZA.



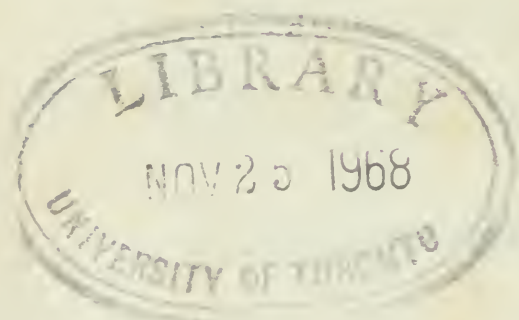
LIPSK: .

F. A. BROCKHAUS.

---

1865.





D  
387  
C56  
1856

## SPIS RZECZY TOMU TRZECIEGO

WIZERUNKÓW POLITYCZNYCH DZIEJÓW PAŃSTWA POLSKIEGO.

	Stronica
WSTĘP do powtórnego Wydania. . . . .	V
ROZDZIAŁ 1 <sup>sz</sup> y. We Francji przed wybuchem 24 <sup>o</sup> Lutego . . . . .	3
ROZDZIAŁ 2 <sup>gi</sup> . W Polsce przed rewolucją paryzką . . . . .	50
ROZDZIAŁ 3 <sup>ci</sup> . Francya od 24 <sup>o</sup> Lutego do 1 <sup>o</sup> Czerwca . . . . .	88
ROZDZIAŁ 4 <sup>ty</sup> . Rewolucye w Niemczech . . . . .	203
ROZDZIAŁ 5 <sup>ty</sup> . Wypadki w WKsięstwie Poznańskiem . . . . .	234
ROZDZIAŁ 6 <sup>ty</sup> . Słowiańszczyzna i Zjazd pragski . . . . .	258
ROZDZIAŁ 7 <sup>my</sup> . Ogólny rzut oka na rewolucyę i Zakończenie . . . . .	282
PISMA DODATKOWE . . . . .	306

---





# WSTĘP

PRZEZ

LEONA ZIENKOWICZA.

---

Ostatnie powstanie Polski, zakończone boleśniejszą klęską od wszystkich, które je poprzedziły, jest nowym dowodem, jak wielce pokoleniom powołanym do spełnienia ich narodowego obowiązku potrzebną jest wiedza i znajomość przeszłości. Dzieło, które obecnie w powtórnem wydaniu podajemy publiczności polskiej, należy niezaprzeczenie do tego rodzaju skarbów. Wielkiego talentu dowody złożyli ci dziejopisarze, którzy w kilkanaście, kilkadziesiąt, a czasem w lat kilkaset po wypadkach umieli je widzieć jasno i ocenić gruntownie; ale jeżeli tak jest, tedy cóż dopiero powiedzieć o talencie autora, który dziejowe czyny w samej chwili ich zdarzeń tak przedstawił i takie zdołał wyprowadzić z nich wnioski, iż po latach, oto już kilkunastu, każdy mu przyznać musi nietylko gruntowną i wszechstronną tych wypadków znajomość, nietylko mistrzowskie ich przedstawienie i ocenienie, lecz jakoby prorocze widzenie wszystkich ich skutków i następstw. Takim istotnie jest dzieło, które autor świetnego Alkhadara przeka-

zał potomności w swych Rewolucyonistach i Stronictwach Wstecznych. Wszystko, co w 1849 r. pisał o owoczesnych europejskich wypadkach, przeszło dziś w najzupełniejsze i powszechne uznanie, wszystkie wnioski, jakie owocześnie z nich wyprowadzał, jedne sprawdziły się do joty, drugie wyczekują nieuniknionego ich urzeczywistnienia. Ogłaszając nowe takiego dzieła wydanie, nie pójdziemy zatem za uświęconym i przyjętym przez wszystkich wydawców zwyczajem i nie napiszemy na czele jego ogłoszenia: Wydanie poprawne, pomnożone i odmienione, gdyż pomimo mozołu, jaki pod tym względem chcieliśmy zadać sobie, nie znaleźliśmy nic do poprawy, nic do odmiany, ani jednego wyrazu do dodania lub usunięcia. Idzie więc w świat drugie wydanie bez żadnej od pierwszego różnicy, a którego potrzebę objaśniamy tylko właściwym z naszej strony zwróceniem czytelnika uwagi.

Postęp człowieczeństwa, jako jeden z równoczesnych pisarzy wyraża się w Demokracie-Polskim z 1849 r. zawsze nieustanny, ale zwykle powolny i prawie niewidzialny, od czasu do czasu wstępuje nagle na wyższy stopień rozwoju i udoskonalenia. Są to wielkie rewolucye w dziejach ludzkości, pewnemi przegradzane okresami. Są to epoki przemian moralnego świata, na podobieństwo w fizycznym świecie owych epok Tworzenia, które Genesis objawiła a stwierdziło głębsze zbadanie Natury. Jak jedno, tak drugie, nigdy wsteczne, — zawsze postępowe; jak w pierwszych, tak i we wtórych widomy palec opatrności.

Ale epoki fizycznego świata ulegają jednostajnym i niewzruszonym prawidłom, bo materya nie ma samowiedzy ani woli; rewolucye moralne zaś muszą zależeć

od usposobienia i pojęć żyjącego w ich czasie pokolenia; bo tu postęp jest działaczem a materyałem duch i umysł ludzki. A lubo żadna potęga ziemska nie stłumi zupełnie rewolucyi, wszakże zła albo dobra wola, fałszywe albo prawdziwe pojmowanie, samolubstwo lub poświęcenie, odracza ją albo przyspiesza, wykrzywia albo prostuje, znieważa albo uzacnia. A że rewolucya nie materyę ale ideę doskonali i przestwarza, przeto też najniebezpieczniejszym dla niej szkopułem są fałszywe wyobrażenia, niedojrzałe, mętne i nieokreślone pojęcia, — słowem: wszelka wątpliwość i dwuznaczność.

Rok 1848 pozostanie pamiętnym prawdy tej dowodem. Sam jeden złowrogi owoczesny sofizmat Legalności ściągnął na Europę chmurę strasznych zawodów, wytoczył strumienie łez i krwi, wszystkie niemal ruchy rewolucyjne z prostej, naturą rzeczy wytkniętej drogi, zepchnął na obłądne bezdroża, i jest dotąd zjadliwym, żarłocznym robakiem, toczącym wewnątrz wyzwalających się ludów, a najdogodniejszą i najniebezpieczniejszą bronią w ręku samolubstwa i reakcyi.

Wszelka rewolucya rzeczywista, jako mająca na celu przetworzenie i ulepszenie społeczne, jako zaszczepiająca nowe instytucye i nową legalność, jest przez to samo antytezą i burzycielką dawnych instytucyi i dawnej legalności. Jakże więc zdoła burzyć je i zmieniać, a zarazem je uznawać i szanować? Co innego jest Reforma, a co innego Rewolucya. Reforma jest powszednim, powolnym i ledwo dostrzeżonym postępem. Rewolucya jest skokiem nagłym na wyższy szczebel, urzeczywistniającym odrazu to, co przez długie przygotowywało się wieki. Reforma rozwija ideę dawniej już przyjętą, — Rewolucya zaszczepia



ideę świeżą, prawie dotąd nieznaną, zaledwie przeczuwaną. Dla pierwszej więc, tak zwana droga legalna jest właściwą, — dla drugiej jest samobójstwem, — bo Reforma podpira i lata przeszłość, a Rewolucya tworzy i buduje przyszłość. Ztąd, Rewolucya chcąc być legalną, nie jest ani Rewolucją ani Reformą, ale jednej i drugiej poronionym płodem, — a to z tej prostej przyczyny, że Reforma nie wprowadza nowych zasad, nie zwalcza chorób społecznych, nie ma na celu wyleczenia, lecz tylko uśmierzenie bólu, a chcąc poprawić dawny stan rzeczy, uznaje go tem samem, przedłuża i uświęca, — kiedy Rewolucyi zadaniem i obowiązkiem jest wyleczenie chorego społeczeństwa i w miejsce zesputych soków wprowadzić zdrowe żywioły.

Oglądany z tego stanowiska ruch europejski 1848 r. niebył Reformą ale Rewolucją. Wszędzie on stawiał nową zasadą, wszędzie leczył schorzałe społeczeństwo. Zadaniem jego było wprowadzić w polityczne i społeczne życie ludzkości zasadę chrześcijańską Wolności, Równości i Braterstwa, zasadę dotąd znaną jako dogmat tylko. Rewolucya taka musi iść nietylko ku Demokracji, ale prowadzić społeczeństwo do Rzeczypospolitej, bo pierwszy bez drugiej nie jest możliwym; ona musi walić i bić arystokrację i monarchizm, jako przeciwstawności chrześcijaństwa, mocą swej natury dążące do utrzymania niewoli, nierówności i rozdwojenia. Rewolucya więc nigdy i nigdzie nie powinna wchodzić w żadne z niemi przymierza; Rewolucya powinna zawsze i wszędzie obalać i znosić obcą legalność, a natomiast zaprowadzać legalność własną. Wszelka bowiem władza na świecie, zła czy dobra, spadkobierca czy przywłaszczona ma legalność swoją. Miał ją Kaligula

i Neron, miał ją Mikołaj moskiewski i Ferdynand neapolitański, ma nawet ją herszt każdy złodziejskiej lub zbójckiej bandy. Rewolucya nie może bratać się z niemi, — Rewolucyi nie wolno posługiwać się żadną legalnością, okrom własnej jedynie.

A jednak wszystkie niemal europejskie ludy 1848 r. dozwoliły otumanić się blichtrzem onej zdraonej legalności wsteczników, — wszystkie niemal owocnesne ludy, biorąc Rewolucyę za Reformę, nieumiejąc rozróżnić tych dwóch pojęć, zawiodły ludzkość i siebie. Obyż to gorzkie i krwawe doświadczenie nie było grochem rzuconym o ścianę! Oby europejskie ludy poznały, że naród rozpoczynający Rewolucyę, sam ją winien prowadzić, a nie zaś oddawać ster jej w ręce tych, przeciw którym ją podniósł. Oby poznały, że Rewolucya, to nowożytny Aleyd, wymiatający do czysta Augijaszowskie chlewy, nierozprawiający się z potworami trapiącemi społeczeństwo ludzkie, nigdy niczem innym oprócz maczugi. Oby poznały, że nie nie wyżebrzą, nie wysejmują, nie wyradzą i nie wyposłują, dopóki wróg trzyma w ręku skarb i wojsko; że legalność jego ma sposoby na sposoby, że na uchwały sejmowe są rozkazy ministeryalne, — że na kluby i stowarzyszenia są doraźne sądy i stan obłączenia, — a na wolność mowy i druku są kamasze, lochy, zsyłki i kule. Oby ludy poznały, że gdzie Rewolucya nie zasieje własnej legalności, tam wnet jak chwast na opuszczonej roli wzrośnie bujno legalność Radetzkich, Windiszgracetzów, Hamerszteinów, Hajnawów, Murawijewów, Bergów, a ich plonem: krew, groby i niewola.

Jest to rzecz naturalna, iż dwie przeciwne sobie legalności nie mogą ostać się razem, że więc jedna

drugą pokonać musi. Walka między niemi niezbędna, nieuchronna. Tranzakcyje i wzajemne ustępstwa między niemi chwilowe są tylko, pozorne i obłudne. Jednem słowem: wszelki sojusz pomiędzy niemi i pokój są niemożliwe, a jeżeli bój ich śmiertelny zwolnieje lub ucichnie czasem, tedy będzie to tylko zbrojny rozejm bez zaręczenia i umowy, — odpoczynek dwu pojedynkujących się na zabój, gdzie oba, oko w oko czatują pilnie na każde drgnięcie przeciwnika.

Takie jest zawsze a nigdy inne zobopólne stanowisko dawnej i nowej legalności, czyli Rewolucyi i Kontrarewolucyi, bo Nowa-Legalność a Rewolucya i Dawna-Legalność a kontrarewolucya, to są wyrazy oznaczające jedno i toż samo.

Ztąd Rewolucya legalna jest Rewolucją kontrarewolucyjną, — jest jakoby lodem rozpalonym albo zamrożonym płomieniem, — a działalność jej jest znowu jakoby pracą Penelopy prującej w nocy co uszyła przez dzień, — jest istną męką Syzyfa, który upadając pod brzemieniem ogromnego głazu, wtacza go na stromą górę, lecz po to tylko, aby dotknąwszy szczytu, wymknął się z rąk strudzonych i runął w dół na powrót dla odnawiania wieczystej a bezskutecznej mozoły.

Rok 1848 dowiódł, ile złego w rewolucjach może nabroić jeden wyraz nieokreślony, jeden sofizmat. Gdyby kto był zalecał Rewolucyę na drodze kontrarewolucyjnej, poczytanoby go za szaleńca albo szydercę, to byłby bezsens zanadto nagi, zanadto bijący w oczy; — a jednak nietylko lud na barykadach, ale izby sejmowe, ale dzienniki, ale cała doktrynerska gawiedź powtórzyła chórem hasło rewolucyi na drodze legalnej. Szatańskie



to hasło, reakcja do opinii narodów tym tylko sposobem przemyciła.

Zaprawdę, trudno było spotęgować wyżej niedoświadczenie i nieuctwo. Rzecz nie do pojęcia, a przecież prawdziwa, że ten jeden wyraz: Legalność! zmarnotrawił całoroczną krwawą pracę rewolucyi europejskiej, i wiekopomną epokę ziszczającą chrześcijański dogmat miłości i braterstwa pokalał zbrodniami pogańskiego terroryzmu.

Na odgłos rewolucyi Lutego 1848 r. w Paryżu, cała Europa elektryczną dotknięta iskrą, drgnęła w najdalszych społeczęńskich głębiznach. Rewolucyjne race, jedna po drugiej wylatując w górę, pękały i gasły w atmosferze dawnej legalności, jakby race sztucznych ogni bez rzeczywistej korzyści, nawet bez innego niemal śladu krom trocha trzasku i dymu. Szalony, fatalny pomysł zaszczerpienia nowego porządku rzeczy na spróchniałym pniu dawnych legalności, zwichnął i zamordował europejskie powstania 1848 r. bo szczerp rewolucyjny choćby najzdrowszy, musi zwiędnąć i uschnąć, skoro ciągnie zbutwiałą wilgoć próchna i zgnilizny.

Cóż było hasłem i zasadą europejskich rewolucyi 1848 r. — Oto jednolitość przez Wolność, Równość i Braterstwo. Oto hegemonia przez demokratyzm. Pierwsza była celem, drugi był środkiem.

A przecież pomimo prawd tak oczywistych, lud europejskich stolic, bo wszystkie prawie odbyły rewolucyę jako ospę, ciągnął prosto z barykad do pałaców monarszych wołając o hegemonię i demokratyzm, jak gdyby potrzebował zezwolenia na jedno i na drugie, a mocarze nie bici w ciemię, zezwalali ryczałtem na wolność druku, na wybory, na sejmy, zgoła na wszystko,

czego tylko lud żądał, śmiejąc się w duchu z jego dobroduszej prostoty, — a lud wołał im: Niech żyją! i oświełszy ulice szedł spać wesoło, w przekonaniu, że przeprowadził Rewolucję — legalną, bo od panującego dostał patent na nią, i wierzył, że on tego wszystkiego użyje sumiennie ku urzeczywistnieniu hegemonii i demokracji, to jest, ku zdetronizowaniu siebie i dynastji swojej.

I to marne na pozór legalności ziarno, rozpleniwszy się niebawem, stłumiło wszelkie zdrowsze i jędrniejsze pojęcia. I ujrano moralny zamęt wyobrażeń, istny chaos, podobny owemu, jaki był, nim stwórca oddzielił światłość od ciemności. I ujrano po jednej stronie wybory powszechne i sejmy legalne, a po drugiej legalny stan oblężenia, legalne miast bombardowania, legalne sumaryczne sądy, legalne rozstrzeliwania dziennikarzy i deputowanych, słowem: tu teoretyczny, bezsilny, obradujący demokracizm, — tam praktyczny, sprężysty, wojujący despotyzm; oba niby legalne, oba niby wszechwładne, z tą jednak różnicą, że pierwszy kładł na szalę rozumowanie i słowa, drugi zaś mienie i krew.

Lecz jeżeli Rewolucya na legalnej drodze musi być zawsze i wszędzie moralnym bezsenssem, tedy staje się ona potwornym dziwolągiem u ludów, które po tej drodze chcą zdobyć lub odzyskać byt polityczny. Legalność bowiem istniejąca u nich jest legalnością obcego najazdu, — najazd zaś a wyzwolenie są to moralne antytezy i fizyczne przeciwności, i ten kto wierzy, że najazd będzie szczerze legalizował i piastował wyzwolenie, czyni to samo, jak gdyby rzekł do zbójcy, który zamordował, pokaleczył i związał: « Słuchaj! Zbrodniarz

«taki, jak ty, powinien odpokutować; więc gardło za «gardło; ale ja niechęć szamotać się zrywaniem powrozów, któremi skępowałeś mi ręce i nogi, — proszę «cię więc, wyręcz mię, porozcinaj więzy, przygotuj stry- «czek, postaw szubienicę, a ja wstanę i powieszę cię «na niej.»

Zaprawdę, czyliż inaczej robiono w 1848 r. w Poznaniu, w Krakowie i Galicyi, wierząc w pruską i austryacką legalną konstytucyjność? Niepomnąc, że wszelki najazd czy absolutny, czy konstytucyjny zawsze pozostanie najazdem; że prawo jego bezprawiem, porządek nieładem; że pomyślność jego, ludu niedolą; że jak u Niemców jednolitość czyli hegemonia, tak u nas Polska czyli odzyskanie politycznego bytu jest głównym Rewolucyi celem; że bytu Polski niezastąpią żadne legalne ulepszenia, żadne zmiany społeczne; że one przy niej i dla niej niezbędne i nieodzowne, bez niej są niczem dla nas; że do celu tego, do tej Polski, wiedzie jedyna nieuchronna droga, — droga demokratycznej rewolucyi, tak jako Niemców i Włochów też sama tylko droga do hegemonii doprowadzić może.

Na dowód, że pod tym względem od 1849 niezmieniło się pojęcie jasnowidzących, przytaczamy kilka ustępów z Pisma Bezimiennego, z numeru Styczniowego 1864 r. Oto są:

W losach polskiego narodu bije godzina strasznego przesilenia. Niebezpieczeństwo, jakiego nigdy dotąd nie było. Widokraj kraju pokryty jedną czarną a gęstą chmurą. Chmura niesie w sobie zatrąę. Na skraju tylko widokregu przeblyskuje jutrzenny obrąbek światła. Blask ukośnych jego promieni pada pomimo to na prawdę; rozjaśnia ją, pozwala dostatecznie rozpoznać

ją i zgłębić, i każe człowiekowi sumienia i dobrej woli wypowiedzieć narodowi zbawcze słowo.

Naród stawia zagadkę. Rzucony w uporną walkę pragnie zwycięstwa i pyta, którądy wiedzie ku niemu najprostsza droga?

Jedni proszeni, drudzy nieproszeni, co chwila spieszą mu z odpowiedzią. I ci atoli i owi, nie w głębinie narodowego ducha, nie w tajnikach jego posłannictwa, ale na ciasnym poziomie własnej osobistości szukają słowa ku rozwiązaniu zagadki.

Jedni prawią: że Rządy zachodniej Europy rozplakane nad męczeństwem Polski, marzą o środkach przyskoczenia jej w pomoc, że rozlechtana, przegniła zdradą a samolubstwem dyplomacya krztusi się nad wykrzyknięciem młodzieńczego hasła do walki przeciw oprawcom męczennicy. Byle jeszcze jedna tylko rzeka łez i krwi, byle trochę tylko cierpliwości, a lada kongres wyszachruje dla obnażonego narodu żebraczy łachman ojczyzny. Więcej mu niepotrzeba. Co nędzarzowi po zupełnej odzieży? Wystarczy mu łachman. Wszakże materyalne wynalazki takiej doszły doskonałości, wszakże przemysł takich dokonywa cudów, że przy pokoju, przy rozwinięciu się handlu i pracy, łachman da się wyprać, połatać, wykroić na modę traktatów 1815<sup>go</sup> roku i z łachmana powstanie ojczyzna, niepośledniejsza od Belgii, gdzie na każdym zaułku rękodzielnia, na każdym szlaku żelazna kolej, gdzie nawet Jezuitów na potrzebę krajową aż nadto, słowem: gdzie istny na ziemi raj.

Inni ludzie czynu, zacni improwizatorowie żołnierskiego rzemiosła, postawieni chwilowo i po większej części zdala od krwawych zapasów, dowodzą, że zanim dyplomacya rozhuka się szlachetnemi popędy, kraj,



na własne tylko siły liczyć powinien; sił zaś tych i poświęcenia znajdzie w swem łonie podostatkiem, skoro się nareszcie przekona, że walczy za wyjarzmienie całej Ojczyzny od Bałtyku aż do Dźwiny, od Karpat aż do Czarnego morza; Ojczyzny, która raz wyswobodzona, tak się u siebie zarządzi, że każdemu w niej będzie dobrze, jak u Pana Boga za piecem.

Zagraniczne dzienniki wyjątkowo przychylnie sprawie polskiej, szepcą półgębkiem zakrwawionemu narodowi, że kres jego męczarniom niedaleki, sprawa bowiem jego słuszna, słusność zaś z czasem zawsze wygrywa na świecie.

Naród podaje odpowiedziom ucha, ale wszystkie te argumenta jakoś nie pasują mu do duszy. Jest w nich trochę prawdy, jest jej niekiedy i więcej, ale żaden z nich całkowitą. Dowodem ku temu, że drzemie jeszcze wiele poświęceń, że wiele sił zalega odłogiem, że wróg jeszcze niepowalony; gdyby zaś cała prawda była wypowiedzianą i pocztą, takaby z niej buchnęła potęga, taka boża moc, że zatajone żywioły krajowej dzielności wszystkie by wystąpiły do czynu, że z chmury obwisłej nad Ojczyzną, niepozostałoby ani szmaty, że ostatni zagon polskiej ziemi byłby oczyszczon z piędzi ostatniego wroga.

Niedość lać zdroje krwi; krwią dla różnych celów można szafować. Niedość poświęceń. Poświęcać się można dla pobudek niedobiegających wysokości ofiary. Niedość mieć słusność za sobą. Ogólnik to spłowiąły i niegodzien wyniosłości stanowiska, z jakiego sprawa polska promienieje na świat. Taką słusność za sobą ma każdy, kto chce pozbyć się natrętnika lub wroga; kto chce być panem u siebie.



Sprawa polska jest nie tylko słuszną, ale jest świętą. Sprawa polska jest sprawą nie tylko jednego plemienia, ale wszystkich ludów Europy. Niepodległość polityczna, jaka niejednemu narodowi wystarcza aż nadto za cel, w Polsce jest dopiero środkiem do dopięcia wyższych, powszechnych, apostołskich celów.

Mieszkańcy Holsztynu, Niemcy z rodu, dybią na zaszczyt przywdziania tej samej liberyi, jaka pokrywa grzbiet reszty ich pobratymców. Ciężkie im jarzmo duńskie. Każdemu równe prawo do rozporządzania własnym losem i własną godnością.

Niemce z pod duńskiego zaboru mają słuszość garnąć się ku wszechgermańskiej rzeszy. Zasada narodowości dla wszystkich ta sama; każdemu atoli wolno zastosowywać ją wedle upodobania.

Ależ sprawa polska!?

Miałaby ona być niczem innym jedno na szerszy rozmiar sprawą Holsztynu?..

Patryotyczne polskie wstecznictwo tak rzecz uważa; niewiele nawet inaczej cenią ją ludzie, którzy mienią się rewolucyjnymi, dla tego głównie, że osobiście żyją w poswarce lub załębkach z ciurami lub hersztami wstecznego obozu.

Prawda jednych i drugich zarówno odtrąca i zwiastuje. Wyswobodzenie Polski, węgielny to kamień odrodzenia Europejskiej ludzkości, konieczny to środek, jakiego domaga się historia dla spełnienia wielkich dzieł powszechnego dobra. Wskrzyszona Polska, to jednoznacznik z zatoczeniem się społeczeństwa na nowych osiach sprawiedliwości i światła, z otwarciem na roścież nowych upustów pełnego życia dla ościennych i dalszych narodów, z rozpoczęciem w dziejach upragnionej epoki

nowego społecznego ładu, nowego politycznego porządku.

Stąd, każdy Polak pojmujący świętość ojczyzniego posłannictwa, winien uważać się za jednego z budowniczych przyszłego gmachu; ztąd w nim tajemnicze to, niewytłómaczone niekiedy, poczucie uroczystości sprawy i ważności ciężącego na nim obowiązku. Nawzajem też konieczność wywołania wszystkich działających sił, jak przystoi na walecznika za cudzą i własną swobodę, rodzi w nim tę potęgę czynu, ten pochop ku poświęceniom, tę apostołską wytrwałość w męczeństwie.

Ze szczytu zasad zejdzmy na poziom powikłanych narodowych stanowisk i ludzkich stosunków.

Z wyjątkiem kilku krajów, jarzmo cudzoziemcze uciska miliony człowieczych jednostek w Europie.

Wyzwolenie Polski od razu kładzie kres politycznemu uciskowi zagranicznego wroga.

Carat złamany na zaborze, wtłoczony we własne granice, w braku ofiar na zewnątrz, zapragnie posoczyć się we własnych wnętrznościach, na własnej niwie wypowie walkę swobodzie; ale niebawem olśniony blaskiem wolności, druzgotany młotem postępu, zaświeci szczelinami i rozsypie się nareszcie w ostateczne rumowisko.

Austria, potworny zlepek rozdrażnionych piekielną polityką nawzajem przeciw sobie ludów; Austria, rak polityczny Europy, obłęd dziejowy, jaskinia dyplomatycznej kradzieży, chłonącego wszelkie światło jezuityzmu, katownica na krwawo lub na sucho wedle potrzeby, morderczyni nie tylko ciała ale i ducha, hańba społeczeństwa, wstyd ludzkości; Austria, główna wszelkiego dobra nieprzyjaciółka i zawada, zniknie jako anachronizm, jako pasożytna a zaraźliwa narośl, jako

wrząd, który na ozdrowiałem ciele niema ani miejsca ani przyczyny do bytu.

Zakotłowane Niemce wyrzucą na zewnątrz szumowiny dynastycznego feodalizmu i pozbywszy się szajki ukoronowanych wyzyskiwaczy, obedną Prusactwo z niczem nieusprawiedliwionego nazwiska, i wgarną w siebie pobratymcze germańskie jego żywioły. Kto nie z Niemca, ten wyrwie się z upiornych objęć Niemczyzny.

Zaczem, gnębiona od wieków zasada narodowości jak słońce wybiegnie na sam zenit firmamentu i ostatnie zakątki Europy ozłoci błogosławionemi swemi promieniami. Każdy rozpozna się panem u siebie, każdy stanie gospodarzem na własnem gospodarstwie.

Najazdy zaborcze przechodzą w krwawą legendę ubiegłych a niepowrotnych epok. Wymuszenie powodów pociąga za sobą niepodobieństwo skutków. O wojnach despotycznych tyle świat zasłyszcy, co o przepaściach na wieki dziejach. Regularne wojenne hufce, podejmowane kosztem krwi i pracy ludu, i często na tegoż sromotny ucisk, zamieniają się w grona obywateli gotowych zawsze do poświęceń za wolność, ale przede wszystkim zaprzęgniętych rozwojem oświaty i powszechnego dobra.

Na szerokim szlaku takich to przerodzeń przodkuje wszystkim ludom Polska wyszlachetniona, uwielmożona ofiarą a męczeństwem. Jako świeciła im przykładem wśród bitew, tak następnie zaświeci wzorem wewnętrznych urzędzeń po boju. Wyzuta z dzielnicy ojców, złożona w grobie, sama zbudziwszy się do życia, za pierwszy obowiązek swego wskrzeszenia uważa powrót światła, nadanie mu tego, czego dotąd nigdy niezaznał, — nadanie Ojczyzny.

Troskliwa matka przytula wycieńczone dziecko do serdecznego łona, zdejmując mu bielmo z oczu, przyzwyczajając do jarego poglądu na świat, otwiera mu szkoły, ułatwia wykształcenie, rozwija w nim człowieczą godność, potęguje go na obywatela w całej mocy wyrazu i rzeczy, otwiera mu podwoje do wszystkich zawodów i mówi: « Miłuj Ojczyznę goręcej niż samego siebie, « pracuj, oświecaj się a do pierwszych w kraju zaszczytów, czyli do chlubnych ciężarów, do szlachetnych poświęceń, bliższa tobie droga synu długiego ucisku, « synu pracy i ofiary, niż najwspanialej wyherbowanemu magnackiemu otrokowi. Same cierpienia twoich praojców stają już tobie zasługą; o dziejach jego antenatów przez miłosierdzie zapomnij! »

Ale wydolania takiemu to posłannictwu niegodzi się za pomierną cenę targować. Skarbu takiego dla siebie i dla świata nie dokupi się ani za dyplomatyczne mactwa, ani za spiski z Jezuitami, ani nawet za ofiary dokonywane na ciasnym polu szermierskich przedsięwzięć. Dopóki środki niedobiegną do wysokości celu, dopóty płazem oślizną się ciosy, w zaturę zaprzepaszczą się poświęcenia, wyparuje bez śladu daremnie przelana krew. Do wyswobodzenia takiej ojczyzny jak Polska nie wojenka prowadzi, ale wojna. Wojną jest wystawienie ryczałtem do boju wszystkich sił narodu; siły zaś wtedy wszystkie obudzą się i wyruszą w pole, gdy je zawezwie nie klekot kuligowych szlacheckich dzwonek, ale dzwonek wiecowy całego ludu. Dzwonem tym jest: Rewolucya!

Kto ma uszy, niech słuha!

---





Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach  
Człowiek .... Duch .... pilnie uważałem enda .  
Które się jawią przy Ludów kołyskach,  
A nikną, gdy się szczepek na drzewie uda:  
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach  
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda  
Które panują takim chwilom świata  
Trwożą — jak pjanie kurów u Pilata ....

Zda się: że ciągle ptaki ranne pjeją ....  
A pjanie smutne jest jak krzyk dziecięcy;  
Przedrannym strachem niebiosu ciemnieją,  
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny ....  
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją,  
I przerażeni cichością godziny  
Gotowi zaprzeć się Bożego ducha,  
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?

JULJUSZ SŁOWACKI.



## I.

Ludzie stojący na czele rządów, wyobraziciele status quo, wesoło zaczęli rok 1848<sup>y</sup>.

Europa zdawała się tak dalece przywyuczajoną do ich doktryny, przemysł i szalona chęć osobistego zysku, wstręt do wszelkiego wspólnego ruchu i bojaźń jakiegokolwiek politycznej przemiany tak silnie zapanowały w narodach przewodniczących ludzkości, że najzaciętsi nawet przeciwnicy zaprowadzonego porządku, opuszczali ramiona w bezwładnej rozpacz, przekonani o niepodobieństwie doraźnego przerwania letargu, jaki ciążył nad Europą. Stronnictwa postępowe, na myśl o ruchu odpowiadały ogólnie przyjętem hasłem: «za wcześnie,» wyglądały pomocy od Park przecinających nić życia, oczekiwały na śmierć Ludwika Filipa, Metternicha, wzdychały za 25<sup>ą</sup> rocznicą wstąpienia na tron Cesarza Mikołaja jako za epoką w której tajemne prawa rossyjskie zwykły były do wiekuistego spoczynku powoływać następców Piotra. Inni straciwszy z oczu ziemię dla chmurnych bezmiarów utopii, pragnęli powolną a nadewszystko spokojną pracą sprowadzić na ziemię królestwo Boże. Jakoż w istocie, niepodobna było dobić się innego wypadku na drodze li tylko materialnych usiłowań, jakie podejmowali pierwsi lub też sentymentalnego rozmarzenia humanitarnego, które oszołomiało drugich.

Dość było obejrzeć się do koła.

Francya, niebacząc na stanowisko krwawo zapracowane w historii, na posłannictwo jakie Opatrzność przeznaczyła jej śród narodów, stała się rodzajem kamertonu, do którego

ludzkość stroiła swoje samolubstwo i materialne pragnienia. W izbie deputowanych, po macedońsku wyéwiczona falanga z 225<sup>u</sup> zadowolonych z P. Guizota, poparta środkowcami Duchâtela, ślepo i zajadle rzucała się wszędzie, gdzie wódz ją skinieniem prowadził. Dla pozbycia się resztek strupieszalego, samodzielnego zdania, wynalazła sobie teorię karności parlamentarnej, dla zapewnienia jednobarwia w wyborach, wezwwała na pomoc tysiączne środki uprawnionego przekupstwa, jakimi gabinet mógł rozporządzać, gotowa aż do ostatniego tchnienia walczyć za nienaruszalność omumiowanego systemu, na którego puchach tak wygodnie się rozpierała. Tymczasem król, którego całą winą było, że nie poczuwał narodu inaczej jedno we własnem, materialnem samolubstwie, upatrując w zbogaceniu się ideał pojedynczego i ogólnego szczęścia, drzemiący swój naród, jak od much oganiał od pojęć, które bezustannem brzęczeniem byłyby mogły wywieść go na pole świętego czynu.

Tyle było urzędowego ruchu we Francji.

Anglia, jak dziś tak i wówczas, ściśle trzymała się od wieków przyjętej zasady a niedawno otwarcie wypowiedzianej przez Palmerstona<sup>1</sup>, mianowicie że we wszelkich ruchach europejskich przedewszystkiem patrzeć będzie własnej korzyści i do takowej postępowanie swoje zastosuje. Wprawdzie Ludwik Filip i jego ministeryum znając dobrze sąsiadów z tamtej strony Manszy i słabość ich do pogoni per fas et nefas za własnym zyskiem, całemi siłami starali się ich zadowalać, cierpliwie znosili upokorzenia, dawali wykluczać się z traktatów, ale pomimo to Francya w razie odstąpienia od swojej polityki nieinterwencyi, nie mogła liczyć na żadną pomoc ze strony Anglii. Serdeczne porozumienie dwóch mocarstw w istocie było już zerwanem. Ludwik Filip wykradł Anglikom dla swego syna milionową infantkę, przerzucił za Pireneje kwestyę następstwa, z której przed półtora wieku Ludwik XIV tak zwycięsko był już wyszedł i gabinet lorda Russel'a a bardziej jeszcze sam Palmerston, który względem Francji wcale nie

<sup>1</sup> Na posiedzeniu izby niższej dnia 22. Maja, w odpowiedzi na interpelację Huma.

podzielał uczuć poprzednika swego Aberdeen'a, oczekiwał tylko sposobnej pory odplacenia wet za wet P. Guizot'owi. W takowem usposobieniu bezwładność uderzała każde wspólne działanie obu gabinetów, jak to widzieliśmy w kwestyi portugalskiej lub w Placie, gdzie prezydent Rozas pomimo blokowania Montevideo i natarczywych domagań lordu Howden i P. Walewskiego, przekonany, że wszelkie pogrożki skończą się na słowach, z niezem obu nadzwyczajnych posłów odprawił.

Skoro więc urzędowe siły zachodniej Europy były tak sparyalizowane, od środkowej tem bardziej nie można było wymagać żadnego ruchu, jakoż w Niemczech, dzięki systemowi historycznemu przeprowadzanemu przez IKM Fryderyka Wilhelma IV<sup>o</sup> zanosilo się na długie ślimaczenie. Postępowe strownictwa platonicznych Przyjaciół światła i karłowatych sekciarzów nowych religii, dawnym germańskim obyczajem pragnęły na drodze waśni teologicznych urzeczywistnić polityczne teorye; król pruski wydymał zemszały balon średniowiecznego feodalizmu, król bawarski podściełał monarszą purpurę pod nogi paryskiej rokosznicy, która sama jedna w Niemczech postępowo działając, wypłaszała biczykiem zgorszonych OO. Jezuitów. Austria widocznie świeciła próchnem, trąciła trupem, ale Metternich jeszcze żył i pomimo że chmury ciągnęły ku niej od strony Kapitolu, nikt wszelako nie mógł przewidzieć, kiedy się w proch rozsypie, kiedy zabieleje kośćmi szkieletu.

W jednych Włoszech zanosilo się na czyn.

Włochy były tą zasłużoną ziemią, z której idea nieraz już spływała w pomoc Europie. Feniks wolności i światła do odrodzenia nie mógł żądać szacowniejszych popiołów od tych, jakie pokrywały dawną Italię. Ród ludzki cierpiał na zatycie w materyalizmie, grzął w błocie samolubstwa; wypadalo więc do rozbudzenia go, do wyratowania, nie materyalnych użyć środków ale przedewszystkiem tchnąć weń ducha poświęcenia, braterskiej miłości, wiary. Wtedy dopiero można było wywieść żywioły boże do walki przeciw szatańskim i być pewnym tych ostatnich zagłady. Ku temu celowi, po Papieżu przeklinaczu polskiego powstania, siadł na tronie wypromieniony obietnicami Pius IX. Opatrzność powołując kardynała Mastai na Boże namiestnictwo, zdawała się chcieć znaczyć drogę jego



postępowania politycznymi stosunkami, jakie go otaczały. «Przez usamowolnienie i rozwijanie w Chrystusowym duchu narodowości, dążyć do szczęścia człowieczeństwa.» — Oto wyrazy, które Papież z Watykanu mógł być dojrzeć nakreślone na ziemi europejskiej, krwią milionowych ofiar. A tuż pod stopami rozścielała się piękna jego ojczyzna; na nią naprzód winien był zwrócić się wzrok króla-kapłana i z boleścią ukrzyżowanego poglądać, jak z jednej strony, w Neapolu, kat ukoronowany sromotnie pastwił nad swoim ludem, z drugiej dawniejszy karbonaro, późniejszy żandarm, nieochrzczony jeszcze bojem król sardyński, rozpinał nad naroden gruby kir ciemnoty, z innej znowu intruz Niemiec ogolaczał obojętny mu kraj z dostatków, walecznikami za prawdę i wolność zapychał więzienia, wskrzeszał dawną Inkwizycję na przekonania polityczne, podczas gdy drobne książątka tu i owdzie po Włoszech rozsiadłe, przemyślały tylko, jakim sposobem z ostatniego bajoka obedrzeć swoich poddanych. «Przez Boga żywego, który za wolność ludzi dał się umęczyć, godziłoż się, aby kilku barbarzyńskich przywilejowców gniołło miliony bliźnich?» Taki wykrzyk bezwątpienia zbudził się w duszy Piusa IX<sup>o</sup> gdy uwiencon potrójną tyarą, po raz pierwszy z Kwirynałn udzielał błogosławieństwo miastu i światu. Tysiące głów chyliło się pod wyciągniętą nad niemi prawicą Papieża, lud pełen wieszczego przeczucia giął korne kolano, lud rzymski, który pod względem politycznego ucisku, poniżenia własnej godności, równe dzielił losy z resztą swoich rodaków. Od wydzwignięcia więc własnego ludu należało zacząć Papieżowi, tembardziej, że jako następca Apostołów, jako spadkobierca duchowego oręża Zbawiciela, tego tylko winien był używać w nastąpić mającej walce za prawdę. Jako kapłan, Pius IX<sup>o</sup> mógł wojować modlitwą i słowem, jako książę świecki miał względem własnych poddanych spełnić zasady, o których rozszerzenie chodziło mu w ludzkości, miał dać przykład i popęd tym, którzy co do ziemskiego oględu, równą piastowali z nim władzę. Nie zawiódł też Ojciec S. położonego w nim zaufania i nadziei wiernych. Wrócili do ojczyzny wygnańcy włoscy, laicy weszli do rządów kraju, powstały municypalne rady i konsulta rzymska, zawiązek przyszłej Izby wysłańców narodu, pękły

okowy cenzury, lud stanął w szeregach gwardyi narodowej, i zawiało w państwie kościelnem powietrze życia i swobody, jakiego Włosi od dawna już nie kosztowali. Nie do opisania też był zapal, z jakim we wszystkich narzeczach włoskich powtarzano imię Ojca S<sup>o</sup>; ludy widziały w nim uosobienie idei postępu i wolności, katolicyzm zaś zachwiany przez poprzednich swoich przedstawców, zaczerpnął nowych sił w duchu Papieża, zajaśniał nowym a dziwnie czystym blaskiem.

Im większym zapalem a nadzieją postępowanie Piusa przejmowało ludy, tem bardziej stronnictwa wsteczne zaczęły lękać się zgubnego dla nich wpływu i następnie przemyśliwać nad sposobami pozakładania tam przedsięwzięczemu umysłowi rzymskiego reformatora. Łatwo odgadnąć, że najczynniejszym w tym kierunku był poseł austryacki P. Lutzow, wszelako dodać potrzeba, że znalazł dzielną pomoc w całym ciełe dyplomatycznym rzymskim, że w konklawe nawet znakomita większość, na której czele stał Lambruschini, wyraźnie oświadczyła się przeciw niesłychanym zamiarom Papieża. OO. Jezuici zajęli się pilnem wyszukiwaniem w archiwach kongregacyi sposobów używanych dawniej przez Zakon, gdy tenże chciał zręcznie a szybko pozbyć się zawadzającego mu człowieka, tymczasem zaś całą potęgę swych środków ofiarowali na usługi wstecznego stronnictwa. Niebawem Pius ujrzał się otoczonym tysiącem zastaw, podstępów, przeszkód, pogroźek nawet; gdziekolwiek potrzebował spółdziałania duchowieństwa, wszędy o złą wolę rozbijać się musiał i wkrótce wśród tej ludzkości dla której chciał życie poświęcić, samotnym się zoczył. Mylimy się — nie samotnym; zdala dochodził go pelen ognia i zachęty głos ludów spragnionych światła i wiary, ludów, które za wiekowe gwałcenia na nich praw bożych i ludzkich, w chwili przyścia do samoistnego uznania, od przewodniczących im, nawzajem domagały się wyłącznego ich sprawie poświęcenia.

Jak pomimo mnóstwa praw, kodeksów, trybunałów, ustaw rozsianych po ziemi, Papież miał być walecznikiem za wolność, tak również pomimo niezliczonej w chrześcijańskim świecie liczby kościołów i księży, Ojciec Ś<sup>y</sup> czuł, że potrzeba mu podnieść oręż za wiarę.

W istocie, XIX<sup>y</sup> wiek taranem tłukł katolicyzm.

A przecież nie było w nim ani namiętnych sekciarzy, ani aciętych skeptyków, ani zapierających odwieczne prawdy bezbożników o szatańskiej a nieubłaganej logice. Straszliwszym od poprzednich nieprzyjacielem było szalone rozmiłowanie się w materji, nieprzewyciężony wstręt do wszystkiego, co było ideą — duchem. Dawniej, wrogowie kościoła zwodzeniem uporczywych walk mnożyli w nim siłę, kościół wojujący cudownie rozszerzał swoją potęgę; dziś nieprzyjaciel wiary uderzał na nią obojętnością, odrętwiąłością, letargiem duchowym wyznawców.

Gdy tak rysowało się już sklepienie ośmnastowiekowego gmachu, cóż miał począć ten, któremu Bóg strażę swej budowy powierzył? Oczywiście, półśrodki nie wystarczały do rdzennego zapobieżenia złemu; trzeba było szukać lekarstwa wyrównywającego ogromowi choroby a lekarstwem tem było: poczucie w sobie nędzy, cierpienie i nieprawych żywiołów człowieczeństwa w przeszłości i terażniejszości, uznanie w sobie ewangelicznej potęgi wypowiedzenia zbawiennej prawdy, chociażby takowa wręcz sprzeciwiała się dotychczasowym ludzkim oględom, przeprowadzanie tej prawdy w żywot ziemski, opierając się tylko na świętem przekonaniu, na bożych cudownych pomocach, słowem, ogarnięcie dyktatury duchowej nad światem, nie pytając wcale, o ile ją ludzie złej woli uznają. Tym sposobem uwielmożyłyby się żywioły święte, głęboko gdzieś między massami tlejące a przydławione materyalnym uciskiem mniejszości, zażęgłyby się entuzjazm, rozplonąłaby egzaltacya, bez których to można wsiąknąć w kałużę ale nigdy wyrwać się z przepaści. Lekkie skazówki świadomości tych środków pojawiły się nawet w Rzymie; Ks. Ventura w kazaniu na cześć O'Connel'a napomknął, że zdemokratyzowanie w praktyce katolicyzmu jest główną rękojmnią podźwignięcia Kościoła i przerodzenia społeczeństwa. Stało się inaczej; obrano półśrodki. Niedaleka przyszłość pokaże, dokąd nas one zawloką.

Tymczasem Pius IX<sup>y</sup> pojmując błogie wyniki, jakie przykład dany z Watykanu mógł przynieść dla ogółu, nieustawał w pracy około polepszenia bytu własnego ludu, ale ile razy puścił wzrok za granice kościelnych dzierżaw, marząc o skutkach



swego panowania dla: ludzkości, tylekroć poczuwał się w zupełnem osamotnieniu. A przecież tam, za Alpami z każdym dniem rosła w materyalną potęgę najstarsza córka Kościoła, Francya, która niegdyś dla krzyża traciła najszlachetniejsze swe dzieci w skwarnych piaskach Palestyny, która później dla swobody ludów ocean krwi wylała. Ale pod względem spólczeństwa w apostolskim trudzie, łatwiej było liczyć na dywan Sułtana, aniżeli na króla Filipa i jego ministryum. Jakoż, w Konstantynopolu zapewne znalazłby się nie jeden środek rozniecenia zapалу w Abdul-Medżydzie, w Paryżu atoli można było tylko nadzieją piętężnego zysku zadowolonych, kwestyą zaś dynastyczną króla, do działania zachęcić.

W ciężkiej swojej pracy, Papież samych przeciwników tylko spotykał, chociaż dotąd oddawał się jedynie wewnętrznym, moralnym zmianom we własnym kraju, gdy w tem Austriacy zajęli Ferrarę. Ks. Metternich wyraźnie bagnetami pragnął poprzeć swoje wpływy w Rzymie.

Sam los pod prawicę Ojcą S<sup>o</sup> podsuwał najzaciętszego wroga zasad Chrystusowych.

Na trupie Austrii logika historyczna musiała i musi postawić wskrzeszenie Włoch i wolność Europy. Uragan wymiatający z Europy zgnilizny dotychczasowej polityki, lada chwila miał zahuczyć, ale gabinet paryski przewidział burzę. Poseł francuski P. Rossi i P. Lutzow, całe noce trawili na konferencyach, nazajutrz każdy z nich ruszał osobno do Watykanu, wracał konszachty knuć z Lambruschini'm, naradzał się z Ferreti'm, zastraszał Gizz'ego, intrygował przeciw kardynałowi Ciachi, tak że Papież zamiast użycia duchowego oręża na zbiorów ludzkości, sposoczonych dymiącą się jeszcze krwią galicyjskiej szlachty i oprawców jego własnej ojczyzny, niby zwyczajny jaki książę wdał się w dyplomatyczne komplianacye z gabinetem wiedeńskim, w listowe tłumaczenia się przed Cesarzem Ferdynandem z postępowych swoich zamiarów, aż narreszcie Książę Kanclerz wystraszony skądinąd rewolucyjnemi krzykami ludów włoskich, dał się ubłagać, cofnął wojska z miasta na fortecę, ale wpływ swój w Rzymie tem silniej rozszerzył.

Jednakże pochodnia prawdy, chociaż w iskieercie dopiero rozniecona przez Piusa IX<sup>o</sup>, ale pomna na rozplamieniąjącą tchnienie, jęła jaskrawe lubo przerywane światło rozrzucać po całych Włoszech. Postępowe stronnictwo otwarcie zabierało się do wojny z Niemcami, przygotowywało dzisiejsze wypadki; naród pod pręgierzem opinii wystawiał tych, którzy usiłowali mu zagradzać niezawisłą przyszłość. Po miejskich placach palono wizerunki P. Guizot'a, gwizdano posłów Ludwika Filipa; powietrze włoskie stało się dla Francuzów tak nieznośnem, że jeden z posłów w niewytłumaczonym szale gardło sobie poderżnął. Wsteczne atoli usiłowania także nie pozostały bez wpływu i zdawało się, że na drodze politycznych przemian Francya i Austria przytłumiły co najżywotniejsze zasoby w duchu Papieża, jakoż stolica Apostolska wkrótce weszła na ruch całkiem wsteczny a wynikiem onegoż była pamiętna encyklika z 1847<sup>o</sup> r. do której sam Metternich ze spokojnem sumieniem byłby mógł się przyznać. Zostawała jeszcze opinia narodu nienawistna rządowi francuskiemu a której prąd również wypadło odwrócić. Do uskutecznienia tego zamiaru, P. Guizot użył Granier de Cassagnac'a, kreola rodem, kondotjera literackiego, wytarzanego we wszystkich osławionych processach paniczów paryskich, który udał się do Rzymu celem założenia tamże dziennika, podkopywania Papieża przed narodem i omycia swego patrona z błota, jakiem lazarony go obrzucały. To jednak przedsięwzięcie nie powiodło się; Papież zawczasu ostrzeżony, odmówił upoważnienia na dziennik i Cassagnac na ustnej propagandzie musiał porzestać.

Z pierwszego wejrzenia rzec było można, że wstecznicy biorą górę, były bowiem w oczy ostatnie podrywy absolutnych książątek włoskich, z których jeden w ciągłych sporach ze swymi poddanymi co chwila przywoływał Austryaków do Modeny, drugi zaś powierzwszy swemu masztalerzowi ministerjum skarbu<sup>1</sup>, kupczył swoim ludem, ufny, że wyprzedawszy jedną trzodę, Opatrzność prawem dziedzictwa wkrótce drugą go obdarzy. W istocie umarła niebawem bezczesnej pamięci

<sup>1</sup> Ward, z dojeżdżacza minister.



wdowa po Napoleonie i Księżę Lukki wszedł w posiadanie Placencji i Parmy. W zaskórnych atoli warstwach tego stanu rzeczy lud, zwłaszcza też w północnych Włoszech, żwawo przeprowadzał rewolucyjne działania. Medyolańczycy obrali drogę oporu fiskalnego i zabronili sobie używania towarów i płodów, na których Austria przez nałożenie monopolów najwięcej zyskiwała. Sumiennie rozważając stanowisko na południu i zachodzie Europy, Medyolan był najgorętszym punktem rewolucyjnych usiłowań, chociaż dotąd na drodze biernej tylko dopełnianych; Francyi atoli, w moc jej starszeństwa narodowego, danem było pierwszej rzucić głównię na spróchniały gmach politycznych i towarzyszkich stosunków. Obaczmyż pokrótce, jak się w niej gromadziły materiały niszczące dla przeszłości i budulcowe na przyszłość.

Dwa stronnictwa podkopywały zaprowadzony porządek rzeczy, oba atoli z różnemi co do dzielności siłami. Pierwsze, czynne, wstępnym bojem kroczące, dokonywało swej pracy na łatwej drodze krytyki, szczegółowego zaczepnictwa, wyciągania na swoją stronę jurystowskich wniosków, rozmazując do nieskończoności rzeczywiste winy rządu, śledząc plam tam, gdzie ich najbystrzejsze ale bezstronne oko dojrzeć nie zdołało, podnosząc niedołęstwo do potęgi przemysłanej zbrodni, słowem postępując jak sąd przysiężony na zgubę obwinionego. I nie mogło być inaczej; stronnictwo to prócz mglistych tu i owdzie przeczuć, nie stawiało na przyszłość żadnej nowej idei, tem samem zaś nie znajdowało pomiędzy sobą żadnego organu, któryby zwarł w sobie charakter i dążenia nastąpić mającej epoki.

Szło mu przedewszystkiem o rozwalenie tego, co dotąd istniało, o powiększanie w tym celu liczby oburzonych i rozjątrzonych. Duch tu wiał wyłącznie zaprzeczny; niszczyciele w ogóle włądą nawet ożywieni nadzieją, po za rumowiskami rządu który usiłowali obalić, przewidywali nieznane całkiem okolice, lub też dla wygody sumienia, jedni po prostu pragnęli wydobyć z grobu dawną Republikę pochowaną przez Napoleona, inni zaś marzyli o utworzeniu nowej, zlepionej na pół z utopii, na pół z niedojrzałych przeczuć a której błędne tylko zarysy majaczyły im przed umysłem. Drugie stronnictwo

olbrzymią pomoc niosło dążeniom historii, jakkolwiek bez żadnego wewnętrznego lub nawet z zupełnie sprzecznym przeświadczeniem o istocie swego działania. Byli to właśnie sami dzierżyciele władzy rządzącej, nieodrodne syny ducha Filipowego, wyobrażający doskonale materializm i samolubstwo swojej epoki, sfanatyzowani doktryną, karliki zadyszane w pracy stawiania tamek wątkiemu potokowi dziejów, ugwałtowniające przeto prąd jego nurtów, we własnem sumieniu najpraktyczniejsi zachowawce, w obliczu historii straszni światoburzczy. Nad obiema stronnictwami pławiła się niewidzialna dla nich Opatrzność, pośrodku przechadzał się niedostrzeżony przez nich logiczny postęp i z szyderskim spokojem z podźwignów ich wyciągał dla siebie odrębne skutki. Proporzec pierwszego stronnictwa zaczepnego doskonale tęczał swoje barwy, począwszy od bladej w jedną prawie zlewającej się z kolorem ministeryalnym, aż do krwawych, skrycie gdzieś pouczepianych po zaułkach przedmieść S<sup>t</sup> Marceau i Ś<sup>o</sup> Antoniego.

Thiers wraz z swoją kohortą, oparty na trzech dziennikach, *Constitutionnel*, *Siècle* i *Commerce*, zajmował pierwszy szczebel tej drabiny opozycyjnej, której ostatni ginał wśród tłum ludu.

Nieubłagany i osobisty nieprzyjaciel Guizot'a, jedyny rzecznik w Izbie, który bez przygotowania całe posiedzenie mową swoją mógł zająć, druzgocący logik, sam nieunoszący się zapalem a jednak umiejący niby z niechcienia trącać w najdźwięczniejsze struny uczucia dumy narodowej, porywczy o ile potrzeba było dla dowiedzenia francuzkiej rodowitości, siejący naprzemian sarkazmy, głębokie polityczne zarzuty a nawet gwałtowne wyzywy, o ile burza takowych na deszczu słów się kończyła, chciwy władzy ale wyżej jeszcze ceniący własną indywidualność, P. Thiers dla rewolucjonistów w niczem nie był wart więcej od Guizot'a. Wyższość jego w tem tylko błyszcziała bardziej w obec Francyi, że podczas gdy ostatni sternik gabinetu, zacięty jak hugonota, uparty jak professor wynalazca doskonałego według siebie systemu, zimny jak matematyk, surowy sam dla siebie jak asceta w przeświadczeniu że zapomnienie o sobie materialne jest najdzielniejszym probierzem

czystości zamiarów, uważał się za powołanego i koniecznego do rządzenia częścią ziemi zaludnioną Francuzami, uszczęśliwienie ich upatrywał w dokładnem zastosowaniu swojej doktryny, którą popierał co najdzielniejszymi środkami, przekazanę mu tradycją gabinetowej polityki o ile można sumiennej; P. Thiers tymczasem przy równie znakomitych zdolnościach człowieka stanu, obrońcy idei mieszczaństwa, owiewał się jakimś mglistym urokiem napoleońskich zachceń, których spełnienie nigdy nic nie kosztowało a głaskało niedołęzną próżność zachowawców, udawał, że ma natchnienie, egzaltację, główne rzeczywiście żywioły rodzimego ducha francuzkiego, nęcił ku sobie formą bardziej narodową i ostatecznie napadał na wspólnego nieprzyjaciela postępowej Francyi. Wprawdzie P. Thiers doszedłszy do władzy, zwykł był jeszcze przesadzać Guizot'a w schlebaniu wypasającemu swój naród królowi, jednym pociągami kładł wrześnie okowy na wolność druku, kartaczował lud w zaburzeniu Transnonain, dla spokoju dynastyi owarowywał Paryż, ale umiał to wynagradzać dziwną zamaszystością w stosunkach polityki zewnętrznej i wmawiał w naród, żeby patrzył na jego pieśni nie zaś na czyny. W ogóle, rewolucya w razie odpowiedzialności swemu posłannictwu, musiała obu zarówno odtrącić; jeżeli bowiem P. Guizot na zewnątrz swojej doktryny szalony bezład jedno pojmował, natomiast P. Thiers rozumiał tylko rozwijanie się Francyi w dalszym ciągu historii powszechnej, nigdy zaś w dziejach losów człowieczeństwa. Ze swojej strony P. Guizot straszniejszego przeciwnika widział w Thiers'ie aniżeli w reszcie Francyi, przeciw niemu bronił się całemi siłami, prawdziwie rewolucyjnych zapasników uważając za otumanione pojedyncze jednostki, niezdolne oprzeć się potędze środków, jakie pierwszy minister miał na swoje zawołanie. Nawzajem, cechą najwybitniejszą opozycji parlamentarnej było powszechnie przyjęte przekonanie, że ministeryum może tylko rozbić się na niektórych wyłącznych kwestyach, jakoto na podatku od soli, funduszach tajemnych, przywileju drogi żelaznej i t. p. Zwleczenie Francyi z historycznej jej drogi, bezbożne zdeptanie świętych celów, do jakich Opatrzność ją powołała, wystawienie na szwank narodowej godności, upokorzenie jej w obliczu Europy,



poczytywano za szkopyły, z pomiędzy których gabinet Guizot'a łatwo mógł się wysterować. W ostatnich dopiero czasach, gdy ministerium większą część swoich deputowanych w nagrodę ich karności poobdarowywało urzędami, stronnictwo Thiers'a wysunęło zagadkę reformy parlamentarnej, której nierozwiązanie silnie przyczyniło się do zmiecenia z tronu rodziny Orleanów.

Charakterystykę ostatniego stronnictwa, które wgarnęło w siebie pierwsze zdolności Izby, doskonale wyobrażał ton wymóg zmiany systemu wyborczego.

Francya lipcowem powstaniem wywalczyła sobie konstytucję, na mocy której 200,000 jej obywateli, płacących rocznie po 200 fr. podatku, przez swoich pełnomocników rządziło krajem. Reszta narodu w sprawach publicznych nie brała żadnego udziału. Uczony, który nad mozolną pracą dla ludzkości trawił życie, wojskowy, który lał krew dla honoru i potęgi Francyi, duchowny, który dochodów swoich nie ciułał jedno na ulgę nędzy obracał, lekarz, który naukę raczej biednym niżeli bogatym poświęcał, rolnik obarczony zbyt liczną rodziną, rękodzielnik ostatnie siły wyteżający w walce z współzawodnictwem i monopolem, słowem każdy kto dla idei mniej dbał o materyą, lub kto wydziedziczony przez los a niepoparty szczęściem, napróżno pracą chciał zastąpić fortunę, kto nie uciekał przed poświęceniem i nie zamykał się w najciaśniejsem samolubstwie, ci wszyscy odepchnięci byli od czynnych praw politycznych, dla tych przy stole biesiadnym i obradnym narodu zabrakło nakrycia. To powiedziawszy, sami czytelnicy dokładnie już zrozumieją, jaki duch rządził Francją. Przeciw temu to porządkowi rzeczy, niezadowoleni z Guizot'a wystąpili w osobie P. Duvergier de Hauranne.

Niema wątplenia, że gdyby ministerium nie było w wyborach zbyt nadużywało swoich wpływów, gdyby deputowani zachowawczy mniej rażąco byli czerpali w zawsze dla nich otwartej skrzyni budżetu, reforma wyborcza nie byłaby znalazła tylu zapalczywych stronników, oczywiście bowiem P. Thiers porywał się do broni nie dla obalenia zasady, ale dla wywołania nowych wyborów, jako jedyne go sposobu, którym można było rozwalić gabinet. Jakoż w istocie, zmniejszenie o połowę

opłaty wyborczej i pozorne przypuszczenie niektórych zdolności, jakiego domagał się Duvergier de Hauranne, wcale nie znosiło wadliwej zasady konstytucyjnej, gdy tymczasem nieprzypuszczalność urzędników do koła obradnego obiecywała wykluczenie z Izby kupnych popleczników Guizot'a, tem samem zaś rozbitcie zachowawczej większości. Jaskrawsze odcienia opozycji żądały także dobitniejszej reformy wyborczej, ale przekonane o swojej mniejszości, otwarte wystąpienie odkładały na później, obecnie zaś łączyły się przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, w Izbie przy utarczkach parlamentarnych, w kraju przy politycznych biesiadach, o których poniżej. Ostatecznie samo przeprowadzanie kwestyi reformy jasno dowodziło, że osobistość i materyalizm, nie zaś żądza postawienia nowej idei, kierowały ruchami opozycji.

Gdy tak stronnicy dynastyczni w zwycięstwie upatrywali jedynie wyrugowanie Guizot'a i Spółki, ostatnia lewica Izby, wyraźnie republikańska bynajmniej nie troszczyła się o ideę, jaką należałoby postawić w razie upadku monarchii, przekonana, że samo wszechwładztwo ludu, wybory powszechne, z łatwością z siebie wyrzucą ten wszechśrodek na przerodzenie społeczeństwa. Naród pragnął bożej, żywiącej prawdy, republikańskie podawali mu kartki do głosowania. Zaiste, nie my to będziemy powstawać na system powszechnych wyborów, ale nie napróżno urodziliśmy się jednym z dziedziców prawd przed wiekami już objawionych narodowi polskiemu, abyśmy nie wiedzieli, że przeczucie a raczej natchnienie, ta główna zasada powszechnego wyboru, skuteczniej da się zastosować do urzędników ziemskich, grodzkich, wojskowych a nawet króla jak to w Polsce dawniej bywało, jako do ludzi przedewszystkiem potrzebujących szacunku, miłości i posłuszeństwa i powołanych przez naród bezpośrednim wynikiem tychże uczuć, aniżeli do naznaczania prawodawców, którzy krom poprzednich warunków winni być jeszcze ludźmi wiedzy, winni doskonale poczuwać w sobie ideę prowadzącą naród a tem samem za uczestnictwem i wpływem tej idei być wezwanymi do działania. Deputowanych uważamy poniekąd za sąd przysięgłych, za najwyższy areopag w wyrokowaniu ale nie w zakonodawstwie. Wróćmy atoli do Izby francuskiej, gdzie stronnictwo Thiers'a żądało od



narodu pomocy do obalenia ministryum, w nagrodę obiecywało mu reformę wyborczą, sam zaś naczelnik, żwawszym i młodzieńczym umysłem pozwalał przewidywać możebność wojny, którą raz już będąc u steru, z powodu kwestyi egipsko-tureckiej, zawiesił był nad strwożonemi głowami francuzkiego mieszczaństwa.

Drugi obóz nieprzyjacielski, walczący nietylko przeciw P. Guizot'owi ale zarazem przeciw całemu systemowi królewszczyzny, składał się z ludzi, których organem był dziennik *National*.

Armand Carrel i Godfryd Cavaignac<sup>1</sup>, znani z republikanckich przedsięwzięć po rewolucyi lipcowej, pierwsi założyli, dali popęd i ton *National*'owi, którego w Izbie wyobrażali Garnier-Pagès, Arago, Marie, Carnot, za obrębem zaś Izby Cormenin, Marrast, Goudchaux, Martin (ze Strasburga) i t. d. Charakterystykę tego stronnictwa poznamy z opinii rozpowszechnianych w jego organie, wszelako nienależy zapominać, że mówimy o *National*'u przedrewolucyjnym, po wypadkach bowiem 24<sup>o</sup> Lutego, *National* całkiem się przeniecował, potrzykroć wyparł się dawnych zasad i o ile możności jął naśladować ton ministryalnych artykułów *Debatów*.

Założyciele *National*'a byli namiętnymi ubóstwiaczami Konwencyi mniej Marat'em, Cesarstwa mniej ukoronowanym. Francya, za Rzeczpospolitą, z plejadą swoich wodzów, bohaterka najszczytniejszego w ludzkości eposu, napelniająca Europę sławą swego oręża, oto był ideał, jakim ludzie z biur *National*'a ciągle błyskali przed oczyma narodu, ideał o tyle bliski i podobny do spełnienia, o ile by im samym a nie komu innemu władza urzeczywistnienia go została powierzona. Sławy wojennej za cel nie brali, boć przecie dziś, w XIX wieku, strategiczni wygrywacze bitew dla samego uroku zwycięstwa u ludów nie poplaczają; ludy dziś chętniej może jeszcze krew leją niż dawniej, ale potrzebują wiedzieć, że walczą za ideę, za zasadę, za siebie samych, tak jako dawniej królowie za własną dumę lub dla chciwości toczyli boje. Polityka czysto zaboreza, niosąca jednym żelazne berło władzy, drugim także jarzmo

<sup>1</sup> Brat generała Eugenjusza Cavaignac'a.

niewoli, dziś już na wieki przepadła i National jeżeli zapowiadał wojnę a nie opierał jej na idei odpowiadającej posłannictwu Francji i dążeniom ludzkości, wyraźnie za kulisami swego działania zatykał powszechne hasło agitatorów epoki Ludwika Filipa, hasło dające zawrzeć się w krótkich słowach: «Precz z twego miejsca, gdyż ja chcę je zająć.» Tu niepodobna przemilczeć, że co do władania zaczepną bronią dziennikarską, żaden z współzawodników nie wytrzymał porównania z National'em. Umiejący dziwnie korzystać z najmniejszej słabostki rządu, buchający ogniem, gdy chodziło o honor Francji, drażniący aż do wściekłości rany, jakie lud w obronie swych swobód ponosił, dowcipny aż do jadu, promieniejący radością, ile razy rząd ciężko potknął się na fałszywej swej drodze, wystawiał lud jako minę prochową, koło której ze słowem niby z lontem zapalonym się uwijał, grożąc co chwila mieszczaństwu wysadzeniem gmachu w powietrze. National tylko przez gwałtowne wstrząśnienie, przez obalenie tronu mógł przyjść do władzy, walkę więc na bruku paryskim przyjął za cel, za program zaś w razie zwycięstwa, ześrodkowanie rewolucji w Paryżu i rzucenie jak najspieszniejsze wojska nad Ren. Stąd, to nieustanne schlebianie wojsku, szerzenie pogardy i nienawiści do zastałego mieszczaństwa, do gwardyi narodowej o ile ta była dynastyczną, stąd te szumne plany wojskowe, teorie strategiczne wykładane często z uszczerbkiem najżywotniejszych kwestyi przemysłowych i socyalnych jako podrzędnych i w zastosowaniu sprowadzających tylko stagnacyę. National przedewszystkiem potrzebuje ruchu, wstępuje więc na szczudła swojej wziętości, udaje się za potęgę, przedstawia Europie alternatywy pokoju lub wojny, uderza na króle, na rządy, nawet na ludy, aby tylko rozbewstwić sąsiadów przeciw Francji i wyzwąć ich do zaczepki. Zakłęciami przygłasza burzę, codziennie nowy kolec wysuwa ku chmurom, aby tylko ściągnąć piorun i rozniecić pożar, który ma strawić nieczyste części narodu, a jeżeli na zewnątrz widokrąg pokojem szarzeje, zwraca się na wewnątrz i z większą jeszcze gwałtownością wre we własnym kraju. Wiosna kończy się bez deszczu, National grozi ludowi suszą i głodem, jeżeli przeciwnie deszcz pada, National wróży zalewę i znowu głód; w poduszkę ro-

botnika zapuszcza niespokojność i ciągle, bez miłosierdzia go chłłoszcze. Mniejsza o to, że lud wylekły wpada w szpony dra pieżnej zgrai spekulantów, którzy sami znając prawdę, do szczętu go obdzierają, niechaj lud cierpi ale niech się burzy, gdyż *National* do walki i do zwycięstwa potrzebuje rozruchu. Innym razem budzi najpłomienniejsze wspomnienia Rzeczypospolitej, to jest Francyi, która umiała pozbyć się swego króla, a gdy zagorzalcy strzelają do Ludwika Filipa, pierwszy potępia zbrodnicze zamachy i wypiera się współnictwa ze sprawcami. Z wzrokiem wiecznie wlepionym w jedyny swój cel, z powodu śmierci Carrel'a powstaje na obniżanie ceny dzienników, z powodu wyroku sądu kassacyjnego, nakazującego umieszczanie odpowiedzi obywateli osobiście zacepionych, wykrzykuje na przekupstwo, tymczasem zaś zagarnia pod swój ster dzienniki prowincjonalne, głaszcze je pochlebstwem, ujmuje blaskiem stylu, gorącą obroną miejscowych wymagań, gdy zaś poprzednie środki bezskutecznymi się okazują, wdaje się w zwadę, wyciąga przeciwnika na gwałtowne słowa, i wtedy z biur swoich, gdzie nigdy nie zbywało na zapaśnikach wojskowych, wysyła kilku zbirów, którzy wyzywają redaktorów na pojedynek, jakto miało miejsce z sędziwym Cabet'em i z jednym z prowincjonalnych wydawców. Oczywiście po zwadzie następuje zgoda i ścisłe przymierze. Nie dość na tem. Jeżeli ze śmiercią Ludwika Filipa, *National* ma stanowczo wystąpić do boju, wypada, aby przez ten czas nie dał odwyknąć ludowi od walki ulicznej, aby czasami dobitniej przypomniął się rządowi i mieszczañstwu. Wnet *National* w biurach swoich urządza małe zaburzenia, tak zwane *emeuty*; policya wlecze kilkudziesięciu robotników do więzienia, straż municypalna kilku rani lub zabija, ale niechaj lud cierpi, niech ginie, *National* do walki i do zwycięstwa potrzebuje czasem i krwawych rozruchów. Takie było istotne działanie *National*'a, taki charakter jego stronnictwa, chociaż dziwnym zbiegiem okoliczności, czterej deputowani wyobrażający go w Izbie, po większej części ludzie oddani naukom, mało byli oznajomieni z podziemnem działaniem swego organu.

Trzecie i ostatnie stronnictwo dziennika *Reformy*, było zewnątrz Francyi daleko mniej rozgłośnem od *National*'a,



na wewnątrz jednak bez porównania głębiej podkopywało monarchią. Wyobrazicielem Reformy w Izbie był Ledru-Rollin, republikanin z rodu, z powołania adwokat, deputowany jaszkrawo i odrębnie rysujący się na tle Izby, mówca namiętny, szczerzy wróg monarchicznej zasady, gorliwy obrońca proletariatu, poglądujący na świat przez pryzma swego przekonania, jednostronny jak dawny konwencyonista, wyciągający zawsze ostateczne wnioski, słowem względnie do procesu obalania człowiek szczerze rewolucyjny. W redakcji Reformy spotykało się całkiem inne postacie, aniżeli w biurach National'a. Niebyło tu ani od 33<sup>ch</sup> lat zniechęconych bonapartystów, ani młodych wojskowych składających swoje strategiczne marzenia podboju Europy, ani stojących na skraju systemu monarchicznego deputowanych dynastycznych, którzy na ochotnika przemykali się cichaczem do obozu P. Marrast'a; w Reformie zaszczytne miejsce zajmował wyrobnik, hasłem Reformy był szczerzy lud, pragnący po zwaliskach tronu dobić się nie do władzy, ale do powszechnych swobód, do nowej idei. Lud skarżył się tu na swoją nędzę, żalił na gnębielców, domagał praw człowieczych i żądania swoje popierał wystawianiem na słońce wszystkich nieprawości rządu, całego samolubstwa mieszczaństwa. Nie wchodząc bynajmniej w dyalektyczny rozbiór teorii tego organu, najzaciętsi ale sumienni przeciwnicy nie mogli odmówić mu dobrej wiary, na której właśnie zbywało reszcie dzienników opozycyjnych. Reforma, również do spełnienia swoich zamiarów wyglądała śmierci Ludwika Filipa, oczekiwała regencyi i rozruchów nieodstępnych każdemu bezkrólewiu, wydawcy jej uważali się za tymczasowych tylko publicystów, których istotnym celem i powołaniem było wyprowadzenie w danej chwili ludu do walki ulicznej, pragnęli Rzeczypospolitej ale nie podbijającej, taka bowiem oczywiście prowadziła do despotyzmu wojskowego, nie mieszczańskiej, taka bowiem na drodze matactw giełdowych i przemysłowego wyzyskiwania, byłaby ostatnią kroplę krwi z ludu wysała, ale Rzeczypospolitej szczerze demokratycznej czyli takiej, któraby na zewnątrz podparła wszystkie uciemiężone narodowości, na wewnątrz zaś zapewniła kęs chleba i trocha oświaty Helotom człowieczeństwa, chcącym pracować i czegoś się nauczyć. Ja-

kimby sposobem cel ten dał się osiągnąć, Reforma nie miała o tem dokładnego pojęcia, oczywiście jednak należało zacząć od wywrócenia systemu monarchicznego i to nie ideą, gdyż Reformie zdawało się, że rząd na przytłumienie idei miał aż nadto wystarczające środki w straży municypalnej i gwardyi mieszczańskiej zwanej narodową, w fortyfikacjach Paryża i miejskiej załodze, ale po prostu materyalną siłą, co do dzielności wyrównywającą odpornej. W tem przekonaniu Reforma ściśle spoiła się z dziennikami przedmieściowemi przez rzemieślników wydawanemi<sup>1</sup>, organizowała kohorty wyrobnicze, przygotowywała broń, kręciła ładunki, układała plany barykad i jako podrzędny całkiem środek wydawała swoje pismo. W częściowe spiski, pojedyncze zamachy, drobne zaburzenia, wcale się nie wdawała, gdyż Prokurator królewski i bez tego jak mógł najczęściej okładał ją karami pieniężnymi, groził zamknięciem redakcyi, a Reforma nader szczupłe miała fundusze, żyła po większej części ze szczodrobliwości Ledru-Rollin'a, ze składek rzemieślników i potrzebowała swego biura i organu na ześrodkowanie stanowczych rewolucyjnych działań. Ludzkość wymagała odrodzenia, historia w tej pracy oddawna już Paryżowi naznaczyła była pierwszeństwo, potrzeba było narzędzia do obalenia zagród postępu, Reforma była tem narzędziem, ale niczem więcej. W chwili gdy płonąła ostatnia drzazga tronu, rola Reformy była spełnioną, nowe potęgi całkiem odmiennej treści i daleko wyższe winny były wystąpić na pole działania.

Tymczasem gdy przemysł w Europie bił krótkowidzący wzrok przelotną pozłotą i zmienną krasą swoich wytworów, gdy pomyślność zaczęła na pozór przesiąkać przedostatnie warstwy społeczeństwa, na spodzie samym ludzkości zadrgały konwulsyjnie nowe a straszne żywioły. «Bogaćcie się, jeżeli chcecie szczęścia na ziemi» krzyczały rządy do ludów, za ideał wystawiając im zaspokojenie materyi, ale właśnie dla tego, że pogardziły duchem, ten ich opuścił, pomyliły się więc w wyrachowaniach i tam, gdzie mniemały zasiewać dostatek, zbierały wybladłą nędzę, Francję, kraj właściwie rolniczy,

<sup>1</sup> Atelier, Populaire, Journal du Peuple i inne.



Burbonowie popchnęli na drogę przemysłowo-fabryczną. Bezrozumna chęć spółzawodnictwa z Anglią i prędszego z bogacenia się, zrodziła ten nieszczęsny kierunek. Usunięto rolnictwo z pierwszego miejsca, wyłączną zaś uwagę wlepiono w przemysł. Ludność porzuciła wioski i tłumnie gromadziła się po rękodzielniach i miastach. A jednak rząd chociażby tylko dla moralnego dobra narodu, powinien był mniej zaniedbywać uprawę roli. Człowiek, znojem czoła roszący ziemię, która mu wdzięcznie trudy jego nagradza, stawający co dnia w obliczu natury, mimowolnie daje ogarniać się zbawienemu jej wpływowi; pierś jego tchnie życiem i zdrowiem, łagodnieją w nim namiętności, codziennie sam żyje tem, co wydarł łonu ziemi, owoc jego pracy to nie żaden zbytek, któryby płodził w nim zawiść i rozbudzał przeklestwa na wiek styrany w niewdzięcznym mozole dla szczęśliwszych, to ten sam chleb, którym on żyje i jego rodzina. Inaczej się ma w rękodzielniach. Tam, wychudłe, pogryzione chorobami pokolenie, od kolebki aż do trumny, od świtu aż do późnej nocy wplecione w to drugie koło Iksjona, chłonąc zaduszne powietrze, ślęczy nad wyrobami, których nie zna dla siebie użytku. Fatalizmem naznaczone stworzenia, nagromadzone po wielkich miastach, jeżeli wyplotłszy na chwilę swe członki z machin, chcą obejrzyć się po bożym świecie, przepych błotem je obryzguje, zbytek skacze do oczu i boleśnie odbija od ich roztrzęsionych łachmanów. Siedziby ich, to piekielne Eldorado, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, gdyż z ostatnimi jego promieniami strumienie gazu zmierzch wypłaszają. Wprawdzie żywot tych istot jest tak odrębnym od życia klasy dostatniej, że zdaje się, iż są to dwa światy, które toczą się gdzieś w bezmiarze, nie wiedząc jeden o drugim, dopóki głód, bankructwo, monopol, chytre podszechuwania lub obłędne doktryny, nie wprawią w szaleństwo tego kretowiska i nie wyprowadzą nędzarzy na ulicę, pod bagnety i kartacze.

Taki to rak toczył Francję, zagrażał jej powrotem strasznych niegdyś dla Rzymu czasów Spartakusa, lub drugim napadem barbarzyńców, ale tym razem opatrzonych w rodzime prawo obywatelstwa francuskiego. Groźnej tej chorobie należało zaradzić. Francya pierwsza ją szerząc zwichnięciem

kierunku swego rozwoju, pierwsza też musiała pomyśleć o lekarstwie i pierwsza na stałym lądzie dała początek systematycznej nauce ekonomii politycznej<sup>1</sup>. Cierpienie atoli coraz się wzmagalo i wraz z niem rosła liczba lekarzy, z których jedni, ekonomiści, radzili, aby szczepić nędzę jak ospę, inni, socjaliści, w falansterach i Edenowych niby stowarzyszeniach upatrywali wyłączny środek, a byli zaś i tacy, którzy na wieki rozwiodłszy się z duchem bożym i głupowato zmateryalizowani, radzili dla wyleczenia chorego uciąć mu głowę.

Śród tylu doktryn napiętnowanych jałową miłością, obłędem spekulatywnego rozumu lub wściekłą nienawiścią, nikt gromko nie wypowiedział prawdziwej zasady słów Chrystusa, który, przewidując przyszłe bole swej ludzkości, wyrzekł był: «Proście jedno o ducha, a wszystko inne będzie wam przydane.»

Przypatrując się bliżej społeczeństwu francuskiemu, łatwo postrzegamy, jakim trybem kwestya polityczna zlała się ściśle z socyalną, jaki zatem charakter i rozwiązanie musiała mieć rdzenna rewolucya i jaki obóz nowych bojowników roztasowywał się przeciw rządowi.

Z istoty swego ducha, ekonomiści półśrodkowi i zachowawcy, przeszli na stronę rządową, radykalni zaś zwiększyli szeregi stronnictwa rewolucyjnego. Każda barwa opozycyi miała swoich ekonomistów. Lewa dynastyczna opierała się na zwolennikach wolnej zamiany<sup>2</sup> i zniesienia komor; National niewiele tę kwestyę zaczepiał i czasami tylko półgłosem odzywał się za stowarzyszeniem. Socjaliści mieli swój wyłączny organ<sup>3</sup> lub trzymali z Reformą, w ogóle zaś osobno ruch prowadzili, więcej pojedynczemi broszurami i książkami, aniżeli za pośrednictwem dzienników. Kiedy niekiedy występowali groźnie w *Revue Indépendante*, której biura były im zawsze na rościęz otwarte.

Po rozbiciu szkoły St. Simona, z której Francya naśmiawszy

<sup>1</sup> W Anglii, w połowie XVIII stulecia, wiekopomnej pamięci Adam Smith, pierwszy w systematyczne karby teoryi ujął rozpierzchle dotąd zasady ekonomii politycznej.

<sup>2</sup> Libre échange = Zollverein.

<sup>3</sup> Démocratie pacifique.

się do sytu, wzięła przecie pewne zasady, jakoto teorię stowarzyszenia, system Fourier'a głoszony przez Wiktora Considérant'a, skupił koło siebie większą część socyalistów. Szkoła ta ochłonawszy poniekąd z wielu ekscentrycznych marzeń swego założyciela, uzbrojona dwóma organami<sup>1</sup>, wyparła się wszelkich dążeń materyjalno-rewolucyjnych, postawiła monarchię konstytucyjną za ideał swego rządu, ufna, że na drodze spokojnego postępu potrafi przeprowadzić swoją doktrynę. Sektarzów Baboeuf'a ogłosiła za zbrodniczych szaleńców, sama atoli szczerze ujęła się cierpień ludu i w nagrodę zaciągnięcia się pod jej proporzec obiecywała rozwiązanie zagadki socyalnej za pomocą łagodnych środków i sprowadzenie pomyślności na ziemię pod postacią: wyzwolenia klass robotniczych, braterstwa i jedności, zapewnienia pracującemu sposobów do życia, rozszerzenia prawa wyboru wszelako nie aż do głosowania powszechnego, organizacyi przemysłu, stowarzyszenia dowolnego pracy i kapitału, słowem postępu towarzyskiego bez rewolucyi, bogactwa ogólnego i urzeczywistnienia porządku, sprawiedliwości i wolności na drodze umysłowej propagandy.<sup>2</sup>

Pomimo szacunku dla łagodnego charakteru i różanej doktryny P. Considérant'a i jego towarzyszków, wyznać musimy, że system ich bił w oczy rażącą nielogicznością. Lud chętnie przyjmował obietnice furyerystów, znajdował, że odpowiadają one zupełnie jego własnym żądaniom, nie zgadzał się atoli na środki i w tem jako djalektyk pokazywał się niesłychanie wyższym od wydawców *Falangi* i *Demokracji*. Z rozpraw w obu Izbach widocznem było, że rząd poprzysiągł niezezwałać na żadne wnioski opozycyi, oczywiście więc ten sam los byłby spotkał i plany uczniów Fourier'a. Jeżeli jednak środki podawane przez socyalistów miały stanowczo zaradzić cierpieniom ludzkości, wtedy grzechem było przedłużać chwile nędzy i wyczekiwać o głodzie na wiekowe postępy. Rząd nieubłaganie przyjął wsteczny kierunek i pod samolubnym rodem Burbonów byłby wiecznie nim kroczył; daleko więc było krócej rozwalić rząd, wypędzić Burbonów i nazajutrz zaraz wprowadzić porzą-

<sup>1</sup> *Phalange* i *Démocratie pacifique*.

<sup>2</sup> Patrz Manifest socyalistów wydany przez P. Considérant. 1844.



dek dowiedziony przez szkołę socyjalną. Tak turyeryści usiłowali rzucić posady nowego społeczeńskiego gmachu, ale zadumani nad ostatecznem onego wykończeniem, nie postrzegli się, że poważne dla nich fundamenta w oczach ludu mimowolnie przybierały postać barykad.

Obok tego codziennego ruchu dziennikarskiego pojedynczy agitatorowie znakomity brali udział w przedwstępie rewolucyi francuskiej. Harcownicy ci, których najdokładniejszym wyrazem był Louis Blanc, zaczępkę dziennikarską wyhodowali na pamflet, pamflet zaś podnieśli do potęgi dzieła historycznego, systemu filozofii, dramatu, romansu a nawet i kazania. Ruchawość ta literatury naszych czasów, aczkolwiek w ogóle zdrożna, pod pewnemi jednak względami da się usprawiedliwić. Ludzkość przez trzydzieści trzy ostatnich lat pokoju przetrawiła całą swoją historię; sucha kronika wypadków przestała już ją zajmować, każde działanie pojedyncze nie brzemienne czynem na przyszłość, czczem się jej wydawało, stąd też historia zwłaszcza, odpowiadając powszechnemu żądaniu, musiała połączyć myśl z czynem, stąd usiłowała wzbić się do historyozofii; niedorosłszy tej wysokości, zatrzymała się na pamflecie.

Louis Blanc jako rewolucyjny pisarz wystąpił naprzód w historii swojej Dziesięciu Lat (1830—1840). Mało dzieł doznało we Francyi równego temu powodzenia; wszyscy nieprzyjaciele Ludwika Filipa rozechwytywali je na wyścigi. Ale bo też z zadziwiającą zręcznością autor umiał uczepić się króla i jego ministrów i od upadku Karola X<sup>o</sup> aż do r. 1840 w prywatnych i publicznych stosunkach na chwilę go nie odstępował. Na próżno Ludwik Filip skrywał się w samotność swego gabinetu, zamykał potrójnie tajemne swoje papiery, nieublagany prześladowca jak cień wszędzie go ścigał, rospinał za nim tło swoje republikanckie i wywieszał przed ludem wszystkie królewskie podejścia, intrygi, spekulacye, rachuby i słaboście. Korsykańska krew, którą otrzymał po kądzieli, zdawała się tętnić w nim podwójnym biegiem, ile razy brał pióro do ręki. Stronnictwa niechętnie królowi z zapalem dały się porywać wartkiemu stylowi, zuchwale narysowanym wizerunkom pojedynczych osób i tej wytrwałości, z jaką autor każdą myśl,

każdy wypadek umiał oświecać czerwonym światłem swojej republiki. Dziesięcioletnie pociski opozycyjnych pamfletów, broszur, dzienników i pogłosek P. Louis Blanc z niepospolitą biegłością odpylił, wyostrzył, w jeden snop związał i z całej siły w tron nim uderzył. Powodzenie tej książki dobiło króla przed ludem; ustaliły się chwiejące tu i owdzie nienawiście, doraźna wziętość wynagrodziła usiłowania autora; trzeba było z niej czeni prędzej korzystać, wejść w bezpośrednie stosunki z masą tak przychylnie uprzedzoną; należało ująć się żywej kwestyi ludowej i historyk-dziennikarz stał się na jakiś czas ekonomistą, ale rewolucyjnym a więc pracującym pod porcem socjalizmu.

Odrzuciwszy na bok oględy osobiste, od których rzadko kto we Francyi jest wolen, a które naszym zdaniem winny mieć podrzędny wpływ na sąd o ludziach politycznych, niema wątpienia, że P. Louis Blanc był jednym z ludzi najgwałtowniej czujących zaprzeczność swojej epoki. Badanie historii ostatnich lat, zastanawianie się nad nędzą class robotniczych, przekonania republikanckie i młodzieńczy pochop, wyrobiły w nim głęboką wiarę w konieczność nowego porządku rzeczy, w bliskie a nieuchronne rospadnięcie się budowy politycznej i społecznej. Pierwszą, autor historii Dziesięciu Lat dostatecznie na swoją osobę już był podkopał, druga atoli absolutnie wymagała nie niszczycieli ale budowniczków. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, P. Louis Blanc zasiadłszy dopiero nad czystym papierem, układał swoje budownicze plany na przyszłość, gdyż wnet wypadła na świat książka o Organizacji Pracy, gdzie spółzawodnictwo i monopol wystąpiły jako dwa upiory na krew ludu zażarte, ześrodkowanie zaś ruchu przemysłowego w rękach rządu jako wszechwładne panaceum na dotychczasową nędzę robotników. Jako historyk, P. Louis Blanc, odwołując się przedewszystkiem do namiętności, od razu co do rozgłosu u ogółu, wyprzedził najznakomitszych dziejopisów swego kraju, jako socjalista, konwulsyjnie szarpnąwszy najboleśniejszą a główną strunę życia ludowego, w jednej chwili wysunął się na czoło plejady swoich towarzyszków i postawił jako najzarliwszy i najbardziej praktyczny obrońca wydziedzi-



czonych. O czynnym wpływie działań P. Louis Blanc napomniemy przy wybuchu i rozwijaniu się rewolucyi, tymczasem podamy tylko, że rozprawa o Organizacyi Pracy wkrótce po jej ogłoszeniu znalazła się w każdej niemal rękodzielni francuzkiej.

Meteorowy blask powodzenia P. Louis Blanc przyćmił nawet gwiazdy dwóch wysłużonych i poważnych doktorów socjalizmu, Piotra Leroux i Proudhon'a. Pierwszy z nich mało był niebezpiecznym rządowi, chociaż stronnictwu swemu niósł w ofercie znakomite zdolności.

Głęboki filozof, humanitarny teoretyk, mglisto przeczuwający zasadnicze prawdy ludzkości, w postawionym przez siebie systemie natchnienia, Piotr Leroux opracowywał kwestję społeczną na polu oderwania, nie przemawiał bezpośrednio do ludu i był źródłem dla nieschodzących z ziemi socyalistów, którzy pojedyncze jego zasady zastosowywali do przekonania ogółu. W codzienną materyalną politykę wcale się nie wdawał, kwestję narodowości uważał za podrzędną a nawet za wsteczną, samego siebie jako działacza nie pojmował we Francyi jedno w ludzkości i przeskakując tak przedostatni szczebel rozwoju społeczeństwa, dla wykształconej większości uderzał tem samym system swój bezwładzą.

Pisarzem który najpotężniej zwarł w sobie zaprzeczny charakter epoki, był J. P. Proudhon.

Syn ubogiego bednarza z Besançon, wstępny bojem zdobywał skarb wiedzy, jaki ludzkość od wieków nagromadzała; wśród tej niezmiernej atoli zbrojowni umysłu, te naprzód wybierał pociski, któremiby najdzielniej mógł rozbijać pancierz zastalej obojętności towarzystwa. Łącząc w sobie wszystkie odcienia ekonomii i socjalizmu, całą masą razem zebranych dowodów uderzał na pojedyncze stronnictwa. Nie z namiętej żądzy wziętości, ani z celu założonego sobie umyślnie choć często wbrew istocie ducha, ale z przeznaczenia, z powołania socyalista, zdawało się, że Proudhon na mocy rodu i zdobyczy, poczuwał w sobie niezaprzeczone prawo odtrącania z pola społecznych i ekonomicznych poszukiwań, tych wszystkich, którzy oparci tylko na własnem zachceniu, zatykali na niem proporzec ciasnego stronnictwa. Na obszarze tym Proudhon sam jeden

pragnął się znaleźć, wtedy byłby może zdobył się na objawienie tajemnicy nowego budynku społeczeństwa, tymczasem jednak nie mógł scierpieć tych wszystkich, którzy zawadzali mu w drodze; druzgotał też jednego po drugim.

Oczywiście dotychczasowa karm moralna głodem zagrażała światu; w głębiach stworzenia kryło się żyjące źródło, którego spragniona ludzkość się domagała, ale byłaż to nowa jako zasada religijna, idea polityczna lub prawda społeczna, o tem uchwały nowator nie miał jeszcze dokładnego przeświadczenia. Wewnętrzny tylko głos ostrzegał go tajemnie, że ostatni domysł najwięcej zbliżał się do prawdy.

Uderzającą była niedołężność rad, jakie różne stronnictwa w tej mierze podawały ludzkości; wezwawszy więc na pomoc najdzielniejsze środki dyalektyki, ogromny zasób wiedzy i niesłychaną potęgę stylu, Proudhon wydał zaciętą wojnę swoim współzawodnikom. Dla ekonomistów położył zasadę, że własność była kradzieżą, dla komunistów, że komunizm był rozbójem, dla fizyokratów, że system ich był uwiecznieniem zdzierstwa podatku i tyranii monopolu, dla socyalistów, że socyalizm był szaloną mrzonką; organizację pracy Louis Blanc'a nazwał wyłupianiem oczu wolności, wyparł się i podeptał pierwszego mistrza swego Fourier'a, jał dowodzić, że w dzisiejszem ich zastosowaniu wszelkie teorye, prawa, ustawy przemysłu i handlu, kredyt, banki, stowarzyszenia rządowe i prywatne, zakłady dobroczynne, maszyny, wynalazki, słowem wszystko, co przyniosła przeszłość wraz z tem, co marzyciele i doktrynery zapowiadali na przyszłość, w zgubę dla ludzkości się obracało. Był to przeraźliwy krzyk *ve to* przeciw całemu porządkowi rzeczy, na który odpowiadano popospolitym zarzutem, że łatwiej spalić świątynię Efezką, aniżeli wystawić najędniejszą chatę. W istocie, nowy ten encyklopedysta ekonomii i socyalizmu nie stawiał na gruzach walonych przez siebie systemów. Wprawdzie szemrał tu i owdzie, że podstawą przyszłych stosunków ma być materyalna wzajemność, równość praw do bożego dziedzictwa, ale dotykalnie zasady swojej nigdzie nie stosował, warunków wzajemności nie położył, żywiołów składających to boże dziedzictwo nie oznaczył.

Gdyby P. Proudhon nie był zgorączkowanym XIX<sup>o</sup> wieku Francuzem, gdyby był tyleż czasu poświęcił Ewangelii, ile go wydał na badanie dawnych i nowych filozofów, może byłby zrozumiał, że niepłodna ta w jego rękach zasada, której martwą formę tylko pochwyił, była prawdziwą i płonąłą życiem w Miłości wypowiedzianej przez Zbawiciela i Jego apostołów, że równość ta w rozkładzie pracy i spożywaniu jej owoców, od dawna znaną była pod mianem braterstwa. Przepuściwszy strumienie natchnienia i światła ewangelicznego przez martwą zasadę Proudhon'a, sfinks przyszłego układu stosunków towarzyskich natchmiast byłby się roztajemniczył. Tymczasem P. Proudhon szybko dopełniał swego Herostratowego dzieła i silnie zaprzętał uwagę P. Delessert'a, prefekta policyi, który o każdym jego napadzie naiwne recenzje zdawał ministrowi spraw wewnętrznych.<sup>1</sup>

W rządzie socjalistów, pojedynczo na swoją rękę działających, niemożemy pominąć Cabet'a.

Od Rzeczpospolitej Platona aż do Campanelli, Mablego, Kanclerza Morusa autora Utopii i wreszcie aż do naszych czasów, nie brakowało na marzycielach, którzy na drodze sentymentalnych teorii, gołębiego gruchania o miłości i poświęceniu i chorobliwych majaków wyobraźni, pragnęli sprowadzić królestwo boże na ziemię. Ostatnim z takich ideologów był P. Cabet, autor Podróży do Ikaryi, kraju płynącego mlekiem i miodem, kwitnącego wieczną wiosną, na wzór onego, jaki przed skosztowaniem owocu wiadomości krył się między Tygrem a Eufratem. Lud francuski szczerze zazdrościł losu mieszkańcom tej szczęśliwej doliny, radbyłby do nich się dostać gdyby nie tak daleko mieszkali, w ogóle bowiem tyle wiedział o Ikaryi, ile każdy minister spraw zagranicznych jego kraju o Polsce. Kilkuset obłąkańców, którym P. Cabet wytłumaczył, że Ikarya rzeczywiście nie istniała i że dopiero potrzeba było ją stworzyć, znęconych łagodnością i dobrą wiarą mistrza, wybierało się z nim na założenie Ikarii, gdzieś w stepach Texasu lub na sawanach północnej Ameryki. Ostatecznie, teorye je-

<sup>1</sup> Obacz *Revue rétrospective* — wydawaną przez Taschereau — Miesiąc Maj 1848.



dnym, marzenia zaś drugich socyalistów, mało niepokoiły towarzystwo porwane szalonym wirem przemysłowym; rząd daleko więcej lękał się republikanów Nationala i Reformy, pogardliwie spoglądał na otumanionych ideologów, aż dopiero w ostatnich czasach, proces przestępców z Buzançais, którzy zawiązawszy spisek rozbójniczo-kommunistyczny, pod gilotyną doczekali się onegoż rozwiązania, i petardy z hasłami rabunku pękające codziennie na bulwarach paryskich, ostrzegły ministerium i Francją, że rzadkie te ale gryzące iskry, mogą rozniecić straszny pożar całego gmachu społecznego. Dwa te wypadki były naksztalt kilku grubych kropel deszczu spadających zwykle przed burzą.

Pośród tak licznych a różnych obozów stronnictw przeciwrządowych, stał samotnie, pod mglistym, niewyraźnym jeszcze proporcem, najznakomitszy poeta Francyi, legitimista z rodu i z pierwszych przekonań, późniejszy trójkolorowy republikanin P. A. de Lamartine. Takowy przewrót zdania łatwo i logicznie da się wytłumaczyć jako przejście do sąsiedniej, najbliższej zasady. Bezwątpienia, człowiek wyższego ducha, pojmujący historję, rozumiejący Francją, musiał spotrzedz się, że bezrozumem było wiązać przyszłość narodu do jednej osobistości odartej z wszelkiego uroku. Prawowitość, zasada nieprzypuszczająca żadnej idei, oparta na ciasnym fatalizmie, żyjąca, chorująca i umierająca wraz z ciałem jej wyobraziciela, wprost przeciwna idei wszechwładnego mieszczaństwa, zaledwie wystarczała na błędne polityczne zachcenia niedobitków arystokracji z przeszłego stulecia. Do rozbratu z nią bez wielkich wysileń, dość było się otrząść; przez sam ten lekki ruch pacjent znajdował się już na drodze wyzdrowienia, jeżeli zaś miał tyle sumiennosci, aby porzuciwszy jedną nie zaprzedał się drugiej doktrynie, jeżeli posiadał jakkikolwiek zasób miłości ojczyzny, mógł być pewnym, że wkrótce wejdzie na szlak postępu.

Takim trybem P. Lamartine opuścił rodzinne stronnictwo i na tem morzu namiętności, bard zaczął upatrywać przystani dla korabia poetycznych swoich przekonań. Wprawdzie jako poeta francuzki mógł był wzbić się nad poziom marności światowych, pławić w błękitach swego natchnienia, jedną połowę

namiętej duszy oddać Elwirze, dla drugiej zaś szukać spokoju pod tęszną wschodnią oazą lub w niedościgłych harmoniach wszechświata, mógł poić się czarem pogrobowej sławy, ale P. Lamartine zapragnął politycznego życia, bezpośrednich oklasków, wypadło zatem dla powodzeń trybuny sięść z Pegaza i piechoto poszukać sobie stanowiska czynnego w sprawach narodu.

Zaczął więc przechadzać się po obozach.

Nie oglądał się już na zbutwiałych legitimistów; odstręczyła go karność parlamentarna zachowawców, obrońców prozaicznej idei mieszczaństwa, którzy dla samolubstwa i doktryny ślepo przysięgali na słowa mistrza; republikanie National'a byliby zażądali wręcznego wyznania wiary i przystąpienia do podbojowej polityki, której nie podzielał poeta, kochający człowieka wprzód w ludzkości aniżeli w pulku, domagaliby się uczestnictwa w rewolucyjnej wspólnicy i w drobnostkowej codziennej agitacji; o Reformie oczywiście nie było co myśleć, P. Lamartine bowiem jakkolwiek wyparł się przekonania, zachował atoli zwyczaje dawnych swych towarzyszy, wreszcie nie jego rzeczą było knuć spiski z robotnikami; socjaliści sami nie wiedzieli czego im się zachciewało, chociaż mieli jedną dobrą stronę, tę mianowicie, że stawiali świątynię *Deo ignoto erga poetico*, byłoby więc można od biedy jakiś czas między nimi się zatrzymać, ale po kilkunastu tomach najszczytniejszych Poezyi i Podróży, jakże tu było nagle porzucać muzę dla rozpraw o ekonomii politycznej, podziale bogactw, o równości obowiązków i wynagrodzeń w stosunku do czasu i pracy, teorii zacięcia przeprowadzanej przez socjalistów a według której — to para trzewików często więcej była wartą od wzniosłego dytyrambu. Poszli więc na bok i socjaliści i P. Lamartine samotnie wstąpił na trójnog opozycyjny, lewą ręką tuląc do serca wspomnienia narodu, rozżalony honor Francji i zwichnięte samolubstwem jej posłannictwo, prawą zaś wyciągniętą w przyszłość błogosławiąc lud i tajemnicze potęgi, jakie czas miał z łona jego na jaw wydobyć.

Francuz, z istoty swego ducha nie lubi się zastanawiać, więcej odgaduje, aniżeli się uczy, pragnie prawdy ale bardziej w postaci formuły niż dowodzenia, nadewszystko zaś uwielbia



te krótkie, zwarte w kilku wyrazach określniki, które ozłoczone blaskiem dowcipu, pozwalają mu w mgnieniu oka tak szeroki zakres ogarnąć, lub raczej tyle i tak silnie czuć, ile pojęcia i uczucia mieści się w piersiach człowieka, dobijającego się do swych przekonani sumienną i mozolną pracą.

Niepodobno przeczyć, że P. Lamartine pod tym względem zupełnie zadowalał wymogi swoich rodaków. Poświęciwszy obrazowość i bogactwo swego słowa na usługi polityki, uposażony niepospolitym darem wymowy, dziwnie mocnym i harmonijnym dźwiękiem głosu, powierzchownością, która zwłaszcza w ostatnich czasach zdawała się zwolna ścinać w kształty posągu, posiadał szczególnie znamienitą zdolność do tych krótkich acz masą wniosków brzemiennych zdań, które wrzкомо z przekonania ogółu wydarte, silne i łatwe do spamiętania, przelatywały z jednego końca Francyi na drugi.

«Francya smutkiem zachodzi,» mówił przed rokiem z trybuny P. Lamartine, podczas gdy na zewnątrz w kwestyach portugalskiej, szwajcarskiej, i włoskiej, P. Guizot bezcześcił się przymierzem z Metternichem, na wewnątrz zaś przekupstwo toczyło biurokracyę i pochwymano na kradzieży ministrów i adjutantów królewskich. «Francya cierpi, zżyma się i obali rząd rewolucyą pogardy,» powtarzał wkrótce przed wypadkami Lutego, gdy zatwardziałość i upór gabinetu dobiegały do przesilenia, gdy większość parlamentarna tak jęła dławić naród, że powietrza już swobodnego niestało dla czystej piersi francuzkiej. Słowa te doskonale trafiały w tętno narodu, tembardziej, że trzydzieści trzy lat pokoju zaszczerpiło było w mieszczaństwie niezwykłą odrazę do krwawych rewolucyi; w Izbie z uwagą przysłuchiowano się deputowanemu z Mâcon niby deklamującemu monolog z jakiego dramatu, na widok którego klaskali przeciwnicy, gwizdali zachowawcy, ostatecznie bowiem P. Lamartine z każdym stronnictwem kolejno głosował, stale nieprzyjmował żadnej zasady, z poetycznym natchnieniem mówił czego niechce, ale czego chce, nigdy niewyraził. Następnie, gdy niespodziane wypadki na szczyt władzy wyniosły poetę i przemieniły go w trybuna, ludzie ścigający zdaleka parlamentarne ruchy głównych postaci opozycyi, dowodzili, że P. Lamartine samotnem stawianiem się w Izbie, słał sobie

drogę do władzy, że gotował się do mających nastąpić wstrząśnięć i powoli odwiązywał wszechbarwną swoją larwę, którą 24<sup>o</sup> Lutego całkiem miał odrzucić. Fala okoliczności sama wyrzuciła na wierzch P. Lamartin'a, zdania zaś podobne ogółu najbardziej musiały dziwić tego, który był ich przedmiotem. Wprawdzie ostatnie dzieło Lamartina, wydane na kilka miesięcy przed rewolucją p. t. *Historya Girondinów* mogło być naprowadzić na domysły o skrytych zamiarach autora, ale bliżej stojący kulis rewolucyjnego działania, przypatrywali się jego ruchom na nieszczęście z mniej poetycznego stanowiska.

W ostatnich latach panowania Ludwika Filipa dziwny w istocie zapał ogarnął najznakomitsze umysły francuzkie do opracowywania dziejów Wielkiej Rewolucyi. Rzecz było można, że naród zabierając się do walenia systemu politycznego i społecznego, zażądał od świątłych z pomiędzy siebie mężów przypomnienia mu bohaterskich czynów przeszłego pokolenia. Z swojej strony, pisarze o tej epoce, wszyscy należący do obozów nieprzyjaznych rządowi, odpowiedzieli na to wezwanie, każdy atoli wziął się do pracy w duchu własnego stronnictwa, każdy jak najponętniejszem wystawianiem wielkiego eposu i oświecaniem go swoim kolorem, starał się tem dobitniejszem uczynić dziesiętne niedołęztwo rządu, złą wiarę lub maleńkość jego wyobrazicili, każdy usiłował wywoływaniem świetnych ojcowskich czynów rozżarzyć w swoim stronnictwie zapał do boju, każdy nareszcie gdzie indziej upatrywał przyczyny wywrócenia porządku towarzyskiego i pierwszego obalenia tronu Burbonów.

P. Thiers, historyk najpoważniejszy z swoich współzawodników, nastawał szczególnie na niedołężność administracyi za Ludwika XVI<sup>o</sup>. na lekceważenie wszechwładnej w narodzie idei mieszczaństwa, na brak silnego ześrodkowania władzy i niepojętą trwożliwość polityki zewnętrznej; bohaterstwo widział wyłącznie w członkach Girondy, zwierzęcą wściekłość zaś w Góralach.

P. Louis Blanc dzielił historję na trzy epoki, mianowicie władzy, indywidualizmu i braterstwa. Piekł oddawał arystokratów, w ślad za nimi wysyłał mieszczaństwo, które wyobra-

zając drugą epokę rozwijało samolubstwo, najbrudniejszą stronę indywidualizmu, i zapowiadał bliską erę braterstwa, powstała na zgłiszczach drugiej epoki i rozwiązującą zagadkę społeczną i polityczną. Dzieło jego ledwo zaczęte i przerwane wybuchem 24<sup>o</sup> Lutego, niepozwoili mu wywołać znakomitych działaczy rewolucyi, według tego jednak, jak w dwóch pierwszych tomach obchodził się z Dworem i z jego skranikami, niepodpadało wątpliwości, że palmę eposu przyzna logicznemu rozwojowi historyi, na zaszczytnych zaś miejscach posadzi przywódców Konwencyi.

P. Michelet, ulubiony professor paryskiej młodzieży i republikanin z przekonania, sam jeden jął z lekka natrącać o posłannictwie Francyi; przyczyny wielkiej Rewolucyi wskazywał w twardym ucisku ludu, jak równie bohatera jednego tylko upatrywał, to jest lud, który przyszedłszy do poczucia własnej godności, natchnął namiestników swoich i sprawców zdolnością do spełniania wielkich czynów.

Ustęp z dziejów Rewolucyi o Girondinach, opracowany w ośmiu tomach przez P. Lamartina, nie jest historią w ścisłem jej znaczeniu ale raczej bogatą galerią obrazów, do których autor nie poszczędził całej potęgi swojej wyobraźni i przepychu języka. Czyn uważając za najwyższy wyraz ducha ludzkiego i szukając istoty człowieka raczej w powodach niż w skutkach, P. Lamartine nie folgował stronniczym sądom gawiedzi i w każdej z wybitniejszych rewolucyjnych postaci wynalazł dodatnią jakąś stronę, którą opromienił potęgą swego ducha i na jaw przed narodem wystawił. Tym sposobem wyzwolił z historycznego piekła kilku potępieńców, których dotąd sam tylko lud, zażęgnięty stronniczą nienawiścią do przywileju urokiem otaczał błędnych swoich przekonań. Dzieło tak popularnie napisane, doznało w massach niesłychanego powodzenia; naród dla otrząśnięcia się z ospałej bezwładności, w jakiej rząd go utrzymywał, potrzebował poruszyć w sobie stygnącą krew wspomnieniami świetnej przeszłości; lud, w dawnym legitymście rad znajdował odgłos dla swoich przekonań, witał w nim nowego obrońcę i topił wzrok w tych tylko częściach obrazu, do których od dzieciństwa najwięcej miał spólcucia. Dzisiejsi krytycy w Historii Girondinów upatrują skryte za-



miary wziętości i chęci władzy wprowadzone w ruch przewidywaniem mających nastąpić wypadków, w istocie atoli rzecz się ma inaczej. P. Lamartine równie jak każdy wyższy umysł, nieraz zastanawiał się głęboko nad ważnym dla ludzkości dramatem zamykającym wiek ubiegły; jako pisarz przygotował sobie był w tej mierze znaczną ilość własnych spostrzeżeń i oddawna już miał zebraną skarbnicę materiałów, z której wedle potrzeby mógł zaczerpnąć tragedya, poemat lub historye. Poetyczna fantazyja, której zachceniom bard francuzki nigdy się nie sprzeciwiał i nieprzebrane zasoby, jakie paryscy księgarze trzymali zawsze w pogotowiu dla koryfuszów narodowego piśmiennictwa, powodowały, że P. Lamartine w wydatkach swoich słuchał tylko własnej wyobraźni. Podróże jednak po wschodzie, zwłaszcza zaś ostatnia własnym yachtem odprawiona do Włoch, przypomniały poecie, że kwestya budżetu równie drażliwą jest dla rządów jak dla osobników. Potrzeba było pieniędzy. Paryskie targi piśmiennicze pomyślnie się odbywały, do wielkich atoli przedsięwzięć kupcy wymagali, aby towar mógł obudzić wziętość i posiadał szerokie rozmiary. Poema lub dramat nie wystarczały tym warunkom, historia zupełnie im odpowiadała. P. Lamartine zebrał swoje spostrzeżenia i zwiózł do Paryża ośm tomów *Historji Girondinów*. Księgarz Furne zapłacił mu 400,000 franków, z nadzwyczajnym pośpiechem wydał dzieło, które tysiącami egzemplarzy rozeszło się, zanim księgarscy Korsarze pospieszyli je przedrukować w Brukselli, autor poprawił swoje interesa i stosowną do odbytu zyskał wziętość historyka, demokraty a nawet proroka. Wprawdzie zapalna, przedrewolucyjna atmosfera nie mało przyczyniła się do nagrodzenia Furn'owi jego kosztów; ogół, jak to powiedzieliśmy wyżej, chciwie rzucał się na wszystko, co mu przypominało epokę poprzedzającą świetne czyny Cesarstwa; czuli to dobrze kupcy i wyzyskiwacze umysłowych potrzeb ludu; kto tylko chciał pieniędzy, ten otwierał nieprzebraną kopalnię wielkiej Rewolucyi; Aleksander Dumas najrzęczniejszy hurtowny fabrykant piśmienniczych wyrobów, dla odbicia kosztów nowozałożonego przez siebie teatru, wystawił na nim dramat p. t. *Girondinowie*; cyrk Frankoniego, który dla dwuletniego nieurodzaju i drożyzny paszy, popadł był



w złe interessa, przedstawieniami Rewolucyi uniknął zaguby i straty swoje powetował.

W szybkim tym przelocie przez Francję przedrewolucyjną, niepodobna nam zatrzymywać się na massie szczegółowych fenomenów, na wybitniejszych tylko gwoli rozmiarowi naszej pracy musimy poprzestać, dla tego też wykazane powyżej i rozpierzchnięte różne pociski przeciwrządowych stronnictw, w jeden snop teraz zbierzemy i przedstawimy we wspólnem działaniu jakiemu dała powód reforma wyborcza i popierające ją polityczne biesiady czyli tak zwane bankiety.

Prawo stowarzyszania się i zbierania w celu obrad nad kwestyami politycznymi lub przemysłowemi, od tak dawna zaprowadzone już w Anglii, nieistniało dotąd we Francyi a to dla nieufności rządu i lekceważenia, jakie w ogóle naród okazywał ku dotychczasowym ustawom swoim i władzy. W Londynie nigdy tyle nie lękano się najliczniejszych meetingów, ile w Paryżu zgromadzenia politycznego z kilkudziesięciu osób. Duch rutyny, przewodniczący w każdym kroku mieszkańcom W. Brytanii, zaspokajał rząd angielski, podczas gdy żywioły natchnienia jakim massa zwykle dawała się unosić we Francyi i pochopność Francuzów do czynu, budziły zawsze najżywszą obawę w paryskich ministeryach. Zdawało się jednak, że ośmnaście lat panowania Ludwika Filipa wystudziło krew w żyłach Francuzów, że naród pomimo pojedynczych zamachów na życie królewskie i miejscowych rozruchów wyrobniczych, zasypiał snem opasłego kramarza, w ostatnich przeto czasach, rząd ufny w swoją potęgę przymrużał oczy na pojawiające się zwolna ruchy polityczne wywoływane wprawdzie przez stronnictwa mu przeciwne, dotąd jednak targające się na gabinet raczej niż na koronę. Przed ostatniemi nawet wyborami sam P. Guizot przyjął był od swoich wyborców w Lisieux zaproszenie na bankiet, w końcu którego wystąpił z wyborną mową i swoim zwyczajem zaręczał biesiadnikom, że każda polityka obiecywać im będzie spokój i pomyślność, że atoli zachowawcza tylko jest w stanie dotrzymania im obietnicy. Stronnictwo Thiers'a podniosło rękawicę; bankiet ostatniego naczelnika zachowawców miał dać hasło do długiego szeregu biesiad politycznych, brzemiennych zagubą dla dynastyi i tronu.

Przy schyłku przedostatniego posiedzenia Izby deputowanych (1846—1847), Duvergier de Hauranne rzucił kwestyę reformy wyborczej. PP. Guizot i Duchâtel, silni swoją falangą zadowolonych, z cierpką zuchwałością odepchnęli nadzieję nawet jakiegokolwiek zmiany systemu, zacięcie ogłosili przedwczesność wszelkich reform i oświadczyli narodowi, że ministerjum potrafi wprowadzić ulepszenia, ale w stosownym czasie i skoro samo uzna ich konieczność. Zażarty ten upór do głębi rozjątrzył opozycyę. Natychmiast po rozwiązaniu Izby stronnictwo P. Thiers'a urządziło w jednym z paryskich ogrodów publicznych, zwanym Château-Rouge, pierwszą biesiadą pod przewodnictwem P. Lasteyrie, ojca dwóch deputowanych przeciwnych rządowi i starego weterana wolności z świetnych Lafayetowych czasów. Spółbiesiadnikami, oprócz deputowanych, byli dziennikarze, niektórzy urzędnicy z sądownictwa jako z władzy niezawisłej od gabinetu, jakoteż cenniejsi pisarze zwolennicy zasad nieprzychylnych gabinetowi. PP. Duvergier, Odilon-Barrot, oba Lasteyrie, Oskar i Jerzy Lafayetowie, księgarz Pagnerre i kilku innych, wznosili toasty i mowy niemniej gwałtowne od tych, jakie przed kilkoma dniami odbijały się o sklepienia Izby, wszelako w niczem nieubliżające ani królowi, ani systemowi monarchicznemu. Republikanie National'a, Reformy i socjaliści trzymali się na uboczu, czekając co rząd postanowi względem zgłębionych biesiadników z Château-Rouge. P. Thiers ani na tej, ani na żadnej z późniejszych biesiad wcale się nie pokazał. Przyszły minister przewidywał, dokąd podobne zgromadzenia mogą doprowadzić, potwierdzał je, dopóki walczyły za jego sprawę, sam jednak usuwał się od osobistego spółuczestnictwa, marząc już o surowem prawie przeciw bankietom, skoro raz na miejscu P. Guizot'a zasiądzie. Ministerjum pogardliwie patrzyło na burzliwców i nie miało sumienia wzbraniać im tak niewinnego na pozór odwetu za ciężkie klęski tylokrotnie w Izbie poniesione. Deputowani rozjechali się po kraju, każdy do swego departamentu i zachęceni wrażeniem, jakie pierwsza biesiada wywarła w Paryżu, tu dopiero rozpoczęli szeroką narodową agitacyę, urządzając bankiety niemal po wszystkich znaczniejszych miastach. Francya znęcona nowością, z zapalem

odpowiedziała na ich wezwania. Republikanie i socjaliści poznali wtedy, jak szerokie pole otwierało się im do działania i hurmem rzucili się na drogę utorowaną przez stronnictwo dynastyczne. Przyjaciele Thiers'a postrzegłszy obosieczność pochwyconego oręża, sami wylękli się olbrzymich kształtów, jakie przybierał ruch opozycyjny, pocieszali się jednak nadzieją, że naród odmówi ucha wyzywom radykalnej polityki. Tymczasem niepodobna było zabronić przybyszom wstępu na biesiadę i zabierania na nich głosu. Wiedziały o tem bardzo dobrze ostateczce stronnictwa i nie omieszkwały szeroko korzystać ze sposobności niespodzianie i pomyślnie dla nich zdarzonej. Na ostatniem posiedzeniu Izby, deputowany ministeryalny Rouland wybornie zwarł w kilku wyrazach historię bankietów, mówiąc, że Duvergier je urządzał, Ledru-Rollin zdobywał wstępny bojem, Odilon-Barrot zaś z nich uciekał. Jakoż, obok dynastycznych mów najznakomitszych rzeczników opozycji, obok jaskrawych ogólników Lamartina, głosy republikańskie wyraźnie dawały się słyszyć; otwarcie wypowiediano, że fale Cherbourg'a czekają już na podruzgotaną koronę Burbonów, że poniżeniu Francji nie gabinet ale system winien, że złe nieustąpi półśrodkom, że naród krwią musi okupić swoje swobody i t. d. Głosy zabierane przy toastach doskonale cechują charakter różnobarwnych dążeń opozycji. Stronnictwo Thiers'a wznosiło toast za przywrócenie godności Francji, republikanie wykrzykiwali przymierze ludów przeciw królom, P. P. Duvergier i Odilon-Barrot wołali: «niech żyje reforma wyborcza!» — «Niech żyje reforma wyborcza i wszechwładztwo ludu!» odpowiadał National i spółwyznawcy Ledru-Rollin'a. Dynastyczne filantropy dla ulżenia nędzy ludu spełniali kielichy za zmniejszenie kosztownej a nieużytecznej armii, rewolucyoniści powstawali pod krwawem później hasłem «Organizacyi Pracy.» Nareszcie, na jednym z najliczniejszych zgromadzeń, pewien z mówców przy końcu bankietu uniesiony zapalem wyrzekł: «Bohater-więzień przepowiedział był na wyspie Śej Heleny, że za pół wieku Europa do Rzeczypospolitej lub do kozaków będzie należeć! Jakże mamy to prorocstwo wykładać? czyliż kozakom dostanie się Europa?» Grzmot zaprzeczeń odpowiedział mówcy, chociaż żaden



z współbiesiadników nieodważył się głośno wykrzyknąć przeciwnej alternatywy. Jeden był tylko toast, na który wszystkie stronnictwa jednomyślnie powstawały, jedno hasło, którego czepiali się wspólnie wszyscy biesiadnicy, którego odgłos do głębi poruszał Francję. Okrzyk: «niech żyje siostra nasza Polska! męczennica za wolność!» przemieniał stronników we Francuzów, okrzyk ten którego następnie ówczesni biesiadnicy potrzykroć się zaparli, a który lud tylko biedny, niepokalanie przechował w arce świętych swoich uczuć.

Takowe ruchy i powszechne wzburzenie umysłów jeżeli nie obawę, bystrą przynajmniej uwagę zwróciły ze strony rządu. Dziennik *Debatów* zaczął dawnym terroryzmem straszyć mieszczaństwo za daleko zapędzone w walce przeciw Guizot'owi, biesiadników z *Château-Rouge* nazywał *Jakóbinami*, republikanów zaś i socjalistów wystawiał jako szajkę rozbójników sprzysiężonych na mord i rabunek ludzkości. W istocie biesiady całą Francję wprawiły w niezwykły ruch; lud wyrobniczy po miastach jął wrzeć i kipić tajemnie; w Paryżu niespokojność i rozjątrzenie nurtowały przedmieścia. Rząd, lękając się większego rozruchu, postanowił sam od siebie dać zapaleńcom naukę jak w razie zaburzenia zamierza z nimi postąpić i w tym celu, w początku Września wywołał mały rozruch przy ulicy *St. Honoré*. Naczelnicy stronnictw ludowych przeczuli zdradę i uniknęli zasadzki, kilkudziesięciu zaś ciekawych, poprzebierani policyjanci bez miłosierdzia grubemi dębczakami mordowali. Nadeszła kolej na *Réformę* i *National'a*, które płacąc wet za wet *Debatom* przyrównywały władzę rządową do zbirów austriackich krwią frymarczących, kilkadziesiąt zaś suchych razów podniosły do potęgi Herodowej rzezi.

Podczas gdy dzienniki szarpały się tak nawzajem do upadłego, nadchodziła pora otwarcia Izb. Ministerjum zacięcej niż kiedykolwiek obstawało przy swojej nieruchomości, w opozycji natomiast rozjątrzenie dobiegło do niesłychanego stopnia. Większość z szyderską pogardą spoglądała na to rozhukanie miłości własnej w przeciwnikach, mniejszość nawzajem widząc, że najdotkliwszą bronią dla gabinetu były biesiady, umyśliła, w samym ciągu obrad parlamentarnych, śród najgwałtowniejszego właśnie oburzenia umysłów, urządzić pamiętny w dzie-



jach francuskich bankiet 12<sup>o</sup> miejskiego okręgu. Republikanie z radością zacierali ręce i na chwilę ucichli. Król zagał Izby znaną mową, w której obok zwykłych ogólników, poświęcił jeden okres surowej naganie biesiad i zaprowadzenie ich przypisywał namiętnościom ślepym a względem kraju nieprzyjacielskim. Kilkudziesięciu deputowanych znalazło się pod ciężarem oskarżenia o szaleństwo lub o zdradę ojczyzny. Gwałtowność sporów nad adresem przechodziła wszelkie wyobrażenie; przeciwnicy monarchiczni, legitymiści i republikanie wyteżali ostatnie siły na potępienie wspólnego wroga, który obojętniejszy, nieugiętszy, zaciętszy niż kiedykolwiek, harde czoło stawiał pociskom i w ciężkiej tej walce zdawał się nowych sił nabierać. Zarzut wrażeń i ślepych namiętności, który stronnictwo przeciwne odsyłało nawzajem królowi i jego ministrom, dowodził jednak, że Ludwik Filip i P. Guizot lepiej pojmowali ducha Francyi aniżeli oppozycya Odilon-Barrot'a i republikanie National'a. Rząd przeczuł istotę ruchu i ze swego stanowiska doskonale ją określił; ślepmi nazwał stronnictwa, z których jedne myślały, że naród poprzestanie na cząstkowych ulepszeniach, drugie zaś za obaleniem tronu nic innego prócz zwykłej Rzeczypospolitej nie upatrywały, za nieprzyjaciół atoli kraju poczytał socyalistów, którzy wrzкомо najmniej silni, rzeczywiście przynosili nową, straszną ideę, grożącą przewrotem do dna nie tylko politycznych ale i społecznych stosunków. Celem przeto gabinetu musiało być zakłęcie lub oddalenie burzy zawisłej nad krajem a do tego stawały przed nim dwa środki, jeden w przejściu na niebezpieczną pochyłość reform, drugi zaś w skamienieniu na dotychczasowej drodze doktryny. Ludwik Filip i pierwszy jego minister jak gdyby w istocie woleli byli skruszyć się niż ugiąć, drugiemu środkowi dali pierwszeństwo. Walka obu stronnictw w całym kraju przybrała szerokie rozmiary; mowa królewska podniosła zaciętość w przeciwnikach, lud głośno przeciw niej szemrał; młodzież paryska na kursie professora Michelet'a publicznie ją podarła i zdeptała. Niemogąc nagiąć, musiano wziąć się do łamania systemu P. Guizot'a, i oppozycya silna pogwałceniem przez rząd opinii ogółu, przybierała coraz groźniejszą postać. Duvergier de Hauranne, w odpo-

wiedzi na upór większości, głośno odwołał się do sądu całego narodu, zapowiadając niejako tem samem przeniesienie walki z Izby na plac publiczny. Przeciwnicy uderzali na ministerjum własną jego bronią, przypominali P. Guizot'owi, jak w r. 1820 sam wyraźnie oświadczał i ostrzegał że: «nastaną ministrowie, którzy będą naigrawali się z przyjętej przez nich wiary, którzy będą świecili zasadami wzgardzonymi w głębi własnego ducha, którzy niemając w sobie nic poważnego, nic szczerego, siłę zastąpią chytrą, którzy niepewni głosów w narodzie, będą starali się je zakupywać, niepewni opinii publicznej zechcą ją ujarzmić,» na co wówczas dodawał kolega jego P. Salwandy: «że rząd Karola X<sup>o</sup> naśladował Żydów z barbarzyńskich czasów Izraela, którzy nie mogąc wysuszyć a nie śmiejąc powywracać studni publicznych, przedsięwzięli wodę w nich pozatruwać.» — Na takowe przytaczania, P. Guizot i towarzysze jego, odpowiadali pogardliwem milczeniem, przeszłość swoją obojętnie rzucali na pastwę nieprzyjaciołom, dzierząc się natomiast obiema rękami przewagi w terażniejszości.

Dwoma mówcami, którzy na ostatniem posiedzeniu Izby najsilniej potrząsali gabinetem, byli: Odillon-Barrot i Lamartine. P. Thiers dwa razy tylko wystąpił w kwestyach polityki zewnętrznej i z niezwykłą sobie samemu nawet gwałtownością, druzgotał i pod pręgierz hańby włókł nikezemną politykę, która dla osobistych widoków dynastyi, honor Francyi zaprzedała w niewolę Ś<sup>u</sup> Przymierzu, dla pochwylenia posagu córki Ferdynanda VIII<sup>o</sup>, zrywała korzystny dla narodu sojusz z Anglią. Odilon-Barrot zaraz na wstępie posiedzenia powstał na gabinet za sprzedaż urzędów publicznych; popierany dzielnie przez P. Dufaure z zaciętą i nieubłaganą logiką uderzył na Prezesa ministrów, którego poplecznik, błady mówca P. Peyramont, napróżno starał się zasłaniać. P. Lamartine, w sporach nad bankietami usiłował utrzymać chwiejącą się swoją równowagę, i tę samą mowę, którą kończył pamiętnym wyrzutem, że ministerjum «pięścią policyi chce zatkać usta narodu,» tę samą mowę, powtarzamy, zaczynał od słów: «Przychodzę tu na trybunę nie dla marnych a dotkliwych wyrazów adresu, ale dla przedmiotu daleko poważniejszego, dla treści samej naszych rozpraw; przychodzę przedstawić tej większości

do której mam zaszczyt przemawiać, z którą tak długo łączyło mnie tyle wspólnych uczuć, i do której dziś jeszcze należę przez konstytucyjne moje przekonania, przychodzę powtarzam zwrócić jej uwagę . . . » etc. Wielą podobnemi przytoczeniami z mów i z pism Lamartina moglibyśmy dowieść, że późniejszy przywódzca Rzeczypospolitej, przed ogłoszeniem jej, szczęścia Francyi nie rozdzielał od systemu monarchicznego, chociaż naszem zdaniem pierwsze ogniwa przekonani mało powinny wpływać na sąd o wewnętrznej wartości człowieka, jeżeli tylko po wybuchu, P. Lamartine w istocie pokazał się szczerym zwolennikiem nowego porządku rzeczy. Linia rozgraniczająca stałość zdania od doktryny, trudną jest do oznaczenia; człowiek nierodzi się z przekonaniem ale własnem doświadczeniem je zdobywa i jak niezawsze zacięty upór zasługuje na miano niezmienności, tak również zmiana chorągwi czasami za postęp może być poczytaną. Wielcy tylko ludzie historyczni, posłannicy Opatrzności, pracujący dla ogółu z zaparciem samych siebie, odznaczają się wytrwałością w raz przyjętem zdaniu, Lamartina zaś możemy uważać jako niepospolitego pisarza, znakomitego mówcę, nigdy jednak jako męża Opatrzności a nawet jako wielkiego człowieka stanu.

W utarczkach nad polityką zewnętrzną, na ostatniem posiedzeniu Izby, P. Lamartine dobitniej jeszcze od Thiers'a pietnował niekzemne postępowanie gabinetu. Tu znowu mamy dowód, że poeta nie przewidywał gdzie go za kilkanaście dni los miał postawić, niedomyślał się że przypadek zanieśe go do tego samego gmachu, z którego teraz z taką gwałtownością wypędzał P. Guizot'a, inaczej byłby miarkował swoje wyrażenia i nienazywał polityki gabinetu: «samolubnie dynastyczną w kraju, gibelińską w Rzymie, jezuicką w Szwajcaryi, moskiewską w Krakowie, austryacką w Turynie, słowem wszędy kontrrewolucyjną.»

To powiedziawszy o otwartych przeciwnikach rządu, wypada nam jeszcze kilka słów napomknąć o temto drugiem stronnictwie, które jak wspomnieliśmy wyżej, podkopywało tron z zupełnie przeciwnem przeświadczeniem o istocie swego działania.

Na czele ostatnich burzycieli stał król.



Ludwik Filip krom doktrynerskich swoich teoryi dobrze pamiętał, że rewolucyi zawdzięczał koronę. Stąd łatwy wniosek, że rewolucya posiadała potęgę zdejmowania koron, że z ostatnim ulubieńcem mogła sobie tak samo postąpić jak z Karolem X, że zatem chcąc zabezpieczyć się przeciw jej dziwactwom wypadało: naprzód zupełnie się jej zaprzecć, następnie podławić wszystkie jej ogniska. Wnet więc na zewnątrz Francyi, wiarołomny starzec zaczął gorliwie usługiwać rządóm absolutnym; konstytucyjny monarcha, pragnąc uzyskać przebaczenie u sąsiadów za nieprawowite wdarcie się na tron S<sup>o</sup> Ludwika, jął popierać ich w kielznaniu ludów i zdradzając zasadę reprezentacyjną, bezbożnemi rękoma kuł dla ludzkości kajdany w kuźni Księcia Metternicha. Tak sprzymierzywszy się przeciwko ludom, opuszczał je po kolei i pomagał tłumić ideę wolności, gdy takowa występowała do boju w Polsce lub w Szwajcaryi, we Włoszech lub w Hiszpanii i nawzajem zapominał o przyjętej zasadzie nieinterwencyi, gdy szło o wspieranie absolutyzmu w tychże samych Włoszech, w Hiszpanii, w Szwajcaryi lub w Portugalii. Sąsiedzi zrozumieli, że więcej było do zyskania z takim, który a priori żebrał u nich łaski przebaczenia, powoli więc dali się ugłaskać. Książę Kanclerz w Wiedniu pod niebiosą wynosił głęboką mądrość Ludwika Filipa, w częstych a drogich dla króla listach wynurzał mu swoje uwielbienie; Ferdynand neapolitański wydał za jednego z królewiczów swoją córkę, toż samo uczyniła Marya Krystyna, sam nawet Cesarz Mikołaj chociaż na pozór udawał zagniewanego, w głębi jednak żywił szczerze spólczenie dla swego kolegi z Paryża i w ostatnich czasach pożyczył mu pieniędzy. Ten dowód szacunku, który Ludwik Filip tak od swoich poddanych jak i od cudzych monarchów przyjmował zawsze z nowem rozrzewnieniem, do reszty go przekonał, że w istocie sąsiedzi nie byli tak złymi, jak o nich ludy rozpowiadały i że zapomnieli mu krzywd, zadanych starszej linii Burbonów. Na zewnątrz przeto aż miło było spojrzeć, tak dzięki żandarmom, więzieniom, oprawcom, Sibyrowi knutom i t. d. wyjaśnił się monarchiczny widokrąg; z własnymi poddanymi najtwardszy był sęk ale i tu przy potędze środków, własnej przebiegłości i bożej pomocy, należało tracić nadziei. Trzeba było tylko żwawo a zręcznie na



miejsu rewolucyjnych zachceń, czczych mrzonek o posłanictwie ojczyzny, o godności osobistej, postawić samolubstwo i materyalną chęć zysku. Z jednej więc strony szła robota dławienia rewolucyi, z drugiej zaś szczepienia kramarskich dążeń.

Podobnym sposobem ułożywszy sobie plan działania, król ten z łaski ludu przystąpił raźnie do czynu i dalejże rozwiązywać gwardye narodowe, karami pieniężnymi ubezwładniać wolność druku, mianowaniem sędziów przysięgłych przez Prefektów, zatykać usta głosowi publicznemu, najwyższą sprawiedliwość powierzać tworzonym przez siebie Parom i spółuczestnictwo narodu w rządzie zjednywać sobie bezczelnem kupowaniem wyborców i deputowanych. Do tych głównych środków dodawszy podrzędne jakoto: przywrócenie dawnej dworskiej etykiety, wynagradzanie tytułami i szlachectwem, znęcanie na swój dwór legitymistów, zakładanie feodalnych duchownych zgromadzeń, powierzanie synom najwyższych godności w kraju, wznawianie dawnych urzędów i godności, opasywanie miasta łańcuchem twierdz, które w razie potrzeby miały Paryż dzierzyć w posłuszeństwie i t. d., zdawało się, że król wkrótce z równem zadowoleniem po własnym kraju jak po cudzych będzie mógł się obejrzyć. Żadnemu monarsze niebrak nigdy na wykonawcach jego woli, znalazł też i Ludwik Filip posłusznych sobie ministrów, urzędników i deputowanych. Żądza władzy i ślepiące upojenie potęgą, przekonanie, że jeden krok postawiony naprzód pociągał za sobą drugi i tak następnie aż do Rzeczypospolitej czyli do anarchii, ciasne materyalne doktryny, prawe córki wszechwładnej idei mieszczaństwa, szalona chęć zysku, próżność, sumienie własnej niedołężności a stąd zaguba osobistego interesu w razie jakiegokolwiek zmiany, namiętność do osobistych praw i wstręt do ogólnego obowiązku, oto były potężne żywioły, które wyrosłe na glebie samolubstwa, przypelżyły tronowi w pomoc i zapowiedziały mu nienaruszalność.

Wprawdzie, w ostatnich latach panowania Ludwika Filipa, dziwne i niespodziane może zjawiska wypełżyły z pod pleśni królewskiej purpury. Społeczeństwo zaczęło gnąć od wierzchu; długi szereg bezecnych wypadków szybko po sobie następował.

P. Guizot morganatycznie pokumany z księżną Liewen, wdową po dawnym ambassadorze rossyjskim w Londynie, która przyniosła mu w dani całe szalbierstwo i cynizm polityki petersburskiej, chociaż sam czyste miał dłonie od przedajności, kazał jednak ofiarować dwóm kandydatom wielkie i małe kommissarstwo podatkowe,<sup>1</sup> z warunkiem że ci zapłacą pewnemu radcy z Izby Obrachunkowej<sup>2</sup> prośbę o uwolnienie go od służby, która to służba miała następnie być powierzoną jednemu z za d o w o l o n y c h. Podanie kommissarza podatkowego z Corbeil wykryło tę sprawę załatwioną w pałacu spraw zagranicznych i bez wiedzy ministra skarbu. Purytańskie sumienie Prezesa gabinetu zaświeciło próchnem. Cóż dopiero gdy oburzony naród jął na biały dzień wywlekać wszystkie pojawy zgangrenowania rządu i wyższego towarzystwa, gdy ile razy w tej kałuży pogrążał rękę, zawsze z niej wyciągał, albo, sprzedaż przywileju teatralnego dla spłacenia długów literackich zbiorów,<sup>3</sup> wystawianie na targ publiczny rozporządzeń rządowych<sup>4</sup>, przysądzanie za zapłatą kolei północnej Rotszyldowi, lub wyzyskiwanie bezpłatne w Algieryi min Muzai przez spółkę Talabot'a i Thurneyssen'a, do której należeli pierwszy dygnitarz z wojska i kilku innych z biurokracyi. Tymczasem w papierach jednego z dwóch ministrów potępionych za przekupstwo, znajdowano własnoręczne słowa, że władzę d z i e r ż ą ręce chciwe i przedajne. tymczasem, minister sprawiedliwości Martin (du Nord) umiera pod zarzutem strasznej dla obyczajów winy, której nikt nie stara się usprawiedliwić; ambassador Bresson ukartowawszy małżeństwa hiszpańskie podrzyna sobie gardło; nadzwyczajnemu posłowi P. Mortier wydzierają własne dzieci, które chciał pomordować; Księżę Praslin Par Francyi, z niesłychanem okrucieństwem zabija żonę; adjutant królewski Gudin okrada przy grze w karty; mord, gwałt i krzywoprzysięstwo, wciskają się do zakonu mnichów w Tuluzie; prokurator królewski dobywa zapomnianą sprawę pojedynku Dujarier'a, w której wychodzą na jaw zabójstwo, fałsz,

<sup>1</sup> Recettes générale et particulière.

<sup>2</sup> Cour générale des comptes.

<sup>3</sup> Sprawa teatru lirycznego i dziennika « Epoki. »

<sup>4</sup> Milion ofiarowany przez poczmistrzów na ręce Granier de Cassagnac'a.

oszustwa i niecny sposób życia świetnej paryskiej młodzieży; na trybunie Izby jeden z deputowanych przechwala się, że jest owocem cudzołóstwa, rzuca w twarz ministrom zarzut targu o godność Para, ci mu nieprzeczą, dodają tylko, że to on sam i dla swego ojca targował; król najstarszego syna, przyszłego regenta wysyła z miasta za jakąś sprawkę godną czasów dawnej regencji, a że nareście lud wyrobniczy w dziesięć dni po osądzeniu winowajców ministrów, widząc pyszny szereg dygnitarzów przemokający się przedmieściami S<sup>o</sup> Antoniego na uryczystość wyprawianą w Wersalu przez Książę Montpensier, wybiega z zakopconych poddaszów i warsztatów, ścisną w pięście spracowane dłonie, pieni się od przekleństw i chrapliwym głosem wrzeszczy: «Precz ze złodziejami!...»

Zbliżał się 22<sup>gi</sup> Lutego, dzień naznaczony na biesiadę dwunastego okręgu.

Stronnictwa przeciwne, rozjątrzone sporami nad adresem, zawzięły się do upadłego. Wyznaczono komitet biesiadny z deputowanych, z wyborców i z dziennikarzy; National w niepewnym przecuciu rozruchu odbył kilka tajemnych, przygotowawczych narad i zuchwale począł się krzątać; Reforma skrycie porozumiała się z robotnikami i wzięła się do kręcenia ładunków. Porozpisywano w dziennikach zaproszenia, oznaczono miejsce i godzinę schadzki, ordynek pochodu, wezwano młodzież szkolną i gwardyę narodową, wszelako bez broni. Ministerjum z początku chciało na drodze sądowej pociągnąć biesiadków do odpowiedzialności, w wigilię jednak, pod pozorem, że komitet bezprawnie zwoływał uczniów i gwardzistów, wydało uroczysty zakaz bankietu. Na wieść o tem postanowieniu, P. Odilon-Barrot wpada na trybunę i zapytuje ministrów; P. Duchâtel zimno odpowiada, że do rozpedzenia biesiadników użyje siły zbrojnej, że biesiadę poczytuje za bunt przeciw prawu.

Oba stronnictwa znalazły się na stanowiskach wyraźnie odrysowanych; wypadało przystąpić do ostatecznych kroków; cóż atoli w tym razie miał począć obóz zaczepny?

Przygotowania Reformy i National'a nie uszły baczności lewicy dynastycznej; P. Odillon-Barrot i jego towarzysze poczuli, że nie za swoją sprawę występowali do boju, niedosięgli



wysokości swego położenia, gwałtowni w słowach, zabrakło im dzielności, gdy przyszło do czynu. Zagadka była rozstrzygniętą; nie oni to mieli przynieść lekarstwo na rany Francji. P. Thiers przewidział, że dotrzymanie zamiaru za daleko może go zaprowadzić, że na tej drodze władza na zawsze mogła z rąk mu się wysliznąć, pierwszy więc jął zachęcać swoich stronników do poddania się woli rządu. Odilon-Barrot długo się wahał, wstyd było staremu agitatorowi haniebnie zmykać z pola, uległ atoli okolicznościom i dał się przekonać do wodzeniom Thiers'a. Lamartine sam jeden namiętnie powstał przeciw zbiegom: «Mniejsza o to, zawołał, czyli kto stawi się lub nie, na placu zebrania; ja sam pójdę, chociażbym cię tylko własny miał mieć za towarzysza.» Ośmnastu deputowanych przyrzekło go nie odstępować, gdy w tem o północy doniesiono mu, że komitet sam uprzątnął wszelkie przybory do biesiady. Na tem kończyło się działanie ludzi; nadchodziła kolej na Opatrzność.

Śród ciemnej i przenikliwej nocy zimowej, podczas gdy tłum niespokojnych a sprzecznych uczuć szarpał dusze mięszkańców Paryża, zwolna, uroczyście, podnosiła się tajemna zasłona widowni, na której historia zamierzała wyprawić trzydniowe przedstawienie jednego z najfilozoficzniejszych dramatów naszego stulecia.

Pierwszy dzień, plód opozycyi parlamentarnej nosił blade kolory i niedołężność swej matki. Powietrze było niepewne, dżdżyste, nuda i niesmak osiadły na twarzach błędnie ślaniającego się tłumu. Zgon to lewicy dynastycznej dopełniał się w zanglonych tych i przewlekłych godzinach, bańka to mydlana panowania Ludwika Filipa pękała w brudną kroplę wilgoci.

Tymczasem lud Tytan powoli przecierał oczy, wyciągał potężne swe muszkuły na dziedzicznym barłogu, wstawał, prostował się, wyrzał na ulicę a spostrzegłszy, jak berło władzy chwiało się w niedołężnych dłoniach, zatarł ręce i postanowił sam wziąć się do dzieła. Gdziekolwiek stąpił, gwizdały kule, gdziekolwiek się zatrzymał, wyrastała barykada. Ojczyzna odtrącała wiarołomnych ministrów, kraj żądał reformy, król głuchym się okazywał na domagania wysłańców narodu, on



więc za nimi się przymówił, zagrzmiał z szerokiej piersi: «Precz z Guizot'em! niech żyje reforma!» i król poznawszy, kto to się odzywa, wypędził czempredzej ulubionego ministra i z uśmiechem zaręczył zmianę prawa wyborczego. Lud skrzyżował ramiona, przemyślał, czyli mu nic nie pozostaje do działania; zadumany czekał znaku jakiego od Opatrzności. Zdawało się, że na teraz dopełnił już swego spółczestnictwa, gdy w tem za nadejściem nocy, niewytłumaczony strzał padł na żołnierstwo roztasowane przed pałacem Prezesa rady ministrów. Wojsko, jak gdyby niem geniusz przyszłości dowodził, odpowiedziało, rażąc bezbronną ciżbę mnogiemi wystrzały. Połała się krew niewinna.

Straszna to była chwila.

Sród jęków ofiar, krzyków wściekłość i zgrozy, niewiedzieć skąd, wóz jakiś przedzierał się między tłumem. Wnet wskoczyło nań kilku wyrobników z pochodniami, porwało ciepłe jeszcze i sposoczone trupy. Krwawy, dymny blask oświecił blade twarze i obnażone piersi nieboszczyków, zgroza i rozpacz zacięły konie i rydwan zemsty popędził na przedmieścia znacząc po sobie ślady długą, czerwoną wstęgą krwi.

Lud pojął znaczenie tego hieroglify krwią jego nakreślonego na bruku paryskim i tym razem postanowił służyć własnego tylko przekonania. Wybiła ostatnia godzina monarchii; szło jedynie o dopełnienie formy, na co kilkanaście godzin aż nadto wystarczało.

Napróżno Ludwik Filip chwycił się ostatnich gałązek; pękały mu w ręku jedna za drugą; naprożno sam wyrzekał się wszystkiego a błagał tylko o tron dla wnuka, darmo zbierał gwardyę narodową i wojsko wystawiał do walki, gwardya mieszczańska, niewiedząc co czyni, jak opętana krzyczała: «niech żyje reforma!» wojsko opuszczało broń i rzucało się w objęcia ludu. Popchnięta w przepaść korona staczała się przyspieszonym biegiem, traciła co najdroższe swoje perły, tak że wreszcie chciano ją oddać dziecku na zabawkę, ale niezdolano jej pochwyć i zginęła w otchłani. Lud bez wystrzału zajął królewski pałac, rozpędził niegodnych siebie deputowanych i z kilku wybranych, nie troszcząc się wcale

o rozwaloną władzę, pociągnął do ratusza ustanawiać nowy rząd. Kilkadziesiąt ofiar z obu stron okupiło rozwiązanie ośmnastoletniej komedyi i trzydniowego dramatu. O zemście nad upadłymi nikt nawet nie pomyślał, zdawało się, że zdruzgotana przed chwilą władza, od wieków już istnieć przestała. Stary świat niby liść zwiędniały i zmieciony jednym podmuchem wiatru, zakłębił się gdzieś w bezmiarze; nowy, pełen uroku, czaru, złudzeń i nadziei, błyskał przed rozkrępowaną ludzkością. Zaledwie starczył czasu na kilka westchnień społeczenia, jakimi lud pożegnał biedną niewiastę, matkę dwojga sierot, której rachuby ziemskie gotowały najpierwszy tron w Chrześcijaństwie, Opatrzność zaś przeznaczała kwef wdowi, życie pełne smutku i poświęceń i nareszcie boleść wiecznego wygnania.

Jakże jednak zakończył swój zawód Ludwik Filip, ów najbieglejszy rachmistrz swojej epoki? Czyliż podobnie jak Ludwik XVI. krwią własną obryzgiwał zgliszcza swojego tronu? czyli jak Napoleon, w Prometeuszowych cierpieniach konał gdzieś na oddalonem wybrzeżu, mając skałę za więzienie, ocean za kraty i cały jeden naród za oprawcę? czy choć jak Karol X. wśród wojska, w licznym orszaku sług i przyjaciół opuszczał miasto, porzucał Francją nie bez stronników, nie bez nadziei powrotu? — Bynajmniej. Przemycony król Francuzów, wśród obojętnego ludu, spokojnie wsiadł do małego powozu zaprzęzonego jednym koniem, niezaczepiony wyjechał ze stolicy Rzeczypospolitej, poczem za pomocą brzytwy i nożyczek niepotrzebnie twarz odmienił i przemknął się na drugą stronę Maudy. «Dzięki Bogu, jestem przecie w Anglii!» zawołał wysiadając na brzeg odwiecznej współzawodniczki swego kraju. Wykrzyk ten w podobnej chwili i w skutek tak ważnych wypadków dla świata, jest doskonałą treścią systemu i życia Ludwika Filipa.

Tymczasem przyjaciele jego i zwolennicy, którym niegdyś tak drogo płacił za przywiązanie do tronu, nazajutrz poprzyznawali się do Republiki, nikt w narodzie nie pożałował wygnanego monarchy, nikt za uciekającym nie wysłał w pogoń myśli szakunku lub pociechy. Lud przestał o nim gadać i dziś we

Francyi daleko wyraźniej pamięta rysy Cesarza Napoleona aniżeli Ludwika Filipa.

Po kraju i zagranicy piorunem gruchnęła wieść o ogłoszeniu Rzeczypospolitej w Paryżu.

Oslupieli królowie i oburącz chwycili się chwiejących pod nimi tronów; ludy złowrogo potrząsły rdzawemi łańcuchami, historia zaś na dniu 24<sup>ym</sup> Lutego 1848<sup>o</sup> roku, zamknęła ostatnią kartę swoich Wieków Średnich.

Niespokojność i ciekawa nadzieja samowładnie zapanowały nad światem.

## II.

Opisaliśmy pokrótce ważniejsze powawy ducha we Francyi przed wybuchem 24<sup>o</sup> Lutego, czujemy teraz konieczną potrzebę napomknięcia kilku słów o celu, jaki sobie założyliśmy w przypomnieniu tych naocznych spostrzeżeń, zebranych na ziemi francuskiej.

Pomijając bezpośrednią korzyść, jaka wypływa z rozglądu wstrząśnień i gwałtownych przemian znakomitego narodu, musimy tu jeszcze powtórzyć pewnik historyczny i polityczny, prawdę od wieków i ogólnie przyjętą, mianowicie, że Francya na mocy swego posłannictwa rozstrzygnie u siebie kwestyę europejską. Kilkanaście morgów kwadratowych utrzymujących Paryż, jest ogniskiem, w którym przetapiają się pojęcia i wazą losy całej ludzkości. Od Karola W<sup>sz</sup>o aż do śmierci Cesarza Napoleona, Francya gromadziła u siebie skarbnicę żywiołów rozwijających nie tylko swoją ale i cudze narodowości; potęga jej moralna na zewnątrz jest owocem ciężkich i długich prac, krwawych często poświęceń. Francya może nabierać siły i rozwijać się u siebie tylko w stosunku czynnego wpływu, jaki wywiera na dojrzewanie prawd świętych u obcych narodów; środki, jakimi rozporządza, noszą na sobie cechy humanitarne, historia przeznaczyła zasoby jej ducha i potęgę materialną na usługę całej ludzkości.

Drugim narodem, którego istnienie, aczkolwiek na karcie bożej tylko etnografii nakreślone, równą przecie ma wagę w losach człowieczeństwa — jest Polska.

Na niej spełnił się grzech królów, przez nią tylko ludy mogą dostąpić odkupienia. Polska niepodległa jest tym kamieniem



węgielnym, bez którego każdy system polityczny będzie fałszem jedno a ruiną. Opatrzność nie pozwoli ludom kroku naprzód postawić na drodze postępu narodowego, dopóki pierwszy warunek jej uczestnictwa, dopóki kajdany Polski nie pękną, którykolwiek naród europejski nie położy wyzwolenia Polski za zasadę swej polityki, którykolwiek z jej krzywdą będzie chciał się rozwijać lub łączyć dla osobistych celów z jej nieprzyjaciołmi, ten napróżno będzie stawiał ideały sprawiedliwości, wolności, braterstwa, napróżno cząstkowemi ofiarami, gorącą wewnętrzną pracą i poświęceniem będzie domagał się spełnienia swych nadziei; bezwładność uderzy wszelki jego ruch, omylą go najoczywistsze rachuby. Pokój Europy i niewola Polski wicznie nawzajem będą się unieważniać. Pewnik to wyciągnięty nie z narodowego ale z ogólnego stanowiska ludzkości, gdyby zaś nam kto zarzucał, że przyzma wyłącznej miłości ojczyzny tak niezmierną wartość naszej sprawie nadaje, natenczas zaprosimy go już nie do przybytku serca ale do materyjalnej naszej pracowni, rozłożymy przed nim od dziesięciu wieków karty dziejów europejskich, przebiegniemy od stu lat wszystkie wojny, układy, traktaty, wywołamy wszystkie cierpienia, nędze, łzy, zbrodnie, jakich dokonywano na ludzkości, dowiedzimy, że w ucisku każdego ludu, w sponiewieraniu religii, w popchnięciu mass w bagno materyjalizmu i samolubstwa, w wyparciu się bożych praw i w strasznych stąd zaszłych lub mających nastąpić skutkach, w przeszataniu się każdego nawet świętego zamiaru pojedynczych narodów, w tem wszystkiem skrwawione widmo Polski wystąpi przed nami jako główna przyczyna. Około Polski, trupa, bliżsi i dalsi sąsiedzi gnąć tylko mogą.

Z upadkiem Ludwika Filipa skończyły się wieki średnie; z powstaniem Polski zacząć się może historia nowożytna. Cały przeciąg czasu, jaki między dwoma temi wypadkami upłynie, będzie stanem rozprzężenia, zamętem ogólnym, każda róższeczka oliwna, któraby i dla tej sprawy nie zieleniła się listkami, zamieni się w morderczy topór, każdy środek na rany narodowe, polityczne lub społeczne, chociażby doń cudowne balsamy wchodziły, skropi się w truciznę. Odrzućmy już dziś zwątpienie, uludę, wyznajmy sobie szczerze a otwarcie, że rewolucya

francuzka, to nie żadne cząstkowe zaburzenie dla wypędzenia Ludwika Filipa, dla powierzchownej zmiany form politycznych, to hasło nowego porządku wszechrzeczy, treściwego przerodzenia społeczeństwa, wcielenia w życie słów Chrystusowych, to znak bliskiej a zażartej walki, przyszłego a ostatecznego zwycięstwa. Przypomnijmy sobie, jakto w dawno ubiegłych wiekach, przed każdym wypadkiem ważnym dla ludzkości, krążyły niewiedzieć z kogo poczęte przepowiednie o bliskim skończeniu świata. Niepojęta trwoga padała na ludy; co dnia oczekiwano starcia się planet lub ognistych deszczów, zapierano się materji przez tajemną cześć dla niewidzialnych spraw Ducha, pędzono gdzieś za natchnieniem nie za rachubą, aż dopiero po latach, gdy poznano, że natura w niczem praw swoich nie nadwerężyła, następne pokolenie drwiło z ciemnej łatwowierności ojców. A jednak przepowiednie były prawdziwe i ziściły się, tylko że ludzie ludzkim obyczajem materialnie je pojmowali. W istocie, wkrótce po każdym takim proroctwie, świat stary przeradzał się, kończył a nowy wykwił. Zuchwałość rozumowej dyalektyki, praktyczne niby zasady, rozbrat i pogarda natury jako zagadki na pozór zupełnie rozwiązanej, przygasły żywioł egzaltacyi, może zaś i obowiązek pełnienia czynu z świadomości już a nie z zapału, obróciły w śmieszność przepowiednie i niewytłumaczone popędy. Zaprawdę atoli i dziś możemy wyrzec, że świat ginie, że niebawem się skończy; co ziemskie na nim, to w proch się obróci, co nieśmiertelne, to wytrzyma próbę i w nowe życie się wcieli. Zaczyna się proces przerodzenia, ale jakąż drogę dla swego pochodzenia obierze? Bez wątpienia, gdyby ród człowieczy nagle przeanielił się w ludzi Chrystusowych, w przyszłych obywateli nowej Hierozolimy, wszelkie kwestye polityczne i społeczne od razu dałyby się rozstrzygnąć. Wtedy wybrałaby się najpiękniejsza jaka na ziemi dolina i w samym rozkwicie wiosny zwołałby się wielki sobór z wysłańców wszystkich krzywdzących i pokrzywdzonych. Na tym soborze, pod przewodnictwem Mądrości i Sprawiedliwości, przysądzonoby, co komu należy, wyrzeczonoby wyrok zapomnienia dawnych uraz, poczem wysłańcy z piersiami przepelnionemi humanitarną miłością, rozjechaliby się, niosąc każdy swemu ludowi

pomyślność, spokój i swobodę. Tak byłoby, gdyby niespodzianie spadła na nas nowa Hierozolima, że jednak dotąd stara tylko do szpiku kości daje nam się we znaki, w nową zaś nikt wierzyć nie chce i najpobożniejsi ludzie nazywają S<sup>o</sup> Jana zgorączkowanym marzycielem, że nadto domyślamy się do czego by nas dziś doprowadził kongres złożony z wilków, z owiec i z prezydenta lisa, oczywistem więc jest, że na drodze sentymentalnych układów, zgiełkliwych wykrzyków braterstwa i jałowych protestacji wszechswobody, ludzkość ani pół kroku naprzód nie postąpi. Wprawdzie, nie przeczymy tu ostatecznie możebności polubowego kongresu — i owszem, jesteśmy przekonani, że taki musi kiedyś nastąpić, że wszelako, jeżeli ma odpowiedzieć swemu celowi, należy pierw przytrzeć rogów samolubstwu, nagiąć karku despotyzmowi i rozbójniczym skłonnościom pewnych najwyżej postawionych osób, przekonać, że materya jest tam, gdzie duch, siła gdzie prawo i dopiero przystąpić do wzajemnego porozumienia. Dziś materya przewładła nad duchem, wypada więc wprzód odjąć jej trocha wagi, przyprowadzić do stroju z głównym jej działaczem.

Przywiodłszy na ten punkt nasze dowodzenie, otrzymamy bijący w oczy wypadek, że pierwszym stanowczym krokiem ludzkości na drodze postępu jest wojna, wojna europejska, w której nikt nie będzie biernym postrzegaczem, wojna zacięta choć krótka, pierwsza wojna w człowieczeństwie gdzie dwie ostateczne zasady dwóch stronnictw świata, wolność i niewola wystąpią do śmiertelnej walki. Mniejsza o to, że rachmistrze nie umieją dziś stale oznaczyć ogniska, skąd rozplonie ogólny pożar, niedołęztwo ich niepowinno zniechęcać ludzi dobrej woli; przecucia ludów które w tęsmej zadumce ostrzą kosy i piki, nieubłagana logiczność historyi, głupowate półśrodki samozwańców wolności, wywołają wojnę prędzej może jeszcze, niżeli te słowa kraj nasz obiegną do koła. Napróżno wstępcznicy wyteżają ostatnie siły i chełpią się chwilową przewagą próżno zdradziecką lalką swobody świecą w oczy gawiedzi a tymczasem pokątnie leją działa, ostrzą bagnety i kują kajdany, darmo marzyciele i faryzeusze chimurnemi obrazy i blichtrzem słów usiłują zatrzymać potok dziejów, darmo wyciągnąwszy



kilka cegieł z podstawy, chcieliby na karłowatych ramionach podtrzymać resztę gmachu; im gwałtowniej odpychają konieczność, tem ona silniej na nich napiera, im później hekatomba nastąpi, tem więcej ofiar pochłonie.

W dalszym ciągu naszej pracy może nam się uda, nieprzesądając, zwrócić uwagę czytelników na kilka podziemnych nurtów, któremi tętni strumień przyszłych wstrząśnień dla Europy, teraz poprzestaniemy na daniu Francyi świadectwa pierwszych przedwstępnych kroków do wielkiego ruchu i wyciągnięcia następnie logicznego wniosku, że ponieważ rewolucya, która we Francyi nigdy nie była wyłącznie narodową ale ogólną, na ziemi francuzkiej wybuchnęła, z prawa nam więc należy poznać przyczyny, istotę, rozwijanie się, kierunek i przyszłe prawdopodobne koleje tej rewolucyi, jako niezbędne warunki, z któremi wiąże się sprawa zmartwychwstania Polski i które tem samem muszą wyrzucić ważny wpływ na przyspieszenie lub opóźnienie oczekiwanej od nas chwili wyjarzmienia. Nawzajem, nie trudno byłoby nam dowieść ścisłej solidarności obu kwestyi, i jeżeli strojność między postępowaniem a posłannictwem Rzeczypospolitej jest potrzebną do wyjarzmienia Polski, również przedłużenie morderstwa na Polsce byłoby rakiem toczącym spokojność Francyi i niezwalczoną przeszkodą do dalszego się jej rozwijania. Oba zatem narody nie mają jeden drugiego o co prosić, ani będą miały za co sobie dziękować, gdyż potęga i spokój jednego są koniecznym warunkiem niepodległości i siły drugiego. Stąd, jako Polakom, przystoi nam bacznie śledzić wszystkie pojawy działań Rzeczypospolitej, jako członkom ludzkości troskliwym i ciekawym o przyszłe jej losy, wypada nam równocześnie zwrócić uwagę na Polskę której niepodległość (odłożywszy nawet na bok narodowe uczucia) wraz ze spełnieniem posłannictwa naznaczonego Francyi, jednakowo są niezbędnymi dla postępu idei chrześcijańskiej w człowieczeństwie.

Od r. 1831<sup>o</sup> Polska nie ma historii, jedno patologią.

Trzej wrogowie rozsiadli na jej piersiach, dławili ją każdy swoim sposobem, jak gdyby szli na wyścigi w rozwiązaniu zagadki, którym trybem najprędzej i najzupełniej można wytepić cały jeden naród.



Cesarz Mikołaj szczerze wziął się do dzieła. Poznosił szkoły, w niższych zaś zakładach, które dla formy zostawił, polecił wykładać dawny polski katechizm z tą wszakże różnicą, że na miejscu Boga, siebie samego wszędzie stawiał, rozkazał nauczać historyi ruskiej napisanej przez swoją policję i mowę narodu zastąpił językiem ciemnińców. Tak postanowiwszy w płonce zatruć latorośl, puścił na kraj zgraję czynowników z przywilejem wolnej przedajności i zdzierstwa, jednym zlecił wytlaczanie ogromnych podatków, drugim zaś powierzył straż nad myślą, z warunkiem dławienia jej aż do ostatniej iskielki. Dla poparcia tych usiłowań przydał im swój nowy kodeks praw, pobór rekruta, straszne więzienia cytadelli, Sybir, knuty, kopalnie, szubienice, słowem, zebrał w jedną liktorską wiązkę najjaskrawsze swawole rzymskich Neronów, dzielniejsze wynalazki dawnej Inkwizycyi, dołączył niektóre zwyczaje dzikich z północnej Ameryki i zapieniony począł rządzić narodem, czasami używając środków tych pojedynczo, zwykle atoli wszystkich razem. Pomimo jednak, że nowe prawa druzgotwały związki rodzinne, że zdradę i nienawiść starały się wprowadzić pod strzechę, pomimo że więzienia cytadelli były zawsze pełne, że katowano obwinionych i dla rozprzężenia moralnego podawano im strawę wzbudzającą mdłości, pomimo, że Sybir się zaludniał, że młodzież pracowała w kopalniach, że lud ginął na Kaukazie, że kto milczał, był podejrzany, kto mówił potępiony, kto działał, darty w pasy, duch polski wszelako coraz czystszy, promienniejszy, pełniejszy siły i nadziei, unosił się nad falami krwi i łez, nad jękami niedoli.

W r. 1838.<sup>1111</sup> Gustaw Ehrenberg, jeden z więźniów osądzonych na wieki do tacek, którego ewangeliczna postać wiecznie skrzy się przed naszą pamięcią, na kilka dni przed wywiezieniem, zostawił na pociechę następującemu pokoleniu pamiętne słowa: «Gdziekolwiek nas wyrok Cara zawlecze, oszukamy jego dumę; poniesiem wszędy prawa człowiecze, poniesiem wolności dzumę!» — Prorocze słowa, rzucone ustami męczennika w ogniisko historyi jego oprawców. Jakoż dzuma ta wedle rządowych pojęć, coraz głębiej toczy samą nawet Rosyję i niedaleko przyszłość dowiedzie, że mamy słusność, upatrując w cesarzu Mikołaju najradykałniejszego swego wieku

rewolucjonistę. W każdym razie, do wsteczników nigdy go nie policzymy, bacząc na ogromny zapas palnych materyałów, jakie Rossya dzięki jego rządóm w głębi swoich ludów gromadzi i na straszny pożar, jaki niebawem z nich wybuchnie.

Inaczej działo się w ziemi polskiej pod berłem Brandenburskim. Tam król pruski nie upuszczał krwi Polakóm, usiłował tylko powoli wsączać im do żył germańskie pierwiastki, w skutek fermentacyi których Poznańscy mieli kiedyś przedzić się na doskonałych Niemców. Fryderykowie, skarb przedewszystkiem mając na widoku, pojęli, że ucisk materyalny niweczył własne ich nadzieje, że należało raczej wyposażyć aniżeli zarzynać kurę niosącą złote jaja i że nareszcie wyzyskiwanie fiskalne w niczem nie przeszkadzając wynarodowianiu, pozwalało obu razem celów dopinać z jednaka gorliwością. Wraz, reakcyjnej pamięci Fryderyk Wilhelm III<sup>ci</sup>, wyrzekł się obietnic poprzysiężonych w 1815<sup>m</sup> roku, zapuszczał w kraj swoich osadników, urządzał system biurokracyi, wyrzucał z publicznego życia mowę narodu, parł całym ciężarem spółzawodnictwa przemysłowego i na roścież otworzył młodzieży wstęp do oświaty niemieckiej, protestanckiej, racjonalnej a tem samem wprost przeciwniej i najzgubniejszej dla rodzimego ducha polskiego. System ten zalecał się biegłością; wkrótce pleśń niemieczyzny wystąpiła na formy, zwyczaje i zewnętrzne cechy charakteru narodowego; kosmopolityzm i filantropia jęły powoli odpowiadać potrzebom serca i zdawało się, że pożądaný skutek uwieńczy niebawem zabiegi rządu, gdy w tem wypadki, o których wspomnimy niżej, dowiodły nagle Fryderykowi IV<sup>mu</sup>, że oba z ojcem rdzennie pomylili się w swoich rachubach.

Tego ostatniego zmartwienia Książę Metternich uniknął poczęści względem swoich polskich poddanych.

Austria, co do politycznego układu, potworny zlepek różnych najsprzeczniejszych sobie narodowości, w systemie rządzenia również nie miała jednej właściwej sobie barwy, ale była mieszaniną szatańskich żywiołów pozwłoczonych ze wszystkich politycznych śmieciówisk. Zdaleka już w tem pandemium gabinetu wiedeńskiego można było rozpoznać okrucieństwo mongolskie mniej cyniczną energią cara, nikczemne

samolubstwo niemieckie mniej germańską oświatą i jezuicką hipokryzyę mniej... — tym razem mniej niczem, nigdzie bowiem jezuityzm nie rozpasał się tak szeroko w najśromotniejszych swoich odcieniach. Samo nawet złe nie było w Austrii złem narodowym, szczepowem, jak to widzimy w Prusach, Włoszech, Anglii i t. d., ale złem kosmopolitycznem, dającym się zastosować do każdej krwi, do każdego pokolenia, do każdego wyobrażeń. Złe austriackie rozwijało właściwą sobie stronę w Polakach, w Węgrach, w Czechach, we Włochach i t. p., że zaś im bardziej naród jaki traci ducha, tem zacięćiej dla zadość uczynienia zbakierowanemu sumieniu czepia się form, że z Wiednia przesąd i głupota wygodnie nęciły, oświata zaś niemiecka weale nie parła, wypadło zatem, że w Galicyi formy polskie najdłużej i najwybitniej się utrzymały. Blichtr ten atoli próchno tylko pokrywał, zwłaszcza w dwóch ostatecznych terminach społeczeństwa, w których zgangrenowanie niższego logicznie wypływało z rdzennej pierwszego zgnilizny. Termin pośredni sam jeden podtrzymywał jeszcze Galicyę, ale z obu stron pozbawiony punktu oparcia, najdotkliwiej uciskany przez rząd, pojedynczem tylko bohaterstwem przypominał Polsce, że cierpieniem wymodli kiedyś dla Galicyi chwilę odrodzenia.

Przeciw tymto trzem wrogom sprzysiężonym na zatracenie narodowości polskiej, kolejno występowały do walki: poświęcenie, nieśmiertelna idea bytu narodowego dzielniejsza i bardziej promienna za każdym przebytem czyscem, święty, ogólny spiszek wytrwałości i oporu duchowego i nareszcie bój na polu umysłowem, o ile się dało pod żelaznem jarzmem cenzury w kraju, o ile starczyło piersi i natchnienia za granicą. Emigracya, którą naród wyprawił z rodzinnej ziemi, aby mu pod wolnem niebem wypracowała ideę przyszłego odrodzenia i bytu, zanim zdołała odpowiedzieć swemu posłannictwu, zasyłała mu tymczasem posilną i zapalną karm w literackich swoich utworach. Każda książka emigracyjna była to nowa relikwia, którą prawi krajowcy egzorcyzowali szatana obskurantyzmu i niewoli, każdy emisaryusz wleczony do kopalń lub rozpinany na krzyżu, tego samego dnia zmartwychwstawał jak groźny upiór, obiegał wioski i miasta, spędzał sen z powiek



rodaków, przerażał ranami swych piersi, krwią męczeńską na sercach piętno zemsty wyciskał, sypał do koła nieugaszony żar żądz do boju; cień wiecznego postrachu dla ciemiężców, nadziei i siły dla uciśnionych, pierwszym wydzwaniał tajemniczy hymn zraty, drugich kołysał pieśnią wybawienia. Polska ma z czego założyć katakomby, które co do ilości i ofiary w niczem nie ustąpią rzymsko-apostolskim, i kiedyś naród oczyściwszy swą ziemię z oprawców, wywoła po kolei długi szereg swoich męczenników, opowie, jak Lewitu, kiedy mu przy śledztwie Galicyń ręką od szabli zęby powybiłał, niemogąc wytrzymać dłuższych katuszy, podłożył świecę pod pościel i żywcem spalił się, jednego westchnienia nawet nie wydawszy, opowie nam co wycierpeli Konarski, Zawisza i tylu innych Chrystusowo błyszczących w martyrologu polskiej niewoli; dziś niegodzi się nam ich zaczepiać, nieuczciwszy ich wprzód hekatombą i pogrzebem. Ofiary te dawały nieustanne świadectwa pastwienia się wrogów nad krajem, cierpieniami pragnęły okupić swobodę narodu, w ostatnich chwilach męki przyzywały godzinę powstania, ale rok po roku upływał a czara pokuty dna jeszcze nie pokazywała. Stosunki polityczne europejskie bynajmniej nie zapowiadały ogólnego wstrząśnienia, w skutek którego sprawa polska koniecznym porządkiem musiałaby wybiec na czoło ruchu; większa część Polaków, podobnie jak w reszcie Europy, oczekiwała śmierci Mikołaja, Ludwika Filipa, Metternicha, inni, plunąwszy w twarz jalowym protestacyom parlamentów i fałszywym dyplomatycznym rachubom, przyszli do pojęcia, że naród sam tylko, przez siebie może się wydźwignąć, że wprawdzie zewnętrzne okoliczności mogą mu dopomóc lub kres jego trudom przyspieszyć, że atoli głupotą jest na tych ostatnich opierać wyłącznie nadzieję wyjarznienia, grzechem zakładać ręce w oczekiwaniu na europejskie rozruchy, obowiązkiem zaś jak najspieszniejsze poruszenie narodu i rozwinięcie na pełny wiatr proporca powstania.

Takowe wyobrażenia oparte na niezaprzeczonej prawdzie rozdzielały się przecie na dwie drogi.

Pierwsza była: poprzedniego odrodzenia w duchu, wyraźnego postawienia idei, przesiąknięcia nią wszystkich jedno-



stek narodu, nagromadzenia w każdym osobniku masy żywiołów zapalnych i następnie rzucenia iskry i wywołania wybuchu.

Drugą drogę nurtowały tajemne spiski, rosili krwią męczennicy wysłańcy, słyhać było na niej głuchy chrzęst ostrzonych kos, nie rozświecała jej idea organiczna żadna, zasadą waleczników była wolność ludu, celem niepodległość ojczyzny, środkiem uzbrojenie mass. Pierwsza droga wymagała cudownego Bożego poparcia, zerwania zupełnego z przeszłością i przemienienia własnego; grzeszyła niepodobieństwem doraźnego podniesienia całego narodu do wysokości natchnionego Apostoła, żądała, naprzód duchowych poświęceń i wiary a tem samem dozwalała faryzeuszom, obojętnikom i niedołącznym kryć się pod płaszcz zmyślonych ofiar i nareszcie stawiała cel mglisty, w przyszłości całkiem nieoznaczonej. Druga, otwierała szerokie pole dotykalm nadziejom, wyrachowaniom, narodowej odwadze, wrodzonemu pochopowi do czynu i takiejże niecierpliwości.

Gdy tak szesnaste lato upływało na mękach i wysileniach a każdy rok ubiegły nowe tylko wiązał ogniwa do dawnego łańcucha niewoli, stronnictwo najsilniej w emigracyi zorganizowane, mające w kraju najrozleglejsze stosunki, oparte na wyłączonej idei ludowej, postanowiło wyteżyć ostatnie siły i jeszcze raz spróbować, czyli zwycięstwo nie powieje nad chorągwią sprawiedliwości. Środkiem do osiągnięcia tego celu był spisek, do zawiązania zaś spisku należało przepuścić nowe iskry przez podziemne druty stosunków z krajem, ostatecznie centralizujących się w Wersalu. Przedsięwzięcie w samym zaraz założeniu jeżeli nie uderzało logicznem niepodobieństwem, zagrażało przynajmniej trudnościami zbyt olbrzymimi na dzisiejsze siły ludzkie. Nieprzesądzamy tu wypadku walki; przeciwnie, mniemamy, że w razie wywołania tejże zgodnie z zamiarami spiskowych, szala zwycięstwa mogła być przechylić się na polską stronę, mówimy tylko o niezwalczonych przeszkodach towarzyszących przedbojowym przygotowaniom, oczywiście bowiem pomyślne usadowienie spisku nosiło w sobie niezawodną rękojmię zwycięstwa. Dla czego zaś spisek pomimo zręczności a nawet poświęcenia przywódców, pomimo

odwagi i nienawiści do wroga krajowców miał być bezowocnym? odpowiadamy po prostu: dla tego właśnie, że był spiskiem.

Podobnie do roślin, spisek może tylko wyrastać i kwitnąć pod okiem słońca.

Tu słyszymy już, jak nam zarzucają paradoks i dowodzą, że spisek otwarty, jawny, tem samem przestaje być spiskiem. Bynajmniej; — najstraszniejszy to spisek ducha przeciw materji, żywiołów nieśmiertelnych przeciw znikomości. Spisek, aby mógł się udać, musi mieć za cel nie ostateczne, terminem oznaczone wywołanie do walki, ale jedno gromadzenie zapalnych materyałów, przysposabianie środków. Skoro tylko massa na każde zawołanie gotową jest do czynu, spisek zatrzymuje się sam z siebie, wchodzi na drogę nieubłaganego konserwatyzmu, jest niejako dyrektorem tej wielkiej orkiestry, w której wszyscy grajkowie trzymają smyczki na strunach, czekają hasła od Opatrzności i wtedy dopiero czy Dyrektor da lub czy nieda znaku podwładnym, koncert w całej zupełności musi się odegrać, inaczej, na tem zwykle się kończy, że mistrz samotnie i w ciszy pałeczką wywija. Roztwórzmy na dowód karty dziejów, poszukajmy wielkich momentów zatury i budowania a przekonamy się, że jedynie w skutek takiego to spisku upadły Rzym i Byzancyum, powstał rok 1668<sup>v</sup> w Anglii, 1775<sup>v</sup> w Ameryce, 1789<sup>v</sup> w Francji, 1848<sup>v</sup> w Paryżu, że już przez sam szacunek dla pojęcia o rewolucji nie wspominamy o Berlinie ani o Wiedniu.

Spisek, w zwyczajnem znaczeniu tego wyrazu nigdy sam przez się nie popchnął ludów do jednolitego działania, a przecież przed Wilhelmem holenderskim nie zbywało w Anglii na spiskach Purytanów, Jakobitów, Papistów i t. p. w Ameryce nawet stronnicy angielscy tu i owdzie knuli konszachty, we Francji za Ludwika XVI<sup>o</sup> wolne mularstwo spiskowało po nocach, w Paryżu przed 24<sup>ym</sup> Lutego, towarzystwa Praw Człowieczych, Pór roku i Rodzin liczyły kilkanaście tysięcy związkowych, miały swoje dzienniki, jak najszerzej otwartą drogę zaciągania, mogły kupować broń i t. d., a jednak wszystkie te rewolucye niespodzianie zaskoczyły sprzysiężców; zegar historyi wybił naznaczoną godzinę. choć go żaden ze spiskowych nie pociągnął za sznurek. Więcej na wet. Oświadczamy wręcz,

że każdy spisek jestto nowe wcielenie szatana na krzywdę Bożych zasad i na nieszczęście ludów. Szatanowi też tylko spiski się udają. W zgangrenowanych republikach włoskich, gdzie możnowładztwo żyło i bawiło się krwią ludu, szatan ciągle spiskował i mocnych przeciw słabym uzbrajał; spiskował na Noc S<sup>o</sup> Barłomieja, na Nieszpory sycylijskie, na morderstwa Humania, na rzezie w Galicyi, spiskował, wydzierając ludowi jego obrońców, rozlewając świętą krew pod katowskim toporem despotów. Ludzie dobrej woli dawali porywać się urokowi tajemniczości osłaniającemu spiskowe przedsięwzięcia, przysięgali się za ojczyznę, za wiarę, za wolność myśli i wpadali w matnię, zostawując po sobie nieśmiertelną część usiłowań, tę właśnie, którą pod okiem słońca mogli byli podejmować i prawdę uświęconą męczeństwem, którego, jak pierwsi chrześciance jawnie głosząc swoje zasady, mogli byli dostąpić. Wprawdzie ciągle to drażnienie najwznioślejszych uczuć w człowieku, odgłos o poświęceniach, przy których bledną rzymscy Scewole, konwulsyjne wstrząsanie wyobraźnią ludu, niemało przyczyniły się do utrzymania ducha w narodzie, budziły go, gdy na chwilę zapadał w letarg materyalizmu, ale z drugiej strony rozjątrzały przeciw bezbronnemu prześladowców, zmuszały tych ostatnich do ścieśniania coraz kajdan i trzymania wiecznie ręki na toporze, do ssania najczystszych kropel krwi ze zwyciężonych, wzniecały trwogę, przed którą wątpliwczy uciekali w brudne zaułki samolubstwa i wycieńczały naród z najżywotniejszych sił.

To powiedziawszy w ogóle o spiskach i o historycznej ich wartości, zobaczymy, jak pomyślnie rękojemie zapowiadało sprzyśiężenie mające rozwiązać się katastrofą w Galicyi, szubienicami w królestwie, procesem w Berlinie.

Powstanie 1830<sup>o</sup> roku, którego historia zamyka się w kilku wyrazach, mianowicie, że zaczęło się w trzydzieści a skończyło w siedmdziesiąt tysięcy, wyraźnie dowiodło, że naród upadł nie dla braku sił materyalnych ale, dla niedołężności z jaką przywódzcy ich używali. Zasoby kraju ledwo było zapoczęte, wcale zaś nie wyczerpane, naród w głębi krył ogromne potęgi, które dla niezawodnego wyjarzmienia należało wywołać, ale cóż z tego, kiedy Kościuszko już nie żył, Napoleońskiej gwardyi



niepodobna było wskrzesić na polskiej ziemi, WKsiążę Konstanty zaś wymusztrował był tylko 30,000 wojska. Wojna polska nie była powstaniem narodu w imię zasad i sponiewieranej jego godności ale strategiczną grą szachów i gdzie przeciwnik dostaje mata pomimo nietkniętych reszty figur i pionów. Nie umiano poruszyć mass, dla tego też pomimo dostatku siły zbrojnej, zasobów wojennych, pieniędzy, Polska upadła w ostatnią przepaść niedoli. Stąd łatwy wniosek, że jeżeli z działami i z bagnetami, ale bez ludu a raczej bez idei ludowej, przegrana była konieczną, nawzajem można było pomyśleć o wyjarzmieniu bez tychże dział i bagnatów, ale pod proporcem idei ludowej zaczerpniętej w ostatnich głębinach narodu. Zasada ta, której świętości nie niepodobna zarzucić, stała się główną osią całego spisku, pewnikiem zaś, na którym opierano przedsięwzięcie, było przekonanie, że lud przystępny zawsze dla słów prawdy, niezużyty moralnie a tem samem łatwy do porwania w imię ojczyzny i wolności, na pierwsze hasło powstania wystąpi z swego łożyska groźną falą i niezwalczoną siłą żywiołu pokona wszelkie zawady. Galicya liczyła pięć milionów mieszkańców, WKsięstwo Poznańskie milion; w Galicyi byli urlopnicy i uwolnieni żołnierze, których można było użyć na zaród regularnej siły zbrojnej, w Poznańskiem landwerżyści stanowili gotowe już wojsko; w obu prowincyach rządy utrzymywały słabe załogi, które bez wielkiego oporu byłyby oddały broń i zasoby wojenne, nadto twierdza poznańska przeznaczona na ognisko przyszłych powstańczych działań, zaopatrzoną była w obfitą zbrojownię, zarzut więc braku wszelkiego sił materyalnych wcale nie był uzasadnionym; ogromne hufce mogły wystąpić do boju. Równocześnie z wybuchem w Galicyi i Poznańskiem, Królestwo, przyszły plac walki także miało powstać i wojna zapalała się razem we wszystkich częściach dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Wprawdzie trzeba było przypuścić, że Fryderyk Wilhelm IV<sup>y</sup> i Metternich nie tylko że nie użyją co najdzielniejszych środków na przytłumienie wybuchu polskiego, ale że owszem przez szpary będą patrzyć na zamach w pomyslnym wypadku niosący śmiertelny cios dawnej ich sojusznicy Rossyi, trzeba było zapomnieć, że Polska niepodległa rozpalala u siebie ognisko



wolności, od którego byłyby się spopieliły trony absolutne S<sup>o</sup> Przymierza, w Austrii atoli wyraźnie pokazywał się rozkładający żywioł w objawie narodowości rozbudzonych z le. targu, w Prusach zaś można było liczyć na powszechną nienawiść wycwilizowanego narodu do Cesarza Mikołaja, który sam jeden piekielnym wpływem zatrzymywał swego szwagra na drodze do systemu konstytucyjnego. Pod tym względem nie ludzono się żadną nadzieją; nieufano rządóm, jedno ludóm. Powstanie polskie miało drugie wyzwolić od pierwszych, druzgotało S<sup>e</sup> Przymierze i jako logicznie przystało niepodległej Polsce, zmieniało zupełnie postać środkowej Europy. Ostatni warunek koniecznie wynikał z wyjarzmienia Polski, niebyło się nad nim co zastanawiać, należało przyjąć go absolutnie. Olbrzymi plan ten zdawał się uśmiechać sprawiedliwości Bożej a tem samem promienił się religijną niejako nadzieją powodzenia, nęcił wreszcie ku sobie ogromem rozmiarów, gorącą żądzą wydzwignięcia z grobu sławnej ojczyzny, czarował urokiem niebezpieczeństw i marzeniami tryumfu świetnego dla całej ludzkości.

Wspomnieliśmy o kierunku, w jakim postanowiono działać, wypada nam pokrótce napomknąć o istocie sił, za pomocą których chciano przyprowadzić zamiar do skutku.

Głównym wykonawcą spisku miał być lud, już dla tego, że lud wszędzie stanowi większość i rad występuje do boju, już też i dla tego, że zawiera w sobie nieskażone żywioły, że poświęca się bez osobistych widoków, że oprócz wyswobodzenia ojczyzny wyprowadza z sobą potężną ideę własnej społecznej niezawisłości, ideę przemożnie tłukącą przywilej i przemoc i o całą wysokość przekonania nad przesąd, bardziej zapalającą dziś, aniżeli dawniej podniecał massy fanatyzm form religijnych.

Istota ludu polskiego w ostatniej głębi jednakowa, w wie-  
 rzchnich warstwach przedstawiała uderzające różnice, wynikłe z dwóch odrębnych wpływów: rządów i właścicieli wiejskich.

W Poznańskiem, lud od kilkunastu lat uwłaszczony, wyzwolony z pod zależności od posiadacza wioski, po większej części znajdował się z tymże w stosunkach sąsiedzkich; oparty na prawach, które przeszły już były w zwyczaj, niedoznawał i niebyłby pozwalał na sobie ucisku; czerpał szacunek i przy-

kład z germańskiej a niestety mało w reszcie Polski znanej, rządności panów, do której zmusiło tych ostatnich spółzawodnictwo Niemców chciwie wykupujących ziemie polskie, i ostatecznie jeżeli nie wszystkich miał za co kochać, nikogo też nawzajem nie miał powodu nienawidzić. Dawny, narodowy stosunek rodzinny, który pomimo przemysłnictwa niemieckiego, utrzymywał się jeszcze tu i owdzie między wioską a dworem, tożsamość wyznania odróżniająca Polaków od Niemców, zapewniały klasie wykształconej znakomite wpływy na wieśniaczą i otwierały szerokie pole rewolucyjnym przedsięwzięciom. Z tem wszystkim niepodobna było kilku spiskowym z Paryża samotnie rzucić się w mało po części znany im kraj; pośrednictwo miejscowych spółdziałaczy było niezbędnem, obaczmy przeto, jakie żywioły narodowości i odrodzenia krył w sobie odręb Polski przypadły w podziale domowi brandenburgkiemu?

Rząd pruski, więcej przez niepowstrzymany potok cywilizacji niż przez wrodzone sobie zasady, bardziej przez wstydlivość w obec własnych poddanych niż przez czyste uczucie sprawiedliwości, nieśmiały względem mieszkańców WKsięstwa używać sposobów, jakimi bezczelnie posługiwały się Austria, zwłaszcza zaś Rossya. Rak poniemczenia coraz szerzej zachodzący na skradzione polskie dzierżawy, obiecywał Prusom w niedalekiej przyszłości treściowy przewrót żywiołów polskich na pierwiastki niemieckie; gabinet berliński o ile możności zatem unikał materyalnych prześladowań, wiedząc, że takowe zawsze wywołują oddziaływanie, że kto sieje krwawy ucisk, ten zbiera krwawszą jeszcze zemstę. Stąd, podczas wojny 1831<sup>o</sup> roku, rząd z mierną zaciętością ścigał Poznańczyków przemykających się do hufców powstańczych, stąd przyrzuceniami oczyma spoglądał na wydawnictwo pism i książek polskich w Poznaniu i nie zapychał więzień patriotami, którzy cichaczem szeptali sami do siebie, że jeszcze Polska nie zginęła. Nawzajem pismienictwo polskie korzystało z przestronnych kajdan berlińskiej cenzury i we względzie utrzymywania ducha narodowego na polu umysłowem, wyświadczyło ojczyźnie nader ważne usługi. Była to ostatnia szmata rodzinnej ziemi, na której duch polski mógł chociaż słabe dawać oznaki

życia, objawiał się też w różnych epokach i pod odmiennymi postaciami.

Po nieszczęsnem rozprzężeniu powstania 1830<sup>o</sup> roku, cicha rozpacz wszelako nie zwątpienie, rozgościła się między zwyciężonymi. Niebyło zagonu polskiego, nad którym myśl wyjarzmienia ojczyzny byłaby na chwilę przestała się pławić; w Poznńńskim, w pierwszych latach po wzięciu Warszawy weclila się ona w rezygnacyę i w nadzieję religijną, uczepiła się oburącz kościola a więcej jeszcze form jego, jak gdyby w egzorcyzmach upatrywała jedyny środek na przemożenie moskiewskiej schizmy i niemieckiego protestantyzmu. Odcieni tu było bez liku, zacząwszy od tęsmej i rzewnej pobożności niewiast aż do ciasnych, siłą na twarz wtłaczanych larw jezuickich. Ostatnie zwłaszcza stronnictwo wywołane natarczywemi falami rozkładającego racjonalizmu, który młodzież krajowa chciwie chłoneęła w Berlinie, wojowniczo rozwinęło chorągiew propagandy, pragnąc ubezwładnić zawady Scylli postawieniem obok Charybdy. Naród upadł dla braku ducha, różańcowi chcieli wskrzesić go nakładając nań stare, zużyte formy. Zamiast przeprowadzania przez wszystkie tętna życia narodowego prawdziwej istoty słów Chrystusowych, od wieków ustami oklepnych, ale nie podanych dotąd w prostej a rzeczywistej ich treści, zamiast wyświecenia że prawdziwą religią, że najmilszą Bogu ofiarą jest sumienna praca w jakimkolwiek zawodzie, złożona na ołtarzu ojczyzny, ogłędna przedewszystkiem na dobro narodowe, poczytano za stosowniejsze sprowadzić całą dzielność ducha polskiego do usamolubienia się w wygodach rezygnacyi, w ascetycznem oczekiwaniu inanny wybawienia. Ludzi tych poznamy dziś jeszcze po złej wierze, z jaką będą spoglądać na powyższe nasze słowa, po rzucanych nam w twarz zarzutach bezbożnictwa, nam, którzy przez bolesne wewnętrzne cierpienia przyszliśmy do poczucia niezmierzonej świętości katolicyzmu, ale Objawienia, nie zaś faryzeuszowskiej doktryny, która, jak to raz już był wyrzekł Apostoł, łupiny tylko podaje ludowi, ziarno zachowując dla siebie. Stronnictwo to, z początku stojące w WKsięstwie na szczycie objawów narodowości, zwolna i ciężko mnożyło swoje szeregi, wszelako nie upadło, owszem, w ostatnich nawet latach zadrgało konwulsyjnie po-



śródmłodzieży polskiej w Berlinie, wkrótce atoli musiało ustąpić miejsca nowej barwie, daleko żywotniejszej, czynniejszej i sięjącej po kraju jaskrawsze iskry spólczucia. Na czele nowych tych zapaśników stał pamiętny na wieki w sercu ludu poznańskiego lekarz, któremu nic nie brakło do korony obywatelskiej, nawet cierniów w ostatnich chwilach życia pełnego poświęceń. Niemczyzna wówczas coraz silniej zabijała klin w sam rdzeń pnia słowiańskiego; śniedź germanizmu występowała na obyczaje; filozofia berlińska w potworne kształty ścinała przesławny duch szczepu lechickiego, ocalenie więc narodowości od tej groźnej zarazy przedewszystkiem zwróciło uwagę ludzi baczących na dobro krajowe. Charakter człowieka, który był ogniskiem odpornych działań przeciw wynarodowianiu, rzuca wyraźne światło na kierunek ruchów całego stronnictwa. Sumienny żołnierz podczas wojny 1830<sup>o</sup> roku, surowy w obyczajach, pod zimną powierzchownością i cierpkim nawet nieco obejściem, kryjący wraźne serce i gorącą miłość ojczyzny, lekarz ten znakomity nauką i doświadczeniem, z równą siłą kochał Polskę i nienawidził Niemców. Opór przeciw intruzom był głównem hasłem jego działań, opór na drodze politycznej, urzędowej, literackiej, przemysłowej, rolniczej, słowem walka, w której najezdźców pchała chęć zysku i wynarodowiania, uciśnionych zaś poświęcenie i cześć ducha narodowego. Środkami mnożącemi siły walczących w tej sprawie ze strony polskiej były: wspomaganie ubogiej młodzieży na zakładach naukowych, popieranie przemysłników narodowych przeciw spółzawodnictwu Żydów i Niemców, przyczynianie się do wydawania dzieł i pism polskich, posunięcie nareszcie pracy fizycznej i umysłowej krajowców aż po same granice czynnego przesładownictwa rządu. Ogólny ten ruch działań narodowych nierozczepiał się na żadne wyłączne stronnictwa, wszyscy rodacy, bez względu na położenie społeczne lub zdania polityczne, wezwani byli do wspólnych trudów wedle ojczyściej winnicy. Wrzкомо zagadka stawiania się krajowców względem rządu była rozwiązana, tak przynajmniej sądziło pokolenie, któremu los raz już pozwolił lać krew za ojczyść sprawą a które zawiesiwszy poszczerbiony oręż na ścianie, łatwiej mogło oswoić się z myślą walki na ścieżkach wyłącznie moralnych, walki odpor-



nej nie bez nadziei zwycięstwa, ale bez pewnego oznaczenia kresu usiłowań. Dla młodzieży zwłaszcza polskiej, stanowisko to nieustannych cywilnych bojów musiało okazać się za ciasnem; ona także odziedziczyła po ojcach prawo umierania na polu chwały; niesiona własnym zapalem, ona także pragnęła raz poigrać z życiem, zdobyć sobie możność rzucenia od razu całego kapitału żywota na usługi ojczyzny, aby później mieć więcej usprawiedliwioną sposobność procentowego nim szafowania. Niecierpliwość ta do czynu, logicznie wypływająca z charakteru polskiego, staje się, jak widzimy, źródłem, w którym spiskowi będą czerpać żywioly do swoich przedsięwzięć. Umysły z istoty swojej przygotowane były do zamiaru powstania, wybuch mógł skuteczniej się tylko dla zasad ludowych i za ich pośrednictwem; ułatwione stosunki z Paryżem szybko roznosiły po kraju rewolucyjną elektryczność, przekonania radykalne gwoli wolnemu wstępowi zagranicznych ksiązek głębiej nurtowały Poznańskie aniżeli inną którąkolwiek część Polski; kasyna, zgromadzenia rolnicze, naukowe itp. zwolna powlekały się barwą polityczną, nie trudno więc było założyć w WKsięstwie ognisko, z którego pożar na cały kraj miał się rozszerzyć. Przeszkody na pozór straszne, z jakimi miano łąnać się w Poznaniu, niczem były w obec trudności, jakie przedstawiała Galicya, zwłaszcza zaś Polska pod panowaniem Rossyi. Na tę ostatnią najmniej też spotrzebowano pracy, przyjęto bowiem za pewnik, niezaprzeczoną w istocie prawdę, że królestwo aczkolwiek niezdolne do inicjatywy, ostatnie atoli siły wyteży dla złączenia się z braćmi w chwili odgłosu wiecowego dzwonu.

Galicya na pozór wydawała się może łatwiejszą jeszcze do poruszenia niż Poznańskie, gabinet bowiem wiedeński przyjął za zasadę w zarządzie krajem, absolutny ucisk narodu, tłumienie wszelkiego ducha w mieszkańcach niezastępując go bynajmniej niemczyzną. Urzędnicy nawet niemieccy osadzani w Galicyi, po większej części w drugim pokoleniu miano tylko cudzoziemskie zachowywali, mową zaś i formami w niczem nie różnili się od krajowców. Gdzie zaś naród przechowuje święcie zwyczaje i język, tam można wnosić, że i na słowa zapalu, na wyzyw do boju za niepodległość ojczyzny, nieodwróci

głuchego ucha, że da porwać się szlachetnym uniesieniu, skoro go kleszczami uczucia silnie targną za serce. Na tem przekonaniu wyciągniętem a priori z własnej wiary, spiskowi opierali swoje nadzieje, w istocie zaś stan Galicyi miał czem rozczarować najmniej bujne złudzenia.

Na Czerwonej Rusi materializm absolutniej jeszcze panował od samego księcia kanclerza.

Panowie, potomkowie dawnych dygnitarzów Rpltej polskiej, w nagrodę za praktyczną przodków powolność przy rozbiорze ojczyzny postrojeni w tytuły Państwa rzymskiego, wysileniami na drodze ojezystych poświęceń, nigdy nie zakłócali spokojności apostolskich rządów. Władza austryacka bezpiecznie mogła na nich polegać, niezawiodła się nigdy na ich wierności, przeciwnie, widziała ich zawsze z Tantalowem pragnieniem dosługujących się szambelańskich kluczów, dworskich godności, dobijających się nawet jeden przez drugiego, uśmiechu, spojrzenia Księcia Metternicha, Jowisza ich polityki, widziała ich religijnie szanujących wszystkie przesady najdawniejszego feodalizmu, unikających zbytecznego zagłębiania się w naukach, które ostatecznie ścierają tylko brylantowy pyłek światowej oglady a niczem są w porównaniu z wiecznością, widziała ich nareszcie roztropnie stroniących od szalonych nowatorskich pojęć, które w r. 1668<sup>ym</sup> pozawracały niepotrzebnie mózgi w Anglii, w 1789<sup>ym</sup> zaś wywołały we Francyi rozbójniczych Jakóbinów. Wprawdzie wzgarda ta ku Francuzom i Anglikom stosowała się tylko do systemów rządowych obu narodów, praktyczna bowiem strona życia paryskiego i londyńskiego otwarcie uznana była w galicyjskich pałacach. Kto zaś śmiał by temu zaprzeczyć, ten wprzód musiałby dowieść, że corocznie z nad brzegów Sanu i Dunajca nie zjeżdżali się do Paryża Polacy, że przyjechawszy do Babilony nie używali szczerze przelotnych chwil młodości, nie starali się doścignąć w tonie bulwarową paryską młodzież, że odwiedzali kollegia, Sorbonę, lub pragnęli przypatrzeć się jakiemukolwiek ruchowi umysłowemu we Francyi, że opuszczali Paryż z czem innem jak z workiem pustym i pamięcią pełną zakulisowych anegdot. Ktoby zaś nam zarzucił, że życie angielskie żadnej korzyści nie przyniosło mającym właścicielom z tej części Polski, ten musiałby nas

przekonać, że nie znają w Galicyi teoryi hodowania hunterów, że niema dżokejów na lwowskich wyścigach, że na polowaniach czerwone fraki chłopskich dzieci nie straszą, że poczucie w sobie godności całego narodu i duma potęgi krajowej, właściwe Anglikom i bijące z nich na cudzoziemca, zwróciły chociaż jedną uwagę, wywołały pod tym względem naśladownictwo, w którymkolwiek z naszych zwolenników W. Brytanii. Ktoby zaś nam zadawał fałsz, że Wiedeń, to plugawe bagnisko zmateryalizowania i głupoty, obojętnym był dla galicyjskich magnatów, tego musielibyśmy prosić o zaprzeczenie, że młodzież nie trawiła zim w tak nazwanem ukochanem miasteczku, że nie pstrzyła swoich powozów opiórowanymi strzelcami i hajdukami, że nie czwaniła się przesadzaniem w zbytku różnonarodnych wyrostków wiedeńskiej arystokratycznej hałastry, podczas gdy starsi czołami kurz zmiatali z progów późniejszych oprawców ojczyzny; ktoby nam prawił o miłości ich do rodzinnej ziemi, temu pokazalibyśmy sioła opuszczone lub sprawiane przez niemieckich wyzyskiwaczów, lud wiejski zaniedbany i poczytany jedno za środek ciągnięcia dochodów, temu pokazalibyśmy tu i owdzie meteorowo świecące wyjątki — dla czego meteorowo? ... dla tego, że wyjątki.

Z tego, co powiedzieliśmy, wypada, że na najmajętniejszą klasę trudno było liczyć w chwili powstania.

Im na niższe szczeble hierarchii społecznej będziemy zstępować, tem zmniejszą się przez samo logiczne następstwo nasze wymagania, tem lżejsza odpowiedzialność zawiśnie na krajowcach.

Szlachta średnio-zamożna i drobna, szukająca sposobu do życia przy urzędach i w obowiązkach u panów, pozbawiona środków wykształcenia, wystawiona na ciągłą demoralizację rządu, niepoparta żadnym zbawiennym przykładem bogatszych, przeciwnie, wciągana jeszcze przez nich w przepaść pełną blichtrów, przesądów i rozszalałej zmysłowości, nierozmyślnie pozwoiliła ukołysać się tej ciszy, która nie spokój ale krwawą zwykle burzę zapowiada. Rozrządzająca szczuplejszemi zasobami a tem samem mniej zamiłowana w zagranicy, mniej wylana na wiedeńską rozpustę, więcej oddychająca rodzinnem



powietrzem, bardziej zachowująca polskie obyczaje, czulsza na narodowe dźwięki lirnika swego Janusza, chociaż daleką była od wszelkich cywilnych bojów z obskurantyzmem austriackim, atoli co do osobistego poświęcenia, co do rażnego wyskoczenia w pole i starcia się z wrogiem, w niczem nieustępowała najbitniejszemu polskiemu rycerstwu. Na nieszczęście, z natury swojej mało była piśmienna, w przemykanie zagranicznych ksiązek niewdawała się uporeczywie, żyła powiększej części pamiątkami krwawych bitew z 1831<sup>o</sup> roku, utrzymywała w sobie ogień zemsty przeciw ciemnościom rozprowadaniem okropności Kuffstejnu i Spielberga, nie miała więc stale wyrobionej między sobą żadnej organicznej idei, nie miała żadnego stałego punktu, w którymby jednoczyła swoje usiłowania i nadzieje.

Pochopność do czynu, zapal, oto były żywioły, które dzierżyła w pogotowiu, do przywódców zaś ruchu należało popędom tym nadać kierunek, iskry te rozproszone po całym kraju zebrać w jedno ognisko: potrzeba było wykształcić wprzód licznych adeptów, nadzieja jednak wygranej i tym razem pomiotła zawadami.

Nareszcie chodziło już tylko o głównego działacza w powstaniu — o lud.

Wieśniak galicyjski co do ciemnoty może tylko porównać się z białoruskim. Tradycya nawet utrzymała w nim mało uczuć narodowych. Zaniedbany przez pana, gnębiony przez niemieckich rządowych i prywatnych urzędników, idący służyć wojskowo do oddalonych i pod wszelkiemi względami obcych mu krajów, ugaszczający nawzajem pod swoją strzechą cudzoziemskie rozpasane żoldactwo, tłumiąc w sobie własne rodzime żywioły, chłonie zarazem wszystkie złe pierwiastki, jakie system austriacki tak bujnie rozwinął po różnorodnych swoich dzieżawach. Gardzący oświatą, której z resztą nikt nie stara się w nim zaszcześcić, nie pokładający zaufania ani w panu, ani w księdzu, ani w zwierzchniku, wszystkie pojęcia władzy narodowej, ojczyzny, prawa i potęgi, wcielił w olimpijsko rysującą się przed nim postać Cesarza, który niby pogańskie Fatum, rozkazujący zarówno bogom i ludziom, rozrządza wedle upodobania ziemią, panami, urzędnikami, wojskiem i ludem. Cokol-



wiek mu pod oczy podpada, żywotne i nieżywotne, śmiertelne i nieśmiertelne, wszystko to naprzód jest cesarskie. Żyjący z dnia na dzień, nieprzywiązany do niczego, nietroszczący się o jutro a tem samem mało zasobny, myśli tylko jak panu odrobić pańszczyznę i cesarzowi zapłacić podatek. Nadanie własności, zniesienie pańszczyzny byłoby w nim może obudziło jakiegokolwiek przywiązanie do rodzinnej ziemi i uwielmożyło w nim ducha zerwaniem kajdan niewoli, które przykuwały go do pańskiej gleby. Przyzwyczajony do koniecznego a bezustannego żalenia się na kogoś, byłby gorycz swą względem panów obrócił przeciw rządowi nakładającemu nań podatki; całą potęgą właścicielskiego zapału byłby znienawidził wydzierających mu jego dobro Niemców i następnie przyłączył się do stronnictwa bojującego przeciw Austrii.

Własności mu nie nadano, pańszczyzny nie zniesiono.

Wprawdzie sejm galicyjski kilkakrotnie podawał w tej mierze postulata do rządu; szlachta acz poczęści z wstrętem, byłyaby jednak zwolna powyzuwała się z dawnych swoich przywilejów, atoli gabinet wiedeński lękał się jak ognia ustalenia zgody i przyjaźni pomiędzy chłopem a panem, odwlekał więc o ile możności rozwiązanie kwestyi pańszczyznianej, tymczasem zaś rozdmuchiwał co najsilniej nienawiść ludu ku właścicielom. Jakie skutki byłyby wynikły ze zniesienia pańszczyzny, lub nawet z uwłaszczenia, o tem zapewne w innej pracy powiemy, gdy będziem się zastanawiać, o ile danie formy bez treści jest pożytecznem, jaka jest natura własności w Europie i jaka teje różnica od gminy, zasady całkiem odmiennej a zaczerpniętej z ducha starosłowiańskiego; tu poprzestaniemy na dodaniu, że, jeżeli opór rządu przeszkadzał moralizowaniu ludu własnością, można było jeszcze ubezwładnić niegodziwe jego zamiary, przestrzegając i troskliwie pielęgnując rodzinne niejako stosunki istniejące pomiędzy panem a poddanym mu chłopem. Właściciele w owym czasie stokroć silniej winni byli poczuwać się do swoich obowiązków, aniżeli do praw. Tak się jednak nie stało; stracono z oczu wzgląd na ukrzepienie rodzinnych węzłów między posiadaczem a włościanami, zaufano teoryi tożsamości jutra z dniem wczorajszym, nawzajem zaś spiskowi

oparci na idei, jakim lud ma być, nie zaś jakim jest w istocie, bezpiecznie zapuścili swoje sieci.

Dwoma punktami, w których jednoczyły się działania spisku były: w WKsięstwie Poznań, w Galicyi Kraków.

Starodawny gród Piastów, w skutek zawiści ukoronowanych rabusiów Polski, wystrychnięty wraz z kilkunastomilowym okręgiem na błazeńską republikę, ze wszystkich przywilejów właściwych tego rodzaju rządóm, zachował tylko neutralność. De facto trzech prokonsulów rządziło miastem. Kraków był Rzeczpospolitą bez żadnego spółuczestnictwa w rządzie obywateli miasta lub okręgu, miał swój senat bez władzy prawodawczej lub wykonawczej, gwardyę narodową bez broni i ludzi, uniwersytet bez uczniów, prawo zgromadzania się za pozwoleniem prokonsulów, którzy mu go zawsze odmawiali, wolność druku wraz z żelaznemi okowami cenzury, mógł przechowywać narodowość polską, ale ile razy głośno się o niej odzywał, natychmiast wkraczali Rossyianie zwłaszcza zaś Austriacy i republikanami krakowskimi zapychali cesarskie więzienia. Rzeczywiście, stara ta Akropolis pamiątek narodu była szpitalem Inwalidów dla dawnych rodzin polskich, które materyalną zamożnością przypominając jeszcze świetne czasy ojczyzny, spokojnie dogasały, syte wspomnień, wzdychające za przeszłością, zrezygnowane na terażniejszość i niegryzące się zbytceźnie niepotrzebnymi marzeniami przyszłości. Byłato rozdrzemana i zapasiona kapituła możnowładztwa polskiego, gdzie każdy chwalił Boga i dary Jego z wdzięcznością spożywał.

Lud i drobne mieszczaństwo cieniowały się w odmiennych barwach.

Mogila Kościuszki nie darmo przypominała tam zwyciężęc z pod Raclawic, nie darmo stary Wawel mrucał tajemnicze klechdy o przesławnych polskich czasach; podania, zwyczaje i pieśni narodowe nie darmo krążyły ciągle między ludem. Pan majster Kiliński w danej chwili byłby z uśmiechem pokręcił wężą patrząc na mieszczaństwo krakowskie; kum Głowacki w młodem pokoleniu wiejskiem z rozrzewnieniem byłby poznał dawną wiarę krzepką, rażną a zażartą na Niemca i Moskala a nawet Jaśnie Wielmożna Chrzanowska z Trębowli z grobu powstała, byłaby się ujrzała odrodzoną nie w jędej mieszczce

z Krakowa. Społecznemi kwestyami nie można było chcieć poruszyć tamecznego ludu, boć też Bogiem a prawdą nie uciskali go tak bardzo panowie : z wyprowadzeniem go do bójki zachodu wielkiego nie było, wystarczało przeżegnać się, czapkę na lewe ucho nacisnąć, chwycić oburącz kosę i krzyknąć : « hej wiara! w imię Matki Najświętszej Częstochowskiej, hura na Niemca! hura na Moskala!! » Z takim ludem zbyteczny był wszelki frasunek i pod względem gotowości do walki czyn byłby nieomylnie odpowiedział nadziejom spiskowych.

Tymczasem jeden dzień mijał po drugim i zbliżała się chwila wybuchu. Przywódczy sprzysiężenia niemieli się czego obawiać, nie liczyli oni nigdy na olbrzymie od razu siły, temi jednak jakie zamierzali wyprowadzić do walki, zdawało się, że rozporządzali na pierwsze zawołanie. W każdej części Polski austriackiej i pruskiej, krążyli agenci spiskowi, którzy pilnie donosili o postępie rewolucyjnych działań. Wedle ich sprawozdań ogólna summa środków powstańczych przewyższała jeszcze może pierwotne oczekiwania. Na nieszczęście było tylko spisek, chromał więc na kalectwo wszystkim spiskom właściwe. Groźne siły uszykowane na papierze, rozwiały się jak mgła przekłuta słonecznym promieniem rzeczywistości. Agenci upojeni złudzeniami skwapliwości gromad do czynu, w wyobraźni swej stwarzali urojone potęgi, to znowu powierzchowne oznaki brali za rdzenne dowody, dawali uwodzić się fałszywym obietnicom, lub rozpuściwszy cugle ostatecznym pojęciom, z niedawnego jeszcze zwątpienia przerzucali się do szalonej ufności w nieprzewidziane a olbrzymie pomoce. Niektórzy z przywódców ruchu, dokładniej oznajomieni z rewolucyjną rachunkowością, postanowili na kilka dni przed wybuchem naocznie przekonać się o wiarogodności sprawozdań. Bolesna prawda nieomieszkała rozpacznie przed nimi wyblysnąć; ani lud ani zasoby nie były tak przygotowane, jak się spodziewano. Wybuch oczywiście zamiast narodowego powstania musiał skończyć się na krwawym rozruchu, w skutek którego ciemńczy nabywali nowych powodów do katowania nieszczęśliwej ojczyzny; tysiączne ofiary upuszczały ostatek krwi omdlałemu narodowi. Owoc z takim trudem pielęgnowany jeszcze nie był dojrzał i zrywającym go nie pokarm ale truciznę przynosił.



Przez samę litość dla kraju należało ruch wstrzymać lub odłożyć. Jakoż, w obec tak strasznych a koniecznych następstw zgodzono się po części na odroczenie wyzywu, ale tu groźnie wystąpiły sakramentalne słowa naszej epoki «za późno». Kraków otwarcie już zatknął proporzec powstania.

W stolicy Rzeczypospolitej tym razem łamiącej przywilej neutralności, jeden szlachcic ze swoim służącym, kilku z młodzieży i dziwnie szczupła garstka bezbronnego ludu obojej płci, wypędziło mnogie zastępy tychże samych Austryaków, którzy we dwa lata później zwycięzko mieli gonić przed sobą tysiące Włochów. Wystraszonemu żołdactwu musiał bezwąt-  
 pienia pokazać się z kopca cień ludowego bohatera, inaczej bowiem trudno wytłumaczyć popłoch, jaki padł na cesarskich waleczników. W istocie, był to cień Kościuszki, były to widma wszystkich dawnych rycerzy narodu, wszystkich ofiar i męczenników za świętą sprawę, mary, które niewidzialną lawą suną się za każdym polskim sztandarem, była to nieśmiertelna idea Polski, która przy każdym starciu łamie naprzód ducha w najezdnicach i z serca im odwagę wywiewa. Do ostatecznego zwycięstwa cienie domagają się tylko, aby postawiono prawdziwą, świętą ideę Polski, pokazują, że łatwo im dać zwycięstwo, ale skoro obaczą, że zamiast chorągwi burczy nie rodzinny nawet łachman, boleśnie zasępięone znów odlatują na kurhany, czekają pomyślniejszej pory i garną do swego orszaku nowych towarzyszków pokuty. W istocie napróżnobyśmy szukali chociaż jednej iskiereki zbawczej idei narodowej w przelotnych aktach rządu rewolucyjnego w Krakowie. Sama walka nie jest jeszcze ideą, jest ona jednym z wielu środków, martwym atoli, jeżeli idea go nie ożywi, a stąd bezskutecznym do wybicia się na niepodległość. Charakter powstania krakowskiego był zbęgarconym płodem niedojrzałych pojęć społecznych i politycznych. Wykrzyknięto uwłaszczenie chłopów, niemając żadnego pojęcia o własności takiej, jaka z polskiego ducha musi kiedyś wyblisnąć; piorunowano na ex-szlachtę, malpując w tem francuzkich Jakobinów z wielkiej rewolucyi. Na samym wstępie zasiewano zaraz nienawiść i rozdwojenie, gdyż ostatecznie pytamy, co znaczy wyrażenie to ex-szlachta i jaka różnica leży dziś między szlachciem a nieklejnotnym? Jeżeli szlachectwo



jest dziś przywilejem, kogóż uciska ten przywilej? komu bez pracy da szmatę znaczenia lub kęs chleba? Tytuł jest dziś śmiesznością, na którą wolno było powstawać Molierowi, ale dzięki Bogu już półtora wieku upływa jak po raz pierwszy przedstawiono na scenie francuzkiej komedję z *Uszlachconego Mieszczanina*. Tytuł jest dziś rodzajem harbejtlu, peruczanego kosmyka, z którym wolno przechodzić się po ulicach każdemu obojętnemu na śmiech gawiedzi. Zaprawdę, wrogowie ci szlachty wyglądają nakształt ludzi, którzyby dla zbawienia kraju wyciągnęli z grobu kościotrup kniazia Glińskiego i powiesili go na publicznym placu. Wolno carowi tworzyć i knutować lub nie knutować szlachtę, wolno było Metternichowi dyplomami nagradzać swoich oprawców, ale bezprawia te obskurantyzmu i niewoli w niczem niepowinny obchodzić ludzi choć cokolwiek świadomych ducha wieku i istoty postępu. Donkiszocka wyprawa na szlachciany wiatrak nie przyczyniła się o przedłużenie na jedną minutę bytu rządu dyktatorskiego w Krakowie. Austriacy opatrywali się z pierwszego przestachu, Moskale szybkimi krokami także dążyli ku miastu, Książę Metternich zaś za pośrednictwem Arcyksięcia zastępującego go we Lwowie, dawał hasło do pamiętnej galicyjskiej rzezi.

Gabinet wiedeński dostawszy języka o knowaniach spiskowych w Galicyi, wyćwiczony we wszystkich fortelach dziełnia i uzbrajania jednych przeciwko drugim, tym razem również postanowił użyć właściwych sobie środków i bez widocznego uczestnictwa zuchwałę zamiary wyswobodzenia Polski zatopić w krwi galicyjskiej szlachty. W tym celu umyślił rozszatanie chłopstwo przeciw właścicielom, kassy cyrkułowe dla morderców otworzył, oczy zaś zamknął w oczekiwaniu krwawego huraganu, który miał pochłonąć jego ofiary. Do rozwścieklenia zabójców użył urlopników, ludzi którzy pod sztandarem austriackim zaprzepaścili sumienie, którzy pod białym cesarskim mundurem kryli wszystkie brudy rozszromconego żołdactwa, którzy mieli jedno tylko uczucie, znali jeden tylko obowiązek, to jest ślepe posłuszeństwo dla rozkazów Cesarza. Urzędnicy austriaccy poprzebierani w chłopskie sukmany, przebiegali kraj, burzyli lud po wioskach i kierowali działaniami urlopników.

Zbliżał się dzieńznaczony do wybuchu.

Rząd dał hasło; Szela zdjął ze ściany topór pobłogosławiony przez apostolskiego Kanclerza, chłopstwo pochwyliło noże i jak szalone rozbiegło się po szlacheckich dworach. Strugami trysnęła krew niewinna. Mordercy wpadali do domów, katowali mężczyzn, niewiasty i dzieci, wydzierali oczy, obrzynali piersi, cepami dobywali mózgow, męczarniami dopytywali o pieniądze i kosztowne sprzęty, poczem sposoczone trupy ładowali na wozy i wieźli do miast cyrkulowych, gdzie Starostowie rzetelnie wypłacali im umówioną nagrodę. Rozleciał się po kraju obłąkany przestrah. Dymyły się zgliszcza wiejskich dworów, drobne dzieci nieumiejąc nazwać ojca ani matki błądziły po lasach, księża w poświętnych szatach z Sakramentem upominali zajadłą tłuszczę, która deptając ostatnie uczucia ludowe, mordowała kapłanów i dzieliła się srebrem naczyń kościelnych. Właściciele, jedni ze snu nagle zbudzeni ginęli w niesłychanych katuszach, drudzy chwytni w ucieczce, wywlekani z powozów krwią swoją znaczyli publiczne gościńce. Rozbójnicy niepytali, czy kto znaczył w spisku lub nie, ba nawet niewiedzieli, czy istniało jakie sprzysiężenie, dość było nienależać do ich szajki, nienosić na sobie burej siermięgi lub austriackiego munduru, aby dostać się pod ich topory. Stąd większa część ofiar padła z ludzi obcych całkiem ruchowi; niektórzy nawet właściciele szczególnie troskliwi o los ludu, nieuszli śmierci. Tu jeszcze mamy dowód zupełnego spełnienia z ziemi żywiołu szlacheckiego. W istocie bowiem, dawnemi czasy, gdy formę feodalną duch takież ożywiał, kasta uprzywilejowana poczuwała się w razach niebezpieczeństwa do ścisłej wzajemności; piorun druzgocący jeden klejnot, chwiał zarazem wszystkimi drzewami genealogicznymi. Przed stu laty, na odgłos rzezi, szlachta byłaby skupiła się jeden koło drugiego, byłaby wsiadła na koń lub potarasowała się w domach, byłaby nie odetchnęła bez zwycięstwa, nie uległa bez upartej walki; — dziś popękanemi formami zaledwo się odznaczająca, poruszana duchem właścicielskim ale nie szlacheckim, w rozprężeniu zmysłów dała bezbronne wyrzezać się po domach lub szukała ocalenia w bezprzytomnej ucieczce. Jakkolwiek bezwładność ta wprawiła morderców w przekonanie o

słuszności ich sprawy, okrucieństwo atoli wlokło za sobą podłość i w piersi ich nie przepuszczało odwagi, jakoż kilka wyjątkowych rodzin, które naciśnięte ostatecznością opór postawiły tłuszczy, ostały się pomimo nieporównanej mniejszości środków do walki.

Tymczasem, gdy w Galicyi krew lała się potokiem, w Krakowie dziesięciodniowy rząd zwoływał lud i górników, wydawał rewolucyjne rozporządzenia, mianował ministrów i naczelników siły zbrojnej, i o ile można wnosić gotował się do wojny, dumny pierwszym zwycięstwem nad zastępami austryackimi. Dyktator wyglądał co chwila pomyślnych wieści o powstaniu w Galicyi, gdy w tem na raz gruchnęła straszliwa pogłoska o rzeziach. Wkrótce dowiedziano się, że zbójce rozpostarli się już w Bocheńskim, że niebawem jęki mordowanych ofiar obją się o mury samego Krakowa. Ludzie z rządu rewolucyjnego osłupieli na to niespodziane rozwiązanie powstania. Możnaż było wierzyć, aby ten sam lud, przez który i dla którego chciano zbawić ojczyznę, aby ten sam lud, który tchnął w siebie co dnia narodowe powietrze, który nie skaził się sromotnem samolubstwem, nie zgangrenował cudzoziemczyzną, aby ten sam lud polski powtarzano, dziś przeciw własnym braciom podnosił Kaimowe dłonie? aby zamiast świętego przejęcia się miłością ojczyzny szalał najohydniejszymi zbrodniami, gwałcił prawa Boże, ludzkie? Zaprawdę, jeżeli lud polski z rycerza w oprawcę się przedzierżnął, winą to było szatańskich podbechtywań austryackich, winą ludzi narodu, którzy nieumieli znaleźć głosu do jego serca, którzy nieumieli zabłysnąć mu w oczy cudowną prawdą, nieumieli uderzyć go różczką Mojżeszowego natchnienia, niepotrafili wywołać zeń zdroju zapalu i poświęcenia za sprawę krajową. W takim przekonaniu jeden z członków rządu rewolucyjnego, agitator, który najwięcej przyczynił się do obudzenia ruchu, teoretyk, któremu zawróciła głowę dziwna na nasze czasy potęga serca, człowiek, który żądze nieprzepracowanego wewnątrz czynu posuwał do epileptycznego szału, dla którego bohaterstwo zaczynało się wraz z odwagą, męczeństwo wraz z poświęceniem, lewą ręką pochwycił krzyż, prawą szablę, porwał z sobą kilku księży, garstkę ludu, i na czele hufca tego szczupłego ale zażęgniętego



wiarą, ruszył własnymi piersiami, własnem słowem i czynem zatamować falący się potok krwi bratniej. Żołdactwo austriackie, które przed kilkoma dniami wystraszone własną nikczemnością uciekło z Krakowa, nabrało odwagi na widok drobnego zastępu, uderzyło na pielgrzymów pokoju i co do jednego wymordowało. Zwycięzcy powrzucaли trupy w Wisłę, lekając się, by z ich grobów trzęsienie ziemi kiedyś nie powstało. Przywódzca pierwszy legł w rzezi, Austriacy długo jednak w śmierć jego wierzyć nie chcieli, naznaczali cenę na jego głowę, biegali po kraju jak obłąkani za upiorem, lud zaś karpacki pamięć nieszczęśliwego przechował w tęsnych legendach. Natychmiast po tym wypadku wojska cesarskie i moskiewskie wkroczyły do miasta; więzienia wzdęły się nowemi ofiarami i porządek, według stylu Izby francuzkiej, znowu zapanował w Krakowie.

W Galicyi krew polska nadzwyczajnie staniała; rząd nie mógł już nastarczyć wyplat za zwożone mu trupy, zamierzył więc na swoją rękę dokończyć dzieła, podziękował mordercom za ich służby, rozpuścił swoich zbirów, ale tym razem opatrzonych tylko w więzy i niedobitkami Szeli zapelniał Kuffstein, Spielberg i Lwowskie więzienia. W królestwie wybuch także nie pozostał bez odgłosu, chociaż wszelkiemi sposobami usiłowano go powstrzymać. Nieszczęsny zamach na Siedlce, który można tylko przypisać obłędowi rozpaczy, zaprowadził kilka pamiętnych ofiar na szubienicę, inne zawlókł na Sybir, na Kaukaz lub do ciemnie cytadeli. Rząd rossyjski gardził wykretami Księcia Metternicha; gdy szło o morderstwo, nie powierzał sprawy w trzecie ręce, ale sam szczerze, otwarcie, brał się do knuta i stryczka.

W Warszawie jednak obok tych bolesnych wypadków odgrywała się dziwna komedia.

Pomimo że terroryzm na chwilę nie wypuszczał z rąk steru rządu, pomimo że naród omdlewał z krwawego wycieńczenia, że za każdym niewytłumaczonym człowiekiem chodził żandarm, że wojska moskiewskiego było bez liku, a krajowcy co do broni od wilków nawet nie mieli czem się zabezpieczyć, pomimo argusowej czujności ciemiężców na najmniejsze drgnięcie rozkrzyżowanego ludu, wieść o wypędzeniu Austriaków z Krakowa, o powstaniu w Galicyi i w Poznańskiem,



niesłychaną trwogę rzuciła między wierne służby cesarza Mikołaja. Pogłoski o niezliczonych hufcach powstańców ciągnących na królestwo co chwila wstrząsały miastem. Paszkiewicz dzień i noc nie wyląził z obozowego munduru, zbierał u siebie Jenerałów, odbywał narady, gromadził wojska i amunicyje, wprawdzie nie bez zamiaru walki, wszelako z wątlą nadzieją wygranej. Na ulicach roztasowano wojsko; po dziesiątej z wieczora nikt nie mógł wychodzić z domu, od ósmej każdy musiał nieść przed sobą latarnię, spotkawszy znajomego miał rozkaz przemykania się na przeciwną stronę ulicy, dwóch bowiem razem idących wzbudzało podejrzenie i trwogę. Żony jeneralskie dniami pakowały manatki, na noc opuszczały miasto i chroniły się do cytadelli, mężowie zaś obok wojennych zatrudnień niby od niechcenia przykazywali kosztowniejsze sprzęty trzymać na pogotowiu. W niepewności, jak wiele kraju zdobyły już chmury powstańcze, Paszkiewicz wysłał przez Łowicz ku granicy pruskiej i austriackiej korpus wojska w celu rozpoznania ruchów nieprzyjaciela, wytrzymania pierwszego ataku i złączenia się następnie z resztą armii. Dowodzący korpusem Jenerał Paniutyn, któremu naczelnik w zaufaniu powierzał tę niebezpieczną wyprawę, pojął całą ważność swego posłannictwa, nacisnął hełm na oczy i ruszył naprzód, z pierwszego jednak rasztaku, rozmyśliwszy się nad wszystkim, co go czekało, napisał testament i odesłał go do kniazia Feldmarszałka wraz z listem, w którym upraszał, aby pamiętano o jego dzieciach wkrótce zapewne sierotach, aby przynajmniej względami dla jego rodziny osłodzono mu gorycz puszczenia się na straconą placówkę. Podobne uczucia wynurzane w tak uroczystej chwili, zaszczyt przynosiły ojcowskim wnętrzościom Jenerała Paniutyna. Los tym razem oszczędził życie dzielnego rycerza ale też komu innemu przysądził palmę zwycięstwa. Jenerał Rydiger pierwszy wkroczył do Krakowa, Paniutyn zaś zanim kilka mil uszedł, już odebrał pocieszającą wiadomość, że nieprzyjaciel po uporczywej bitwie został pokonany i że rząd rewolucyjny krakowski manowcami przemykał się do Brukselli i Paryża. Zwycięstwa te pokrzepiły otuchę w Moskalach, prawdę bowiem mówiąc, byli już na wylocie i trudno zaręczać, czyli wystraszeni własnem sumieniem, za przypadkowym jakim wystrzałem nie

byliby gwoli zasadom strategii uznali potrzeby cofnięcia się o kilka mil za Warszawę, ku granicy rossyjskiej. Sumienie to, od którego czapki na głowach wielkiej armii nieustannie goreją, kiedyś dzielnie przyczyni się do zapewnienia polskim wodzom oczwistej przewagi nad Jenerałem Paniutynem i jego towarzyszymi.

Tymczasem gdy w królestwie Mars poparty wszystkimi teoryjami strategii harde czoło stawił powstaniu, w Poznańskim pruska Themis wyschłą prawicą za jednym zamachem tłumila cały wybuch. Młodzież poznańska bez żadnych ogródek otwarcie prawie spiskowała, dając folgę charakterowi narodowemu, który sprzeciwiał się wszelkim skrytym działaniom. Ród wielkopolski obok niezaprzeconych zalet, z istoty swej jest zgielkliwy, skłonny do wielomówstwa i nadużywający bez miary pewnych krasomowskich figur. Zdaje się, że P. Segur, pisarz o wypadkach napoleońskich, Poznańczyków miał na widoku kiedy mówił, że przy obozowych ogniskach wielkiej armii, Polacy niestworzone rzeczy wyprawiali o cudach swojej waleczności, że atoli nazajutrz, na polu bitwy sprawdzali wszystkie wczorajsze przechwalki. Tym razem zbyteczna otwartość charakteru wielkopolskiego pomogła zapewne rządowi pruskiemu do orzucenia sieciami WKsięstwa na kilka dni przed wybuchem, do pochwytnia przywódców spisku, sprzysiężonych i podejrzanych.

Powstanie w samym zawiązku zostało zwarzonem. Zaczynały się saturnalia S<sup>o</sup> Przymierza.

Trzeba przyznać, że żaden z trzech zwycięskich rządów nie naśladował swego sojusznika, ale że każdy dał powodować się właściwemu sobie systemowi i łączył dopiero we wspólności celu to jest w wymierzeniu kary na spiskowych i w zatłumieniu na przyszłość w narodzie rewolucyjnych żywiołów. Rząd pruski, przejęty zasadą, że dźwignią wszelkiej wojny był pieniądź, dbając przytem o wzbudzenie w Niemczech wiary w swoje umiarkowanie i w szacunek dla prawa, umyślił na drodze legalnej wytoczyć proces obwinionym, pociągnąć do odpowiedzialności większą część obywateli WKsięstwa, nieoburzając umysłów zastosowywaniem łupieżkiego bezprawia konfiskaty, samemi kosztami procedury wycieńczyć z ostatnich zasobów

poznańską szlachtę. Gabinet wiedeński dla dowiedzenia swojej energii, trybem istot złych a niedoleźnych wpadał w okrucieństwo, sam drżący z bojaźni na każdy ruch, postrachem chciał byt swój zabezpieczyć, kogo więc oprawcy niepośpieszyli zamordować, tego włókł do więzień, i kraty dzielące go od świata na wieki za nim zamykał; szubienicom też nie był cale przeciwnym. Cesarz Mikolaj zwierzał w sobie syntezę obu powyższych systemów; pozbawiał życia, odzierał z majątku, słał na Sybir i knutował po więzieniach. W królestwie domyślano się tylko skutków spisku po licznych ofiarach conocnie wydzieranych z objęcia rodzin, po kilku sterczących szubienicach, lub po katowaniach pałkami na publicznym placu pod Warszawą. W Galicyi trwoga nieustannie trzęsa mieszkańcami; zbójcekie szajki, pomimo wyczerpania kass cyrkułowych, a nawet ojcowskich upominań samego rządu, groźnie przeciągały po kraju, tymrazem chciwsze rabunku niż rzezi. Szlachta, zamiast głębokiego zastanowienia się nad logicznemi przyczynami mordów, uznała dogodniejszem zwalić całą winę, częścią na niegodziwość rządu, częścią na szaleństwo i złą wiarę spiskowych. Zajadłe postawienie się przeciw sobie dwóch wrażeń obozów, właścicieli i ludu wiejskiego, uznała za czyn dopełniony, którego należało znieść wszelkie następstwa. Zamiast dążyć do zagojenia blizn, myślano raczej o kolejnem upokorzeniu bratobójców, o daniu im się nawzajem we znaki za ich zbrodnię. Rząd austryacki z piekielną zrzecznością korzystał z tego usposobienia umysłów; wierny swojej polityce rozdawania, niedopuszczał zgody; potrzaskawszy cepy chłopskie na szlacheckich czaszkach, ofiarom teraz podawał opiekuńczą a sposoczoną dłoń, udzielał im siły zbrojnej, która zmuszała wzburzony lud do odrabiania pańszczyzny, i całą srogość przemocy składała na karb pańskich wymagań. Lud zachmurzył się, ścisnął zęby, podbechtywany ciągle przez rządowych agentów, warzył w sobie nienawiść, coraz głębiej rozjątrzał się przeciw szlachcie, coraz promienniej tęczywał sobie przed wyobraźnią postać pana wszystkiego, co mu pod oczy podpadało, i opiekuna swego cesarza. W nim też jedynie i w jego sprawcach ślepą ufność pokładał, nikomu innemu niedowierzał,



tak że nawet dobro podawane mu ręką rodaczą, budziło w nim wzgardę i podejrzliwość. Nowa ta a najboleśniejша rana, którą kraj zapewne dla wytrzymania ostatnich prób ponosił, do zbliżenia wymagała rozbratu z przepleśniałą przeszłością, zaparcia się samego siebie, niezwykłych poświęceń, zaofiarowania bólów na ołtarzu ojezyny, i odrodzenia się w najczystszym ogniu miłości. Inaczej, półśrodki musiały pociągnąć za sobą nowe klęski, nieszczęścia, których groza dopiero w dniach wspólnego czynu miała dotkliwie uderzyć wzrok prawych krajowców.

Politycznym wypadkiem spisku było wcielenie Krakowa do Austrii.

Tu gabinet wiedeński widocznie dał się wyprowadzić w pole dyplomacyi petersburskiej. Rzeczpospolita krakowska aczkolwiek wątpła i bezbarwna, oddawna jednak kłuła w oczy Rosyę; niecierpliwł cesarza Mikołaja błędny ogień tej narodowości, którą poprzysiągł był do szczytu wydlawić; korzystał przeto ze zwycięstw przez połączone wojska odniesionych nad powstańcami, osłonił się przed Europą wspaniałą wstrzemięźliwością od podbojów, widząc zaś ile trudów kosztowało go utrzymanie własnych zdobyczy, rzucił nędzną pastwę Austrii, pastwę która niegodna Rossyi, usługiwała jej przecie, pomnażając pierwiastki rozkładające strupieszale państwo Habsburgów. Polityka rossyjska zawsze zasadzała się nie na wewnętrznem krzepieniu własnych sił, ale na osłabianiu o ile możności bliższych i dalszych sąsiadów; pogwałcenie zatem traktatów 1815<sup>o</sup> roku na korzyść Austrii, upoważniało Rosyę do złamania onych kiedyś w ważniejszej okoliczności, zapewniało jej zyski pieniężne ze zniesienia wolnego przywozu towarów do Krakowa, gabinetowi zaś wiedeńskiemu uczepiało nowego sępa do suchotniczych piersi. Książę Metternich uroczyście ogłosił wgarnięcie nowych dzierżaw do granic apostolskiego państwa; Ludwik Filip i Palmerston zaprotestowali przeciw nadwężeniu traktatów, krztusząc się oba od śmiechu.

W Polsce zajęcie Krakowa wywołało co najgwałtowniejsze oburzenie; w istocie atoli niebyło o co zbytecznie się unosić. Nie my układaliśmy traktaty 1815<sup>o</sup> roku, nie nas pytano, czyli zgadzamy się na ich treść lub nie; owszem, protestowaliśmy



przeciw nim wszelkimi sposobami możebnymi dla ujarzmionych; zniesienie więc Rzeczypospolitej krakowskiej w niczem nieubliżało naszej miłości własnej. Co się tyczy krzywd, przez skradzenie Krakowa wyrządzonych narodowości polskiej, oświadczamy, że te nigdy ważnemi nam się uiewydały. Narodowość polska leży w duchu a nie w nędznych formach; trzej zaś prokonsulowie policzkowaniem codziennem ironicznej republiki, bynajmniej niedorzucali zarzewia do ogniska. Ostatni ten zajazd Austrii na Polskę ubliżał może ważności kilku pojedynczych osób, niweczył handlowe położenia kilkunastu kupców, tonął atoli w oceanie daleko boleśniejszych krzywd narodu. Rzeczywistą korzyścią z zaboru Krakowa była sposobność, którą uchwycili wychodźcy polscy i stronnictwa ludowe zagraniczne do wytrząsania na słońce zbrodniczych podłości Austrii i piekielnych szalbierstw dworu petersburgskiego. Dorzucono nowych zasobów do sił, które kiedyś posłużą ku obaleniu dwóch najzaciętszych wrogów chrześcijaństwa.

Tymczasem, w WKsięstwie rząd pruski pochwytałwszy spiskowych, wytoczył im kolosalny proces. Zamiast jęków ofiar, rozlegających się w Galicyi i w królestwie, w Poznaniu słyhać było przeraźliwy skrzyp tysiąca piór sądowych pismaków. Proces rozpadał się na dwie części, na śledztwo czyli instrukcyę i na sąd; pierwsza trwała blisko dwa lata. Akta śledcze, które z początku liczono na foliały, niebawem urosły do rozmiarów przypominających olbrzymie pomniki budownictwa faraonów egipskich. Wprawdzie rząd pruski, troskliwy jak to już powiedzieliśmy nad utrzymaniem w Niemczech dobrej sławy o swojej sprawiedliwości i oświacie, nieuciekał się do środków wydobywania prawdy szczerze używanych w Austrii i Rosssyi, miał atoli swój rodzaj jezuickiej inkwizycyi równie skutecznej na dyssekecyę moralną obwinionego. Inkwircenci pruscy w wysokim stopniu posiadali zdolność wyczerpywania z więźniów ostatnich zasobów cierpliwości. Żwawy duch polski, żyjący tylko dla czynu, nieraz byłby chętniej zniósł doraźną ofiarę cielesnego żywota niż powolne, systematyczne, drobiazgowo drażnienie umysłu i uczucia; byłby radziej spotkał się z piorunem, niż z ciąglą kapaniną drobnych

igłanych pocisków, które jedne za drugimi w mózg mu się wpijały i wyzywały szalone przekleństwa własnego ubezwładnienia. Nadto, bezustanna troska i robak niepewności dniem i nocą toczący spokój, gorączkowe oczekiwanie na wyrok, który często zależał nie tyle od rzeczywistej miary występku, ile od niezręcznej odpowiedzi, od skrzyżowania się w protokóle, od osobistych usposobień inkwirenta; uwaga wiecznie wytężona na najdrobniejsze szczegóły życia, nizanie najmniej znacznych wspomnień na sznurek pamięci i wzwyczajanie się do bieglego przebiegania z zamrużonemi oczyma po tym różańcu odpowiedzi sądowych, katowały ducha niczemnością form i w piersiach krzewiły zwątpienie. A tu właśnie nadchodziła chwila, gdzie potrzeba było uzbroić się w najpotężniejsze siły duchowe, proces bowiem miał się zakończyć sądem publicznym. Dozwolono obwinionym, których każdemu słowu bacznie przysłuchiwały się ludy Europy, otwarcie bronić sprawy, za jaką porywali się do broni. Była to uroczysta godzina dla Polski, dla całej pokrzywdzonej ludzkości. Zasady, okupione krwią i mękami wielkiego narodu, objawione mu w dawnych dniach potęgi przez opiekuńczych jego aniołów, wyhartowane i oświęcone długimi cierpieniami, miały w słonecznym blasku zabłysnąć przed światem, miały zmartwychwstać, olśnić jasnością swoją i przerazić stróżów czuwających przy grobie Chrystusowym. Zaprawdę, nieocenionym owocem spisku była możebność wytoczenia nawzajem przed sąd ludzkości, procesu pokrzywdzonego narodu polskiego. Czegoż więcej można było żądać, jak trybuny w głównem mieście niemieckiem, w samem ognisku ducha germańskiego, jak sprawy ważnością przewyższającej kwestyę bytu narodowości polskiej, jak przeciwników nienawistniejszych społeczeństwu od trzech wrogów umęczonego ludu, jak obrońców dzielniej orędujących nad własne poświęcenie, jak appellacyę świętszą nad odwołanie się do całej ludzkości, do historyi, do samego Boga. Odpowiedzenie temu posłannictwu kładło węgielny kamień do wyjarzmienia i przyszłego bytu ojczyzny. Sędziowie rzucali potrójne oskarżenie, obwinieni podnosząc rękawicę, przyjmowali zaszczyt walki za pojęcia narodowe, polityczne i społeczne. Na nieszczęście

fatalizm, który od wieków warzył najwonniesze kwiaty na ziemi polskiej, i w tym wypadku nieomieszkał oślinić świętej sprawy jadem swojej trucizny. Prawnicy niemieccy dodani więźniom za obrońców, zgubny wpływ wywarli na rozwijanie się procesu. Wreszcie, niepodobna im nawet zarzucać złej wiary; przeciwnie, przy najlepszych chęciach niektórych, przy znakomitej biegłości w rzemiośle, z samego stanowiska jurystowskiego niemieckiego musieli oni koniecznie zwichnąć kierunek sprawy. Spisek zawiązany w celu wyswobodzenia ojczyzny był czem innym, aniżeli zbrodnią w oczach obwinionych: przemoc pochwyciwszy ich w swoje szpony mogła wykrzyknąć: «biada zwyciężonym!» mogła ich skazać, ale nie miała prawa ich sądzić. Skoro jednak obwinieni przyjęli dobrodziejstwo obrońców, już tem samem uznawali nad sobą prawo sądu i następnie sprawę całego narodu skurezali do rozmiarów pojedynczych osobistości; pierwszą zaś powinnością obrońcy na tem stanowisku, było pozbijanie zarzutów przeciw obwinionemu i uwolnienie go wszelkimi fortelami od kary; że zaś kodeks kryminalny pruski chce uchodzić za prawo a nie za bezprawie, od przyznania więc lub zaprzeczenia obwinionego, od biegłości w odpowiedziach na pytania zadawane mu podczas śledztwa, nareszcie od zręcznego przedstawienia ogółu sprawy przez obrońcę, zależy wyrok sędziego, zależy kara lub uwolnienie więźnia. Stąd widzimy, dla czego większa część obwinionych, posłuszna radom obrońców, ściśle trzymała się systemu przeczenia, dla czego dowodziła rządowi, że jeżeli pragnęła niepodległości Polski, to jednak bynajmniej nie miała zamiaru dobijać się jej z uszczerbkiem dla korony pruskiej i stąd koniecznie proces chybił swemu posłannictwu, pozbawił kraj zbawionych skutków na wewnątrz i korzyści, jakie narodowe przeprowadzanie sprawy mogło mu być zjednać w Niemczech i w Europie. Stronnictwa liberalne niemieckie nieznikczemniałe jeszcze wówczas zbędkarconemi konstytucjami z 1848° r., obok społeczcia dla więźniów, wyraźnie głosiły zawiedzione oczekiwania względem istoty i kierunku berlińskiego procesu. Pojedyncze usiłowania obwinionych w postawieniu się na prawdziwym

stanowisku ginęły w ogólnej barwie sprawy; napróżno niektórzy z kierujących ruchem całą winę na siebie przyjmowali, darmo wymówny głos odzywał się że: «jeżeli jest spiszek «nieustanny w całej Polsce, przyczyny jego leżą w nieznośnem «i ciągłym rozjątrzeniu, odtąd gdy przywidzenia ludzkie «postanowiły rozdzielić, poćwiertować, zagładzić, to co Bóg «w najwyższych swoich wyrokach związał, spoił i ożywił pod «nieśmiertelną nazwą narodu polskiego». próżno inni zaciętem milczeniem na siebie samych przyzywali grom zemsty zwycięzców, reszta więźniów raz wpadłszy na nieszczęsną pochyłość, niepowstrzymanym biegiem toczyła się w przepaść, której z duszy byłaby rada uniknąć. Jeszcze raz, miecz straszny dla wroga ale nieopromieniony ideą, obrócił się przeciw dłoni zuchwale go porywającej. Proces berliński, który tak ważne usługi mógł wyświadczyć sprawie narodu, zanosił się na smutne rozwiązanie dla jednej części Polski, na dodanie licznych nazwisk do katalogu ofiar wywołanych ruchem 1846<sup>o</sup> roku Sąd skarzał na śmierć przywódców spisku, niepodpada jednak wątpliwości, że król pruski pamiętny na historycznie monarsze prawo ulaskawiania, byłby zamienił im utratę życia na dożywotnie więzienie. Inni oczekiwali mniej więcej długoletniego pobytu w fortecach, mianowicie zaś kar pieniężnych, w ogóle bowiem rząd pruski nie tyle bżył chciwym krwi i wolności obwinionych, ile czyhał na ich pieniądze. Oparty na tych praktycznych względach, umyślił do żywego obedrzeć winowajców, raz dla tego, aby im odebrać na przyszłość środki do spiskowania, powtórnie aby tym sposobem wynagrodzić sobie chwilową niespokojność, nareszcie aby mieć czem zapłacić chmarę skrybów, koszta więzienia i góry papieru zużyte na procesowe akta. Tak ze spisku poznańskiego rząd obiecywał sobie korzyści pieniężne, lud zaś berliński pierwszy raz w życiu przypatrując się procesowi politycznemu, nabral pewnych politycznych wyobrażeń, wyrobił w sobie pewne rewolucyjne żywioly, które następnie pomieszane wraz z innemi można było spotkać dnia 22<sup>o</sup> Marca na ulicach Berlina. Sąd zebrany na spiskowych właśnie rozmyślał nad skrupulatnem odmierzaniem kar, gdy w tem wpadła do Berlina wieść o ogłoszeniu Rzeczpospolitej w Paryżu, a tuż za nią druga



o przepędzeniu z Wiednia Księcia Metternicha. Za ledwie sędziowie mieli czas zastanowić się każdy w sobie, co Francuzi poczną bez opieki króla Ludwika Filipa, gdzie rozbije się nawa austriacka bez starego swego sternika, gdy w tem pod ich oknami wszczął się zgiełk.

Lud berliński ustawiał barykady.

### III.

Gdybyśmy zamiast lotnego pióra spostrzegacza, chwyтали za poważne dłuto historyka, musielibyśmy dzień po dniu zapisywać wszystkie wypadki zaszłe od 24<sup>o</sup> Lutego we Francyi, musielibyśmy poprzeć naszą pracę dowodami chronologii już nie lat ale miesięcy, tygodni, nieledwie że godzin, śledzić każde niemal tętno narodu wywieszającego dla ludzkości rewolucyjny proporzec, obedrzyć do szczytu Monitora rządowego dla kronikarskich naszych registrów, wpadlibyśmy w powtarzanie zdarzeń powszechnie wiadomych a co najgorsza przekroczylibyśmy pierwotny nasz zamiar. Niewdajemy się w opisowość, odpychamy pokusę do obrazów, które wiecznie jasnemi barwy drgają przed naszą pamięcią, uduchowiamy, skracamy, pokazujemy kierunek strumienia, niezastanawiając się wcale nad szczegółową istotą jego łożyska, nad drobnemi zakrętami jego fal.

Francya miała do rozstrzygnięcia zagadkę człowieczeństwa, której chybiła już raz w r. 1830<sup>m</sup>. Rewolucya lipcowa była tylko zwichniętym ruchem a raczej przejściem; wynosząc na tron dynastję Orleanów ubezwładniała swoją działalność na wewnątrz, dla braku zaś wszelkiej idei na lipcowych barykadach, niewywarła żadnego wpływu na zewnątrz. W razie nawet gdyby rycerski duch owiewał był Ludwika Filipa w pierwszych latach jego panowania, Francya mogła była zapewnić sobie niektóre materyalne korzyści, nigdy atoli zbawiennie wpłynąć na losy europejskich narodowości. Wojska francuzkie przekraczając granicę ojczyzną, zamiast dawnej napoleoń-

skiej chwały, tymrazem byłyby wlokły za sobą przywileje, dworactwo i jezuitizm restauracyi, samolubstwo mieszczańskie, poniewierkę ducha i indywidualizm szalejący zmysłowością, które tak bezczelnie rozpasaly się za panowania ostatniego Burbona. Francya niemoże udzielać jednostronnego pośrednictwa, musi łączyć siłę bojowniczą i ideę zarazem, inaczej wpadłaby na drogę jałowych spółczuć i wykrzyków lub orężnych zdobyczy a na te już dziś nie pora. Rewolucya 1830<sup>o</sup> r. nieuświęcona żadną zasadą, zatrzymała się sama z siebie, naród zbudzony na chwilę nieporwał się na nogi ale znowu zwiesił głowę i zapadł w ośmnastoletni letarg odrętwienia. Co do wewnętrznego organizmu, Francuzi zachowali poprawioną nieco zwykłą monarszą konstytucyę, króla nie naruszalnego, ministrów odpowiedzialnych i dwie Izby. Niepodobna było wynaleść warunków dzielniej dowodzących tymczasowości systemu, jakoż, na pierwszy zaraz pogląd, bił w oczy dylemat zupełnej bezużyteczności tronu. W istocie bowiem, jeżeli przy potędze królewskich prerogatyw, zasiadał na tronie mąż zręczny, chciwy władzy i znakomity zdolnościami, naówczas łatwo mógł zawładnąć większością Izby, dobrać sobie ministrów i rządzić samowolnie; konstytucya wtedy stawała się martwą literą, urojeniem. Nawzajem, jeżeli niedoleźnik piastował berło, wyznać należy, że niewarto było dla samego przepychu, dla jakiegoś dawnego nałogu lub przesądu, milionami listy cywilnej okupować przyjemność bawienia się w króla, wynosić przywilej jednej rodziny nad poziom całego narodu, słać drogę pasożytnemu dworactwu i bezprawiom próżniaczej hałastry, osiadającej stopnie każdego majestatu. W ogóle, konstytucya i król były dwoma terminami niecierpiącemi się nawzajem i monarcha przysięgły albo gwałcił ustawę albo był niepotrzebną a zbyt kosztowną lalką, w każdym zaś razie jedna zasada koniecznie żyła kosztem drugiej. Takowy system pośredni doskonale odpowiadał wywołującej go idei mieszczaństwa, które samo także było tylko terminem przejścia. Dumne wielką rewolucyą 1789<sup>o</sup> r. ostatecznie spożytkowaną na własną korzyść, zadyszane i znużone wojennemi wyprawami Cesarza Napoleona, którego z rozkoszą rzuciło na pastwę Anglikom, wgarnąwszy

w siebie wszystkie potęgi umysłowe i materyalne narodu, od r. 1815° odprawiało saturnalia swego dostania się do władzy; r. 1830° znowu za własną sprawę wysłało lud na barykady i odtąd spokojnie giełdowało, tuczyło się, kupowało drugich i sprzedawało się samo, w ślepej ufności, że Opatrzność raz uczyniwszy mu zadość, bezpiecznie może i musi zapomnieć o reszcie ludzkości. Zadanie, r. 1789° rzucone w dwóch ostatnich terminach przez Sieyes'a mianowicie czem jest stan pośredni, wszystkim albo niczem? zostało jak najzupełniej rozwiązane na korzyść pierwszego wniosku. Mieszczaństwo było wszystkim; duch indywidualizmu coraz szerzej i silniej je ogarniał, niepoprzestawało już na rosnącym z każdym dniem rozmyślowianiu się w wygodach materyalnego bytu, zawistnym okiem poglądało na wzmagający się wpływ króla i przemysliwało nad nowym upokorzeniem tronu, nad zdobyciem dla siebie szerszego zakresu działania. Siedmioletnie ministeryum Guizot'a znudziło Francję, opozycja dynastyczna szybko mnożyła swoich stronników, biesiady polityczne rozkołysały namiętności w narodzie, mniejszość parlamentarna oczywiście co do moralnej potęgi większością była za obrębem Izby i swobodnie mogła liczyć na uczestnictwo masy w nastrojonym na dzień 22° Lutego zamiarze czynnego oporu przeciw gabinetowi. Głównym i jedynym celem stronnictwa Thiers'owego było wysadzenie z miejsca Guizot'a i towarzyszków; deputowani z lewicy dynastycznej nieprzypuszczali, aby ruch biesiadny mógł ich porwać o jeden krok dalej od stale powziętych zamiarów, stanąwszy dopiero w obec czynu pomiarkowali się, chcieli dany popęd na miejscu osadzić, ale już było za późno. Niewidzialna, nadludzka jakaś dłoń kierowała ruchem, błyskawicowo zmiatała jedne zawady za drugimi i w kilkanaście godzin po wzniesieniu pierwszej barykady, Ludwik Filip uciekał, tron płonął na placu Bastylli, Rzeczpospolita wykwiłała z jego popiołów. Monarchiści, postępowcy, republikanie, adeptci socyalizmu, za ledwie chcieli wierzyć własnym oczom, zdumieni się nad gwałtownością przewrotu, do którego nikt w kraju nie był przygotowanym. Doktrynery natychmiast wytoczyli nieprzebrany arsenał wniosków, przysięgali, że gdyby P. Guizot o jeden dzień wcześniej



był opuścił ministerjum, gdyby P. Thiers o kilka godzin wcześniej był przyszedł do władzy, gdyby z resztą raz dzierząc już ster rządu, przyjął był otwarcie walkę przeciw ludowi, gdyby P. Duchâtel zawczasu był pomyślał o sprowadzeniu do Paryża potrzebnej siły zbrojnej, gdyby gwardya narodowa była przewidywała skutki ruchu itd. itd. król byłby ostał się na tronie, rzeczpospolita byłaby odepchniętą w daleką przyszłość. W tym razie, jako i w wielu innych, układacze systemów grubo błędzili. Ludwik Filip musiał ustąpić z Francyi, musiał uleść nieubłaganej logiczności historyi, że zaś rzeczpospolita niespodzianie zaskoczyła Francuzów, winą to było ich własnej ślepoty, bynajmniej zaś szalonego dziwactwa historycznego postępu. Wreszcie, nie nie mogło sprzeciwiać się ustaleniu rzeczpospolitej, najzaciętsi zwolennicy monarchii w pędy do niej się przyznawali, rewolucya urzędowie i powszechnie została uznana, chodziło więc tylko o rozwiązanie dwóch zagadek, mianowicie, jaka jest istota tej rewolucyi i jakie jej założenie? Przeczowano, że wybuch 24<sup>o</sup> Lutego odnosił się nie tylko do Francyi ale do całej ludzkości, że losy Europy ważyły się na bruku paryskim, że musiała nastąpić ogólna przemiana dotychczasowego porządku, niedziw więc, że tak przywódców ruchu jako i postrzegaczów zdjął wewnętrzny niespokój, zdjęła uroczysta ciekawość.

Jeszcze tu i owdzie po ulicach Paryża sterczały barykady, a już Francya rzuciła bystry wzrok do koła swych granic, starając się odgadnąć co poczną sąsiedzi na wieść o ogłoszeniu republiki przez pierwszy naród i w samym środku Europy? Miałyż się powtórzyć na zewnątrz wypadki 1791<sup>o</sup> roku? Miałże absolutyzm zatrzęsiony w swoich posiadach znowu obwołać krucyatę przeciw zuchwałym burzycielom idei monarchicznej? — Bynajmniej; tym razem okoliczności całe odmiennie się szykowały. Sąsiedzi nie dbali już o utrzymanie królestw w ludzkości, sami przedewszystkiem usiłowali dosiedzieć na wierzgających pod nimi ludach, niestarczyło im żelaza na kajdany dla własnych poddanych, tem bardziej nie mogli zamyślać o narzucaniu ich obcym narodom; każdy z nich zaledwie miał dość czasu, wojska, policyi, zasobów, na dławienie u siebie iskier wolności; nawzajem zaś ludy marzyły

o czem innym, aniżeli o pomszczeniu osobistych krzywd zadanych królowi francuzkiemu i jego rodzinie. Nowe zatem sprzymierzenie przeciw Rzeczypospolitej było niepodobnem, i tu nienależało obwiniać złej woli, ale istotną bezwładność królów, z których każdy czuł dowodnie, że gdyby nawet dziwnym losem szczęścia udało mu się wejść na czele wojsk połączonych do Paryża, obróciwszy się, byłby nieomylnie ujrzał garstkę swego ludu niosącą za nim własny jego tron na popielisko placu Bastylli, czyli wyraźniej mówiąc, niemiałby już po co wracać do domu. Dla osłonięcia tej niedołężności w wykonaniu najserdeczniejszych zachceń, rządy monarchiczne owinęły się w niesamolubną niby teorię nieinterwencyi, której na dziś oczewistym skutkiem były: nienaruszalność francuskich granic, porzucenie Ludwika Filipa własnym jego losom, i zostawienie Francyi dowolnemu przeprowadzeniu nowego jej systemu. Zamiar ten nieprzeszkadzania rozwijaniu się Rzeczypospolitej, ludy zupełnie dzieliły z rządami z tą wszakże różnicą, że gdy drugie postanawiały omumijować się w zewnętrzną i wewnętrzną nieruchomość, pierwsze cichaczem sposobiły broń i skrycie dowiadywały się o bliższych szczegółach teorii wznoszenia barykad.

Wybuch w Francyi koniecznie pociągał za sobą wstrząśnienie całej Europy; rewolucya stawała się ogólną, i jako taka musiała wyrazić się w trzech stopniowych postaciach: narodowości, systemu politycznego i stosunków społecznych. Następne wypadki przekonały, że Europa nieodzownie wymaga rozwiązania potrójnego tego węzła, że stan tymczasowy nieustali się, dopóki kwestya całkowicie nie będzie rozstrzygniętą, że Francyi wreszcie prawem historycznego jej przewodnictwa na drodze czynu należy się wstępny i zaczepny krok w świtającej epoce dziejów nowożytnych. Jakoż, na zewnątrz Rzeczypospolitej podzieliwszy Europę na państwa samodzielne i narodowości uciemnione, znajdziemy, że w pierwszych rewolucya miała przekształcić system polityczny, obalić przywilej, powołać cały naród do uczestnictwa w rządzie, uznać niepogwałcalność osobistą, wolność słowa ustnego i pisanego, prawo zgromadzania się i stowarzyszania; względem drugich zaś, musiała spełnić pierwsze i najświętsze prawo boże, prawo niepodle-

głości. Po ogłoszeniu republiki, Francya usunawszy już na pozór zawady w dobieciu się do ostatecznego organizmu politycznego, spostrzegła tylko przed sobą olbrzymio rysującą się zagadkę osiową całej ludzkości, zagadkę stosunków społecznych.

Wielkie historyczne narody równie jak pojedynczy wiecy ludzie mają do wykonania ważne obowiązki względem siebie i względem ludzkości; summa tych obowiązków zwie się posłannictwem: jeżeli zatem chcemy poznać wartość dzisiejszej Rzeczypospolitej, musimy oznaczyć istotę posłannictwa Francyi, i następnie porównać takowe z kierunkiem działań rządu rewolucyjnego w Paryżu.

Napoleon pierwszy pojął posłannictwo Francyi na zewnątrz; zapowiedział je świetnemi czyny, wkrótce atoli zmaterjalizował, zwichnął dla widoków osobistej dumy, i nie spełnił. Zbudowanie jedności politycznej w Europie, jedności opartej na zasadzie człowieczych praw, jedności, w której każda narodowość niepodległa, samodzielna, rozwijająca się w duchu sobie właściwym, tworzyłaby ogniwo wielkiego łańcucha zjednoczonych stanów europejskich, łączyła się z innemi państwami węzłem braterstwa a nie podbojów; oto była idea, która piorunem uzbroidła prawicę pierwszego konsula, i oto pierwszy cel wielkiego posłannictwa, któremu Francya niewierna, napróżno w zgrzytliwym rozdźwięku własnych tonów, w potokach krwi bratniej będzie wyszukiwać wewnętrznego spokoju i potęgi. Przymierze ludów przeciw królom, wykrzykiwane na biesiadach politycznych przez późniejszych zaprzkańców rządu tymczasowego, przymierze moralne i sumienne z ludami niezawisłemi, zaczepne i odporne z uciemiężonemi, oto droga, po której Francya musiała kroczyć, jeżeli chciała uniknąć zarzutu przeniewierzenia się rewolucyi i ludzkości. «Ależ to czyste zagrzewanie do wojny europejskiej!» krzyknie ród kramarzów wystraszonych o własną kieszeń; «a skąd stosowna siła wywózczonego wojska przeciw sprzymierzonym lądowym mocarstwom? skąd flota przeciw angielskiej armadzie?» «a skąd pieniądz, ten nieublagany warunek każdej wojny?» wrzasną karliki, którzy gadając o Bogu, biją pokłony wszechmocnej materyi i niepozwalają, aby wielkie rzeczy działy się na świecie

bez poprzedniego upoważnienia ich praktycznych wyrachowań, którzy mają wiarę do wysokości przekonania, że dwóch pobije jednego, którzy zapomniawszy, że osłupieli przed chwilą i podarli swoje rejestra na wieść o rozwianiu się potęgi Ludwika Filipa, teraz zakładają nowe rubryki, zaprowadzają nową rachunkowość, według której historya ma kierować losami człowieczeństwa. Historya! nieszczęśliwa nauka, Kassandra ludzkości, próżno na każdej karcie zapisuje wypadki wbrew przeciwne najściślejszym ludzkim rachubom; darmo przysięga i dowodami przekonywa, że wyprawy Aleksandra Macedońskiego na Azyę były niepraktyczne, że niepraktykowało się, aby Bóg za ludzkość umierał na krzyżu, że Galileusz i Kopernik niepraktycznie utrzymywali, iż ziemia może obracać się koło słońca a pomimoto mórz swoich w bezmiar niepowylewać, że Kolumb niepraktycznie chciał wynaleść ludzi chodzących do góry nogami, że Konwencya niepraktycznie całej Europie rzuciła rękawicę, wtedy gdy kraj szarpany bezrządem, był bez społeczenia ludów, bez broni, bez pieniędzy, bez oficerów, którzy za granicą osobne wojsko przeciw ojczyźnie utworzyli, że Fulton plótł Napoleonowi niepraktyczne androny o machinach olbrzymiej siły poruszanych za pomocą pary; — wypadki te nie za pamięci naszych rachmistrzów zaszły, praktycznemi są dla nich jako zdarzone i ubiegłe, przyjmują je oni nie mogąc ich odwołać, na przyszłość atoli warują sobie, że cyrklem, miarą i wagą odmierzą każdy krok postępowi dziejowemu, sami zaś obiecują, że przez szacunek dla tych narzędzi mierniczych, bez poprzedniego do nich odwołania się, nigdy nie ruszą do czynu.

Inaczej sądzi duch wiary i prawdy.

On powiada, że na dnie serca ludzkiego kryją się boże popędy, że wielkie czyny są dziećmi zapału i natchnienia, że biada temu, kto potęgę materyalną rozdziela od powinności, prawo osobiste od obowiązku; kto chce łączyć cnotę we własnym domu z krzywoprzysięstwem za jego obrębem, wolność u siebie z niewolą u braci, kto myśli, że za świętą sprawę ludzie tylko walczą, kto niedołączny do przełamania najdrobniejszego prawa natury, w przedsięwzięciu wielkich zamiarów liczy jedno na własne potęgi. Historya w głębi swej ukrywa zapas



cudownych sił, ale ich tym tylko udziela, którzy się do nich odwołują.

To powiedziawszy o posłannictwie Francyi na zewnątrz, z którego spełnieniem ściśle łączyło się wewnętrzne rozwiązanie zagadki jej stosunków społecznych, dodajemy, że właśnie jak gdyby dla ostrzeżenia narodu, jakimi szlakami rewolucya winna była się rozwijać, i jakie trzy odmienne żywioły w sobie zawierała, zaraz po ucieczce Ludwika Filipa a jeszcze przed ogłoszeniem rzeczypospolitej, trzy różnorodne potoki władzy wytrysły z trzech odmiennych źródeł, zmierzały jednocześnie do wspólnego ujścia, do ratusza, gdzie miały zlać się w jednolity rząd tymczasowy Francyi republikańskiej. Stronnictwo National'a niosło swoich deputowanych i redaktora swego organu; ludzie ci powiększej części oddani naukom i zajmujący znakomite miejsca w historii francuskiej oświaty, mieli wyobrażać żywioły wewnętrznej, politycznej organizacyi kraju; mieli stanowić jedną trzecią część praktycznej rozważki wchodzącej do warunków spełnienia każdego wielkiego zamiaru, i powinni byli ogarnąć materyalną stronę wytaczającego się procesu ludzkości; Reforma, walcząca przez mnogie lata pod hasłem braterstwa ludów, przedstawiając wszystkie szlachetne uniesienia ludu francuskiego, dostarczała żywiołów do spełnienia posłannictwa narodu na zewnątrz jego granic, wprowadzała pierwiastki egzaltacyi, zapалу, zatykała wojowniczą chorągiew Francyi niby znak przymierza i wybawienia dla uciśnionych. Z trzeciej strony, wynędzniałe falangi ludu wyrobniczego, okopcone prochem, zadyszane po tylko co zakończonej walce, rozpromienione zwycięstwem, znaczące po sobie ślady krwią ran jeszcze nieowiązanych, wiodły jednego teoretyka i jednego rzemieślnika, którzy mieli wspólnie popracować nad zapewnieniem chleba i oświaty wydziedzicznemu pokoleniu, nad postawieniem zagadki społecznej w braterstwie i w miłości. Nareszcie jak gdyby na dowód, że pracom rządu rewolucyjnego nie rachuba ale natchnienie winno było przewodzić, nad tą plejadą wybrańców ludu, panowała wyniosła postać pierwszego wieszca Francyi, człowieka, który przedtem nienależąc do żadnego stronnictwa, z powołania nieoddając się wyłącznie żadnemu materyalnemu zawodowi, potęgą myśli

miał garnąć w jedno ognisko, próby i cierpienia przeszłości, oczekiwania na przyszłość, duchem miał opromieniać towarzyszy i wywoływać z nich natchnione przedsięwzięcia; wyższy nad szczegóły, winien był tylko wskazywać kierunek zwycięskiemu rydwanowi Rzeczypospolitej.

Rząd rewolucyjny patrząc z ratuszowych krużganków na zbrojne tłumy otaczające go do koła, upojone świeżym tryumfem, postawił sobie naprzód zapytanie, czego chce lud ten zwycięzki, z którego czoła świeci wszechmocność a z oczu błyska żądza nowych objawień? Żywioly nagromadzone przez trzydzieści lat panowania Burbonów, przeszły w krew większej części narodu i stanowiące treść idei mieszczaństwa, wnet nastręczyły odpowiedź. Przypomniano sobie groźne hasło walk ulicznych w Lyonie, pamiętne słowa «żyć w pracy lub umierać w boju» czarno wypisane na krwawo-czerwonym proporcju, i wraz uznano, że ostatecznym wyrazem rewolucyi była śmiertelna wojna wydana głodowi, zimnu i pragnieniu. Dziwnie pojęto znaczenie tajemniczych słów ludu; jak gdyby dla pojęcia ducha starczyło słyszeć i rozpoznać dźwięki. A przecie lud rzymski, kiedy goniąc już resztkami dawnego natchnienia w dwóch wyrazach tłumaczył swoje chęci Cezarom, wtedy jeszcze wołał o chleb jako o strawę cielesną, wołał o igrzyska jako o karm dla ducha; najponętniejszemi zaś dlań igrzyskami były wjazdy uroczyste zwycięzców, widok wozów bohaterów Romy, ciągnionych przez pokonane króle, lub przedstawienia osnute na pamiątkach najświetniejszych dni chwały wszechwładnego miasta. A kiedy Chrystus o chleb powszedni prosić rozkazał, to bynajmniej nieodłączał kwestyi materji od pragnień ducha, ale pierwszą postanowił całkiem zależną od drugich; chciał nauczyć, że zadośćuczynienie drugim już w samym sobie nosi zupełne zaspokojenie pierwszej. A kiedy lud francuski przenosil zaszczytną śmierć w walce nad niedostatek żywiącej pracy, to oprócz własnych praw do materialnego życia, domagał się także ogólnej pracy krajowej, pracy nad uwielmożeniem godności ojczystej, nad spełnieniem posłannictwa narodu. Za Konwencyi, lud francuski głodny, bosy a liczbą szczuplejszy, wypędzał sprzymierzeńców, wstępnym bojem zdobywał Belgię, podawał treść do eposu wojen

włoskich, nieskarżył się na głód ani na brak pracy, drwił z niewygód, przestawał na połowie zwykłej strawy, pracował bowiem i zwyciężał za ojczyznę; za ludzkość. Troista postać rewolucyi w Europie, zbiegała się w Francyi w jeden syntetyczny węzeł, który należało rozciąć za jednym zamachem. Rząd tymczasowy pominął dwa drugie względy, całą zaś uwagę zwrócił na kwestyę wewnętrzną, na zagadkę stosunków społecznych, w obec której niebawem rozkrył przed światem konieczne swoje niedołęztwo.

Obejrźmy pokrótce stanowisko dążeń społecznych we Francyi, dążeń wywołanych zmaterializowaniem ogółu, popchnięciem narodu na niewłaściwą mu drogę wyłącznego przemysłnictwa, szaloną chęcią bogacenia się, ubóstwieniem kapitału, niemilosierzną i zażartą zawzięcią spółzawodnictwa, despotyzmem pieniądza nad pracą, a stąd nędzą ludu, przekłębieniem wydziedziczonych na wieczną niedolę helotów.

W obyczajach, w prawach zwłaszcza cywilnych Francyi, po obu stronach średniowiecznego feodalizmu, spostrzegamy widocznie tętniące żywoły zasadnicze bytu dawnych Rzymian. Treścią ducha rzymskiego była osobistość naprzód pojęta w państwie, następnie w samym sobie. Obywatel rzymski uważał się pośród ludzkości za uprzywilejowanego pana wszechstworzenia. Rzymianin tylko był doskonałym, prawnym właścicielem, reszta ludzi to barbarzyńce podbite dlań na usługi lub przeznaczone na łup zwyciężskim jego orłom. Takowy spóldziedzie świata, dla dowiedzenia swojej godności musiał koinuś rozkazywać, miał więc niewolników, musiał oprzeć znaczenie swoje na wyłącznem mu prawie. przysądził więc sobie przywilej własności. Tłum wydziedziczonych Kwiryków pojawił się dopiero między południem a zachodem słońca potęgi rzymskiej, w szorstkich atoli czasach Rzeczypospolitej niewolnicy tylko i wyzwolenicy składali ludność ruchomą. Skoro zaś nieubłaganą logicznością ekonomii politycznej, ziemia szerokimi podziały znalazła się w rękach samych prawie patrycyuszów, lud łącząc z własnością pojęcie ostatecznej wolności, zażądał prawa ziemskiego (*legem agrariam*), w skutek którego każdy z Kwiryków ujrzał się właścicielem równej dzielnicy. Prawo to, dokonane przemocą fizyczną, wynikłe z rozszalałych



pojęć wolności indywidualnej, depcąc wszelkie uczucia słuszności, rzuciło w przyszłość nasiona nieobrachowanie zgubnych owoców. Wygórowanie to atoli indywidualizmu w Rzymie, trzymało strój z pojęciem dumy narodowej. Obywatel rzymski domagał się od ojczyzny nieograniczonych praw, przyjmował jednak na siebie wszystkie obowiązki, niedopuszczał niewolnikom krwi przelewać za potęgę i wolność kraju, sam trawił życie w bojach i na urzędach, jeżeli zaś wyłącznie garnął przywileje, nawzajem sam ponosił cierpienia i trudy narodu.

Podobną organizację wewnętrzną widzimy w dawnej Polsce, z tą różnicą że zasady Chrześcijaństwa wyszlachetniły pojęcie indywidualizmu i powszechne braterstwo postawiły za ostateczny cel postępu. Patrycyusz polski w każdej chwili niezapominał się w narodzie i w sobie cały naród poczuwał; on także żądał wszelkich praw ale sam również pełnił wszelkie obowiązki; wolność jego była nieograniczoną, osoba i majątek należały do ojczyzny; krwi swej i fortuny niebył właścicielem jedno szafarzem. Obyczaj zaczerpnięty z ducha narodowego silniej nad marmurowe tablice prawa ograniczał własność. Wielmożnik polski nad życie cenił równość szlachecką, niepodległość osobistą podnosił aż do swawoli, ulegając wyobrażeniom epoki gardził mieszczaństwem i przemysłnictwem, jakgdyby przeczuwał dokąd takowe Europę kiedyś zawiodą, batożył i niewolił lud ale bił też i własnego trzydziestoletniego syna. Z postępem pojęć, tak jako zaprzestał na kobiercu rozciągać wąsatych synów, również byłby odzwyczaił się od bicia chłopca, byłby wzniósł go do swojej godności, uszlachetnił w nim ducha i osobę, przypuścił do wspólnych praw i zaszczycił wzajemnością ojczystych obowiązków. Takim trybem, w Rzymie duma narodowa, w Polsce uczucie obowiązku i przedzucie ogólnego braterstwa, kładły tamy indywidualizmowi i ograniczały przywilej, ostatecznie bowiem kto niepełnił obowiązków, ten tem samem wyrzekał się praw. W Francyi równie jak i w reszcie Europy, stosunki społeczne dziś cale odmiennie się przedstawiają. Indywidualizm dobiegł ostatnich krańców zmateryalizowania i samolubstwa; obowiązki zarówno rozprysły się na masę, przywilej zyskany bąd dzie-



dzictwem, bąc pracą lub szczęściem (różnice te bynajmniej niezminiają wewnętrzną jego istoty) przywilej, powtarzamy, przyrósł do pojedynczych osób. Ześrodkowanie władzy sprawiło, że każdy obowiązek domagał się natychmiast materialnego wynagrodzenia; ludzie szukali sposobu do życia w zastosowywaniu praw bożych i ludzkich, w obronie kraju; naród przestał wybierać swoich zwierzchników, przyjmował ich wedle szczeblów hierarchii lub upodobania rządu. Był to pierwszy cios zadany równości, pierwszy związek nowożytnych kast.

Wolność osobista, taka jak ją określił kodeks rzymsko-napoleoński, jaką ludzie uważają dziś za ostateczny wyraz swych żądań, zależy: na równości materialnej w obliczu prawa, na nienaruszalności osobistej, na swobodzie myśli i słowa, na rozrządzalności swem dobrem, chociażby w najszaśleńszy sposób, na godziwości własnej obrony ale nie na konieczności wzajemnej pomocy, słowem na wchłonięciu w siebie wszystkich praw, na postawieniu się samotnem ale nietykalnem w społeczeństwie, na ubóstwieniu samego siebie i na prawnem zobojętnieniu względem drugich. Wykładnikiem tej wolności jest własność, przywilejem zaś rozłukane nadużycie praw właścicielskich. Wolność takowa, jakoteż do rozwinięcia jej potrzebna własność, jest dziś we Francyi wyłącznym każdego celem, właścicielstwo najzaszczytniejszym tytułem budzącym zazdrość a szacunek.

Albo niema Boga nad światem, albo też podobna wolność jest fałszem, kłamstwem zbrodniczem zadaniem Ewangelii.

Dążenia przemysłowe naszego stulecia, ludność gromadząca się po miastach i zakładach fabrycznych, wywiodły pauperyzm, straszną kohortę przyszłego Spartakusa. Tu znowu wystąpiły dwa śmiertelnie na siebie zawzięte żywioły, kapitał i praca. Pierwszy niedościgły, wyslizgujący się wszelkiemu prawu i wszechmocny, samowładnie rozkazywał drugiej; wedle zachcenia przyzywał ją lub odpychał, sam gnębiony spółzawodnictwem mścił się nawzajem na pracy. Gra przemysłowych zabiegów, w której zręczniejszy i silniejszy szybko się z bogacał, sprawiała, że kapitalista puszczał się na olbrzymie

przedsięwzięcia, zakładał ogromne rękodzielnie, sprowadzał massy wyrobników, gdy mu zabrakło własnych zasobów, czerpał obficie w urojonej skrzyni kredytu, nareszcie bankrutował i tłumy nędzarzy o głodzie na bruk wypędzał. Inny rósł w pomysłność, tysiące rąk u siebie zatrudniał, ale cóż z tego, kiedy dzienna płaca robotnika nie wystarczała mu do życia: chce ją powiększyć, byłby musiał drożej swoje wyroby sprzedawać, czyli dochodząc do ostatecznego wypadku nie byłby znalazł kupców, spółzawodnicy bowiem taniej towar ofiarowali, zatem znowu bankructwo, znowu wyrobnicy mrą z głodu. Ktokolwiek miał sposobność bliższego przypatrzenia się miastom fabrycznym Francji lub Belgii, ten słuował z przerażenia na widok całych pokoleń żyjących w zatęchłych podziemiach, błędnych, wychudłych, piętnaście godzin dziennie wprężonych do pracy, śpiących na błotnistych barłogach, pożywających nędzną strawę raz na dzień zgotowaną, istot na podobieństwo Boga stworzonych a zamienionych nędzą w martwe kółka maszyny. Prawdziwe to piekło przemysłu. Zaledwie dziecię stąpa o własnych siłach, zamiast dania mu jakichkolwiek przedwstępnych, człowieczych wyobrażeń, wiedzą je do pracowni; zanim nauczy się pacierza już umie wystrzygać, wiązać, nawijać; tam potwornieją mu członki, niedorosły grzbiet w garb się wydyma, głowa opada ku piersiom, kabłąkują się nogi, przygasłe oczy szkli blask gorączkowy. tam dochodzi wieku młodzieńca, męża i starca. Tymczasem przemysł coraz wysiła się na wynalazki, spółzawodnictwo codzien ceny obniża, wyroby się mnożą, żądania tylko dodają, rękodzielnie rosną w maszyny i w ludzi, gangrena pauperyzmu z każdą chwilą szerzej się roztacza. Bolesna ta strona ludzkości kryje się przed światłem, rzadko kogo w oczy uderza, zdaleka błyszczy tylko świeżo pobielone rękodzielnie, w ciasne zaś zaułki przedmieść ledwo kiedy niekiedy jaki entuzyasta antykwaryusz przypadkiem zabłądzi.

Ale niedość odsłaniać te rany społeczeństwa, niedość wzruszać-się ich widokiem, trzeba szukać zaradczych środków; w naturze obok trucizny rośnie lekarstwo, należy je wynaleść. Jako? miałyżby niby Kaimowe potomstwo, całe pokolenia być skazanemi na wieczne potępienie? miałyżby uświęconą

być teoria Brennusowego fatalizmu a Opatrzność zapartą? Za czyjeż to winy przychodziłby na świat ten tłum ludzi odsądzonych od praw ludzkich, pozbawionych wszelkiego światła, słodczy rodzinnych związków, swobody odpoczynku, dobrodziejstw i uroków natury, których kolebką byłaby garść słomy, widokregiem sklepienie rękodzielni, szczęściem kubek rozpajającego napoju, powołaniem gorzka a nieustanna praca, przytułkiem na starość róg uliczny lub szpital? Nie — dzięki Bogu, jeszcze nie przyszliśmy a dziś mniej niż kiedykolwiek przyjdziemy do tego zwątpienia.

Kwestya równowagi społecznej, nauka o sprawiedliwym podziale bogactw zwana inaczej ekonomią polityczną, od wielu dziesiątków lat silnie zaprzętnęła uwagę ludzkości; postanowiono wyrwać tajemnicy zaradcze środki, zanim jednak czynnie wzięto się do dzieła, otworzono na roście szranki różnego rodzaju teoryom. Wystąpili ekonomiści niosąc zapas gotowych formuł na oznaczenie prawdziwej istoty kapitału, pracy, wartości, zamiany, wyrabiania i spożywania. Śród mnóstwa systemów w których jedni szukali wzrostu bogactw przede wszystkim w uprawie ziemi, drudzy niepojmowali pomyślności państwa bez szczególnej opieki nad niektórymi gałęziami przemysłu, bez nakładania cel lub zakazu pewnych towarów, inni utrzymywali zupełną wolność handlu, grozili zniesieniem opłat i komor, wszyscy spotykali się na jednym wspólnym punkcie nieograniczonej wolności w stosunkach żądania i ofiary, na osiowej zasadzie ekonomii, wypowiedzianej przez J. B. Say'a, w słowach «wolnej pracy i wolnego przechodu» (*Laissez faire, laissez passer*). Opierając dowodzenia swoje zawsze tylko na liczbach, na doświadczeniu wyciągniętem z niezaprzeczonych faktów, na matematycznym urzeczywistnieniu w naturze każdego ich zdania, każdej przepowiedni, ekonomiści z nieubłaganą logiką druzgotali każdy wniosek niewynikający z wiecznych praw materyi, z pogardą za jednym podmuchem empiryzmu wywracali najświetniejsze gmachy socjalistów, wątpliwców zaś wiedli na targ publiczny i tam w doraźnem zastosowaniu przekonywali ich o wyższości praktyki nad mrzonką.

«Własność, mówili socjaliści, rozumiejac przeto summe



nadużyć wynikłych z bezwarunkowego posiadania, własność płodzi w człowieku samolubstwo, zobojętnia go na najświętsze uczucia, szczepi w nim rozhukaną chęć materyalnego zysku, z krzywdą wydziedziczonych obdarza go wyłącznie potęgami przyrodzenia, które Opatrzność bezwzględnie na usługi całej ludzkości przeznaczyła, gubi w nim pojęcie człowieczeństwa, ojczyzny a rozwija indywidualizm», i na dowód przytaczali wieśniaka francuzkiego który od czasu jak się stał właścicielem, wypiera się troski o naród, widzi tylko granice swojej posiadłości i drogę prowadzącą na targ, niemarzy jedno o zaokrągłaniu i rozszerzaniu swego dziedzictwa, niedba kto w kraju panuje, rodak czy cudzoziemiec, król czy prezydent, drwi z uczucia dumy narodowej i policzków lub wawrzynów ojczyzny, ubóstwia każdy rząd który mu zmniejsza podatki, przekląłby każdy system, który dla zbawienia nawet ludzkości poważąłyby się ońary pieniężnej od niego zażądać.

«Własność jest bożą, świętą zasadą, odpowiadali ekonomiści, własność jest podstawą rodziny a więc warunkiem moralności, celem którego dopięcie wynagradza zwykle życie pełne ciężkich trudów a więc bodźcem do pracy, tem samem zaś mnożnią narodowego bogactwa; własność nietylko że niezobojętnia ale owszem przywiązuje człowieka do ziemi rodzinnej; jeżeli obdarza rolnika wspólną wszystkim rodzajnością gleby do której to praca właściciela znakomicie się przyczynia, nawzajem warsztatowy robotnik takież same siły znajduje w twardości kruszcu, w działalności ognia, słońca, powietrza, pary, wynalazków itd., własność bynajmniej nie wystudza w ludzie miłości do ojczyzny, przeciwnie, czyni go dbałym na jej losy i jeżeli wieśniak nierozumie donkiszockiej walki na drugim końcu świata za sprawę wdów i sierot, natomiast tak przeciw obcym jako i przeciw swoim barbarzyńcom, zginie w obronie kraju, w obronie własności. Od czasu uwłaszczenia ludu i rozdrobienia własności, Francya w stokroć zwiększyła swoje siły, jak ów bajeczny olbrzym, który za dotknięciem ziemi garnał w siebie milijonowe potęgi. Własność, to jednoznacznik z wolnością, z prawem, z porządkiem, z siłą; zniesienie własności, to rozbój, niewola, bezrząd i powszechna zatrata.»



Socjaliści odpierali, że wcale nie chcą znosić własności, ale jedno ograniczyć ją, że w systemie równego wymiaru (*égalité*), dziedzictwo nawet musi się utrzymać,<sup>1</sup> że jeżeli ekonomiści sami uznają w własności masę nadużyć, oni nawzajem zowią własnością sumę lub raczej zasadę tych nadużyć, że dla jednych jak dla drugich własność wraz z jej nadużyciami jest rodzajem wieloboku, któremu za powszechną zgodą należy odrąbać kąty, ale że po skończonej operacji ekonomia nie przestanie dowodzić, że figura zawsze jest wielobokiem, podczas gdy socjalizm będzie tylko w niej widział koło.<sup>2</sup>

W badaniach nad ulepszeniem losu klasy robotczej, pierwszą zagadką na którą rzuciły się teorie, było oznaczenie rzeczywistej istoty wartości. Ekonomiści prawili że wartość jest ostatecznym wynikiem ze stosunku wyłożonego kapitału do pracy i następnie do poszukiwania i ofiary kupującego; socjaliści na to, że prawdziwym wykładnikiem wartości powinna być tylko praca, przytaczali słowa Rikarda który mówił że praca była pierwszą ceną, pierwszą monetą za którą wszystko kupowano, lub bronili się powagą Nestora ekonomistów Adama Smitha, który kilkakrotnie powtarzał, że praca jest jedynym, ogólnym, słusznym wykładnikiem wartości, że każdy wyrób wart tyle, ile kosztował pracy lub wydatku, że przemożnym wpływem na oznaczenie wartości jest uczestnictwo właściciela, który wymaga udziału w każdym wyrobie, jaki pracownik kształtuje lub z ziemi wyprowadza, że nareszcie sam J. B. Say przyznaje, iż właściciel w niczem osobiście nie przyczynia się do użyteczności wywołanej przez robotnika.

Brak pracy lub zmniejszanie dziennej zapłaty, które często rzucały na bruk robotników, były przyczyną, że socjaliści zaczęli przeklinać spółzawodnictwo i dla uwolnienia nędzarzy od tego upioru umyśleli: wzniesć nowy system składając w ręce władzy inicjatywę wszelkich prac i wyrobów, wezwać rząd na jedynego i ogólnego przedsiębiorcę, pod jego opieką zastąpić pojedyncze zakłady wielkim stowarzyszeniem rzemieślników,

<sup>1</sup> Lettre de J. P. Proudhon à Victor Considérant, page 27.

<sup>2</sup> *Detto*, p. 23.

oznaczyć wedle umiarkowanych zasad godziny pracy i dostateczność wynagrodzenia. Tu ekonomiści, wcale nie wyężdżając sił za jednym podmuchem walili gmach niedojrzałych zamiarów. «Zgoda, mówili, niech się stowarzyszają robotnicy, niech mniej pracują a więcej zarabiają, poświęćmy zasadniczą prawdę, wolności indywidualnej, bez której ożywnych promieni nie na ziemi nie wzrasta, nie kwitnie, nie dojrzewa; wzniesmy ołtarz monopolowi śmiertelnemu wrogowi praw bożych i ludzkich; jeżeli uda się nam wytłumaczyć gorliwemu i zdolnemu, żeby pracował na leniwca i niezdarę, jeżeli humanitarną miłością potrafimy w nim zastąpić troskę o los własnej rodziny, naówczas niema wątpienia, że rękodzielnie francuzkie niebawem podwoją ilość swoich wyrobów. Ale na tem nie koniec; uorganizowanie samej pracy jest dopiero połową zachoðu; dla zupełnego odpowiedzenia celowi potrzeba jeszcze uorganizować odbyt, bez którego wyroby będą tylko martwym towarem, potrzeba mieć zawsze na pogotowiu pieniężnych kupców lub też wyszukiwać ich i przemocą zniewalać do zawierania handlowych układów. W takim razie wypada na wieki pożegnać się z wolnością; wreszcie, gdyby szczęście społeczeństwa wymagało i tej nawet ofiary, zgoda na nią, ależ dla upożytecznienia jej trzeba kapitałów, kapitał zaś wystraszony przemysłowym terroryzmem wyśliznie się podziemnymi nurty, skryje lub ucieknie z kraju, o kredycie myśleć nie można, targnąwszy się na wolność, kredyt bowiem jest wynikiem zaufania, zaufanie zaś może tylko wypłynąć z wolności. Wprawdzie pieniądz będąc tylko symbolem wartości, łatwo da się zastąpić przez inny symbol wystrzyżony z papieru i zaręczony przez naród; bilety bankowe i weksle krążą równie dobrze jak brzęcząca moneta, ale dla tego jedynie krążą, że noszą w sobie moralną rękojmnię możebności zamienienia ich w każdej chwili na gotowe pieniądze, inaczej uległyby losowi akcji Law'a, asygnatów Wielkiej Rzeczypospolitej i wtrąciłyby kraj w przepaść bankructwa.»

Co tu było odpowiedzieć na tak oczewiste dowodzenia ekonomistów; wynikłe z zasady wolności i przekonywające o konieczności spółzawodnictwa? Bezstronni badacze uznali teorię organizacyi pracy za bezrozumną, sam nawet wódz dzisiejszych

socyalistów otwarcie ją potępił, mówiąc, że dotychczasowe teorye socyalne nie zdołają zaradzić nędzy ludu w obecnym jego stanie, że organizacya pracy jest niczem innym jedno wykluwaniem oczu wolności.<sup>1</sup> Co do kredytu, szkoła radykalnie postępowa utrzymywała, że takowy powinien opierać się i przedstawiać istotne bogactwo całego narodu nie zaś bezpośrednią wartość kruszcu, że zatem naród mógł stworzyć tyle pieniędzy, za ile odpowiadał summą swego ruchomego i nieruchomego mienia, materyalnych i moralnych zasobów i narzeszcie pracy. Tu zwolennicy ekonomii na gwałt uderzyli w dzwony, krzycząc, że komuniści chcą kraj rabować.

W kilku tych słowch, za ledwie tu i owdzie dotknęliśmy brzegów rozległego morza stosunków społecznych, morza dla oznaczenia powierzchni którego trzeba by długim i mozolnym trudem ogromną księgę wypracować, a które w głębiach swych kryje nieprzewidziane dziś dla nas zjawiska. Wspomnieliśmy tylko o dwóch koryfeuszach socyalizmu<sup>2</sup>, ważnych kiedyś dla historii filozofii, nietykając nawet żadnego z chorobliwych marzycielów, którzy pozbawieni wszelkich dowodów twierdzących lub logicznie zaprzecznych sił, wzbudzają przelotną ciekawość ale nigdy surowej uwagi. Pominęliśmy wściekłych obłąkańców, z których jedni powodowani szaleństwem, inni rozpaczą, ostatni rozbójniczymi skłonnościami, w materyalnym podziale bogactw, w nocnym rozlewie krwi, w odarcieiu posiadacza na korzyść zbrodni, chcieliby za jednym uderzeniem noża wprowadzić równość w narodzie, równość roschełznanych zwierzęcych namiętności, równość upodlenia, równość nędzy. Komuniści XIX<sup>o</sup> wieku pijani materyalizmem, są to podrzutki ludzkości, których społeczeństwo niezdolne dotąd wychować, oświecić promieniami wszechmiłości i religii, musi teraz krwią bratnią obryzganych, wlec na rusztowanie.

Z tem wszystkiem, teorye komunistyczne których zastosowywacze oddawna już zaludniają galery portów francuzkich, w ostatnich czasach otrzymały zaszczyt podciągnięcia pod swoją nazwę wszystkich usiłowań postępowych. Duch samo-

<sup>1</sup> Organisation du Crédit par J. P. Proudhon. Paris 1848.

<sup>2</sup> L. Blanc, Proudhon.



lubny mieszczaństwa i właścicielstwa, przeciwiący się wszelkiemu postępowi, zniewieściałą w dotychczasowych wygodach, trwożliwy przeto na każdą zmianę, zatyły w zmysłowości i rozzuchwalony powodzeniem, każdego kto śmiał cierpieć wraz z cierpiącymi, kto miłość, natchnienie, zapas wiedzy, ciężką pracę, wyprowadzał do walki przeciw nędzy, kto nie mógł dać się przekonać, żeby stan nasz społeczny był istotnym wyrazem prawdy, kto wierzył, że z wolą i poświęceniem można godniej odpowiedzieć Chrystusowym celom, duch ten, powtarzamy, zatopiony w ubóstwieniu własnej gliny, każdego z tych wskazywał palcem, obluźgiwał przydomkiem kommunisty. Znana to historia w dziejach ludzkości; nie pierwszy to już raz gawieź, w boju za przyszłość widzi szaleństwo, w krwawych znojach za prawdę, upatruje zbrodnicze zamachy, ba nawet drobnym ulepszeniom urąga i plwa. Działo się to i dzieje we Francyi i Anglii, we Włoszech i Niemczech, a nawet i u nas, kiedyć po polsku piszemy moglibyśmy we własnej kronice zaczerpnąć siła przykładów. Czyliż niewykrzykiwano od zdrajców na autorów konstytucyi 3<sup>o</sup> Maja? Czyliż nie ścigano zarzutami jakobinizmu każdego, kto śród dygnitarzów považał się odzywać o prawach człowieczych ludu? — Co więcej, po ogłoszeniu królestwa kongresowego gdy namiestnik przedsięwziął bitemi drogami kraj wzbogacić, czyliż nie powstawano na cudzoziemczynę, na zuchwalstwo nowatora? Kiedy dla wydzwignięcia odłużonej szlachty zawiązywało się Towarzystwo kredytowe, czyliż szczędzono posądzeń o oszustwo, o kradzież publiczną, o rozbój? Dziś w stosunkach włościańskich kto się za ludem odezwie, ten kommunistą; kto cierpi na samolubstwo i obojętność szczęśliwców, ten kommunistą; kto niebije czołem przed przywilejem i nie wynosi pod niebiosą tych, którzy rozparci na najwyższych szczeblach światowej drabiny raczą sobie czasem przypomnieć w jakim kraju się urodzili, ten kommunistą; kto żyje trudem, poi się cierpieniem, wlepie wzrok w przyszłość, w zboląłem sercu i w skolatanej myśli dopytuje prawdy; kto modlitwą czynu i pracy chciałby doblagać się zaradczych środków na nędze polityczne, moralne i cielesne; kto w twarz świeci obłudzie, gardzi półśrodkami, uczucie stawia do walki przeciw doktrynie, ten kommunistą! podżegaczem! rabusiem!



jak sobie sami chcecie, wszyscy bowiem dziś jednakowo rozumieją znaczenie zajadłej obelgi.

Wróćmy do Francyi, wróćmy uczyć się anatomii na cudzem ciele.

Oba stronnictwa socyalistów i ekonomistów, zupełnie zgaźdały się co do wniosków społecznej diagnozy, oba dokładnie postrzegały rany ludzkości, oba przyznawały nagłą konieczność rozstrzygnięcia kwestyi o istocie wartości i o pogodzeniu kapitału z pracą, pierwsze tylko dobijało się prócz tego stanowiska na którym byłoby mogło osadzić zagadkę ograniczenia bezwarunkowej rozrządzalności własnością, i ujęcia wolności osobistej w karby braterstwa. Ekonomisci zbrojni w groźny arsenał dowodów empirycznych, zasłaniali status-quo doktryną, nieuznawali potrzeby wystawienia nowej zasady społecznej ale półśrodkami chcieli złemu zapobiedz; dowodzili więc że pilniejszą uprawą roli, wprowadzeniem wolnej zamiany, osadami w Algierze, sprawiedliwym rozkładem i usadowieniem podatku, pomnażaniem bogactwa narodowego, pauperyzm da się pokonać; socjaliści odpowiadali, że gdyby kto tysiąc miliardów przysłał w podarunku Francyi, pauperyzm nie zniknie; kwestya bowiem nie zależy na pomnożeniu bogactw, ale na sprawiedliwszym ich rozdziale, na wynalezieniu słuszniejszych stosunków. W ogóle, jak jedni tak i drudzy, doktrynę wystawiali przeciw doktrynie, materję przeciw materji; ze starcia się tych dwóch jednostronnych żywiołów, mógł tylko wybuchnąć pożar ale nigdy zbawienna prawda. Zagadka socyalna objawiła się w czasie ale bynajmniej nie w ludziach; wyprowadzający ją, jedni uposażeni olbrzymią siłą zaprzeczną, drudzy apodyktyczni w teoryach, skarłowaciel w chwili przyłożenia ręki do czynu. Byli to po części ludzie, którzy nie więcej nieumieli, jedno poczuć w sobie najgłębiej cierpienia wieku, których ubezwładnił zaprzeczny materyalizm, którzy upadli przez ubóstwienie rachuby a pogardę natchnienia, przez brak pojęcia z czystego ducha a uporczywe szamotanie się z materją. Zagadka stosunków społecznych na drodze duchowej, tylko na mocy zwyczaju wykwitłego z prostoty, pokory, zaparcia się i miłości, może dać się rozstrzygnąć; tysiące ustaw, martwa litera prawa, w niczem jej nie poradzą. «Zakon rodzi grzech»,

mówił S<sup>r</sup> Paweł; jakoż co się stanie gdy dzisiejsza Rzeczpospolita zacznie rozporządzeniami, prawami, dochodzić wątku tajemniczego kłębka? Podwyższanie podatków, oto dotychczas jedyny skutek jej zabiegów. Mniejszość zawsze będzie uważać się uciemioną przez większość, zawsze będzie wzdychać do błędnych majaków swej wyobraźni, do czasu będzie karmić się własną żółcią, i ulegnie sile; powoli jednak gdy pomimo sztucznych wymysłów rządu, nędza nieprzestanie oglądać ludu wyrobniczego; gdy pauperyzm coraz straszniej zacznie mnożyć wychudłe falangi, wściekły obłęd znowu ofiarom poda broń w rękę, i krew się znowu poleje. Przypuściwszy nawet że socjaliści wezmą górę, i wtedy jeszcze sfinks się nie rostajemniczy; gdzież bowiem według dzisiejszych ich zdań szukać zbawczego talizmanu? Gdzie kryje się zasadnicza ich a wszechmocna prawda? Równość w podziale światła, zdolności i bogactw ziemi, nie pierwszy to już raz staje jako ideał przed sercami zapalonymi gorącą miłością ku człowieczeństwu. Oddawna już Ormuzd stara się wyrównywać stopniowanie w wykształceniu, w stanie, w godności, w majątku, podczas gdy Ahriman przesądem i przywilejem walczy przeciw tym usiłowaniom. Jeżeli jednak wspólność dóbr niema być mrzonką, musimy wprzód zaczekać póki równość praw do ziemi nie zrównoważy się z równością cnót, zdolności i pracy; przypuszczenie to od rzeczywistości rozdziela niezglębiona przepaść; w żadnym zaś razie nieuznamy aby strojnie z pojęciem prawdy i wolności, społeczeństwo kiedyś wszechprzytomne, nieomyłne, mogło zmuszać człowieka do równych cnót i do równej pracy, lub też aby mu co wieczór wypłacało nagrodę stosowną do jego dzieł. Przestrzeń i czas, oto dwa warunki, które Bóg położył za konieczne do urzeczywistnienia każdej idei; zbrodnią jest zrywać się przeciw prawom natury, i dla niedojrzałych pojęć, na wyłącznie materialnej drodze poświęcać całe pokolenia. Francya zaprzepaszczone w zmysłowości i w doktrynie, topiąc się cała w jednej kwestyi socyalnej, nietylko że jej nierozwiąże, ale nawet ostatecznie niepostawi. Potok rewolucyi zwrócony z dwóch bliźnich kierunków, a cały puszczony trzeciem tylko łożyskiem, zamiast użyznienia ziemi, wzbierze krwawą powodzią; rewolucya francuzka może jedno pomyślnie rozwinąć

się od razu na polu narodowym, politycznym i społecznym; ostateczne zaś rozwiązanie zagadki socyalnej Bóg nie jednemu wyłącznie narodowi ale całej ludzkości powierzył.

Tu gdybyśmy słuchali tajemniczych własnych przeczuć, powiedzielibyśmy, że syntezę potrójnego posłannictwa względem ludzkości postawi Francya, spełni zaś Polska. Pomijamy zbyt wyraźne a łatwe dowodzenia wpływu, jaki wywrze na Europę zadośćuczynienie względem Polski prawom narodowości i organizmu politycznego, napomykamy jedno o kwestyi powszechnych praw człowieka i stosunków jego do społeczeństwa.

Przypatrzwszy się bliżej ustawie wiślickiej przed pięciuset lat wydanej, przekonamy się, że Polska Piastowa wówczas już ważyła w swoim duchu prawdy, nad któremi Francya, jak gdyby nad nowością rozprawiała w r. 1789<sup>ym</sup> i 1830<sup>ym</sup>. Pojęcia obowiązku, wolności osobistej i braterstwa, w żadnym narodzie niewzbiły się do tak niesłychanej potęgi. Wiedziano nawet, że większość raz pochwycona przez jedno stronnictwo, może stać się niebezpiecznym narzędziem w ręku doktryny; starano się więc ograniczyć ją bezmiernem wygórowaniem osobistego przywileju. Znano system wyborów i opierano go na wartości moralnej nie zaś na podatku; postawiono zasady równości i braterstwa, stosowano się do nich obyczajem, a jeżeli im nieraz kłamano, jeżeli nie dotarto się ostatniego ich blasku, winą to było raczej ducha wieku niż ludzi. Jakgdyby w przeczuciu że nadejdą czasy gdzie rzemiosło wyłącznie wojskowe i regularne wojska staną się ciężarem dla narodu, posługiwano się w potrzebie chorągwiami czyli gwardyą narodową stałą, i pospolitem ruszeniem czyli gwardyą narodową ruchomą. Sądy polubowne polskie, dawniejsze są od sądów przysięgłych angielskich i francuzkich.

W istocie, porównywając dzieje naszych przodków z historią innych ludów europejskich, śmiało można wyznać, że niezabraknie powodów do wzdęcia piersi rodacznej szlachetną dumą i chwałą z wspaniale przekazanego nam duchowego dziedzictwa. Przed 50<sup>ci</sup> laty, gdy Francya krwawo znoić się nad rozwikłaniem zagadki politycznej, w Polsce błyszczał już



socyalista pamiętny w sercach ludu, socyalista nie teorii ale czynu. Tadeusz Kościuszko był socyalistą jedynym jaki może przypaść i wyłonić się z prawdziwej istoty ducha narodowego polskiego; jeżeli zaś chcemy poznać stosunek pojęć społecznych polskich do francuzkich, stosunek dążeń ludu z nad Wisły do wymagań proletaryatu z nad Sekwany, jeżeli chcemy przekonać się gdzie więcej żywiołów budowniczych a gdzie niszczących, porównajmy dwa hasła, w których najsilniej odtętnia charakter narodowy, pod którymi zaś występował do boju wieśniak polski i rzemieślnik we Francyi. «Albo żyć w pracy lub umierać w boju», pisał Lagrange na proporcju barykad lyońskich, gdy wiódł zgłodniałe wyrobnictwo do upominania się o nowy społeczny porządek; na chorągwi przewodniczącej kościuszkowskiemu ludowi a poszarpanej kulami z pod Maciejowic, widać było namalowany snop zboża, godło naszych pracowników, nad nim zaś napis: «Oni żywią, oni bronią». Lud francuzki pod swoim hasłem dopominał się praw i groził zemstą; legenda polska pod którą wieśniak walczył za ojczyznę, przypominała narodowi świętość wspólnych obowiązków, odwoływała się do uczuć braterstwa, bynajmniej zaś do przemocy. Wywód historyozoficzny przekonałby nas o wyraźnej istocie prawdy, której potwierdzenia wolimy na teraz szukać w bezpośrednim uczuciu; niepodpada jednak wątpliwości, że węzeł rewolucyjny rzucony Europie z warunkiem ciągłego mozołu, nieda się rozwikłać jedno w natchnieniu, w wywianiu z serc dawnych uraz, w przejęciu się gorącą miłością. Chwila oswobodzenia Polski, kraju gdzie ziemi podostatkiem, gdzie z głodu nikt umrzeć niepotrafi, gdzie niema proletaryatu ani kramarskiego mieszczaństwa; chwila ta powtarzamy dostarczy miłości, zapału i poświęcenia do targnięcia się na spełnienie posłannictwa tak ciężkiego dziś dla innych ludów. Na Francję dość już ciężaru odgadnąć istotę i cel ostatniej rewolucyi, puścić jej potok właściwem łożyskiem, zmasać dawne hańby, jeżeli duch jej twórczy jest jeszcze zbyt wątłym do czynu.

Obaczmy jak sobie postępował w tej mierze rząd tymczasowy.

Otwarcie mówiąc, żadne stronnictwo nie miało prawa przy-



znawać się do wywołania Rzeczypospolitej z popiołów królewskiego tronu; historia wyręczyła w ten ludzi, wymiotła monarchiję za pośrednictwem ludu i niedołężności przeszłego systemu. Ludzie, nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności wyniesieni na czoło narodu, osobiście niedorastający rewolucyi, nieprzygotowani do tak nagłego przewrotu, pojmowali tylko, że lud, samodzierżca miasta, wypędził Ludwika Filipa, że zdrajcami ogłosił zwolenników regencyi, i że nareszcie spalił tron. Ogłosili więc czempredzej republikę; jaki jednak kierunek i postać przybierze nowy system, tego żaden z nich nie mógł odgadnąć. Na szczęście, król samotnie przemyskał się do Anglii, niepozostawiał w kraju żadnego stronnictwa; w kilka dni po 24<sup>ym</sup> Lutego, przyjaciele młodszej i starszej linii uderzyli czołem przed Rzeczpospolitą; według wszelkiego zatem prawdopodobieństwa, żaden wewnętrzny zamach polityczny niezagroził budowaniu nowego gmachu. Główną trudnością było zadośćuczynienie żądaniom ludu, który wcale niepoprzestawał na zmianie form politycznych, ale domagał się treściwego przewrotu stosunków społecznych, przede wszystkim zaś wołał o zapewnienie mu środków do życia. Rząd rozumiał różnicę między rokiem 1789<sup>ym</sup> a 1848<sup>ym</sup>; poczuł że naród mniej dbał o odcienia polityczne, ale że natomiast, od pierwszych chwil republiki rozpadł się natychmiast na dwa obozy: posiadaczy i nieposiadających.

Pomimo demokratycznych zasad oddawna wyznawanych przez rząd rewolucyjny, większa część jego członków jakkolwiek zawsze popierała stronę ludu, w chwili jednak wyzywgo do czynu, niepokładała w nim żadnego zaufania. Kwestya społeczna naprzód się wytaczała; lud niecierpliwy jej rozwiązania mógł podać ucha zbrodniczym podszeptom; przeczuwane po części tajemne a piekielne doktryny oddawna nurtowały proletaryat; rozhuwane tłumy lada chwila mogły wezbrać na przedmieściach, wylać się na miasto, i przystąpić do zastosowania swoich teoryi. Większość rządu miotana podobnemi kłopoty, odłożyła na bok ludzkość, Europę, Francję; cwiężcej, cały zapas sił wyteżyła na utrzymanie spokojności i bezpieczeństwa w Paryżu. Mieszczństwo porwane w przepaść którą

samo pierwsze zaczęło było kopać; wystraszone o życie bardziej zaś jeszcze o własność; i niedziw, człowiek bowiem dzisiejszy więcej dba o majątek niż o własną osobę, o majątek, który naprzód jest jego życiem, następnie życiem jego żony, dzieci, rodziny; mieszczaństwo, powtarzamy, ciągle utrzymywało rząd w tej gorączkowej obawie. Lud atoli przemoc miał w rękach, panował samodzielnie; niepodobna było chcieć siłą nim zawładnąć; użyto więc fortelów jakimi niegdyś usypiano czujność monarchów; przyzwano w pomoc co najbieglejsze wybiegi dworactwa, i dalejże kadzić nowemu królowi, i schlebiać i wybijać mu pokłony, i wmawiać weń, że jest najpotężniejszym, najsprawiedliwszym, najmędrszym władcą na ziemi, że każda wymoga jego jest prawem, każda mrzonka rozkazem jak najłatwiejszym do spełnienia, to wszystko zaś dla tego jedynie, aby czasami w chwili dziwactwa nienapadła samowładcę chętka zażądania kilkunastu głów, kilkunastu majątków. Wprzódym nim go przypuszczono do uczestnictwa w dobrach świata, otworzone przed nim nieprzebrane skarby krasomowstwa, i pozwolono mu czerpać w nich pełnemi rękoma. W głębi swej istoty, lud nie składał się ani wyłącznie z aniołów ani z szatanów; zawierał w sobie wiele zgubnych żywiołów ale daleko więcej szlachetnych, zwłaszcza zaś te ostatnie płonęły w nim dziwnym blaskiem w chwili natchnienia, zapалу, dokonania ważnego czynu; wtedy rad zapominał o nędzy, tłumil w sobie namiętności, stawał rycerzem za wolność, za wszechmiłość, przebaczał krzywdy, kipiał żądzą poświęceń, domagał się ołtarza, na którym byłby mógł pracę, trud, spokój, cierpienia, krew, życie zaofiarować. Świat zdawał się za ciasny dla tego pracownika rozżarzonego bożemi uczuciami; człek dobrej woli z uroczystem podziwieniem poglądał na ten lud, który rozhuwany walką, w chwili wtargnięcia do nienawistnej mu Izby deputowanych, piersiami zasłaniał od strzałów wizerunek Ludwika Filipa mówiąc o cześci dla sztuki, niby Grek z dawnej Hellady; — który zdobywszy pałac królewski, urywał nagle zgiełek i klękał na widok krzyża ze Zbawicielem, — który własną ręką mordował złodziejów pojawiających się w pierwszych dniach rewolucyi rzadziej, niż kiedykolwiek, — który niósł wdowi grosz i jak sam prawil trzy miesiące nędzy w ofierze

dla Rzeczypospolitej; który niesplamił się żadną zemstą, nierozszalał żadną swawolą, — który zapomniał całkiem o sobie. Schwycić w danym czasie takie żywioły natchnienia, ściąć je w kryształ wystawieniem świętej zasady i rzucić w świat, niech piorunową potęgą druzgocą wroga ludzkości i światła, oto jest posłannictwo każdej wielkiej rewolucyi; ruch swobodny, rozwój szeroki, jest istotą podobnych wstrząśnień; systematyzowanie ich i zwłoka, zdrada. Mniejsza o to, że wzrok śmiertelny niedostrzega celu, gdzie się groźny potok zatrzyma; skądże ta zuchwała żądza odgadnięcia ujścia, w tych, którzy nieumieli dopatrzeć źródła z pod nóg ich wytryskającego? tam gdzie obowiązki mają się pełnić, rozbrat musi nastąpić z rachubą, inaczej strumień gwoli tamom występuje z brzegów i kłęskę niesie okolicy. Przeciwnie działo się w Paryżu; zamiast prawdy i czynu, opychano zwycięzców pochlebstwem i migotano im przed oczyma błyskotliwemi frazesy; lud długo i tem cieszył się, dopóki sam przez się nie ostygł; długo wmawiał w siebie, że wyrazami zaspokaja głód swój moralny, długo cierpiał, rdzewiał, zniechęcał się, brzydł na duchu, aż nareszcie we cztery miesiące po pierwszym jego dniu walki, spuszczone nań deszcz kartaczów, co niewymordowano, to powięziono, co nie powrzucono do więzień, to na wieki z ojczyzny postanowiono wyprawić gdzieś na ziemię żółtych febr i zgnitych gorączek.

Obok głównej dla Francyi zagadki stosunków społecznych, kwestya form politycznych zarówno przecie zwróciła uwagę sterników rewolucyi. Ustawa Lipcowa przeżyła już była swój czas, nowy porządek domagał się nowej konstytucyi; Francuzi jednak od pół wieku przyzwyczajeni do częstego wypracowywania podobnych ustaw, spokojnie oczekiwali chwili wzięcia się do dzieła; rządowi chodziło tylko o to, aby jak najprędzej zebrał Izbę posłów ludu, aby w ich ręce złożył władzę nienadużytą, kraj spokojny i miasto niezrabowane. Prawo wyborcze rozciągnięto natychmiast do wszystkich krajowców i tym plackiem miodowym ulagodzono na jakiś czas Cerbera socyalizmu.

Naród wśród tego, w kilka dni po wybuchu zapomniawszy



zupełnie o monarchii, wyglądał uroczystego aktu ogłaszającego nadejście nowej epoki dla ludzkości.

Gdyby ludzie z rządu tymczasowego posiadali byli słowo epoki, zapewne takowe mimowolnie byłoby im wydarło się z piersi, byłiby rzucili w świat ideę wielką, zasadniczą, osiową, około której rewolucya byłaby zakrążyła poważnym ruchem. Oczekiwano na chrzest republiki, który miał zmyć grzech krwawego jej narodzenia, ludzkość pragnęła dowiedzieć się, jakim ma ją witać imieniem, jakoż niebawem dowiedziała się o ogłoszeniu Rzeczypospolitej jako o skutku wypędzenia Ludwika Filipa; w wypadkach 24<sup>o</sup> Lutego spostrzegła uliczny rozruch a nie powszechną rewolucyę. Na publicznych gmachach wypisano hasło wolności, równości i braterstwa, rząd zaś jako tryb do spełnienia tego celu, codziennem swoim postępowaniem zdawał się u spodu ogólnika dodawać wyraz «półśrodk». Lamartine posągał się pośród wzburzonego tłumu, patrzył przede wszystkim, czyli artystycznie spływają po nim fałdy republikańskiej togi; na chwilę z oka nie tracąc wielkich postaci ludzi z 1792<sup>o</sup> r. sam jeden stawał przeciw falom rozhukanego ludu i piorunniemi słowy w proch obracał czerwone chorągiew, której widok zimnem przejmował paryżkie mieszczaństwo.

Zanim odsłonięto przedświt jakiegokolwiek idei, jak widzimy, swarżono się już po bohatersku o barwę narodowych znaków; rząd tymczasowy bezsilny do kierowania okrętem, wołał raczej zwinąć żagle, niż śmiało wypłynąć z przystani, wołał losy Francyi powierzyć barwie chorągwi, niż potędze własnego ducha. Za czasów Ludwika Filipa lud protestował przeciw systemowi zatykając na barykadach czerwony proporzec, rozwalwszy system dopominał się o swoje godło, należało wyszlachetnić mu je i oddać, inaczej rewolucya za pierwszym zaraz krokiem zapowiadała swoją doczesność, tymczasowość, wywieszała barwy trój kolorowe, jakgdyby tym sposobem chciała zostawić ludowi czerwoną na własny jego użytek, na zatknięcie jej w mających nastąpić powstaniach przeciw rządowi, jakgdyby przyznając się do własnej niedoleżności, uświęcała w ludzie prawo do zbrojnego oporu i ostrzegała go, że dziś nie czas jeszcze na ruch pod czerwonym proporcem. W chwili



gdy P. Lamartine ustalał republikę trójkolorową, stronnictwa ostatecznie szepeąc głuche słowa o zdradzie, oddzierały od drzewca czerwoną płachtę, chowały ją w zanadrze i przyrzekały sobie za pierwszą sposobnością na pełny wiatr ją rozpuścić. Zwycięstwo P. Lamartina zaszczyt przynosiło jego osobie, jego odwadze, jego krasomówskim zdolnościom, ale zarazem rzucało w przyszłość ziarna rozdwojenia i ubliżało jego przenikliwości.

Rząd tymczasem od pierwszego dnia niepojmując potęgi upożytkowanych namiętności, ciągle wysiłał się tylko na kolejne ich tłumienie i wszystkie sprawy swoje piętnował nieustanną obawą. Niepewny, czyli lud nierozmacha czasem jakobińskiej gilotyny, zaczął od zniesienia kary śmierci za polityczne występki.

Naszem zdaniem, kara śmierci jest jeszcze jednym z zabytków barbarzyńskiego prawodawstwa i potępiamy ją równie w polityce jako i w innego rodzaju przestępstwach; domagamy się atoli, aby każde święte prawo, jeżeli ma przejść w życie narodu, pochodziło wyłącznie ze świętych pobudek. Rząd tymczasowy zniesienie kary śmierci przeprowadził głównie jako tamę przeciw rozbestwieniu ludowemu, o którym sam ciągle marzył. Niebyło to prawo mówiące, że odtąd: «lud francuzki uznawszy godność człowieka, wyszlachetniejszy w sobie boże żywioły, przekonawszy się, że zbrodnią jest odbierać to, czego powrócić niemożna, wyrzekłszy się wszelkiej zemsty a miłość przyjąwszy za główną zasadę, postanawia na wieki wyrzucić z swoich praw karę śmierci jako przeciwną swemu duchowi, przekonaniu ich obyczajom; lud francuzki z serdecznym pospiechem do tego aktu przystępuje, przeczuwa bowiem, że według hasła wolności, równości i braterstwa, w nowym porządku społecznym, głos powszechny, wzgarda rodaków, wyrzucenie z rodzinnego koła współobywateli, najstraszniejszymi będą karami dla winowajców». W takim to duchu pragnęlibyśmy widzieć zniesioną karę śmierci i wtedy bylibyśmy pewni, że lud nigdy niezapomni o swojej uchwale, że rad utrzyma się na tem stanowisku, gdzie wyniesiono jego godność, że nie naruszy nigdy prawa poczętego za spółuczestnictwem moralnej jego pracy, że zawsze łatwo da się upaniętać i szaloną dłonią

sam niepochwyci nigdy za topór. Ale przywódcy 25<sup>o</sup> Lutego zamiast podnoszenia ducha ludu, przedewszystkiem starali się ująć go sobie, głaskali go i dla pokazania się godnymi jego zaufania, hołdowali jego namiętnościom. Powodowany tą myślą, rząd puścił akt oskarżenia w pogoń za uciekającymi ministrami i poznosił tytuły szlacheckie. Pierwszy krok był komedią niegodną brzasku słońca powstającej republiki, dobrze bowiem wiedziano, że żaden z byłych ministrów niezaśni o skruszeniu włóczni za dynastję, że nawet gdyby go zapraszano, niepokaże się na ulicach Paryża, że dostatecznie ukarany upadkiem, będzie chyba błakał się po Francyi dla przymierzania swojej nicości do olbrzymich rozmiarów nowego systemu. Co zaś do zniesienia tytułów, zaprawdę zbyt był widocznym charakter społeczny rewolucyi, aby można było myśleć, że naród będzie dbał o czyjąś pieczętę lub kareciany hieroglif i że potrzaskanie pierwszych a zatarcie drugich może go w czemkolwiek obchodzić. W kilkanaście dni później, lud wyrobniczy sam doskonale osądził to rozporządzenie, kiedy niepokojony wieścią, że bogaci uciekają z miasta, spotkawszy w lasku bulońskim szereg arystokratycznych powozów, otoczył je, zatrzymał i począł wołać: «niech żyją panowie! niech żyje szlachta, która niełęką się, która nieucieka przed ludem!»

Tymczasem, przemysł silnie już nadwerężony w ostatnich latach panowania Ludwika Filipa, zachwiał się od wystrzałów rewolucyi, opuszczony od kredytu opadł na siłach, pozamykał rękodzielnie i massy ludu wyrobniczego na bruk wyrzucił. Rząd pragnąc ująć w karby młodszą i dzielniejszą część ludności zeszej z barykad, zawyrokował utworzenie dwudziestu czterech batalionów gwardyi ruchomej, dla reszty zaś proletaryatu zaprowadził tak zwane pracownie narodowe, gniazdo przyszyłych Czerwcowych powstańców. P. Lamartine i jego towarzysze zamiast pokierowania ludu szerokim gościńcem rewolucyi, wlekli go po przepaścistych manowcach rozruchu, zamiast odpowiedzenia jego posłannictwu, spychali go na stanowisko materyalnego głodu, chcąc zaś wynagrodzić mu trud podjęty przy rozwaleniu tronu, umyślili otworzyć dlań pracownie, gdzie każdy z zapisanych miał prawo do dziennej płacy z obowiązkiem kochania Rzeczypospolitej, zasadzania

drzew wolności przy biciu w bębny i śpiewach i nareszcie odbywania processyi do ratusza z zapewnieniami szacunku i poświęcenia dla rządu tymczasowego. Obowiązki jak widzimy były nietrudne.

Skoro tylko rząd jałmużnę przemieniał w prawo, skoro zapewniał gromadom sposób do życia, niewywołując w nich natomiast poczucia żadnych obowiązków, łatwo można było przewidzieć, że lud sponiewierany w swojej godności, pozbawiony duchowego pola do rozwijania w sobie świętych zarodków, pofolguje zgubnym skłonnościom i w razie zamknięcia kass skarbowych, które prędzej czy później musiało nastąpić, znowu rzuci się do barykad, znowu całą siłą i pod różnemi postaciami będzie protestował przeciw zaprowadzonemu porządkowi, działanie bowiem ludu w politycznych i społecznych przemianach, z istoty jego ducha może być tylko zaprzecznem; ludu sprawą jest pokazywać rany, przywódców zaś, we wspólnem natchnieniu szukać na nie balsamu. Podziwienia godnem jest, że lud francuzki pomimo tak długiego i zaciętego materyalizowania go przez Burbonów, pomimo fałszywych kierunków, jakimi rząd rewolucyjny tłumiał w nim zapal i starał się zwichnąć jego ruchy, pomimo nędzy codzien dotkliwiej mu dokuczającej, potrafił jeszcze zachować w sobie tyle szlachetnych żywiołów i nierozpasał się na ostatnie bezprawia.

Rewolucya we Francyi wybuchnęła dla rozwiązania na wewnątrz zagadki społecznej, rząd zaś na wstępie zaraz systematyzowaniem jałmużny kłamał swojemu hasłu. Niechciano zrozumieć, że taki system najwierniej odpowie dążeniom społecznym, który najrzadziej będzie odwoływał się do szczodrobliwości osobistej i narodowej, który najmniej powystawia szpitalów, Ochron, zakładów dobroczynnych, który cnotę litości wedle jej istoty zastosuje do przypadku, nie zaś do obowiązków zaciągniętych programem skarbowym rządu lub pojedynczego człowieka. Jałmużna, ostatnia furтка do Nieba w życiu prywatnych osób, doraźny półśrodek w rękach rządu, wynika z dwóch źródeł: albo z nieprzewidzianych anormalnych klęsk, uderzających na pokolenia lub na osobniki, albo też z dziedzicznej nędzy trapiącej skazaną część ludzkości. Pierwszy względ spowodowany rewolucyjnemi siłami natury, jest warun-

kiem bytu człowieczeństwa niepodobnym do uniknięcia i przeciw niemu można tylko wyprowadzić do walki mimowolnie budzące się uczucie litości, doraźny zapal poświecenia, siłę ogólnego braterstwa, zestrzelającą na chwilę swoje promienie w jedno ognisko przypadku. Drugi wzgląd, to uporczywy i stały nieprzyjaciel, którego należy oburącz pochwyć i zwalić; system jałmużny jest jedno uznaniem jego wszechmocności, rozszerzaniem zakresu jego podbojów, koteryzowaniem rany z zaparciem się zamiaru rdzennego jej wygojenia. Celem rewolucyi społecznej jest popchnięcie stosunków między ludźmi na taką drogę, aby w końcu jej człowiek osobę swoją tylko przynoszący na świat, mógł pracą rąk i ducha swojego stać się niezawisłym członkiem społeczeństwa, narodu i rodziny, aby wyrobił w sobie uczucie własnej godności, upomniał się o przypadające nań dziedzictwo owoców nauki i wiekowych badań umysłu, ażeby do wspólnej skarbnicy człowieczeństwa rzucił pojedynczą swą twórczość, nawzajem zaś otrzymał środki do życia i szacunek ale nie litość.

Przymierzwszy do tego pojęcia rozporządzenie o otwarciu pracowni narodowych we Francyi, przekonamy się, o ile stanowisko, jakie zajęli przywódcy ruchu, odpowiadało prawdziwemu zadaniu rewolucyi. Toż samo co do ustawy bezwzględnie zapewniającej każdemu krajowcowi prawo do pracy.

Człowiek z urodzeniem nabywa prawa do życia człowieczego pod warunkiem pracy; jestto zasadnicza prawda ludzkości, przeciw której nic nie można powiedzieć; prawda atoli wykwitająca dopiero z rozwiązania zagadki społecznej, niemożliwa atoli do urzeczywistnienia przed pierwszym jeszcze czynnym krokiem na szlaku usiłowań socyalnych. Odwołujemy się do najprostszej zimnej rozwagi i pytamy: Jakto? powiadacie robotnikowi, że byle pracy rąk nieoszczędził, będzie mógł dzieciom swoim udzielić pierwszych zasad światła, potrafi wyżywić rodzinę, niestyrać sił nadludzkim trudem i umrzeć we własnej izbie, nie zaś na rogu ulicy lub w szpitalu? Zasada słuszna, obietnice chwalebne, ale gdzież znajdziecie miejsce na wystawienie tego nowego gmachu? Patrzcie do koła jak materyjalizm, despotyzm kapitału, błędne wyobrażenia o wartości, spółzawodnictwo, wzajemna nienawiść przemysłników, szalona



chęć zysku i ciemnota tłumu, prą się jedno na drugie, patrzcie, jak zażarcie walczą z sobą wśród chaotycznej otchłani dzisiejszych stosunków. W tym chmurnym zamęcie rozlegającym się zgrzytliwym śmiechem kilku graczy pijanych wygraną i jękami niedoli gromad, pragniecie wznieść budynek? — zapóźno przybyliście, miejsca już zajęte, dramat się odgrywa, niemożecie jednocześnie, na tej samej widowni i tymże zamym aktorom kazać wystawiać tragedję i sielankę, niemożecie wpuszczać więcej widzów, niż kassjer wedle planu budowniczego rozprzedał biletów. Jeżeli niezdolni do zapanowania nad wołą kupującego, oznaczycie minimum dziennej zapłaty i ilość godzin pracy, jeżeli bagnietami zakłujecie spółzawodnictwo, jeżeli zdołacie temi środkami zapełnić ogólną przepaść nędzy, mniejsza o los kilkunastu tysięcy przedsiębiorców, ale i tu zawiodą was oczekiwania: obok pierwszej otchłani, drugą daleko głębszą wykopiecie zabójstwem dokonaniem na wolności, na zaufaniu, na kredycie. Chcecie, aby rząd zastąpił przedsiębiorców, ależ w takim razie znowu zbaczacie z prawej drogi dążeń społecznych, ludzkość bowiem równie boleje na biurokracyę jak na proletaryat. Im rząd jest mniej widzialnym, tem doskonalszym, im mniej praw w narodzie, tem mniej zbrodni, im mniej pośrednictwa rządowego, tem więcej wolności, im mniej ześrodkowania władzy, tem więcej równości, im mniej ustaw literą prawa obowiązujących względem bliźnich, tem więcej braterstwa. Czyliż ludzkość nadarmo wystawiła teorię stowarzyszenia przeciw potędze sił zjednoczonych w rękach rządu? Lękając się dotknąć dawnych wadliwych stosunków, podajecie ludowi urojony owoc, wprzód nim sprawiliście rolę i rzucili nasienie prawdy; zasialiście ziarna, ale nie pomyślności, jedno krwawych rozczarowań.»

Pomijając ogromne summy kapitałów ustawami stworzonych, Francya posiada w obiegu przeszło dwa miliardy franków bezpośrednio kruszcowej wartości. Jakimże sposobem dzieje się, że własność ziemska opłaca od długów hypotecznych lichwiarskie procenta, że bankructwa przemysłników sypią się jedno za drugimi, że robotnik niema za co kupić dostatecznej strawy, że przy najznakomitszej biegłości i pracowitości nikt mu grosza niezaufa na zakład pracowni, na rzemieślnicze

narzędzia, że rząd co chwila zaciąga pożyczki, odwołuje się do kredytu krajowego, że co chwila woła pieniędzy a za nim cały naród pojedynczo i chórem powtarza: «pieniędzy! pieniędzy!» Oczywiście, złe leży nie w braku kapitałów ale wadliwym ich obiegu; smutna to prawda dla ludzi chcących od razu piśmiennie nakazać samowładztwo cnoty i porządku, ale i tu prawa nie niepomogą. Zły użytek jednych i materyalna miłość a tęsknota za pieniądzem drugich, są głównymi przyczynami tego chropowatego obiegu kapitałów. Pojęcia społeczne bynajmniej niewymagają praw zapobiegających tym grzechom, ale jedynie upominają się o wprowadzenie porządku, na mocy którego każdy zarabiałby stosownie do wszystkich swoich sił, dochód w całkowitości koniecznie wydawał i pieniądzem według zasad ludzkich szafował. Oto jest jeden z najzawilszych splotów węzła kwestyi społecznych, od którego rozwikłania społeczeństwo wysliznąć się niezdola i dopóty musi krwawo się znoić, dopóty pracować ofiarami ducha i materyi, dopóki wątko niedojdzie; droga materyalnych usiłowań, piśmiennych ustaw, cel przed nim oddali i zawiedzie je na wsteczne manowce.

Powiedzieliśmy już wyżej, że rząd spowodowany przesileniem handlowem, dla wspomżenia ludu chwilową jałmużną, otworzył tak zwane pracownie narodowe (dla czego pracownie? jakim prawem narodowe?). L. Blanc aczkolwiek pierwszy w Radzie przedstawił wniosek o pracowniach, atoli bezpośrednio nieمیęszal się do wewnętrznego ich urządzania, niezastosowywał teorii swoich stowarzyszenia, równości zarobku i rządowego przewodnictwa, pragnął bowiem wprzódy, aby porządek nieco się ustalił, aby lud z pierwszych wzruszeń ostygwał. Popierany przez przyjaciela swego Alberta, którego sam był do rządu wprowadził z warunkiem przysięgania na słowa mistrza, L. Blanc w Radzie otwarcie wystąpił przeciw stronnictwu National'a, pomiótł kwestyami polityki wewnętrznej i zewnętrznej, i wyłącznie chciał zwrócić kierunek rewolucyi na pole działań społecznych. P. Lamartine i jego towarzysze zajęci cugłowaniem ruchu, bronili się jak mogli od natarczywości organizatora pracy, wreszcie niezgody bez tego już wrzały między stronnikami National'a a ludźmi z Reformy, skryta wewnętrzna niechęć groziła rozchwianiem się

rządu, wywołaniem nowych rozruchów, aby więc kraj i miasto oddać spokojne w ręce Izby narodowej, większość postanowiła zrezygnować z dwóch wysłańców socjalizmu L. Blanc'a i Alberta. W tym celu przyznała przed nimi, że w istocie rewolucya we Francyi była tylko społeczną, że przede wszystkim chodziło o zbadanie stosunków i postawienia kwestyi socyalnej, że rząd im wyłącznie pragnie powierzyć zaszczyt rozstrzygnięcia zagadki, że upoważnia ich do wezwania delegowanych ze wszystkich gałęzi przemysłnictwa, i że przeznacza im dawną Izbę Parów na odbywanie narad i przygotowanie robotniczej konstytucyi. W skutek tego postanowienia L. Blanc wynosił się do pałacu zwanego Luksemburgiem, tam jeżeli co pożytecznego uradzał, kraj chętnie byłby odkrycia jego wprowadził w użycie, w przeciwnym razie Izba narodowa miała moc rozpędzenia delegowanych luksemburgskich, tymczasem zaś rząd pozbywał się niebezpiecznych jak sądził dla siebie żywiółów. L. Blanc jako apostoł klasy robotniczej niemógł odmówić wyłącznego zatrudnienia się jej losem, opuścił więc ratusz i udał się do Luksemburgu z celem atoli odmiennym, aniżeli ten, jaki towarzysze mu naznaczali. Kwestyę społeczną widocznie niepodobna było na prędce rozstrzygnąć, wypadło wprzód dostać się do niewzruszonej władzy i następnie powoli ją rozwijać, do niewzruszonego zaś zajęcia stanowiska L. Blanc podał wniosek utworzenia ministeryum Postępu. Wprawdzie rząd oparł się wnioskowi, dla zniweczenia go wymyślił kommissyę luksemburską, L. Blanc atoli wiedział, że ojcem rewolucyi był proletaryat, pragnął więc za pośrednictwem kommissyi zjednać sobie całą klasę robotniczą i następnie oparłszy się na kilku milionach stronników, poważniejszym głosem dopomnieć się o założenie ministeryum. Rewolucya była społeczna i miała zadanie uczynić wymaganiom wszystkich wydziedziczonych krajowców, minister Postępu logiczną koniecznością byłby stanął na czele olbrzymich zastępów proletaryatu, on sam jeden byłby nosił w sobie słowo epoki, zaczem powoli ministeryum wzniesione na barykadach, strzeżone przez ogromne tłumy zbrojnego wyrobnictwa, byłoby mogło zająć miejsce komitetu Zbawienia Publicznego z czasów Konwencyi, naczelnik zaś onego mógł stać się drugim Danton'em mniej rzezią wrze-

śniową, Robespier'em mniej. gilotyną, a kto wie może i pierwszym konsulem socyalnej republiki! dla czego nie? wszakże i on z korsykańskiej krwi się rodził. Skarb Francyi był w opłakany stanie, pracownie narodowe bezowocnie upuszczaly mu jeden milion po drugim, L. Blanc przewidział, że takowe marnotrawstwo grosza publicznego wkrótce roznieci oburzenie w narodzie, cofnął się więc od spółuczestnictwa w zarządzie pracowni, wpływał na nie przez swoich luksemburgskich delegowanych, w razie odmowy dalszych funduszków stawał jako opiekun bynajmniej zaś jako niemilosiernik na nędzę ludu, obracał na swoją korzyść oburzenie gromad przeciw rządowi, sam zaś w gmachu przy ulicy Clichy założył stowarzyszenie krawieckie, które ograniczając liczbę swoich członków i podejmując się robot rządowych dla wojska, przy usilnem staraniu łatwiej mogło utrzymać się i matematycznymi dowodami przekonać o dzielności jego systemu. Obdarzony powierzchownością wdzięcznego kilkunastoletniego pacholecia, umiejący wprost odzywać się do namiętności i uderzać w najdrażliwsze struny uczucia ludowego, niebawem rozmiłował w sobie lud paryski, który nosił go na rękach, poklaskiwał każdemu jego słowu, i za kwiaty jego wymowy obrzucał go wieńcami z kwiatów. L. Blanc stroił się w wieńce, przekonany, że między wążkami różami i wiosennemi fiołki kryły się nieśmiertelniki i listki wawrzynu.

Rząd rewolucyjny tymczasem zwaliwszy na dwóch swoich członków całą odpowiedzialność społecznych wstrząśnień, swoją część wypłacał ludowi w pochlebnych frazesach, rzeczywistość zaś główną uwagę zwrócił na polityczno-administracyjną stronę spraw krajowych, z pośród zamętu których czasami puszczał błędny wzrok za granice Francyi. O P. Lamartinie we dwa dni po ogłoszeniu Rzeczypospolitej zakrążyła wieść, że pracuje nad okólnikiem zawiadamiającym mocarstwa zagraniczne o zwycięstwie rewolucyi i o ustaleniu nowego porządku we Francyi. Dziwna rzecz, wyrażenie to: «P. Lamartine pracuje nad okólnikiem» nikogo nieuderzyło w Paryżu.

Dla ocenienia prawdziwej wartości działań rządu winniśmy ciągle i zawsze mieć przed oczyma posłannictwo Francyi, i po-



równywać czyny ludzi kierujących ruchem z historycznym celem tegoż ruchu.

Jakkolwiek do wszelkich wynurzeń piśmiennych nieprzywiązujemy ostatecznej wagi, niepodobna atoli zaprzeczyć, że akt, którym Rzeczpospolita zwiastowała Europie swoje przyjsie na świat, nabierał niezmiernego znaczenia w obec ludów ciekawych, dla czego Francya podruzgotala tron i jakie nowe żywioly rewolucya przynosi dla ludzkości?

W stosunku do posłannictwa narodu, spodziewaliśmy się, że okólnik przypomni nam ewangeliczne słowa nauki Zbawiciela lub bulletyny wielkiej armii, że uwielmożony powszechnym zapalem ludu, wydarty z natchnionej piersi gromad, wyleci z placu publicznego na Europę, że tłum nie w nim nieusłyszy nowego jedno pozna własne swoje uczucia, że bliżsi i dalsi sąsiedzi prędey się o nim dowiedzą, niżeli stenografy, jedyni ludzie, którym w tym razie wolno było wziąć pióro do ręki, zdołają pochwycić słowa narodu i przenieść je na papier, że w treści okólnika nadaremnie szukano by śladów jakiegokolwiek osobistości, że Europa znajdzie go utworem każdego w ogóle lub żadnego pojedynczego Francuza, że do wypowiedzenia go potrzeba będzie natchnienia jedno a nie sztuki, zapalu a nie pisarskiej zręczności. Tak się jednak nie stało. P. Lamartine zamknął się w swoim gabinecie i ujawszy głowę między dłonie, zaczął ślezyć nad nowym dla Europy dowodem zdolności swoich literackich i politycznych. Manifest, pod pierwszym pociągnięciem pióra znakomitego poety, skołał co do moralnego swego wpływu, stał się dokumentem dyplomatycznym, martwą literą a nie słowem czynu; wysnuty z pojedynczej osobistości, zaparł się twórczego spółczestnictwa narodu, nabrał znaczenia względnie do powagi i władzy P. Lamartina, bynajmniej zaś w porównaniu do ducha całego narodu, zyskał wartość w stosunku do not gabinetowych, nie zaś do celów proroczych i objawów wielkiego narodu. P. Lamartine dla odpowiedzenia swemu powołaniu winien był całkiem o sobie zapomnieć, uważać się za przypadkowego pośrednika między swoim a obcemi narody, za tłumacza jedno nie za twórcę; Rzeczpospolita, odzywając się do ludzkości piersią o 36<sup>u</sup> milionach głosów, rozwalala wraz z tronem jaskinie dyplomatycznych gabinetów, wyrzekala się

politycznej obłudy, zamiast iglastych na oba końce wyostzonych frazesów dworackich, przyjmowała surowy ton wszechwładnej woli ludu i natchnionych jego wyroków. Okólnik P. Lamartina od początku do końca kłamał temu założeniu; wzbudzał uwagę i podlegał rozbiorowi posłów i ministrów, całe zaś był obojętnym dla ludów; w r. 1815<sup>o</sup>™ byłby wzniecił żwawe spory kongresu wiedeńskiego, w 1848<sup>o</sup>™ rozwiął się jak kaskada lotnych, wybrylantowanych wyrazów.

Zaraz na początku w piśmie tem do agentów dyplomatycznych Francyi, P. Lamartine wzywa ich, aby oświadczyli rządcm europejskim, że co się tyczy prawności lub uznania przez nie Rzeczypospolitej, takowe są dziś zbytecznemi, « republika bowiem wypłynęła z woli narodu, naród zaś niezna innego prawa nad własną swoją wolę ». Groźny wstęp odpowiadający uczuciu godności narodowej, może nawet zbyt groźny; może królowie gotowiby pomyśleć, że Rzeczpospolita, że Francya przejęta duchem swego posłannictwa, wierna swoim zasadom, rzuci despotyzmowi rękawicę, że ogłosi się rycerką za sprawę ludzkości, że potęgę swoją ciśnie na szalę lez, cierpień i krwi ujarzmionych, że wywoła straszne legiony Konwencyi, że znowu zapragnie otrząsnąć się z gnuśnego letargu i opromienić dawną chwałą? Nie, Francya P. Lamartina bynajmniej sobie tego nie życzy. Rzeczpospolita 1848<sup>o</sup> roku przysięga, że chce wejść w skład Europy « jako porządne państwo nie zaś jako burzące zjawisko, że ogłoszenie jej wcale nie jest krokiem zaczepnym przeciw jakiemukolwiek systemowi rządowemu ». Niech się uspokoją monarchowie; jako przed ośmnastą laty Ludwik Filip przeproszał ich za konstytucyę, tak samo dziś P. Lamartine błaga ich pobłażania dla Rzeczypospolitej. Gdyby nawet jakie ościenne książątko, niemieckie lub włoskie chciało dla zabawy na pal wbijać swoich poddanych, gdyby po Neronowemu pastwiło się nad swoim ludem, gdyby ufne w swoich siepaczków pluęło w twarz prawom bożym i ludzkim, i wtedy jeszcze spokojne może się bawić, jęk jego ofiar rozbija się o komorę francuzką, Rzeczpospolita pojmuje każdą formę rządu, Francya nie występuje przeciw żadnemu systemowi. Ludy, według P. Lamartina są istotami choremi na niewolę, które historia niby lekarz homeopatyczny wiekowemi kroplami prowadzi do

zdrowia, ludy są ślepcami, którym Opatrzność powoli zdejmuje kataraktę i szcędząc ich wzroku, ostrożnie promyk po promyku udziela im światła. «Formy rządu, prawi okólnik, równie jak pojedyncze charaktery mają słuszne różnice; różnice położenia geograficznego, wykształcenia umysłowego, moralnego i materialnego ludów. Narody równie jak pojedyncze istoty różnego są wieku; zasady niemi rządzące przechodzą postępowe koleje. Rządy absolutne, arystokratyczne, konstytucyjne, republikańskie, są wyrazem różnych stopni dojrzałości i stanowiska duchowego narodów; im więcej rządy te mogą znieść wolności, tem więcej jej udzielają, im więcej mają słuszności i miłości dla ludu, tem bardziej skłaniają się ku zasadom równości i demokracji.» Zaprawdę, zdanie to w niczem nie musiało sprzeciwiać się przekonaniom Księcia Metternicha i Cezarza Mikołaja; oni również jak P. Lamartine utrzymują, że ludy Austrii i Rosyi są jeszcze tak dziecinne i głupie, że w żaden sposób nie mogłyby się obejść bez ojcowskiej opieki żandarmów, że niezasnęłyby bez postrachu Sybirem, Spielbergiem, że rozpuściłyby się na zgubne dla nich swawole bez karania najłżejszego ich przekroczenia knutem, szubienicą lub nożem oprawców. Narody, mówi okólnik, przechodzą też same koleje, co i pojedynczy ludzie, ale któż sędzią ich pełnoletności, gdy jarzmo niewoli przemożnie je tłoczy? w prawodawstwie osobistem, gdy wyrodny ojciec katuje syna, ofiara ma prawo wezwać opieki sądu, ale dla ludów gdzie wypisane to prawo? gdzie areopag ten zasiada?

«Monarchizm i republika w obec biegłych ludzi stanu (szczęściem okólnik nie zbezcześcił praw bożych, wzywając ich na świadectwo) bynajmniej niewypowiadają sobie zaciętej wojny, sa to tylko dwa odmienne fakta, które mogą żyć jeden obok drugiego, rozumieć się i szanować!» — Pytamy, czy to jest ogłoszenie posłannictwa Rzeczpospolitej lub też akt, na mocy którego Francya domaga się zaszczytu przypuszczenia jej do Nemrodowej trójcy Ś<sup>o</sup> Przymierza? Ale pójdźmy dalej, nie bacząc, że co krok będziemy się potykać o nowe kłamstwa, sprzeciwieństwa i niekzemnoście.

Treść okólnika zajmuje porównanie między dwoma rewolucjami z 1792<sup>o</sup> i 1848<sup>o</sup> r., krótki traktat akademiczny, który

ma Europę przekonać, że «Francya wyrzeka się na zawsze zdobyczy, że republika Lutego nie obawia się koalicji, inne bowiem były warunki wstrząśnienia w końcu XVIII<sup>o</sup> wieku, inne zaś są w połowie XIX<sup>o</sup>, że lud jest dziś celem a nie środkiem rewolucji, że wojny Konwencji wymyślili Girondinowie, którzy chcieli oderwać uwagę masy od wewnętrznej organizacji kraju, że Francya głosząc zasady wolności, równości i braterstwa nie chce wojen, które ostatecznie służą tylko Cesarom i Napoleonom za szczeble do władzy, tem zaś samem zabijają wolność, niszczą równość i fałsz zadają braterstwu. Gdyby jednak sąsiedzi odważyli się podnieść broń przeciw Rzeczypospolitej, P. Lamartine zareczy, że Francya potrafi wtedy obronić się u siebie a nawet poprobować dzielności swego oręża za granicą».

Nestor dyplomatycznych mataczów P. Talleyrand. powiedział, że słowo danem jest człowiekowi dla niewydania się z myślą, ponieważ zaś okólnik P. Lamartina ułożonym jest wedle wszelkich zasad gabinetowej polityki, dla dojścia więc w nim prawdy, musimy wprzód obedrzeć go z łupin dyplomacji a wtedy dopiero myśl P. Ministra wypełźnie przed nami w następujących wyrazach: «Rewolucya XVIII<sup>o</sup> wieku, podjęta za pośrednictwem ludu ostatecznie posłużyła tylko na wyłączną korzyść mieszczaństwa; stan średni dostawszy się do władzy, wyzyskiwał ją w samolubstwie swego ducha, otóż my dziś ogłaszamy powszechną równość i żywioł samolubstwa rozciągamy do wszystkich członków naszego narodu; skoro zaś każdy Francuz usamolubi się w swoich prawach, pytamy skąd i dla czego wojna? o podbojach ani myśleć, przed kilkoma dniami otrzymaliśmy tu w Paryżu najdzielniejszy dowód potęgi środków, jakimi lud uciśniony umie dopominać się i bronić swoich praw, wreszcie gdy wygórujemy osobiste prawa człowieka. każdy raczej pozostanie w domu, założy jaki handel, weźmie się do pracy, aniżeli porwie za broń, rzuci dom i rodzinę i pójdzie walczyć za jakąś sprawę, która ostatecznie nie może przynieść mu ulepszenia w materyalnym jego bycie. Do wojny potrzebaby nam Napoleona, wielkiego człowieka, który tylko może powstać w skutek ważnych uroczystych wypadków, nigdy zaś jako wynik chudych i nędznych pojęć, które my tu zasie-



wamy. Wprawdzie sąsiedzi zwątpiwszy już nieco w boże swe prawa do koron, mogliby nas posądzić o gotowość wdania się w wojnę w imię jakiejś zasady, idei? Urojenie! niech się przypatrzą, czyli my wystawiamy choć jedną taką ideę, za którą byłoby warto kroplę krwi przelać? czyliż rewolucya, której za cel kładziemy zniesienie listy cywilnej, wypędzenie dawnych urzędników Ludwika Filipa, osadzenie nas samych na ich miejscu, nałożenie kilku nowych podatków, wyprostowanie niektórych kruczaków przeszłego organizmu politycznego, wprowadzenie w obieg kilkudziesięciu frazesów republikanekich, czyliż taka rewolucya, powtarzamy, może wzbudzać podejrzenie o wojownicze zapędy lub rzucona w świat idei groźnej dla dawnego porządku? Naszem zdaniem wygodniej jest być konsulem we własnym niż prokonsulem w cudzym kraju, wreszcie druga godność wątpliwa, rozsądniej więc spokojnie pracować na pierwszą. Przecież, w razie gdyby sąsiedzi, ślepi na własną materialną korzyść lub znęcani nadzieją zyskania jej w naszym kraju, chcieli napaść na Francję, gdyby rabowali nasze miasta, palili wioski, niszczyli nasze drogi żelazne, dławili nasz przemysł i przyprowadzali nas do bankructwa, wtedy rozpacz do szaleństwa by nas przywiodła, wtedy powstałibyśmy jak jeden mąż, wydalibyśmy im śmiertelny bój, zwyciężylibyśmy a zwyciężywszy pogonilibyśmy za nimi we własne ich kraje i tam dopomnielibyśmy się o koszty wojenne, o straty i zawiedzione zyski, wedle stylu kodeksu handlowego».

Takim to dźwiękiem zabrzmiały nam w uszach słowa okólnika; nie byłibyśmy śmieli ściągnąć świętokradzkiej dłoni na ogłoszenie Rzeczypospolitej, wyrwane z natchnionej piersi ludu, dyplomatyczny wszelako charakter manifestu pozwala nam wrzynać się w ostatnie jego głębie i wydzierać zeń prawdę, chociażby anatomiczne nasze poszukiwania śmiercią dziejową miały mu zagrażać.

P. Lamartine uspokoivszy tym sposobem obawę rządów europejskich, przystąpił do drażliwej kwestyi traktatów 1815<sup>o</sup> r. traktatów, na które w ostatnich chwilach panowania Ludwika Filipa sam był kilkakrotnie w Izbie powstawał. Cień ex-biskupa z Autun i tu podszeptał mu zbawienną radę do wydobycia się z kłopotu. «Rzeczpospolita, mówił minister spraw zagra-

nicznych, nieuznaje traktatów z 1815<sup>o</sup> r., drze je w obliczu całej Europy, przechodzi na stronę ludów pokrzywdzonych tym haniebnym frymarkiem, atoli de facto przymuje terytorjalne układy w skutek takowych zawarte, obiecuje poprzez sprawę okradzionych ale zarazem przysięga szanować owoce grabieży w ręku dotychczasowych wydzierców.» Francya, czytamy dalej w okólniku, «oświadcza, że posłannictwem jej i prawem jest dojście systematyczne i spokojne do złagodzenia tychże traktatów; rozważa, umiarkowanie, przezorność i dobra wiara Rzeczypospolitej są niezaprzeczone i podają Europie lepszą i zaszczytniejszą rękojmię, aniżeli treść sama traktatów tylokrotnie przez nią zmienianych i gwałconych».

Widzieliśmy Eskobara księdzem, monarchą, absolutystą, zwolennikiem konstytucyi, teraz 24<sup>ty</sup> Lutego objawił nam go w nowej postaci republikanina. Stał tedy kontrakt między gabinetami a Rzeczpospolitą, na mocy którego pierwsze obowiązują się cierpliwie znosić przechwałki francuzkiej dyplomacyi, pozwalają deptać wiedeńskie traktaty na paryskim bruku, druga zaś nawzajem przyrzeka w niczem nieprzeszkadzać spokojnemu użytkowaniu z tychże traktatów i owszem, za szczęśliwą się poczyta, jeżeli tym sposobem przyczyni się do utrzymania wszechpokoju w Europie.

Okólnik wyraźnie zmierzał już ku końcowi, gdy w tem dwa widma stanęły przed pamięcią P. Lamartina. Były to dwie jego znakomite mowy pełne ognia i zapału, jedna w skutek pierwszego zajęcia Ferrary przez Austryaków, druga w kwestyi wojny szwajcarskiej Sonderbundu z Vorortem, mowy oklaskane przez całą Francję, któremi deputowany z Mâcon uniesiony oburzeniem przeciw nikczemnej polityce Guizot'a, bez litości tłukł zachowawcze ministryum. Ostatnie dźwięki tych wzniósłych filippik rozlegały się jeszcze po Francyi, niepodobna było w chwili przyścia do władzy wysłać za niemi w ślady bezczelne zaparcie się ich treści, wraz więc wypadły dwa oświadczenia, mianowicie, że gdyby Vorort miał być zagrożonym w Szwajcaryi, narodowość zaś i niepodległość we Włoszech, Rzeczpospolita ujrzy się w prawie zbrojnego poparcia słusznych tych wymagań ludów, oddawna z nią węzłami przyjaźni związanych. Doczekaliśmy się nareszcie słów odpowiadających godności

Francyi, Rzeczpospolita zrozumiała nakoniec, że o tyle tylko może być silną, o ile będzie objawiać i używać swej siły, że pośrednictwo jest logiczną zasadą polityki każdego mocarstwa pierwszego rzędu, chcącego opierać się na wolności i rozwój jej wspomagać. Przypatrzmy się atoli bliżej groźbom okólnika wyłącznie przeciw Austrii wystosowanym. Rzeczpospolita przyrzeka swoją pomoc Szwajcaryi, jakież więc są warunki spełnienia tej obietnicy? Odpowiadamy wedle istotnej treści manifestu: «gdyby Sonderbund zgnieciony obecnie przez Vortort, zmartwychwstał cudem i wezwawszy pośrednictwa austriackiego, wystąpił przeciw zwycięzcy, Francya naówczas ze swojej strony, w imię zasad ludowych ujmie się zasad radykalistów i siłą poprze swoją opiekę.» Zaprawdę, alternatywa zmartwychwstania szczerze zabitego Sonderbundu i orężnej przyczyny Austrii za wygnanymi OO. Jezuitami, była więcej niż wątpliwą. Książę Metternich wcale nie marzył o namiestnictwie dla nowego Gesslera; zasadą polityki kongresu wiedeńskiego nie były podboje ale utrzymanie się jedno przy nieprawnie wydartych dzierżawach, łatwo zatem można było przewidzieć, że ruch europejski nie zacznie się w Fryburgu ani w Lucernie i że co do kwestyi szwajcarskiej Rzeczpospolita niepotrzebnie się odgraża, chyba że odgrózkami przeciw urojonemu nieprzyjacielowi mniema dać nastraszonej Europie wysokie pojęcie o swoim rycerstwie. Co do Włoch, powierzchownym badaczom okólnika mogłoby się wydawać, że P. Lamartine otwarcie wypowiada, iż w razie gdyby ludy włoskie chciały otrząsnąć się z jarzma cudzoziemskiego lub gdyby n. p. Neapol wypędziwszy swego króla, bronił się przeciw przywróceniu go przez Austriaków, Rzeczpospolita wtedy rzuci swoje wojska za Alpy i nieda uleść sprawie wolności we Włoszech. To przynajmniej można wnosić z rzeczzonego ustępu, którego dosłowne tłumaczenie przytaczamy jak następuje: gdyby napadnięto państwa nie-  
 «podległe we Włoszech, «gdyby stawiano tamy lub przeszkody  
 «ich wewnętrznym przemianom, gdyby zbrojnie zaprzeczano  
 «im prawa sprzymierzania się dla ustalenia ojczyzny włoskiej,  
 «Rzeczpospolita francuzka ujrzałaby się w prawie zbrojnego  
 «poparcia słusznych tych dążeń ludów do wzrostu i rozwinięcia  
 «narodowości.» — W istocie, wyrażenie to świadczy o głębokich

dypłomatycznych zdolnościach autora; można je wyklądać na rózne sposoby i albo umysł nasz niejest doóć przenikliwym do odgadnięcia prawdziwego znaczenia słów okólnika albo te¿ P. Lamartine chciał tylko zaręczyć Papieżowi i królowi sardyńskiemu, że niepozwoli na wkroczenie Austryaków do Rzymu lub do Turynu, Medyolan zaś i Wenecyą zostawiał własnym ich losom przez szacunek dla terytoryalnych układow kongresu wiedeńskiego, tem bardziej, że po chwili raz jeszcze uroczycie zaręcza, że Francya dla szczęócia ludzkości ¿yczy pokoju i spodziewa się takowy utrzymaó. Myó, że Austria dobrowolnie wyrzeczy się włoskich swoich dzier¿aw, niemogła ani na chwile¿ zaówitaó w przekonaniu P. Lamartina, oczywiócie więc Rzeczpospolita nie dawała Lombardyi ¿adnego prawa do liczenia na jej pomoc w razie narodowego powstania. W ogóle, okólnik gównie występuje przeciw zdobywczym zamiarom Austrii i Ksią¿ę Metternich musiał zdziwió się niepomalu, widząc że za kilkudziesięcioletnie dypłomatyczne matactwa zyskał sobie na pózne lata więtoó Aleksandra Macedońskiego. O Polsce manifest ani słowa nie wspomina; P. Lamartine oszczędził nam tego upokorzenia.

Jeszcze kilka wierszy i ju¿ jesteómy przy końcu tego dziwnego aktu chrzestnego republiki francuzkiej; jeszcze P. Minister raz tylko powtórzy, że Francya «pragnie blaskiem swojej «idei i wewnótrznym porządkiem a spokojem» szerzyó po ówiecie rewolucyjną propagandę; jeszcze, zgodny z treócią mów swoich w przeszłej Izbie, kopnie raz Ludwika Filipa za mał¿eństwa hiszpańskie, jeszcze raz zaklnie się gabinetom, że w ¿adnym wyrazie okólnika niema wojennego szczęku, że mogą sobie według upodobania postępować ze swymi poddanymi, i nareszcie zakończy tłumaczeniem potrójnego hasła Rzeczypospolitej, które w istocie według okólnika każdy człek dobrej wiary inaczejby zrozumiał, i powie: «że znaczenie trzech tych wyrazów zastosowanych do stosunków zewnótrznych republiki jest «następujące: uwolnienie Francyi z więzów, jakie cię¿yły na jej «zasadach i godnoóci, odzyskanie stanowiska, jakie powinna «zajmowaó na równi z wielkimi mocarstwami europejskimi, «nareszcie ogłoszenie sojuszu i przyjaźni dla wszystkich ludów.» Bez wátpienia, sami nie bylibyómy zdolali wyciagnaó tego



wniosku naprzód z okólnika, następnie z całego późniejszego postępowania P. Ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej francuskiej.

Spaliwszy fajerwerk z większym podziwem aniżeli zadowoleniem widzów, P. Lamartine w oczekiwaniu na pożądany wpływ swego okólnika, zwrócił uwagę na wewnątrz kraju, gdzie dotąd niespieszono się zbytecznie z dokonywaniem wielkich czynów. Wprawdzie, epoka to była przechodnia, rząd tymczasowo sprawiał krajem, naród miał objawić wolę swoją i życzenia przez walne zgromadzenie swoich posłów, władza zaś ciągle czuwała nad bezpieczeństwem Paryża. W stolicy, dzięki rozerwaniu kajdan nałożonych na wolność druku, dzięki swobodzie stowarzyszania się i zgromadzania, powstało mnóstwo klubów, mnóstwo dzienników, organów wstecznictwa, rządu lub ludu. Ruch w Paryżu doszedł do najwyższego stopnia, całe miasto od rana aż do późnej nocy żyło tylko na ulicach; rozprawiano o sprawach kraju, obwoływano tysiące dzienników, pamfletów i broszur, oczekiwano co chwila ważnych wiadomości, bądź z prowincyi, bądź z zagranicy, nic nieprzewidywano, wszystkiego się spodziewano, wszystkiemu wierzono. Starzy przypominali sobie pierwsze dni wielkiej Rewolucyi, jakoż co do zgiełku wnukowie bynajmniej nieustępowali ojcom; wydobyto z grobów Bastylli różne oddawna pochowane formy, sposoby mówienia, zwyczaje; bojaźliwi, dławieni zmorą gilotyny, upatrywali między wyrobnikami Marata, Henriota, lud nawzajem szukał między przywódcami Robespiera, Dantona, mieszczaństwo biegło za Girondinami, dziennikarze wskrzeszali Heberta, Kamilla Desmoulins, wojsko marzyło o wielkich wodzach Konwencyi i Konsulatu, o samym nawet pierwszym konsulu; słowem co przeszłe pokolenie stworzyło, to terażniejsze chciało naśladować. Francya XVIII<sup>o</sup> wieku nie w kilka dni po przysiędze deputowanych w Wersalu, wzniosła się do szczytu twórczości i potęgi, rewolucya 24<sup>o</sup> Lutego jeszcze przed skończeniem wiosny pragnęła przebiec całą drogę swojej mistrzyni. Lud powołany do życia politycznego, zaczął zbierać się w kluby przypominające dawnych Feuillantów, Jakobinów i Kordeyerów. W przeciągu kilkunastu dni, 140 klubów otwartych w Paryżu niemogło pomieścić tłumów spragnionych wolności

słowa i burzliwych politycznych obrad. Wszystkie stronnictwa rewolucyjnej, zachowawczej i wstecznej Francji najdokładniej odcieniowały się w massie tego rodzaju zgromadzeń. Wyrobnicy, rzemieślnicy, artyści, wojskowi, dziennikarze, mieszczanie, skryci zwolennicy dynastji, republikanie, socjaliści, terroryści, marzyciele utopii, słowem wszystkie stany, charaktery, przekonania, dążenia, wszystkie spółczucia i nienawiście, wszystkie nadzieje przywrócenia lub odrodzenia porządku rzeczy, poskupiwały się pod tysięcznemi nazwami mniej więcej barwy ich znamionującemi. Rewolucya dążyła do dualizmu politycznego; dwie władze czepiały się jej steru, rząd wyobrażający siłę prawnie wykonawczą, i kluby jako organ głosu publicznego pilnujące postępkuw rządu, odwołujące się do narodu w razie fałszywego kierunku rewolucji i stosownie do potrzeby siłą nawet go prostujące. Tak przynajmniej było za ostatnich czasów Ludwika XVI<sup>o</sup> i za Konwencji, tak rozumiano, że będzie za Rzeczypospolitej z 1848<sup>o</sup> r. Przyrównawszy naród do jednej wielkiej Izby deputowanych, możemy powiedzieć, że kluby w niej były lewicą ciągle naprzód się wyrrywającą, rząd zaś stronnictwem zachowawczem, które hamowało zapaly opozycji i rzeczywistą potrzebę wystawiało przeciw zbyt gorącym jej zachceniom.

W pierwszej części naszej pracy, mówiąc o stronnictwach przeciwrządowych, wspomnieliśmy o tych tylko, które walczyły pod okiem słońca i za pomocą środków cierpianych przez prawa krajowe; były jednak i inne podziemnie nurtujące Francją, jedne powiązane skrycie z *Nationalem* lub *Reformą*, inne, które wyłącznie na swoją rękę pracowały i objawiały się w kilku pamiętnych procesach politycznych lub w zamachach na życie królewskie. Stronnictwa te były po prostu sprzysiężeniami, niezajmowały się wcale poszczególnym oporem przeciw działaniom rządu, spiskowały wyłącznie na dorazowe zwalenie dynastji, na rdzenne wywrócenie towarzyskiego porządku. Trzy główne sprzysiężenia oznaczone nazwami *Rodzin*, *Pór Roku* i *Praw Człowieczych*, wtajemniczały kolejno do swoich celów massę rzemieślników, republikanów zapalonych różnego stanu i powołania i znaczną ilość drugiego rzędu literatów. Armand Barbes, Blanqui, Huber, Lamieussens

Raisans, Bernard, Grandménil i kilku innych przywódców, w skutek zamachów przeciw rządowi i rodzinie Orleanów, pokutowali w więzieniach za zuchwałe swoje zamiary. Rewolucya 24<sup>o</sup> Lutego powróciła im wolność, lud paryzki z uniesieniem przyjął męczenników republiki, więźniowie jednak z pod oka patrzyli na kierunek ruchu, którego łagodność mało odpowiadała ich oczekiwaniom; rząd tymczasowy utworzył się, zanim miano czas wyprowadzić ich z więzień, władza prawna ich ominęła, postanowili zatem korzystać z więźności między ludem, pochwycić w braku formy istotną potęgę czynu, to jest zawładnąć umysłem gromad i w tym celu groźnie stanęli na czele kilku klubów paryzkich. Jaki duch przewodniczył zamiarom byłych więźniów politycznych, przekonamy się z przytoczonego tu formularza, wedle którego sprzysiężeni przyjmowali nowych członków do swego grona. Wszystkie towarzystwa tajemne z maloznaczną tu i owdzie zmianą rządziły się jednakowymi zasadami, wszystkie miały jednakowy katechizm, jednakowy sposób zaciągania, następującej treści: wprowadzano adepta z związanymi oczyma, kazano mu wykonywać uroczystą przysięgę, że wszystko co obaczy i usłyszy, pokryje nieprzelamaną tajemnicą, poczem prezydent zadawał mu następujące pytania, na które nowozaciecznik lub wprowadzający go odpowiadał w sposób dosłownie tu zamieszczony<sup>1</sup>: 1<sup>o</sup>d «Co sądzisz o terażniejszym rządzie?» — «że jest zdrajcą względem ludu i kraju.» 2<sup>e</sup> «Kogo rząd wyłącznie popiera?» — małą liczbę uprzywilejowanych.» 3<sup>e</sup> «Jacy ludzie składają dziś arystokrację?» — «ludzie pieniędzy, bankierowie, dostawcy, dzierżyciele monopolów, bogaci kapitaliści i właściciele, gracze giełdowi, słowem «wyzyskiwacze żyjący kosztem ludu.» 4<sup>e</sup> «Na mocy jakiego «prawa ludzie ci rządzą?» — «na mocy prawa mocniejszego.» 5<sup>e</sup> «Jaka wada toczy dziś społeczeństwo?» — «samolubstwo.» 6<sup>e</sup> «Co dziś zastępuje honor, prawość, cnotę?» — «Pieniądz.» 7<sup>e</sup> «Kogo dzis świat szanuje?» — «bogacza i możnego.» 8<sup>e</sup> «Kim pogardza, kogo prześladuje, kogo wyklucza z pod «prawa?» — «ubogiego i słabego.» 9<sup>e</sup> «Co myślisz o prawie «akezy, o podatku na sól, na żywność i na napoje?» —

<sup>1</sup> Ob. sprawozdanie P. Mérilhou.

«podatki te są haniebne, uciskają biednego, szczędzą bogacza.»  
 10<sup>e</sup> «Co jest lud?» — «ludem są ci tylko, którzy pracują.»  
 11<sup>e</sup> «Kim jest lud względem dzisiejszych praw?» — «niewolnikiem.» 12<sup>e</sup> «Jaki jest los wyrobnika pod rządem bogaczy?» — «los helota, murzyna; życie jego jest ciąglem pasmem nędzy, «trudów i cierpienia» 13<sup>e</sup> «Jaka zasada ma służyć za podstawę «nowemu porządkowi społecznemu?» — «równość.» 14<sup>e</sup> «Jakich «praw ma używać obywatel w kraju uporządkowanym?» — «prawa bytu pod warunkiem pracy, prawa bezpłatnego wychowania, prawa spółuczestnictwa w rządzie; obowiązkami jego są: poświęcenie dla społeczeństwa, braterstwo dla spółobywateli.» 15<sup>e</sup> «Nad jaką rewolucją mamy pracować, nad polityczną czy nad społeczną?» — «nad społeczną.» «Czy mówił «ci wprowadzający o celu naszych zamiarów? — cel ten powinien sam dostatecznie poznać z naszych zapytań; w kilku «wyrazach objawimy ci go jeszcze wyraźniej; słuchaj: stowarzyszyliśmy się dla wydania śmiertelnej walki uciskowi ciemni- «miężców naszej ojczyzny; polityką tych ostatnich jest utrzymywanie ludu w odosobieniu i w ciemnocie, naszą zatem «nawzajem ma być rozszerzanie światła i zbieranie sił ludu «w jedno ognisko. Ciemniący nasi wtoczyli kajdany na wolność druku i stowarzyszenia, obowiązkiem zatem naszym jest «stowarzyszać się wytrwalej niż kiedykolwiek i zastąpić druk «propagandą żywego słowa; łatwo pojmujesz, że ciemniący nasi «wzbraniają nam tej broni, której sami najwięcej się obawiają, «do nas więc używać jej stale i wyłącznie. Każdy członek to- «warzystwa obowiązuje się wszelkimi sposobami szerzyć po- «jęcia republikańskie, pomagać do propagandy czynnej, nie- «zmordowanej. Przyrzekaszże siły twoje złączyć w tym celu «z naszymi? kiedyś, w danym czasie, gdy godzina wybije, «porwiemy za broń i uderzymy na rząd, na gniazdo zdrajców «ojczyzny; wtedy stanieszże przy nas? namyśl się; niebezpie- «czne to przedsięwzięcie, wrogowie nasze są silni, mają wojsko, «broń, pomoc cudzoziemskich królów. panują postrachem. «My biedny lud, mamy tylko naszą odwagę i słuszność naszej «sprawy. Czujeszże w sobie siłę do stawienia czoła niebezpie- «czeństwu? gdy hasło do walki uderzy, czujeszże w sobie posta- «nowienie zginąć z bronią w ręku za sprawę ludzkości? Obywa-



«telu! powstań, oto przysięga, którą masz wykonać:» «przysięgam niewyjawiać nikomu, nawet krewnym moim najbliższym «tego, co będą mówić lub działać w naszym towarzystwie, przysięgam posłuszeństwo statutom, przysięgam nienawiść i zemstę «zdrajcom, którzyby się wśliznęli w nasze szeregi, przysięgam «miłość i pomoc dla moich braci, przysięgam poświęcić wol- «ność moją, krew i życie za zwycięstwo świętej naszej sprawy.» «Obywatelu! zajmij miejsce, ogłaszamy cię członkiem naszego «stowarzyszenia.»

Widzimy według tego katechizmu, czego chciały, dokąd dążyły przedrewolucyjne sprzysiężenia i z jakimi następnie zamiarami musieli wpaść w war politycznych działań wyobraziciele powyższych zasad. Istota celów spiskowych podobnie jak wszystkich powstań ludu była wyłącznie zaprzeczną. Burzyciele ograniczeli się na pokazywaniu próchna zbutwiałego gmachu społecznego, i dla naprawy chcieli przedewszystkiem wypędzić zeń gospodarza; jaką zaś drogą odnowienie miało się uskutecznić, czy wspólnych zezwoleń, czy dyktatury, czy postrachu, czy powszechnej obrady, kolej wypadków byłaby to odkryła. Wszelako, każdy bliżej oznajomiony z ludem francuzkim, umiejący porównać dzisiejsze jego wykształcenie z ciemnotą, jaka go ogarniała w XVIII<sup>m</sup> wieku, każdy oględny na różnice polityczne i społeczne epok dwóch wielkich rewolucyi, mógł być aż nadto pewnym, że czasy Marat'a i Carrier'a nigdy we Francyi nie wrócą.

Dwoma postaciami najodrębniej rysującemi się na tle kotłowań klubowych byli Armand Barbes i Blanqui. Pierwszy wychowany w całym zbytku naszego stulecia, majątny właściciel z okolic Karkassony, z wstrętem odepchnął od ust słodką czarę materialnych wygod swego położenia, i od pierwszej młodości rzucił się w gorączkową atmosferę spiskowych knozań. Barbes był jednym z tych ludzi, których rewolucya wyradza i następnie jak Saturn własne dzieci, pochłania. Zaofiarowanie materialnych korzyści swego bytu, wytrwałość, szalona odwaga, gorące słowa, konwulsyjna chęć czynu, oto były żywioły, które Barbes przynosił stowarzyszeniom spiskowym. Bez żadnych prawie zdolności politycznych i organizacyjnych, nieumiejący sprzysiężeniem nawet kierować, mógł tylko jak piorun błysnąć, uderzyć,

zdrzgotać i w ziemię się zapaść; zaplątany w spisek w kilka lat po wstąpieniu na tron Ludwika Filipa, z bronią w rękę, na ulicy schwytyany, obwiniony o zabójstwo oficera dowodzącego przeciw powstańcom, skazanym został na karę śmierci, którą król zamienił mu być na dożywotne więzienie. Samotność była najsrozszą męczarnią dla gwałtownego charakteru Barbes'a; dręczyła go nieustanna gorączka niewoli, słabnącemi caraz ramiony wstrząsał kratami swego więzienia; nareszcie gdy wypadki 24<sup>o</sup> Lutego otworzyły mu zapory, stanął w jednej chwili pośród Paryża i niewytrzęzwiony jeszcze z pierwszych upojeń wolności, wszedł w rewolucyą jak we własne swoje dziedzictwo.

Towarzysz jego niedoli August Blanqui cale odmiennego był charakteru. W obec wyniosłej postawy i dziwnie ujmującej powierzchowności Barbesa Blanqui drobnym swoim wzrostem, chudą, wyżółkłą twarzą zarosłą siwiejącym włosom, grzbietem, który cierpienia więzienne pochylily ku ziemi i nosowym dźwiękiem głosu, niezwracał na pozór niczyjej uwagi. Fizyonomista wszelako niebyłby pominął szczególnego blasku zapadłych jego oczu i wulkanicznej jakiejś spokojności, która leżała mu na licu. Jeżeli na pierwsze wejrzenie lub śród zamętu walki ulicznej Barbes miał pierwszeństwo nad Blanqui'm, natomiast w głębokościach spiskowych przedsięwzięć, w naradczych podziemnych sprzysiężeń, między ludem rozhukanym po boju, na zgiełkowych posiedzeniach klubistów, Blanqui prowadził Barbes'a jak dziecko na paskach i śmiało mógł nielekać się niczyjego spółzawodnictwa. Obdarzony niezwykłą wymową, siejący pełnemi rękoma brylantowe kwiaty francuzkiego ludowego dowcipu, zaciekle czepiający się słabej strony rządu podobnie do tych gadów, które wyrwane z ciała żądło zabójcze zostawują w ranie, pod zapachem sielankowych frazesów kryjący woń krwi, pod harmonią słów zgrzyt żelaza, Blanqui założył w teatrze konserwatoryum muzycznego klub centralny republikański, który wkrótce jeżeli miał pomieścić cisnące się doń tłumy, byłby musiał przenieść swe posiedzenia na najobszerniejszy jaki plac Paryża. Szczęściem dla rządu, który słusznie uważał w Blanqui'm najniebezpieczniejszego przeciwnika, znaleziono w papierach ministeryum spraw wewnętrznych, akt, dowodzący, że

prezydent klubu centralnego, w sprawie spisku, za który przypłacił był więzieniem, dla złagodzenia sobie kary, zadowolił poniekąd ciekawość ministra względem reszty sprzyśniętych. Rząd ogłosił dokument i zadał śmiertelny cios Blanqui'emu; oskarżony po długiem oczekiwaniu wystąpił nareszcie z obroną, słabo atoli zbijającą czynione mu zarzuty; Barbes zerwał z nim bliższe stosunki, nieufność powlekła każde jego słowo, pewna wszelako część zażartych przeciwników National'a nieopuściła Blanqui'ego, ceniąc go, jak się ceni ostrze topora lub gwałtowność trucizny, szanując go jak hartowne narzędzie, które po dopelnionem dziele można było ze spokojnem sumieniem pokruszyć. Blanqui zgryzł w sobie zniewagę, przy zdarzonej atoli sposobności zamierzał kazać swoim prześladowcom drogo sobie za nią zapłacić; opętany już nie żadnem przekonaniem ale prywatą, dobywał ostatnich sił niezmordowanej swojej działalności, wytrząsał przed ludem najmniejsze słabostki rządu i smagał go bez miłosierdzia.

Inni przywódcy radykalnych klubów, pracujący wszyscy w duchu Barbes'a, jako Huber, Cahaigne, Lebon, Villain, itd. obuchy rewolucyjne, przejęci nienawiścią ku mieszczańskorepublikańskiemu stronnictwu National'a, które wyraźnie zaczynało na własną korzyść konfiskować Rzeczpospolitą, wykształcali między ludem dawnych Kordelyerów i przygotowywali drugi 30<sup>ty</sup> Października dla nowych tych Girondinów. Sobrier, redaktor Komuny paryskiej, marzył o odnowieniu sekeyi miejskich z czasów terroryzmu, tworzył sobie małą pretoryańską gwardyę z ludzi gotowych na każdy jego znak, a których w chwili przesilenia mógł być rzucić na szalę bardziej nachylającą się ku własnym widokom, groził rządowi wpływem swoim na lud, powierzehownością wreszcie, obejściem i stylem przypominał Legendr'a z epoki Konweneyi. Raspail, znakomity francuzki lekarz, umysł tak w swoim zawodzie jak i w polityce dążący ciągle do spekulatywnych oderwań, odludek kochający przyszłe pokolenia a zrażony słabościami moralnemi i fizycznemi społeczesnych, przemyślał nad ogólnem panaceum na drugie i powszechnym systemem na pierwsze. W długich badaniach nad fizyologią wyczerpał pojęcia swoje o równości społecznej i politycznej, amputacyę uznawał za równie konieczną



na choroby ludzkości jako i pojedynczych jej członków; fanatyk rewolucyjny wpleciony w koło jednej stałej idei, za pośrednictwem dziennika swego i zapalonych odezw do ludu, wkrótce stanął na czele jednego z najliczniejszych klubów paryzkich.

Rzeczpospolita otwierała pole ludziom, chciwym przeprowadzania długo marzonych systemów, rozgłosu, wziętości, osobistej korzyści lub władzy; stowarzyszenia tajemnie otwarcie wystąpiły z wypracowanymi oddawna programami przyszłego porządku, lud pragnął, aby mu dokładnie wypowiedziano, czego ma spodziewać się od nowo narodzonego systemu; Barbes i towarzysze dla zadość uczynienia jego żądaniom, rzucili mu program założenia rewolucyjnego Towarzystwa praw człowieka i obywatelskich następującej treści:

«Towarzystwo zakłada sobie:

1<sup>o</sup> «Bronić praw ludu, do używania których przywróciła go rewolucya 24<sup>o</sup> Lutego;

2<sup>o</sup> «Wyciągnąć z teje rewolucyi wszelkie wnioski społeczne.

«Jako punkt oparcia stawia Ogłoszenie praw człowieka z r. 1793<sup>im</sup> przez Robespiera. Pod względem więc politycznym pojmuje Rzeczpospolitę jedną, niepodzielną, prawa zaś wszechwładnego ludu nienaruszalnymi. «Pod względem społecznym niszczy dawną konstytucję, nową zaś opiera na równości, wzajemności i braterstwie, «jako na zasadniczych prawdach nowej ugody społecznej. Stąd «Towarzystwo praw człowieka, w poczynającej się rewolucyi «społecznej, stawia się pośredniczo między wydziedziczonymi «a przywilejowcami dawnego społeczeństwa.»

«Do pierwszych mówi:

«Jednoczcie się ale w pokoju, na tem bowiem spoczywa «cała wasza siła; jest was tyle, że samo objawienie woli waszej «przyniesie wam pożądane skutki, ale dla tego właśnie, że jest «was wiele, powinniście domagać się jedno słusznych rzeczy. «Głos wasz i wola wasza, głosem i wolą Boga.»

«Do drugich mówi:

«Przepadły już dawne formy społeczne, minęło panowanie «przywileju i wyzyskiwania; prawną drogą nabyliście przywileje «przez was piastowane, niech was to atoli w dumę nie wbija; «prawa te albowiem waszem są dziełem, większość waszych



«braci nie miała w nich żadnego uczestnictwa, może je zatem «odrzuć. Zjednoczcie się więc z ludem, gdyż potrzebujecie «przebaczenia u tych, których od tak dawna poświęcaliście dla «wyłącznej waszej korzyści. Jeżeli pomimo obietnicy pogodzenia, będziecie się odosabiać i bronić dawnych form społecznych, w dniu walki ujrzyecie na czele nasze oddziały, «a wtedy bracia wasi zamiast wyciągania ku wam zgodnej «dłoni, pochwycają oręż sprawiedliwości.»

Kiedyś, po latach, gdy ochłoną namiętności i war rewolucyjnych wzruszeń daleko przepłynie, historia na bezstronnych szalach ważąc działających dziś ludzi, każdego oceni wedle nieśmiertelnych swoich zasad, wykaże nam duchową treść i wartość tej odezwy wzywającej do miłości i zgody pod zagrożeniem topora, osądzi kto winniejszy, czy ten kto nadużywa, czyli ten kto pragnąc pojednania, prawicę podaje przeciwnikowi, lewicą zaś chwyta za obuch; dziś, towarzystwo kolejno na jednej tylko stronie upatruje winę; niema jeszcze historii na sędziego, kryje się ona dopiero w zawiązkach utajonych na dnie każdego sumienia. Co do nas, przedstawiliśmy tu jedno fakta, porównanie ciekawe statutów i zamiarów sprzysiężenia z programem spiskowych po zwycięstwie; zajmujące dwie jednoczesne i tychże samych ludzi teorye burzenia i budowania! — zastanowiwszy się głęboko nad rozpędem i siłą pierwszej, nad harmonią i spójnością drugiej, może przyszlibyśmy do wielu dziwnych spostrzeżeń nad naturą człowieka, nad zdolnościami jego do syntezy? Jednakże, w objawach tych ducha ludowego we Francyi, niemożemy pominąć kilku szczególnych pojęć, które przypominają nam, że między wybuchem Lutego a rewolucją 1789<sup>o</sup> r. przeszło pół wieku już upłynęło. Śród krwawej a dymnej atmosfery tej odezwy, pytamy, co znaczy nowe, po raz pierwszy wywieszone godło wzajemności? gdzież z przed równości i braterstwa podziła się wolność? czyliż tak zbrzydła już nędzarzom, że wyraz jej nawet uznali za niegodny do wypisania na czerwonym proporcu? czyliż lud tak mało ją ceni, że jej nawet nie pomieszcza w szeregu swych zachceń? «wzajemność?» czyliż pojęcie braterstwa nie łączy w sobie wzajemności? czyliż lud przez głupotę wpada w pleonazm lub też czyli w przeczuciu, że jeden wyraz zardzewiał mu ogólni-

kiem, dla odtarcia go, dla odjaśnienia, dla uwielmożenia jego potęgi, jednoznacznie obok wystawia i właśnie w tym pleonazmie istotę ducha przyszłej epoki wyraża? Lud wołał o wolność, kiedy chciał praw, ale skoro postrzegł, że nieograniczona wolność, że rozhuwane prawa osobiste wyrodziły mu indywidualizm i potworne samolubstwo, naówczas wydarł z chorągwi trzecią część godła, tę właśnie, której w szale przypisywał swoje cierpienia, wykrzyknął wzajemność, niedomagał się już praw ale sam zaczął nalegać o obowiązki. Po raz pierwszy w rewolucyi francuzkiej 1848<sup>o</sup> r., wśród rumowisk przeszłości i nowych ze starego próchna kleconych gmachów, błysła nam idea, która swoją barwą powiedzie od ośmiu miesięcy otwartą epokę dziejów nowożytnych.

Tymczasem okoliczność ważna dla narodu oderwała kluby od polityki wewnętrznej i od kwestyi społecznych, całą zaś działalność ich skierowała na mające niebawem nastąpić wybory. Francya niecierpliwie oczekiwała Izby narodowej, której zadaniem było wytlómaczenie jej prawdziwej istoty, celu i kierunku rewolucyi, Izby która miała przejąć w swoje ręce władzę tymczasową rządu, zamienić ją na stałą i nareszcie przystąpić do napisania Ustawy odpowiadającej potrzebom politycznym i społecznym narodu. Zdawało się, że Izba wywołana teraz przekonaniem i wolą całej Francyi potrafi nastarczyć dążeniom historyi, że postawi ideę, która uroczyście i szeroko rozwijać będzie pomyślność kraju na wewnątrz, siłę jego i godność na zewnątrz. Głos ludu jest głosem Boga, niewątpiono zatem, że z bezpośrednich wyborów, z sumienia ogółu, prawda w całym blasku wybłyśnie. Jakoż w teoryi, niepodobna było zarzuć powadze i świętości zdania ludowego, w czynie wszelako jeżeli z piersi gromad miała wyłonić się prawda, potrzeba było wprzód, aby silna iskra godności ojczyzny i miłości społecznej błyskawicowo drasnęła serce ludu, słowem, aby każdy członek wielkiej rodziny zupełnie zapomniał o sobie, całym zaś duchem poczuł się tylko w narodzie. Zapal wtedy ogarniający wyborców byłby w jedno ognisko zestrzelil się w Izbie i rozpalil nieśmiertelny ogień na strawienie pierwiastków nieczystych społeczeństwa, na rozświecenie narodowi drogi jego w przyszłości. Historia przedstawia nam dwa wypadki, w których śmiało i bez

zawodu można odwołać się i zaufać głosowi narodu: wystawienie wielkiej zasadniczej idei dla całej ludzkości, lub niebezpieczeństwo zagrażające ujarzmieniem ojczyzny, czyli inaczej mówiąc, chwila apostołskiego natchnienia lub obrony granic i swobód krajowych, oto dwa nieprzebrane źródła, w których naród czerpie zapał i proroczym głosem wolę swoją objawia. Francya 1792° r. odkryła dwa te źródła, walcząc za sprawę i przeciw wrogom ludzkości; dziś, trudniejsza była zagadka wydobycia głosu wieszczego z narodu sponiewieranego przez trzydzieści trzy lat panowania Burbonów. Francya 1848° r. od strony sąsiadów czuła się bezpieczną; na wewnątrz jej, oprócz dwóch milionów wyrobników domagających się przemiany stosunków społecznych, trzydzieści cztery milionów reszty mieszkańców, bynajmniej nietroszczyło się, niepracowało na republikę i niepragnęło wywrotu monarchii. Wypędzenie Ludwika Filipa nierozbudziło wprawdzie silnego spółczucia w narodzie, ale też pojaw nowego systemu znalazł go równie obojętnym, podczas gdy wstrząśnienie handlowe i zagrożony był przemysłniczej większości, nienawiść raczej niż miłość wzniecały ku burzycielom tronu. Biła w oczy wznosząca się Rzeczpospolita, chociaż po kraju z trudnością tu i owdzie dostrzegano szczerych republikanów. Cóż jednak miano począć? — tron własną zgnilizną w proch się obrócił, do rozwalenia go starczyło lekkiego podmuchu kilku rzemieślników, niepodobna było myśleć o nowym pomazańcu, tembardziej, że ostatni sam uznał się jako zamykający na wieki poczet królów francuzkich, nadto, obawiano się zaciekłości ludu, który niechęciał słyszyć o monarchii, lękano się nowych zaburzeń, nowych ciosów dla przemysłu i kredytu, przyjęto więc republikę jako złe, nieprzyzywane, niewitane ale konieczne.

Taki był duch większości, wybory musiały być jego wyrazem, jakoż Izba dzisiejsza najoczewiściej pod tym względem wykazuje usposobienia polityczne i społeczne Francyi. Stronnictwa republikanckie natomiast, od mnogich lat pracujące nad zaprowadzeniem Rzeczypospolitej, osiągnęszy swój cel, bynajmniej nie chciały rzucać zwyciężskich lupów na pastwę republikanom świeżej daty, którzy pod larwą wymuszonego spółczucia dla nowego systemu, kryli niechęć, wzgardę a zapewne i nadzieję po-

wrotu do dawnych czasów. W braku idei porywającej urokiem swoim cały naród, w braku niebezpieczeństwa skupiającego uczucia krajowców pod jeden proporzec wspólnej obrony, republikanie, według dawnego monarchicznego obyczaju, postanowili, bezpośrednim wpływem, namowani ruchem, trocha zaś i rozruchem pozyskać naród dla swoich przekonań i wymódlz na nim, żeby wybrał posłów między ludźmi oddawna znanymi z radykalnych pojęć.

Jak tylko niebyło wyboru między drogą ducha a materyi i tylko wyzyskiwanie ostatniej wyłącznie pozostawało, należało przynajmniej starać się, aby od wznoszenia nowego gmachu odepchnąć starych budowniczych, aby świeże pokolenie do czynu powołać, starsze albowiem upadkiem Karola X<sup>o</sup> i Ludwika Filipa, samo zawyrokowało o swojej niedołężności. Republikanie stojący u steru rządu, bacząc na zubożenie polityczne większości, mieli prawo energicznego poparcia swoich stronników; więcej nawet, postępując inaczej, sami zdradzali swoją bezsilność i pokazywali się niegodnymi nowego systemu.

Minister spraw wewnętrznych Ledru-Rollin, z ojca i z dziada pracownik w republikanckiej winnicy, rozpuścił w tym celu na kraj chmarę kommissarzów i agentów; okólnikiem swoim wezwał ich do sprężystego zajęcia się wyborami, do przeprowadzenia których powierzył im nieograniczoną władzę.

Na odgłos o ustanowieniu kilkudziesięciu departamentalnych dyktatorów, mieszczaństwo i wstecznicy podnieśli straszliwy krzyk. Księża i legitymiści oburzyli się przeciw zawodom stawianym im w popieraniu sprawy Henryka V<sup>o</sup> i jezuickich kandydatów, mieszczaństwo zlekło się zgromadzenia złożonego z wybrańców samego ludu, zachowawcy ujęli się za rozbitkami dawnej Izby deputowanych; przemysłników, kapitalistów, graczy giełdowych, wyzyskiwaczów na szeroką skalę strwożyła myśl osadzenia ław obradnych socyalistami. Zgiełk wszczął się w Paryżu, zgroza przeciw okólnikowi Ledru-Rollin'a doszła do najwyższego stopnia: niepojmowano zuchwalstwa republikanów, którzy domagali się Rzeczypospolitej na korzyść ludu, od społeczeństwa zaś i godności w jej rządzie chcieli odsunąć monarchistów i dawnych najzaciętszych jej wrogów. W roku 1830<sup>ym</sup> lud cale inaczej był sobie postąpił; porwał za broń,



wybiegł na ulicę a gdy kosztem własnej krwi i życia zdruzgotał tron Karola X<sup>o</sup>, naówczas potulnie abdykował na korzyść mieszczaństwa, wrócił spokojnie na swoje poddasza wetować stracone dni pracy, losy zaś i godność ojczyzny bezwarunkowo powierzył stanowi średniemu. Wprawdzie monarchia lipcowa i jej zwolennicy nie zupełnie zadowolili oczekiwania narodu; lud zniercpliwiony ich rządami znowu musiał wypędzać nieodpowiedzialnego króla, ale byłaż w tem dostateczna przyczyna na odtrącanie od rządów Rzeczypospolitej odpowiedzialnych wykonawców jego systemu? Gdyby Ludwik Filip był uśmierzył wybuch 24<sup>o</sup> Lutego, najgwałtowniejsi dziś przeciwnicy okólnika Ledru Rollin'a, byłiby pierwsi złożyli kryminalny sąd na zbrodnicze republikańskie zamachy, ponieważ atoli szala zwycięstwa opadła na przeciwną im stronę, zamiast srogich zatem wyroków, wygodniej było zwinąć monarchiczną chorągiew, odwołać się po odniesionej porażce do wykrzyków braterstwa i oburzać na okólnik, który w istocie bladł w porównaniu z aktem oskarżenia, jaki w razie zwycięstwa monarchiści byłiby niomieszkali wystosować przeciw burzycielom publicznego porządku. Rzekniesz, okólnik miał w sobie dwie rdzenne wady; pierwsza pochodziła z frazesowej energii jego autora niepopartej czynem, z groźby kończącej się na płonnym postrachu, druga leżała w mało trafnym wyborze, jaki po większej części padł na rewolucyjnych kommissarzów i agentów. Przeciw samej treści okólnika nie było do zarzucenia; Ledru-Rollin chciał, aby pierwsza Izba Rzeczypospolitej składała się z samych republikańców i gdyby wypadki 24<sup>o</sup> Lutego niebyły tak nagle zaskoczyły Francję, gdyby naród więcej był przygotowanym do nowego systemu i tak samo moralnie chociaż był uczestniczył w przysiężeniach, jako miał wziąć udział w owocach ich zwycięstwa, niepodpada wątpliwości, że całe odmiennej barwy posłowie byłiby zasiadali dzisiejszą prawą stroną i środek Izby. Co do kommissarzów, przeciw którym prowincye nawet powstały, niepodobna ich obwiniać o nadużywanie nieograniczonej ich władzy. Obyczaj francuzkie 1848<sup>o</sup> r. drażliwość materyalna a obojętność polityczna, rozwalenie monarchii dokonane w przeciągu kilku godzin i bez żadnych gwałtownych wstrząśnięć, bynajmniej niezagrozały powrotem groźnych czasów Konwencji

i pod względem krwawych zamiarów żaden z agentów Ledru-Rollin'a nie marzył nawet o gilotynie. Niektórzy z kommissarzów, urojonych Tytanów rewolucyi, wyzywali raczej trzepiec Momusa aniżeli Jowiszowe pioruny, stroili się w kapelusze z trójbarwnymi piórami, w odzież skrojoną na wzór ubiorów z 1792<sup>o</sup> r., wszelako były to jedyne oznaki, jakimi przypominali Saint-Just'a lub Tallien'a; wreszcie, działalność ich co chwila potykała się o tysiączne zawady; prowincye pod wpływem mieszczaństwa i monarchicznych urzędników, wystraszone republiką, do której przywiązywały powtórzenie całego szeregu wypadków z końca XVIII<sup>o</sup> stulecia, dopuszczaly się na agentach czynnej przemocy, wypędzały ich, czasem nawet więziły. W obronie prowincyi wyznać można, że rząd tu i owdzie grubo pomylił się na ludziach, którym w zaufaniu nieograniczoną władzę powierzał, nawzajem atoli niepodobna zaprzeczyć, że zawiść i stronnictwo były głównymi przyczynami zarzutów podnoszonych w tej mierze przeciw ministrowi spraw wewnętrznych. W pierwszych chwilach rewolucyjnej gorączki, wśród loskotu walącego się dawnego systemu i mnóstwa obozów ubrajających się jednych przeciw drugim w stolicy, trudno było pojedynczemu człowiekowi sprawdzać życiorys każdego z swoich podwładnych, tem bardziej, że Rzeczpospolita za Ludwika Filipa wyrabiała się w ciemnościach spiskowych, że między swymi zwolennikami liczyła szczupły poczet ludzi wyżej wykształconych, głównie bowiem opierała się na wyrobniczym ludzie. Z drugiej strony Republikanie wystawiali naprzód swoje zasługi, dopominali się o uczestnictwo w rządzie od tylu lat przez nich marzonym, minister zaś dla uspokojenia nieco rozłukanego miasta, rad co najzapaleńszych powysyłał na prowincye, gdzie oziębłość mieszkańców aż nadto wystarczała do wystudzenia ich uniesień. W ogóle, wsteczniczy, równie w okólniku jako i w postępkach kommissarzów szukali jedynie sposobności do zżymania się na Ledru-Rollin'a, któremu niemogli przebaczyć gwałtownego oporu w Izbie przeciw regencyi, forytowanej przez Odilon-Barrot'a jako też pierwszego wykrzyknięcia Rzeczypospolitej na zgłiszczach lipcowej monarchii. Oddziaływacze, dla potępienia Ledru-Rollin'a w oczach narodu, puścili natychmiast pogłoskę o popełnionych przezeń pieniężnych nadużyciach, ogło-

sili go złodziejem. We Francyi, gdzie grzywna złota lub srebra jest dotąd miarą wartości człowieka, skoro tylko stronnictwo jakie chce kogo zgubić przed sądem ogółu, oskarża go czemprędzej o kradzież; w innych krajach gdzie miłość ojczyzny jest pierwszym i najświętszym obowiązkiem, oszczerstwo w podobnych razach udaje się zwykle do posądzeń o zdradę. W ogóle, potwarcy wszędzie czerpią zarzuty w słabych stronach własnego sumienia.

Tymczasem w Paryżu i po głównych miastach Francyi, kluby szczerze zajęły się wyborami. Od wieczora do późnej nocy wysłuchiowano wyznań wiary różnych kandydatów, popierano jednych, oburzano się przeciw drugim, zaprowadzano karność i zgodę wyboreczą, wyklinano wsteczników, polecano ludowi rewolucjonistów. Rząd z początku oznaczył był dzień wyborów na 5<sup>o</sup> Kwietnia; kluby gwałtownie wystąpiły przeciw temu rozporządzeniu i za pośrednictwem mnogich delegacyi oświadczały w tej mierze swoje zdania, prosząc o odwleczenie wyborów i pokładając za przyczynę swoich żądań, nieprzygotowanie narodu do republiki i konieczność sprężystego przeprowadzenia rewolucyjnych jego pojęć. Rząd na pozór stawiał się samowładnie, uległ atoli poniekąd wrzawie klubowej i odłożył na kilkanaście dni wybory. Naszem zdaniem, republikanie gorliwi o swoją sprawę powinni byli domagać się jak najspieszniejszych wyborów; naród nieprzygotowany do republiki, z każdym dniem dotkliwiej czujący wynikłe z niej przesilenie handlowe, w pierwszej chwili, zanim jedna część ochłonęła z zapалу, inna z podziwienia, ostatnia z przestachu, mimowolnie uderzony istotą wypadku, byłby chętniej przechylił się w wyborach na stronę nowych swoich przywódców. Czuli to dobrze wstecznicy i także popierali zwłokę; rozumiały to i kluby, ale dla nich zwłoka, przedłużając rozsprężone rządy władzy tymczasowej, ułatwiała tem samem drogę do pomnażania codziennych rewolucyjnych szeregów, do osłabiania ogniw rządu, i następnie do wykonania ostatecznych ich zamiarów. Blanqui żądał, aby odłożono wybory przynajmniej do 1<sup>o</sup> Września; w sześć miesięcy obiecywał sobie wysłać za Ludwikiem Filipem stronnictwo *National'a*.

W Paryżu śród tego młoda republika ścinała się w dziwnie potworne kształty.

Tłumy wczorajszych i dzisiejszych zwolenników nowego



porządku, oblegały ministerya, wrzeszcząc o wypędzenie monarchicznych urzędników i o powierzenie władzy ludziom godniej odpowiadającym zaufaniu narodu. Łatwo odgadnąć, że ludźmi tymi byli ci sami czolobitnicy nowemu bóstwu, którzy uporczywie domagali się służenia ojczyźnie za stosownem wynagrodzeniem. Rząd składał na jeden kopiec prośby swoich przyjaciół i w rozrzewniających peryodach dziękował im za ich gotowość. Władza tymczasowa, piętnując niedołęztwem każdy krok swojej polityki zewnętrznej, na wewnątrz z równie logiczną bezwładnością przystępowała do kwestyi organizacyjnych i społecznych. Rewolucya miała wynaleść harmonijny stosunek między kapitałem a pracą, wyzwolić drugą z pod ucisku pierwszego, oprzeć ruch przemysłowy na kredycie, zmusić pieniądź do obniżenia swojej wartości, wywołać przez stowarzyszenia nowe siły i zasoby; rząd pod tym względem otwarcie głosił przekonania swoje i zamiary, zapowiadał bliski koniec samowładztwa kapitalizmu, pomimo to jednak, wydawał jedne za drugimi wyroki na sprzedaż dóbr listy cywilnej, lasów skarbowych, klejnotów koronnych, otwierał stumilionową patriotyczną pożyczkę, nakładał ziemski podatek 45<sup>u</sup> centimów, zmuszał do przyjmowania po równej cenie biletów bankowych i w teorii piorunując na kapitał, w czynie wdzięczny mu się i przymilał. Za jednym pociągiem pióra poznosił ustawy warunkujące pewność handlową lub krępujące pod jakimkolwiek względem swobody osobiste i publiczne, niewystawił natomiast żadnej idei duchowego obowiązku, indywidualizm tylko, wolność pojedynczą i samolubstwo praw na najwyższym szczeblu posadził. Rozmiłowanie to we własnej korzyści niebawem wystudziło zapał i przesiąkło ostatnie warstwy narodu. Lud francuzki kłamiąc swojej istocie swego ducha i swemu posłannictwu, przestał uważać się za członka ludzkości i ujrzał w sobie jedno spółposiadacza Francyi, spółwłaściciela dochodów krajowych. Dawniej, na ziemi francuzkiej, pracownik szukający zarobku, znajdował braterskie przyjęcie, dziś, lud opuściwszy rękodzielnie dla komedyi pracowni narodowych, w niespokojności własnego sumienia oskarżył cudzoziemców o zgubne dlań spółzawodnictwo w pracy i dalejże wypędzać Sabaudczyków, rzemieślników angielskich, niemieckich i belgijskich. Był to najboleśniej-



szy pojaw zmateryalizowania ludowego, goniec wiele następnych zdrożności; rząd atoli i tym razem niewydobył z siebie iskry szlachetniejszych pojęć, niepokazał ludowi wznioślejszego duchowego stanowiska. Długi zastęp Sabaudezyków ze łzami w oczach a boleścią w sercu, wyruszył do rodzinnej ziemi, na której przyroda odmawiała im dostatecznych środków do życia; Anglików pracujących po rękodzielnianach i w portach także odesłano na drugą stronę kanału, Niemcy i Belgowie inną drogę obrali do opuszczenia Paryża.

W pierwszych dniach po wybuchu 24<sup>o</sup> Lytego powszechnie mniemano, że stary świat na dobre zaczął się walić; bacząc na zużyte w nim żywioły, na spróchniałe podwaliny ogromnego gmachu, sądzono, że budowa raz wstrząśnięta, przyspieszonym biegiem runie w zwaliska; zapal ogarniający Francuzów przeniknął także i cudzoziemców, którzy przyzwyczajeni do ślepej wiary w przewodnictwo duchowe Francyi, folgując łatwo wiernym przecuciom, na własnych już glebach zatykali republikańskie proporce. Robotnicy belgijscy i niemieccy upojeni jeszcze wrzawą walki na ulicach Paryża, skupili się pod narodowymi chorągwiemi i postanowili każdy do własnej ojczyzny ponieść rewolucyjną propagandę. Rząd przez szpary patrzył na te wojownicze przedsięwzięcia, otwarcie bynajmniej nieupoważniał zbrojnych wypraw, skrycie jednak dostarczał wychodźcom środków, ułatwiał im trudności podróży i zachęcał do korzystania z przykładu ludu paryzkiego. Myliłby się, ktoby sądził, że władza francuzka działała w tej mierze dla jakichkolwiek politycznych widoków, rząd wcale nietroszczył się o los zagranicznych ludów, o wojnie nawet niemarzył, pragnął tylko czempredzej pozbyć się burzliwego tłumu i wołał wykartaczować go za pośrednictwem harmat króla Leopolda i niemieckiej Rzeszy, aniżeli natłokiem klasy robotniczej pomnażać własne niepokoje. Jakoż, tak się stało. Wojska niemieckie i belgijskie po żwawych dość utarczkach rozproszyły bandy Herwegh'a i Spithoorn'a, podczas gdy w Sabaudyi policya Karola Alberta apostołami republiki zapełniała więzienia. Niemogło być inaczej; gdyby rząd bowiem był powołał naród do powszechnej pracy odpowiadającej posłannictwu Francyi, byłoby starczyło zatrudnienia i chleba tak dla krajowców jako i dla cudzoziem-

ców, przyjmując atoli za zasadę żywienie swego ludu jałmużną, słusznie względem obcych mógł zaprzeć się wykrzykiwanego hasła braterstwa. Feodalizm i średniowieczna zaciekłość przekonań religijnych przedzierżnęły się dziś w kapitalizm i w rozszalałe przemysłnicze samolubstwo; szatan wyzwierzał się na świat w nowej postaci postępowaniem rządu francuzkiego względem cudzoziemskich robotników, przypominał trocha sposoby, jakie podszeptną był niegdyś Katarzynie z Medyceuszów, na pozbycie się hugonotów; zmieniły się powody, środki i cele, wypadek tenże sam pozostał. Rewolucya francuzka rozpoczęła pierwszą kartę dziejów nowożytnych, ludzie atoli d. 24<sup>o</sup> Lutego wyniesieni do władzy należeli jeszcze do historyi wieków średnich.

Łatwo nam teraz przekonać się, dla czego zapal poderwany pierwszym wichrem rewolucyjnych wypadków, z każdym dniem upadał na silach, dla czego żywioły wsteczne wzmagały się coraz w potęgę, tak że nawet d. 16<sup>o</sup> Marca, mieszczaństwo niezadowolone z nowej organizacyi gwardyi narodowej, która znosiła dawne różnice i lud mięszała ze stanem średnim. wystąpiło w kilkudziesięcym poczie i ruszyło do rządu upominać się o wydarte sobie przywileje. Rząd tym razem zamknął skarbnicę frazesów i z niezem odprawił delegatów, nazajutrz zaś kluby wywiodły na bruk przeszło sto tysięcy luda, który spokojnem acz groźnem wystąpieniem zgniótl na chwilę dobywające się z pod ziemi wsteczniostwo. Rewolucyonisci podnieśli rękawicę; Barbes, Huber, Lebon, Sobrier i inni rzucili odezwę, w której ostrzegali o zamachach legitymistów i zwolenników regencyi, wzywali do czujności na sprawy Rzeczypospolitej i nareszcie do ostatecznej walki, w razie, gdyby wsteczniczy niezaprzestali knowań przeciw wszechwładztwu ludu. Towarzystwo Praw człowieka zcisnęło swoje szeregi, całemi piersiami zaprotestowało przeciw jeszcze jednemu zwichnięciu rewolucyi na korzyść mieszczaństwa, cichaczem wzięło się do kręcenia ładunków i zaciągania jak największej liczby sprzysiężeńców; pod tym względem obficie czerpało w rosnących codzien pracowniach narodowych. Oczywiście, warzył się bliski wybuch. chodziło tylko o postawienie na czele nowego przewrotu człowieka, któryby używał powszechnej wziętości między ludem, podawał

pewne rękojmie rewolucyjnej części narodu i rdzennie był przeciwnym wszelkim półśrodkom.

Rzucono wzrok na Ledru-Rollin'a.

Dla dokładniejszego zrozumienia charakteru znanego przywódcy republikańskiego stronnictwa, musimy wymienić ideał, którego Ledru-Rollin przypominał czasami gwałtownością i blaskiem swojej wymowy, ku któremu atoli zawsze prawie w chwilach czynu zwracał swoje wejrzenia.

Jestto obyczajem u wszystkich niemal Francuzów, że wcho-  
dząc w życie polityczne, wybierają sobie jakąś umiłowaną po-  
stać z epoki Wielkiej Rewolucyi, starają się doścignąć ją  
i równy dźwięk po sobie w narodzie zostawić. Jedni stale  
przywiązują się do pojedynczego wzoru, inni chwytają go  
w chwilowem tylko przejściu, ostatni z wielu światłokręgów  
biorą po promyku i tworzą sobie eklektyczną koronę, każdy  
jednak w trudnych kolejach życia mimowolnie topi wzrok  
w świetnej owej plejadzie historycznych mężów. Dla Ledru-  
Rollin'a ideałem tym była nieśmiertelna postać Danton'a, Dan-  
ton'a mniej krwawą grozą Wrześniowych wypadków; więcej  
niezlomną wiarą w ostateczne urzeczywistnienie republikań-  
skich pojęć. Ale Danton, olbrzym kruszący w palcach harto-  
wne królewskie korony, dla tego właśnie był Dantonem, że nie-  
naśladował żadnego innego Danton'a i chociaż Ledru-Rollin  
miał wspólne z nim pewne chwile zapału i uniesienia, chociaż  
po Dantonowemu czyli po lwiemu grzywił się często na trybu-  
nie, wszelako dalekim był od tej siły ducha swego ideału, gdzie  
za myślą-błyskawicą, wnet piorun-czyn uderzał. Daremne  
złudzenia! topór Robespierrowej gilotyny dawno już był odra-  
bał bezdzietną głowę Danton'a; dłoń republikańców z 1848° r.  
za słabą była na podźwignięcie potężnego oręża Konwencji.  
Trzeba było chcąc niechcąc kroczyć o własnej mocy, w takim  
zaś razie jeżeli rewolucya 24° Lutego, nieszczęsną koleją, ko-  
niecznie już musiała być zaprzeczną, jeżeli miała tylko uprzę-  
tnąć plac, aby następne pokolenie nowy gmach na nim zbudowa-  
wało, wtedy, jeden tylko Ledru-Rollin poparty wziętością  
200.000<sup>cy</sup> paryzkiego ludu, mógł korzystać ze swego położenia,  
powierzyć losy Francyi raczej tajemnicom przyszłości aniżeli  
przemocy wsteczników, ogarnąć władzę, wywołać w kraju nowe

żywioly i z wiarą w święte posłannictwo ojczyzny, puścić ją na nieznane dotąd szlaki; Francya zawsze z nich jakąś zasadniczą prawdę dla ludzkości przynosiła. Naówczas atoli Ledru-Rollin byłby musiał poznać, że kto nie będzie walczył za granicami Francyi, ten nigdy na wewnątrz jej niewycięży, że zagadka rewolucyi miała potrójne lice, narodowe, polityczne i społeczne i że chcąc ją rozwiązać, należało walką na wszystkich trzech polach dopytywać się jej słowa. Tymczasem bądź, stanowisko niedorosłe wypadków, bądź brak sprężystej działalności, obawa wywołania strasznych dla kraju żywiołów lub nawet karłowatość osobistej dumy, sprawiły, że Ledru-Rollin stanął przed zasloną przyszłości jak wryty, że uląkł się ostatecznych środków, dał oczarować harmonii frazesów P. Lamartina, że zużył i roztrwonil wziętość swoją u ludu i wpadł nareszcie pod obuchy wstecznictwa, które dostawszy się do władzy, nieoszczędziło mu ani jednej kropli z kielicha gorzkich upokorzeń. Zręczne skorzystanie z usposobienia ludowego w dniu 17<sup>ym</sup> Marca mogło w jak najłagodniejszy sposób raz na zawsze powalić wsteczników, mogło zapobiedz strasznej katastrofie Czerwcowej, co zaś najważniejsza, wyprostować kierunek rewolucyjnego postępu. W wewnętrznych kwestyach narodowych wszystkie stronnictwa ostatecznie tracą na niedołężności przywódców i kto wie czyli historia kiedyś niezapisze zwycięstwa oddziaływaczy w poczet najdrożej okupionych kłesk.

Błędy rządu tymczasowego, słabość jego postępowania i niedostateczność pojęć o warunkach i o celach rewolucyi, uderzały z początku bliższych tylko świadków; za granicami Rzeczypospolitej wybuch 24<sup>o</sup> Lutego wywarł niezmierny wpływ. Na sam odgłos o rewolucyi w Paryżu, o wypędzeniu króla, o ogłoszeniu republiki, ludy przyzwyczajone słuchać godzin postępu wybijanych na zegarze dziejów francuzkich, odpowiedziały na hasło ludu paryzkiego. wstrząsły kajdanami i porwały za broń. Barykady, ołtarze wolności XIX<sup>o</sup> wieku, podniosły się na ulicach Medyolanu; lud włoski, do rozpacy przywieziony niemieckim uciskiem, po zaciętej walce wyparł Austryaków i zatknął chorągiew niepodległości. W Wiedniu, w tem ognisku obskurantyzmu i wstecznictwa, nagromadzone różnorodne żywioły nieoczekiwanym popędem rewolucyjnie zawrzały.



Młodzież szkolna i wyrobnicy tłumem wybiegli na ulicę, zaczęli potrząsać bronią i jak opętani dopominać się o wolność. Książę Kanclerz z początku niechęcia wierzył własnym uszom, wziął zgiełk uliczny za bożbożną pozapustną swawolę, gdy jednak krzyki «precz z Metternichem!» coraz bliżej jęły go dochodzić, uznał, że żart za nadto przekraczał granice przyzwyczajenia i kazał sile zbrojnej upamiętać szaleńców. Za późno! lud szczerze wziął się do dzieła; rześcistym ogniem przywitał wojsko i policję, groźnie roztasował się po ulicach i poprzecinał miasto zaciekami, z przedsięwzięciem walki do upadłego. Książę Kanclerz wypędzony z rady, dopiero za rogatkami Wiednia ochłonął z podziwienia, Europie zaś zdawało się, że kiedy już w stolicy apostolskiego cesarstwa zabrano się do rozwalania starych gratów, rewolucya odniosła najświetniejsze zwycięstwo i podcięła ostatnią podwalinę spróchniałej budowy dawnego porządku. W kilka dni po tej przygodzie, lud berliński dotknięty do żywego dzielnością Wiedeńczyków, z których ciemnoty i materyalizmu wiecznie się wyśmiewał, upokorzony w narodowej dumie, z podwójną wściekłością rzucił się na wystraszoną kamaryllę. Napróżno Fryderyk Wilhem IV<sup>o</sup> starał się tłumaczyć mu, że historyczny rozwój pruskiego postępu wręcz sprzeciwia się rewolucyom, darmo ojcowskie swoje upamiętywania popierał gradem kul i kartaczów, próżno wojsko przywiązane do króla i namiętnie wzwyczajone do niewoli, dokazywało cudów pruskiej waleczności, lud z za barykad niemiłosiernie strzelał na system historyczny, raził żołdactwo z okien, aż nareszcie monarcha przekonany, że tym razem zawiodły go teorye, cofnął podziesiątkowane szeregi i wyjechał konno poić się wraz z ukochanym ludem — tryumfem odniesionego nad nad sobą zwycięstwa.

Wypadki zaszele w Niemczech i we Włoszech obudziły żywe społeczenie we Francyi. P. Lamartine wspiał się na swoim trójnogu i począł dowodzić, jako sam blask jego słów i system niemięszania się Rzeczypospolitej do spraw sąsiedzkich, wystarczają do przemienienia ziemi w Eldorado wolności; «propaganda myśli i przykładu, mówił, aż nadto jest dostateczną na pokonanie w całej Europie nieprzyjaciela, którego Francya «w Lutym pod swoje nogi podesłała.» Wrzкомо zdawało się,

że P. Lamartine miał słuszość, w istocie jednak rzecz miała się całe inaczej. Ludy wiążąc z rewolucją francuzką konieczne spełnienie naznaczonego jej posłannictwa, dały znak przewodnicze, że gotowe są do rzucenia się w jej ślady na drogę nowych dla świata podbojów; sama myśl o logicznem następstwie spalenia tronu Burbonów, wystarczała na wypędzenie Austryaków z Medyolanu, Księcia Kanclerza z Wiednia, i wojsk królewskich z Berlina; skoro jednak niedołęztwo sterników zwichnęło później kierunek ruchu i fałsz zadało słusznym oczekiwaniom po nich nadziejom, sam wpływ duchowy francuzkiego wstecznictwa znowu aż nadto wystarczył do zwycięstw oddziaływaczów w Medyolanie, w Wiedniu i w Berlinie. Fakt rewolucyi paryzkiej wywołał powstania zagraniczne; ludzie, którzy ster jej pochycili w nieudolne dłonie, przyczynili się tylko do późniejszej przewagi wsteczników.

Tymczasem, pośród materyalizującego się ludu francuzkiego, jakby opiekuńcze palladium duchowej jego skarbnicy, pławiło się nieustannie jedno święte i promienne uczucie, nić tajemnicza przechodząca zarówno i bezwzględnie na barwy stronnictw przez serce każdego krajowca; idea wynosząca naród nad poziom osobistych stosunków i łącząca na tem wzniosłem stanowisku pojedyncze chęci i przekonania w jeden sąd, w jedną nadzieję, w jeden okrzyk. Niewytłumaczony często zapal dla sprawy polskiej i miłość ku uciśnionym braciom z nad Wisły, wzdłuż i wszerek, w każdym czasie i w każdym niemal zakątku ziemi, objawiały się we Francyi. Wieśniak z najcichszych stron kraju, wyrobnik z fabrycznego miasta, którzy nigdy w życiu niezasłyszezi ani o ziemi lub o sprawie polskiej, ani o wspólnie toczonych bojach pod cesarskimi orłami, ani o zamienionej w przysłowie wierności Polaków do Napoleona, ani o powstaniu w r. 1830<sup>ym</sup> przeciw wspólnemu wrogowi, słowem każdy Francuz ciemny nawet na historię własnej ojczyzny, spotkawszy cudzoziemca, który przyznawał się do narodowości Polaka, otwarzał mu ramiona, witał bratnim uściskiem, sadzał u swego stołu jako dawno spodziewanego gościa i członka rodziny. Cóż dopiero rzecz o ludzie, który miał sposobność zasięgnięcia bliższych szczegółów o Polsce, lub któremu ojcowie rozpowiadając ustępy wielkiego eposu Cesarstwa, z każdym niemal bohatyrskim

czynem łączyli nazwisko Polaków? Lud francuzki mniemał, że na hipotece swego sumienia nosił zapisany ciężki dług ku Polsce, z którego zanim byłby mógł wywiązać się czynną pomocą w sprawie wyjarzemia, wypłacał się tymczasem gorącym spółzuciem i pojedynczemi dowodami braterstwa. Rzeczywiście, dług żaden nieistniał. Polacy pod Napoleonem walczyli za własną sprawę; jeżeli zaś udało im się niekiedy bezpośrednio krwi utoczyć za potęgę Francyi, bynajmniej nieuważali się przez to wierzycielami, narodu; przeciwnie, sami nawet poczuli się do wdzięczności, jaką w każdym szlachetnym rodzi następczoną sposobność wyświadczenia zacnemu towarzyszewi rycerskiej posługi. Z jednej więc strony wspaniałość tylko narodu francuzkiego przypisywała jakimś urojonemu długowi spółzucie i gotowość dla sprawy polskiej, z drugiej zaś Polacy przyjmowali usposobienia Francuzów jedynie jako konieczną potrzebę zmuszającą dzielnych do roztworzenia serca tam, gdzie było najwięcej krzywd, godności i cierpienia. Na dnie tych kawalerskich uczuć obu wojowniczych narodów, głęboko kryła się istotna duchowa przyczyna tajemniczego związku między Polską a Francją. Wolność Europy ważyła się między Paryżem a Warszawą; prawdy zasadnicze dla ludzkości mogły tylko stanąć za czynnem pośrednictwem obu niepodległych narodów. Polska, moralnym swoim bytem ciągle walczyła i na sobie zużywała kajdany obskurantyzmu i niewoli, Francya, pod okiem słońca i na obszernem polu niezawisłego istnienia dobijała się tychże samych prawd; jedna na Zachodzie, druga na Północy, nieodmiennie kiedyś musiały pod temi samemi warunkami wystąpić do boju, podać sobie ręce i wspólnym ruchem uprzętnąć w Europie śmieciowisko przywileju i niewoli. Historyczna ta wspólność celu, wspólność posłannictwa, wspólność pracy, nie osobistej już, nie narodowej, ale przynoszącej owoce dla całej ludzkości, jak gdyby mgliste wspomnienie trudów razem gdzieś w krainach zaświata podejmowanych, lub tajemne przeczucia wspólnych w przyszłości duchowych podbojów, rodzinny, dawno rzekłbyś słyszany dźwięk nadawały nazwie Polaka w uszach Francuza i nawzajem, pierwszego ciągnęły do szukania przytułku raczej we Francyi, niż w innym jakimkolwiek kraju Europy. Lud francuzki między zażaleniami przeciwko Ludwi-

kowi Filipowi na pierwszym miejscu stawiał chytre a niegodziwe jego postępowanie względem powstania warszawskiego z 1830° roku, drżał chęcią pośpieszenia braciom na pomoc, a gdy Polska uległa zgubnym swoim żywiołom i obcej przemocy, z braterskiem rozrzewnieniem przytulił wygnañców. Podczas wybuchu 24° Lutego, głosy za Polską wydierały się z francuzkiej piersi razem z wykrzykami za Rzeczpospolitą; gdy lud wpał do tuilieryjskiego pałacu i porwał tron, aby go spalić na placu Bastylii, niewiadomo skąd, pod złoconem krzesłem znalazł się na podłodze napis: «Niech żyje Polska!» Niewchodzimy tu, czyli jaki rodak korzystając z powszechnego zamieszania, wypisał ukradkiem prorocze słowa, przypuszczamy nawet, że okoliczność ta nigdy nie miała miejsca, rzucamy fakt na pastwę kronikarzom i poprzestajemy na świadectwie, że w kilka godzin po ucieczce króla, na przedmieściach i po wyrobniczych okręgach, szeroco rozpowiadano o tajemniczym napisie. Skądże, w tak ważnej chwili, wśród szału zwycięstwa i obawy nowych niebezpieczeństw, robotnik paryzki upojenie własnym tryumfem łączył z myślą o Polsce? dla czego lud poznawszy na ulicy Polaka, porywał go w objęcia, witał zwycięstwem wspólnej sprawy? dla czego zapominał o sobie, a pamiętał jedno o cudzoziemcu i widział go wracającego do wyswobodzonej ojczyzny? dla czego w chwili wesela, jego szukał, a nie Włocha, nie Irlandczyka gniewionego przez sąsiedniego a nienawistnego mu ciemiężcę? — Po tem, co powiedzieliśmy wyżej, możemy tu oszczędzić sobie odpowiedzi i zapewnić, że spółczucia i odrazy jednych narodów do drugich, głębsze mają przyczyny niż starcie się materyalnych widoków, jednorodność żywiołów wchodzących w skład różnych narodowości lub niczem nieusprawiedliwione popędy. Stąd łatwo nam wnieść, o ile P. Lamartine, w układzie aktu swego ogłoszenia Rzeczypospolitej do zagranicznych dworów, odwołał się do ducha narodowego, do jego uczuć, chęci i potrzeb; jeżeli jednak w okólniku ani słowa wzmianki niebyło o Polsce, natomiast cały lud francuzki z zapalem ciągle o niej wspominał, pomijając z resztą to wszystko, co jego minister spraw zagranicznych w odezwie swojej był wypisał. Inni członkowie władzy, mniej pod tym względem podzielali obojętność P. Lamartina; okrzyki ludu za uciśnioną sprawą wyraźniej ich dochodziły, Ledru-Rollin



i Flocon troskliwiej badali tętno narodu, i rząd tymczasowy po długich naradach, dla zadośćuczynienia głosowi publicznemu, dnia 10<sup>o</sup> Marca wydał rozporządzenie następującej treści:

«Zważywszy, że wychodźcy polscy, dla nowego przekonania «Francyi, drugiej ich ojczyzny o ich wdzięczności i poświęceniu, pragną złączyć się w jeden legion i wraz z Francuzami «służyć sprawie porządku i wolności;

«Zważywszy, że podobna ofiara uczyniona w imię narodu, «który dostarczył już Francyi tylu wiernych towarzyszków broni «i sławy, powinna być z pośpiechem przyjętą przez władzę «opartą na spółczuciach narodowych, spółczuciach tak gorących «zawsze we Francyi względem Polski:

«Rząd tymczasowy postanawia co następuje:

«Art. 1<sup>y</sup>. Ma być natychmiast utworzony legion polski i od- «dany pod zarząd ministra wojny;

«Art. 2<sup>gi</sup>. Minister wojny ma bezzwłocznie zająć się wyko- «naniem powyższego rozporządzenia.»

Lud francuzki sądził, że organizacya legionu nieodzownie pociągnie za sobą wyswobodzenie Polski, rząd zaś mniemał i to nie bez przyczyny, że tym sposobem zaspokoi burzliwe nieco poplecznictwo i troskliwość gromad o los Polaków, w istocie jednak trudno było odgadnąć prawdziwy cel i znaczenie legionu. Władza rewolucyjna, oczywiście, wszelkimi środkami wypraszała się od wojny, pochlebiała sobie, że potrafi dalej prowadzić politykę P. Guizot'a, jeżeli więc pokój miał znowu ukołysać Europę, musimy wyznać, że legion polski, przeznaczony, wedle słów rozporządzenia, na utrzymywanie porządku we Francyi, bynajmniej nicodpowiadał godności ani dobroczyńcy ani obdarowanego. Nadto, w samejże organizacyi legionu zachodziła pewna trudność, którą rząd doskonale przewidywał; dowódców i officerów na kilka nawet legionów niebrakło, z żołnierzami atoli cięższa była sprawa, ci, rzadko gdzie się pojawiali, tak że musiano by chyba zapełnić szeregi Francuzami, tego zaś rząd weale sobie nieżyczył, wydając bowiem pieniądze na utworzenie pułku, wołał zapewnić los własnym officerom, których miał aż do zbytku. Skończyło się na tem, że podczas gdy Polacy wiedli spory, kogoby ostatecznie wykrzyknąć dowódcą, rząd z pośpiechem uchwycił się odmowy kilku wychodźców i sprawę legionu

puścił w zapomnienie. Przypuśćmy wreszcie, że gorliwość polska byłaby pokruszyła zawady, że emigracja byłaby przyjęła dobrodziejstwo rządu i wyraźną korzyść, jaką przedstawiało utworzenie legionu, zapewniając sposób do życia znacznej ilości wygnańców, pytamy, coby się było do dzisiejszego dnia stało z legionem? Czy na odgłos wypadków poznańskich, Polacy byliby mogli zbrojnym zastępem przeciągnąć przez Niemcy i w razie twierdzącym coby z tego było wynikło? rząd francuzki, w ciągłej obawie wojny, byłby chciał rzucić za Ren hufiec regularnego wojska, i jakie skutki byłyby wynikły z jego odmowy? czy może Polacy byliby wyruszyli do Włoch i tam zasłaniali piersiami uciekającego Karola Alberta? czyli też w najgorszym razie zmuszeni pozostać we Francyi, byliby wdali się w wojnę domową i rozbijali barykady tego samego ludu, który sam jeden szczerą a bratnią dłoń ku nim wyciągał i dzielił się z nimi ostatnim kawałkiem chleba, i coby rząd był uczynił, gdyby byli odmówili uczestnictwa w rodzinnych kłótniach? . . . oto są pytania, na które można odpowiedzieć tysiącami najsprzeczniejszych wniosków; co do nas, wyznajemy, że w obecnym stanie Francyi, w zwichnięciu kierunku rewolucyi przez podstępny wstecznicstwo, radzi jesteśmy, że szlachetna ojczysta krew posłuży na sprawę wyłącznie narodową.

Tymczasem wypadki wiedeńskie i berlińskie zdawały się usprawiedliwiać przeczcucia ludu francuzkiego względem Polski. Rewolucye w Niemczech tak samo jak we Francyi zaczynały się od barykad, miałyż podobnie skończyć się na republice? Powstanie w Wiedniu, któremu w pierwszych dniach nikt wierzyć niechciał, przekonywało, że ruch ogarnął kraje najinniej usposobione do czynu; ogłoszenie Rzeczypospolitej w Austrii, wojna wszystkich uciśnionych przeciw wszystkim ciemieżcom, powszechny kataklizm Europy, po wypędzeniu Metternicha, nikogo już niebyłyby zadziwiły; mniemano, że Książę Kanclerz wraz z swoją osobą unosił do Londynu byt apostolskiego cesarstwa. Ostatecznym wypadkiem rewolucyi w Austrii, musiałoby wyjarzmienie różnych narodowości składających państwo Habsburgów; Włochy wykrzykiwały już wojnę za niepodległość, Węgrom wystarczało przeciąć kilka wątych nici wiążących je z Wiedniem, Słowiańszczyzna w ostatnich latach, żwawo jęła

upominać się o swoje swobody, podczas gdy prowincye czysto niemieckie, prawem narodowej grawitacyi wyraźnie dążyły do Frankfurtu, jako do środka ciężkości jednoty germańskiej. Prusy i reszta Niemiec może przed republiką byłyby jeszcze jakiś czas zatrzymały się na szeroce liberalnym konstytucyjnym systemie, wszelako rozwijając u siebie zasady wolności, stanowczo zapewniały w Europie tryumf ich nad absolutyzmem. Rossya, sama jedna trwała w swoim knutowładztwie, atoli i na nią nadchodziły ciężkie czasy. Wolność niemiecka potrzebowała ubezpieczeń przeciw carskiemu despotyzmowi; liberalna Germania i absolutna Rossya nie mogły długo scierpieć się obok siebie, stronnictwa postępowe niemieckie usilnie dopominały się u króla pruskiego o zerwanie wszelkich związków ze swoim szwagrem, wojna między niewolą a swobodą lada chwila musiała wybuchnąć, wojna, której niezaprzeczonem wypadkiem było wyswobodzenie Polski.

W takim to świetle, kwestya polityki zewnętrzej przedstawiała się przy końcu Marca w Paryżu, tak pojmowali ją ludzie prostego umysłu i najbieglejsi dyplomatyczni rachmistrze. P. Lamartine, minister spraw zgranicznych, człowiek, który z urzędu winien był być najdokładniej świadomym istoty ruchów rewolucyjnych w Niemczech, popierał te przekonania wiarą, jaką pokładał w olbrzymi wpływ rządów swoich na losy Europy. Wyprawiał więc cudzoziemców z Francyi, zaręczając, że każdy z nich za powrotem do ojczyzny znajdzie u siebie podostatkiem wolności, Polaków zapewniał, że król pruski i cesarz austriacki z niecierpliwością oczekują na ich przybycie do Poznania, do Galicyi i do Krakowa. W radach tych i pożegnaniach, niema wątpienia, że minister anty-dyplomatycznej i braterskiej republiki, głównie dawał powodować się chęcią wyrzucenia za granice Francyi ludzi, którzy jako wygnańcy po większej części żadnego dochodu jej nieprzynosili, przeciwnie, wystawiali ją jeszcze na koszt. Emigracya, w mniemaniu, że los przeznaczył jej tylko ośmnastoletnie tułactwo, posłyszawszy o wydarzeniach w Wiedniu i Berlinie, z uniesieniem chwyciła za kij pielgrzymi i myślą stanęła już w ojczyźnie, podczas gdy czynem zabierała się do opuszczenia Francyi.

Była to dziwnie wzniosła chwila w dziejach polskiego wychodźstwa.

Starzy i młodzi, dostatniejsi i biedni, ludzie pojedynczy i obarczeni licznymi rodzinami, wszyscy rzucali sposoby do życia krwawym i długim trudem zapracowane, wydzierali się z objęcia żon i dzieci, opuszczali otwierające się we Francyi pole dla czynu, spieszyli ku ojczyźnie, ku Polsce, spieszyli pędzeni nie rzeczywistością, nie przeczuciem ale tęsknotą wiarą, w nieśmiertelną sprawę, pragnieniem domowego powietrza, nadzieją nieprzewidującą, nieopartą na żadnej rachubie, miłością ku rodzinnej ziemi. Próżno zimni rachmistrze, nieomylni prorocy nieszczęścia, radzili im, aby dla złudzeń, dla niepewnych mrzonek, nieporzucali jako tako zapewnionego bytu, próżno cyrklem i miarą dowodzili, że Polska jeszcze powstać nie może, że zagorzalcy, zamiast walki na otwartem polu, spotkają się z nędzą wśród niechętnych im narodów, że zamiast rodzinnych zagród znajdą niemieckie więzienia, darmo upominali ich o poczekanie na pewniejsze wiadomości, wychodzący po za obrazem Polski nie spostrzegali ani nędzy, ani niemieckich więzień, ani zawiedzionych nadziei; jeden podnosił wiarę w drugim, mnożył pomyślnie koleje, lękał się niewczesnem słowem wywołać nieszczęsnych. Widok gorącego pośpiechu emigracyi, dla człowieka serdecznego a przewidującego przyszłość, byłby nad wszelki opis rozdzierającym, ale któż z takich wtedy przewidywał? kto domyślał się jutra? kto wyjąwszy ministra spraw zagranicznych wiedział z zimną pewnością, co dzieje się w Prusach lub w Austryi? Dzienniki paryskie co chwila ogłaszały o nowych w Niemczech zaburzeniach, wojnach i republikach: ludzie kołatani długą niedolą, wierzyli temu, co im najrozkoszniej przypadało do serca, zapominali nawet o pamiętnym okólniku, którego główna treść była istnym programem ocuglowania rewolucyi w Europie.

Lud francuzki stokroć bardziej jeszcze od wychodźców dał się porywać urokowi szlachetnych swoich nadziei. Trzeba było widzieć jak na odgłos o wyruszeniu Polaków, wyrobnicy, od miesiąca sami żyjący na bruku, znosili do biur Reformy po kilka soldów na składkę dla braci z północy, jak inni niemając pieniędzy ofiarowali jakiś przybór potrzebny na drogę, jak ho-



łota, wedle mieszczańskiego pojęcia, oblegała tych dni domy zastawów, jak postacie, niewidziane przedtem na bogatych ulicach Paryża, zazwyczaj pochylone już wiekiem, styrane nędzą i trudem, stawały nieśmiało przed wydawcami Reformy i dobywały z zanadru, ten, jakąś szpilkę odwieczną, ów, kulisty zegarek, tamten, znoszony pierścionek, dla właścicieli tylko nieocenione przedmioty a które ze łzami im powracano; trzeba było widzieć na ulicach młodzież robotniczą łączącą się do polskich orszaków, naczelników pracowni i gwardyi ruchomej domagających się uporczywie wyruszenia razem do Polski, oddających broń zdobytą na policji królewskiej, zgrzytających na niedoleżność rządu, żegnających się z nadzieją ale i ze smutkiem, jak gdyby w niepewnym przeczuciu przyszłych u siebie i za granicą wypadków. Gdzież są dziś ci ludzie o szorstkich prawicach i o gorącym sercu? czy wykartaczowano ich za Czerwcowemi barykadami? czy zapełniają jeszcze paryzkie więzienia lub czy z szerokiego morza zwracają tęschny wzrok ku Francji, ku ojezyźnie; której nigdy już w życiu nieobaczą?

Gdy tak sprawa polska namiętnie zajmowała przednieścia, kluby za jej pośrednictwem dobyły się do ostatnich głębi uczucia ludowego. Barbes, niby Cezarową tunikę, wywieszał przed ludem skrwawioną szatę Polski, pytał, co Francji pozostaje dla utrzymania godności i spełnienia świętej woli narodu a lud jednym głosem odpowiadał mu: «wojna! wojna!» Blanqui i Sobrier poczuli, że sprawa polska była dla nich Archimede-sową dźwignią, potrząśli nią, błysnęli przed ludem i złożyli do zbrojowni co najdzielniejszego zaczepnego oręża. Emigracya, pōjedyńczo i kolumnami opuściła Paryż, lud odprowadził ją za miasto, i bramę, przy której się z nią rozstał, nazwał bramą Polaków.

Powróciwszy, zostawił na chwilę pielgrzymów własnemu ich losowi, sam zaś rzucił się do wyborów i niebawem 900<sup>et</sup> posłów z całej Francji, przejęło władzę z rąk rządu tymczasowego i zasiadło nad ustaleniem albo też nad zniszczeniem Rzeczypospolitej, trudno było z początku przewidzieć, bacząc na masę żywołów wstecznych zebranych w Izbie poselskiej.

Deputowani ludu mieli wypracować konstytucyą, przed postawieniem jednak zasady, jak przystało na Izbę wyłonioną

z powszechnego wyboru, objęli nieograniczenie władzę prawodawczą, wykonawczą i sądową.

Zagmatwany stan zasobów pieniężnych Francyi, naprzód zwrócił uwagę Izby. Monarchia lipcowa zostawiała po sobie niezmierną masę długów. Kapitał długu publicznego Francyi oprócz rent należących do kass amortyzacyjnych, wynosił dnia 1<sup>o</sup> Stycznia 1848<sup>o</sup> r. 5,179,644,730 franków; budżet, który w r. 1830<sup>ym</sup> trawił 1,014,914,000 fr., na rok 1847<sup>y</sup> podrośł do summy 1,712,979,639 fr. Deficyt, pod oszczędzaniem na pozór rządu Ludwika Filipa gwałtownie się powiększał; od r. 1840<sup>o</sup> do 1847<sup>o</sup> wydatki przewyższyły dochody o 604,525,000 fr., tak że budżet gabinetu na rok 1848<sup>y</sup> niósł na sobie ogromny deficyt 652,525,000 fr. Dodawszy do tego dług ruchomy, który od summy 250<sup>u</sup> milionów zapisanej w r. 1830<sup>ym</sup> dobiegł w r. 1848<sup>ym</sup> summy 872,000,000, przekonany się, że monarchia, gdyby nawet mogła być utrzymać się politycznie, w krótkim przeciągu czasu byłaby musiała ogłosić upadłość finansową. Główna kassa skarbową, przy końcu zwłaszcza panowania Ludwika Filipa, nie mogła nastarczyć wymaganiom ministrów. W ostatnich 268<sup>u</sup> dniach swego bytu, gabinet P. Guizot'a wydał nad dochody krajowe 284,800,000 fr. czyli przeszło milion na dzień. Do stawienia czoła tym wydatkom, rząd monarchiczny używał pótrójnych środków, mianowicie: obligów królewskich (bons royaux), pożyczki i kass oszczędności. W pierwszym źródle, najłatwiejszem do odkrycia, najobficiej też czerpano; w przeciągu ostatnich jedenastu miesięcy, summa obligów od 86<sup>u</sup> wzrosła do 325<sup>u</sup> milionów; pożyczka zawarta d. 10<sup>o</sup> Listopada 1847<sup>o</sup> r. przyniosła tylko 82 miliony, co zaś do kass oszczędności, na 355<sup>u</sup> milionach złożonych w ręce przeszłej administracji, Rzeczpospolita znalazła ledwo 60 milionów, reszta kapitału tkwiła na hypotekach i w akcyach. Rząd Ludwika Filipa niewahał się nadużyć zaufania biedaka, który mu krwawy owoc swej pracy powierzał i gdyby wierzyciele byli zażądali zwrotu kapitałów, nie pozostawało ministrowi skarbu jak ogłosić bankructwo.

Oto były trudności, z jakimi Rzeczpospolita miała do walczenia, trudności niezmierne, jeżeli chciano je pokonać, trzymając się tychże samych głównych zasad ekonomii politycznej

na jakich opierał swój system, rząd zwołony 24<sup>o</sup> Lutego. Nadto ogłoszenie republiki, pierwsze wydatki przewrotu form politycznych, powiększenie siły zbrojnej i utworzenie kilkunastu tysięcy gwardyi ruchomej płatnej po półtora franka na dzień, pracowni narodowe, płace dla 900<sup>et</sup> deputowanych po 25 fr. dziennie, zwłaszcza zaś zachwiany kredyt publiczny i prywatny, jakoteż głucha cisza stosunków handlowych, do stanu finansowego Francyi oddziedziczonego przez Rzeczpospolitę, przywiązywały ciężary nowe a coraz rosnące. Postawienie świeżej idei, społecznej, wzniesienie kredytu na całkiem nowych podstawach, oznaczenie prawdziwe pojęcia wartości, pogodzenie kapitału z pracą, wywołanie uczucia obowiązku wraz z ograniczeniem żądzы praw osobistych, mogły stanowczo odeprzeć niebezpieczeństwo i mienaruszyć własności, daleko więcej Izba uszanowała ją, nakładając podatek na dziedzictwo. Rząd wszelako postanowił zużytemi środkami leczyć zadawniałą chorobę, utrzymał jak się należało amortyzacyę, zaprowadził tylko zmiany w wypłatach obligów skarbu i kass oszczędności, dalej umyślił wycieńczyć co do liczby i wynagrodzenia urządnicтво, sprzedać klejnoty i srebra koronne, zaciągnąć dług na posiadłości dawnej listy cywilnej i na lasy skarbowe, wezwać cały kraj do narodowej pożyczki opartej na uczuciach patryotycznych, resztę zaś dopełnić podatkami nalożonemi na tych, którzy mieli z czego je zapłacić.

Nad temi to właśnie kwestyami Izba głęboko dumala, gdy w tem nagly a niespodziany wypadek, zaledwie że w samym związku o śmierć ją nieprzyprawil; wprzódy jednak nim doń przystąpimy, wypada napomknąć kilka słów o tem, co dzialo się na ulicach Paryża.

Stronnictwa radykalne widząc na ławach Izby całą dawną lewicę dynastyczną, wielu legitymistów a nawet zaciekłych zwolenników P. Guizot'a, jęły żywo niepokoić się o los tej Rzeczypospolitej, którą mieli organizować i ustalać wczorajsi jej nieprzyjaciele. Nowi jednakże prawodawcy wysłani zostali za pośrednictwem powszednich wyborów, za wolą, tym razem nie wyłącznej już kasty ale całego narodu, nikt więc niemiał prawa występować przeciw głosowi ludu; mniejszość bezprawnie narzucająca swoje zdanie większości, przemieniała świeżo zdo-



bytą wolność w despotyzm; opierając się przeciw czynowi dokonanemu za powszechną zgodą, popełniała zbrodnię stanu. Tak mówiło prawo, republikanie atoli dowodzili inaczej. Republikanie utrzymywali, że w istocie wszechwładztwo ludu, tem samem zaś przedstawiająca je Izba były nienaruszalnymi, że jednak teoria prawności była względną, że ulegała czasami konieczności wyrwania narodu z niebezpieczeństwa, że historia pokazywała częste wypadki gwałtownych a potrzebnych przedsięwzięć, że nawet 24<sup>o</sup> Lutego bezprawnie rozwalono monarchię; ustawa bowiem 1830<sup>o</sup> r. zapewniała królowi nienaruszalność i nieodpowiedzialność, ministeryum zaś zakazując biesiadę 12<sup>o</sup> okręgu w niczem nieprzekraczało służących mu praw. Izba wyraźnie miała za sobą prawo, republikanie pomimo to, przewidując, że wsteczniczo wkrótce weźmie górę nad rewolucją, wywodzili własną zaciekłość do walki przeciw prawu, namiętnemi słowy co wieczór po klubach podniecali rozjątrzenie ludu, dyszeli żądzą posunięcia do ostatecznych krańców wybuchu Lutego, i upatrywali zręcznej pory. Pracownie narodowe wzrastały do olbrzymich rozmiarów, Izba zamyślała raz położyć koniec szalonemu wyrzucaniu milionów na żywienie próżniactwa, na zabójstwo pracy i krajowego przemysłu; lud zwyczajony do wyciągania codzien ręki po dowody szczodrobliwości rządowej, zżymał się i szemrał na wieść o bliskiem rozwiązaniu pracowni, kluby zaś wyzyskiwały to oburzenie i całemi zastępami zaciągały stronników.

Gdy tak umysły rozchełznywały się w Paryżu, w Rouen lud wyrobniczy, niezadowolony, że Rzeczpospolita więcej była hojną dla stolicy niż dla departamentów, groźnie wystąpił przeciw mieszczanom i władzy. Gwardya miejscowa poparta dywizją Jenerała Ordener'a, uśmierzyła powstanie wszelako nie bez ciężkiego rozlewu krwi; prokurator zażądał uwięzienia przywódców ruchu i siła zbrojna natychmiast dopełniła jego poleceń.

Na odgłos wypadków w Rouen, kluby paryzkie do głębi zawrzały. Obwiniono wojsko i gwardyę o morderstwa na ludzie, wykrzykiwano, że wstecznicy dla przytłumienia rewolucyi chwytają się rozbójniczych środków, domagano się sądu na prokuratora, na urzędników, na dowódcę gwardyi, na Jenerała



Ordener'a; grożono zemstą. Lud z każdym dniem tracił ufność ku Izbie i społeczeństwu do rządu; brakowało tylko przewodnika, który byłby wywołał na jaw utajoną iskrę elektryczną, ale i ten niebawem się nastęczył; dostarczyła go sprawa polska.

Emigracya, która wedle słów P. Lamartina miała znaleźć otwarty dla siebie Poznań, Kraków i Galicyę, wieziona kosztem rządu pruskiego przez Niemcy, stanąwszy na rodzinnej ziemi, w Poznaniu, trafiła na żydowskie obuchy i na szropnele Gerlickich strzelców; w Krakowie przywitana została kartaczami i granatami z dział austriackich; do Galicyi całkiem się nieprzedarła. Następne oddziały wychodźców, które piechotą wędrując, później przekroczyły francuzką granicę, zamiast w ojczyźnie znalazły się w Magdeburgskiej warowni lub też musiały poprzestać na bagnetowej gościnności między Elbą a Wezerą.

W Paryżu wieść o zdradzieckiem wyprawieniu z Francyi wygnańców, konwusyjnie zatrzęsa ludem; kluby zaniechały spraw krajowych a zajęły się tylko rozpowiadaniem szczegółów niegodziwości, jakich Austria i Prusy dopuszczały się na Polakach. Lud dręczony własną bezwładnością gniewnie potrząsał włożonemi nań łańcuchy, kłął się, że nieopuści Polski, szukał śpiesznej a stanowczej rady, nareszcie kluby odpowiadając powszechnemu żądaniu, obwołały zgromadzenie wszystkich przyjaciół Polski na placu Bastylii, pociągnięcie uroczystym korowodem ku Izbie i złożenie prośby domagającej się załatwienia rycerskim obyczajem sprawy polskiej. Wyznaczono dzień manifestacyi na 15<sup>o</sup> Maja; że zaś około tego samego czasu rząd zaważwał był delegowanych z całego kraju na wielką narodową uroczystość, jaką zamierzał być wyprawić z powodu ogłoszenia Rzeczypospolitej, kluby zatem umyśliły korzystać z obecności delegatów z prowincyi i zaprosiły ich do połączenia się z nimi w pochodzie za Polską. 15<sup>o</sup> Maja, również wedle dziennego porządku obrad, przypadała w Izbie kolej na politykę zewnętrzną, mianowicie na sprawę polską, niemógł więc lud upatrzeć stosowniejszej pory do odezwania się w kwestyi tak żywo go obchodzącej jak, właśnie w chwili, gdy taż sama kwestya wnoszona była na mównicę posłów narodu. Jakoż, w Poniedziałek, między 11<sup>ą</sup> a 12 z południa, czoło kolumny wyruszyło

z placu Bastylii; kilkanaście tysięcy ludu spokojnym krokiem postępowało szeregami przez bulwary, przerywając milczenie okrzykami «niech żyje Polska! wolność dla Polski!» Od kościoła Magdaleny, wzdłuż bulwarów, wzrok ginął wśród mnóstwa głów zwolna sunących ku Izbie poselskiej; nad ciemnymi falami ludu wiał las chorągwi różnych cechów, zgromadzeń, klubów i departamentów Rzeczypospolitej francuzkiej. Była to chwila uroczysta; tłum wyrobniczy pełen zapału, porzucił dzienną pracę, zapomniał o własnych żalach, nadziejach, niedolach, i z tem samem uniesieniem, z jakim wczora dopominał się o pracę i chleb, dziś wołał o niepodległość dla Polski. Bezbronne hufce, niemarzące nawet o najlżejszem zakłóceniu porządku publicznego, dążyły na tak zwany plac Rewolucyi, skąd miały przez kilku delegowanych doręczyć Izbie prośbę za Polską i w spokoju oczekiwać na skutek obrad.

Manifestacya 15<sup>o</sup> Maja odbyta wedle programu, byłaby bezwątpienia wywarła ważny wpływ na stanowisko sprawy polskiej w Paryżu, los atoli i tym razem skruszył przedwczesną broń w rękach szlachetnych przyjaciół naszego narodu. Podczas gdy lud tłumnie gromadził się przed frontem Izby poselskiej, szczupła liczba sprzysiężonych postanowiwszy użyć spółczucia mass dla Polski za młot do rozwalenia istniejącego porządku, okrążyła gmach poselski z tyłu od ulicy burgundzkiej, i tam gotowała się nagłym zamachem opanować i rozpedzić Izbę. Lud, wysławszy delegatów, czekał przed kratą na odpowiedź, niecierpliwił się i zżymał na powolność Izby, podawał ucha agitatorom spiskowym, którzy szeptali mu o zdradzie i o zuchwałstwie wsteczników, przypominali krwawe wypadki w Rouen, podniecali w nim oburzenie przeciw rządowi za rozwiązanie luksemburgskiej kommissyi dla pracowników, aż nareszcie gdy naczelnicy spisku wykonali swój zamach, krzyknęli na całe gardło, że Izba zdradza sprawę Polski i Francyi, że lud rozpedza wiarołomców, że ustanawia rząd rewolucyjny. Buchnęły drażnione namietności, tłum niemógł ostać się porywającemu go szalowi rewolucyjnemu, skruszył żelazne kraty i rzucił się na Izbę. Blanqui, niecierpliwy pomsty za odniesioną zniewagę, lękając się przytem straty ostatków więźności, pragnął uderzyć na rząd, zanim wstecznictwo zdola odzyskać chwilowo zachwianą

przewagę. Każdy dzień ubiegły przyczyniał mu nowych trudności; zapał do Rzeczypospolitej z każdą godziną stygł w jej zwolennikach, zuchwałstwo rosło w jej nieprzyjaciółach, niebyło czasu do stracenia; Blanqui umyślił wszystko od razu postawić na kartę i powtórzyć z rządem wypadki 24<sup>o</sup> Lutego. Sprawa polska była dla niego narzędziem, osobiste stanowisko celem, rewolucya środkiem dojścia do władzy. Sobrier'a trawiła zemsta za wypadki zaszłe w Rouen i chęć przywrócenia czasów Konwencyi mniej jej sławą, więcej materyalnym socyalizmem: Huber, więzień wyzwolony z fortecy Ś<sup>o</sup> Michała, człowiek skądinąd trocha podejrzany, dręczył się bezwładnością wśród tej republiki, dla której tyle był wycierpiał, parł się do władzy i pragnął ogarnąć ją w zamęcie, lud zaś — lud myślał, że zbawia Polskę i ustala Rzeczpospolitę we Francyi.

Tymczasem w Izbie, po odczytaniu dziennego sprawozdania i kilku mało znaczących próśb, P. Bastide, minister spraw zagranicznych, zabrał głos celem rzucenia ogólnego pojęcia o kierunku, jakim gabinet zamyślał kroczyć w stosunkach swoich zewnętrznych. «Zaledwie Rzeczpospolita, mówił, zdołała wybrnąć z pierwszego zamętu, zewsząd podniosły się głosy żądające już nie wewnętrznych urzędzeń, ale pomocy dla naszych braci z Włoch i z Polski, dla ludów, które chcą żyć tem samem co i my życiem a którym stara Europa śniერიą zagraża.» Słowa te wzbudziły na prawej stronie Izby widoczne niezadowolienie, pośrodkowcy także zmarszczyli czoła; minister spostrzegł, że początek jego mowy brzmiał w uszach słuchaczy na kształt loskotu bębnow wojennych, powściągnął więc swój zapał i rzuciwszy kilka kwiatów Francyi, tej przewodniczącej ludów na drodze wolności i oświaty, jął dowodzić, jakich środków republika zamyśla użyć na odpowiedzenie posłannictwu swemu pod względem solidarności humanitarnej. «Główną zasadą, «prawił dalej P. Bastide, na której Rzeczpospolita chce oprzeć «swoje pośrednictwo, jest wszechwładna wola każdego ludu co «do wewnętrznych swoich spraw. Gwałcilibyśmy tę zasadę «gdybyśmy pod cieniem naszych bagnietów szli zwiastować «wolność lub wyswobodzenie ludom sąsiednim. Przed 50" laty «puściliśmy się już raz na zbrojne propagandy, i cóż z tego wynikło? szczęśliwy żołnierz tron sobie przywłaszczył, ludy zaś

«ościenne pozrywały z nami związki przyjaźni, jakie dla wspólnej «pomyślności muszą łączyć Francję z resztą Europy.»

Pośrodkowcy zaczynają rozchmurzać czoła; minister tak dalej rzecz prowadzi:

«Dziś gdy jedno szczeknięcie broni francuzkiej na granicy «niespokojnością przejmuje naszych sąsiadów, dziś musimy «przekonać ludy, że odepchnęliśmy na wieki politykę podbojów, «że wojska nasze wtedy tylko przejdą granicę, gdy same «Niemcy tego zażądataj. Traktaty 1815<sup>o</sup> r. już dla nas nie- «istnieją, ale nie my sami mamy prawo walić je na drodze «czynu; wszechwola całej Europy musi je zniszczyć.» (Prawa strona zaczyna przysłuchiwać się z większem pobłażaniem). «Nadchodzi dzień, w którym zbierze się walny zjazd z delega- «tów wszystkich ludów wolnych i postanowi o wzajemnych «między sobą stosunkach narodów. Wtedy i Francya silna «swojem umiarkowaniem, silna swoją organizacją wewnętrzną, «którą długi pokój dozwoli jej ustalić, silna spółczuciem ludów «nowego i starego świata, odezwie się potężnym swoim głosem «i przyczyni do uszczęśliwienia ludów; wtedy nasza chęć nie- «sienia uciśnionym wolności, zupełnie będzie zadowoloną!» Tym razem rześiste oklaski Izby przerwały mowę ministrowi, prawa strona długo niemogła ochłonąć z uniesienia, P. Bastide niepotrzebował nic więcej dodawać; przekonał Izbę, że Francya gotowa jest nieść pomoc uciśnionym ludom, wtedy gdy te o własnych siłach wybiją się na wolność, zawiązał więc swą mowę na retoryczną kokardkę i ustąpił miejsca P. Daragonowi, który roztrząsał kwestyę włoską nie tyle w chęci niesienia jej czynnej pomocy, jak raczej dla wybadania rządu o jego stosunkach z gabinetem austryackim i o stanowisku, jakie Rzeczpospolita zamierzała zająć w pośrednictwie między Włochami a Wiedniem. P. Lamartine powstał, mówiąc, że czeka z odpowiedzią na koniec wszystkich zapytań względem Włoch i Polski; prezydent wezwał do głosu P. Wołowskiego, rodaka naszego zaszczyconego wyborem ludu z przedmieść paryzkich. Niespokojność zaczęła pojawiać się w Izbie, podczas gdy P. Wołowski zmierzał ku mównicy, szmer jakiś na zewnątrz gmachu, niby daleki szum morza, obijał się o uszy deputowanych. Zdawało się, że niewidzialne głosy wnosily przed mówcą sprawę polską na trybunę,



że rwał się zwykły porządek obrad, ustępując miejsca kwestyi zasadniczej już nie tylko dla Rzeczypospolitej ale dla całej ludzkości. P. Wołowski zaczął od protestacyi przeciw spotwarzającym Polskę doniesieniom P. Cirecourt'a, ministra francuzkiego w Berlinie. Głosy z ulicy silniej zagrzmiały, jak gdyby cały naród łączył oburzenie przeciw wiarołomstwu swego pełnomocnika. Izba, pierwszy raz jak należy poczyniała ze sprawą polską; w uroczystej obawie przysłuchiwała się głosowi ludu, którego fale, sądząc po huk, rozbijały się już o samo podnóże gmachu. «Francya, ciągnął dalej mówca, musi przyjąć względem Polski politykę opartą na potędze jej posłanictwa, na zasadach sprawiedliwości; jakież mają być środki, «jakiż cel ma sobie założyć Rzeczpospolita?» — Tym razem wyraźny okrzyk: «Niech żyje Polska! wolność dla Polski!» przedarł się gromem i pochłonął w łoskocie swoich dźwięków ostatnie słowa mówcy. Jedni deputowani zerwali się z ław, inni niby rzymscy senatorowie czekając napadu Gallów nakazali sobie nieruchomość; prezydent pojrzał po Izbie i przytłumionym głosem wezwał mówcę do dalszego ciągu. P. Wołowski, sam więcej słuchał groźnego chóru wtórującego jego wyrazom niż własnych swoich słów, bacząc jednak na wezwanie prezydenta, podniesionym głosem znowu prowadził rzecz: «Niegdyś Polska, pełna życia i siły służyła za puklerz Chrześcijaństwu i oświacie, później zacięci jej wrogowie myśleli, że zabijają ją rozbiorami; Polska na chwilę żyć nieprzestała; długie pasmo oczywistych a nieśmiertelnych dowodów. . . .» Mówca nagle uciał, gmach zatrzęsł się w swoich posadach, pękły drzwi wiodące do galeryi publicznych, tłum ludu przy okrzykach. «Niech żyje Polska! «precz z Mikołajem!» wezbrał na górnych krużgankach, rozłamał zapory, wylał się na Izbę, rzucił do głównych drzwi, otworzył upusty wzdymającemu się coraz na zewnątrz potokowi ludu i wkrótce Izba zakipiała zgiełkiem, zadrgała konwulsyjnie od szалу napastników i oporu deputowanych i już nic nie było słyhać jedno straszną wrzawę, śród której nakształt racy wyrывał się czasami w górę piorunujący okrzyk za Polską, i wzrok nie już nie mógł rozeznąć, jedno massy rozkołysanych głów i wiejące nad niemi chorągwie klubów, pracowni, zgromadzeń i białe z czerwonym proporce na cześć sprawy, za którą lud

puszczał cugle gniewnym swoim namiętnościami. U stóp mównicy, niby ostrze sztyletu przed rękojeścią wysuwał się naprzód Blanqui; z założonemi rękoma, z twarzą bladą i jak zwykle nieruchomą, oczekiwał, dopóki nieucichnie trocha pierwszy poryw rewolucyjnego wichru i niedozwoli mu pochwycić cugli nowego ruchu. Otoczony czeredą swoich popleczników, strzelał do koła błyskotliwemi oczyma, upatrując między wysłańcami P. Taschereau, tego samego, który był ogłosił drukiem pamiętny dokument przedrewolucyjnych sprzysiężeń; spokojną postawą pod którą wrzały najgwałtowniejsze zamiary, przedstawiał istny obraz przedmieściowego Katyliny XIX<sup>o</sup> stulecia. Sprawa polska nastęrczała mu sposobność wykonania długo tłumionych zamysłów, porywał ją jako maczugę, którą byłby odrzucił podruzgotawszy nią nienawistną mu władzę. Tuż za Blanqui'm, na czele tłumu przedzierał się Sobrier; na tym wyraźnie widać było roskolysanie wszystkich burzących namiętności. Sobrier zdawał się zostawiać za progiem, pozór który go był wniósł do Izby, gromkim głosem przyzywał swoich stronników, zapominał oczywiście o wszystkim, a myślał jedno o skupieniu koło siebie siły i o jak najprędzem rozwaleniu rządu. Trzeci naczelnik klubu, Raspail, człowiek na zystem, nie zważał na tłum i wzmagając się wrzawę i prosto dążył do mównicy; w zaburzeniu widział fenomen choroby narodu, której spiesznie acz z rozwagą szedł stanowczo zaradzić. Posłowie jedni głośno powstawali przeciw gwałtowi dokonywanemu na Izbie, inni rozbiegli się do biur celem narady nad postawieniem tamy rozruchowi, niektórzy ciekawie doczekiwali rozwiązania dramatu; ostatni przekonani, że wszystko stracone, milczkiem wynosili się do domów. Nareszcie lud owładnął mównicę, pozasiadał ławy obradne, wrzawa cokolwiek ucichła, Raspail precisnął się do trybuny i w te słowa zaczął czytać odezwę ludu do Izby:

«Zważywszy:

«1<sup>o</sup> że własne nasze swobody dopóty będą w niebezpieczeństwie, dopóki w Europie zostanie jeden jakikolwiek lud «ujarzmiony;

«2<sup>o</sup> że obowiązkiem wolnego ludu jest nieść pomoc uciesnionym braciom, prawo albowiem braterstwa niejest prawem «narodowem ale człowieczem, że wszystkie ludy równie jak

«wszyscy obywatele, będąc mieszkańcami jednej ziemi i dziećmi  
«jednego Boga, są między sobą braćmi;

«3<sup>e</sup> że jeżeli taki jest obowiązek Francyi względem ludów  
«uciśnionych, obowiązek ten święty, nieustanny, jest daleko na-  
«glejszym względem ludów mordowanych;

«4<sup>e</sup> że w chwili, gdy nasze zwycięztwo nad zaprzędanym  
«rządem natchnęło wszystkie ludy nową żądzą wolności, nasza  
«polityka samolubna, bojaźliwa, zdaje się podawać rękę dąże-  
«niom swobodobójczym sprzymierzonych królów i wydierać  
«ostatnią nadzieję pomocy ludom, które zewsząd ubrały się dla  
«odzyskania bożego prawa wolności;

«5<sup>e</sup> że też ludy, dążąc jedynie w nasze ślady i ufając w naszą  
«pomoc, rozwinęły chorągiew powstania; że zwyciężone mają  
«prawo nas oskarżać o ich klęski, że tryumf ich zwycięzców za-  
«graża własnej naszej wolności i znieważa ogłoszone przez nas  
«zasady;

«6<sup>e</sup> że ludy, włoski i niemiecki od nas wyglądają poparcia;  
«że Polska, szlachetna Polska, siostra nasza, której polityka  
«nasza przez ośmnaście lat do dawnego łańcucha niewoli nowe  
«wiązała ogniwa, że Polska w imię sprawiedliwości i obowiązku  
«wzywa nas do poparcia jej w walce o wolność;

«7<sup>e</sup> że dłuższa zwłoka z naszej strony byłaby nikiemnością  
«i zdradą, Polska bowiem jest naszą sojusznicą, naszą siostrą,  
«towarzyszką naszej broni, naszym odwiecznym przedmurzem  
«despotyzmowi i ciemnościom północy;

«8<sup>e</sup> że młode nasze wojsko wstydzi się swojej bezczynności,  
«że drży do świętych i szlachetnych zwycięztw, że czeka tylko  
«znaku od ojczyzny, aby iść powtórzyć cuda Cesarstwa na  
«korzyść wszechwolności, że czuje, iż od Polski musi zacząć  
«pochód swój przez Europę, tam bowiem jarzmo jest najcięż-  
«szym, tam mamy najwięcej krzywł do powetowania;

«Na mocy tych względów i dla godnego odpowiedzenia re-  
«publikanckim naszym zasadom, w imię Opatrzności ludów  
«i honoru narodowego, kluby jednomyślnie żądają od Izby po-  
«selskiej, aby postanowiła co następuje:

«1<sup>e</sup> że sprawa Polski ma być uważaną za jedną i tę samą  
«ze sprawą Francyi;

«2<sup>e</sup> że przywrócenie narodowości polskiej ma być dokonane za pomocą układów lub oręża;

«3<sup>e</sup> że część naszego dzielnego wojska ma być trzymana w pogotowiu, w razie gdyby Francya na swe ultimatum otrzymała odmowną odpowiedź;

«Niech się pełni sprawiedliwość a Bóg broni naszej pobłogosławi.»

Raspail skończył; ogromny krzyk «niech żyje Polska!» zatrząsł sklepieniem Izby, wyleciał na zewnątrz i szerzył się pośród otaczającego ją tłumu. P. Lamartine widocznie pomylił się, uważając sprawę polską za niegodną frazesów swego okólnika. Lud wymagał, aby Izba natychmiast obradowała nad jego żądaniem, przysięgał, że cofnie się w porządku, skoro prośbie jego zadośćuczynią, posłowie jednak sprzeciwiali się mówiąc, że niema obrad pod przemocą, prezydent w imię tejże sprawy polskiej zaklinał tłum do porządku, namiętności dzięki jego i towarzyszków staraniom, powoli zaczęły łagodnieć i zdaje się, że Izba byłaby mogła spokojnie dalej ciągnąć obrady, gdyby spiskowi widząc, że zamach może spełznąć na niczem, niebyli przywołali w pomoc nowych żywiołów. Blanqui, Sobrier, Huber, napomknęli o zabójstwach w Rouen, o organizacyi pracy, o rozwiązaniu kommissyi luksemburgskiej, o zamiarze zniesienia pracowni narodowych. Lud z początku odepechnął własne sprawy, wołał, że przychodzi jedynie dopominać się za Polską, ale spiskowi jątrzyli go, drażnili coraz to gwałtowniej. Blanqui wyciągnął dłoń prosząc o głos, o głos za Polską, dodawał dla pozyskania wachających się słuchaczy, wrzawa znowu się wzmogła, burzące żywioły widocznie zaczynały przemagać nad szlachetnem uczuciem ludu, poplecznicy Blanqui'ego wynieśli go na mównicę, tłum uległ urokowi słowa znanego przywódcy klubistów, uciszył trybunę. Blanqui poczuł się jak biegły jeździec, który doskakuje ulubionego rumaka; wsparty obiema dłońmi na trybunie, zdało się mu, że dzierzył już w rękach kierunek ruchu, zwycięstwo i władzę, i szybko ułożył sobie program swej mowy: odezwać się do uczucia, pociągnąć massy ku sobie, wywołać namiętności, uderzyć i zwalić rząd, oto był cały plan rozzuchwalonego agitatora. Słowo jego leciało w poręcz z myślą, roztoczyły się przed nim jedna za drugą koleje



prawdopodobieństw; niepierwszy to już raz przenikliwy jego  
 głos zapanowywał nad zgłębkiem, Blanqui wśród najgwałto-  
 wniejszych wrzaw umiał wydzwaniać swoje słowo; wkrótce sam  
 lud jął coraz groźniej dopominać się spokojności, i pomimo, że  
 niemógł zupełnie jej otrzymać, mówca odezwał się donośnie:  
 «Obywatele deputowani ludu! Francya a raczej lud jej wszech-  
 «władny żąda przywrócenia Polski w granicach z 1772<sup>o</sup> r., żąda,  
 «aby Izba narodowa natychmiast zawyrokowała, że Francya do-  
 «póty miecza w pochwę niezłoży, dopóki cała Polska nie po-  
 «wstanie w swoich dawnych granicach z 1772<sup>o</sup> r., dopóki świetna  
 «i potężna nie powstanie wśród Europy jako naród wolny i nie-  
 «podległy. Lud, obywatele deputowani, żąda, aby raz już za-  
 «presztano używać półśrodków, aby nie odkładano na jakieś  
 «dalekie czasy dnia, w którym Polska niepodległa załegnie skraj  
 «Europy jako przedmurze i wierna sojuszniczka Francyi. Lud  
 «zna przeszkody, które staną na zawadzie orężowi francuzkiemu  
 «ale też ufa, że Izba narodowa przypomni sobie sławę swej po-  
 «przednicy z 1792<sup>o</sup> r., że nieuleknie się niezadowolenia absolu-  
 «tnej Europy. Izba wie, że dość jest, samej jej woli sumiennie  
 «wyrażonej i popartej wojskiem francuzkiem nad Renem, aby  
 «w proch rozpadły się wszelkie zawady dyplomacyi, aby Polska,  
 «Polska 1772<sup>o</sup> r.» (Grzmot okłasków, lud wykrzykuje: «tak  
 «jest; Polska z 1772<sup>o</sup> r.») «aby powtarzam Polska z 1772<sup>o</sup> r.  
 «powstała w dawnych swoich granicach od Wisły i Warty  
 «aż do Dniepru i od Bałtyku aż do morza Czarnego. Oby-  
 «watele! lud ufa, że Izba narodowa niecofnie się przed tak  
 «wielkim celem, że nieda oszukać się ani wystraszyć podstęp-  
 «pom dyplomacyi; lud cały stoi za nią, lud cały pociągnie  
 «na granicę, lud francuzki rzuci ojezyznę na pierwsze jej hasło.  
 «Okrzyki te, które Izba tu słyzy, a które może groźnemi się jej  
 «wydają, są to okrzyki zapału za sprawą polską; zmieniają się  
 «one natychmiast w okrzyki radości, w okrzyki uwielbienia,  
 «skoro tylko Izba wyrzeczce święte słowa, na które lud czeka,  
 «tak jest, na które czeka a których musi się doczekać!» —

Mówca uderzył we wszystkie struny dumy, zapału, poświę-  
 cenia, godności narodowej, rozognił wszystkie uczucia tkwiące  
 na dnie serca natchnionego ludu, odezwał się do jego szlachetno-  
 ści, pokazał mu jego potęgę, pochlebił mu w jego wszechwładzt-

wie, rzucił mu cel dostojny wielkiego narodu, wbił w przekonanie, że nic nieoprze się jego woli, że Izba jeżeli zasługuje na ufność i szacunek kraju, powinna natychmiast zadość uczynić jego żądaniom. Lud w upojeniu odchodził prawie od zmysłów, całą duszą lgnął do tłumacza jego myśli, który tak dalej ciągnął: «Obywatele! «niezapominajcie, że wszystkie stronnictwa łączą «się. gdy idzie o spełnienie tego wielkiego dzieła. Nie żadne «stronnictwo ani nawet ułamek jakiego stronnictwa do was tu «przemawia; lud całej Francji tu przychodzi, lud który może «różne ma zdania co do kwestyi wewnętrznych, ale który zawsze «odzywa się jednym tylko głosem, który jedno tylko ma zdanie «w sprawie polskiej. Między wami obywatele, równie jak między nim, pod tym względem nieznajdzie miejsca żadna różnica «zdań. Gdy przyjdzie wyzwać do walki ciemności Polski, nie- «będzie tu ani prawej, ani lewej strony, ani pośredników, «będzie tylko Izba narodowa Francji, Izba co do tej sprawy «przejęta jedną myślą, jedną wolą, jedną nadzieją!»

Kilku posłów przedarło się do stóp trybuny, grożąc mówcy, wzywając go do bezzwłocznego opuszczenia sali i protestując przeciw ważności posiedzenia. Blanqui udał, że wcale na nich niezważa, sądził, że czas było porzucić strunę poświęcenia a czepić się innej, bezpośredniej, której dźwięk miał być grobowym dzwonem dla rządu. Łatwym było do przewidzenia, że opór deputowanych w obradowaniu nad sprawą polską pomnoży zawziętość w ludzie; wypadło więc korzystać z jego uniesienia i podnieciwszy w nim szlachetny zapał, rozżarzyć kolejno burzącą nienawiść. Agitator zwiesił się na mównicy, pochylił gwałtownie rękę, jak gdyby chciał w ziemię wtłoczyć podnoszące się ku niemu wyzywy i nagle uskoczył na całę odmienną drogę. «Obywatele!» mówił drżącym od wzruszenia «głosem, «lud przychodzi także domagać się od was sprawie- «dliwości za morderstwa popełnione na jego braciach w mieście, «które dzięki żelaznej kolei zbliża się prawie pod same bramy «stolicy. Lud wie, że zamiast gojenia krwawych ran, które «Rouen odniosło, urzędnicy wasi zdają się szukać niepojętej, «dzikiej rozkoszy w coraz boleśniejszym ich jątrzeniu, lud wie, «że wściekłości pierwszych dni nieokupiono ani umiarkowa- «niem, ani łagodnością, ani braterstwem. Trzy tygodnie upły-

«nęło już od chwili krwawych tych zajść a dotąd jeszcze wię-  
«zienia są przepełnione; lud żąda, aby je otworzono, lud dopo-  
«mina się sprawiedliwości, chce srogich kar ale nie na ofiary  
«jedno na katów.»

Słuchacze osłupieli; oczywiście sprawa polska była tylko  
pokrywą, pod którą spiskowi szukali wykonania własnych zamiarów. Blanqui ostatnim zwrotem godził w same piersi Izby, nazywał katami mianowanych przez nią urzędników, obwiniał ją o spółuczestnictwo w morderstwach, wywoływał zemstę w ludzie. Kilkunastu posłów wybiegło po siłę wojskową, drudzy zerwali się z miejsc, nadaremnie usiłując przedrzeć się do trybuny, inni jęli tłumaczyć ludowi, że tu wcale niechodzi o sprawę polską ale o rozwalenie rządu; zgiełk znowu coraz się wzmagał, pomimo to w ostatnich kończynach sali, wyraźnie rozlegały się słowa mówcy: «Obywatele!» prowadził dalej rzecznik z niepojętą spokojnością, «lud prosi was nadto, abyście niezapominali «o jego nędzy; sam to już był powiedział, że przynosi Rzeczy-  
«pospolitej w ofercie trzy miesiące cierpień. Te trzy miesiące «wkrótce upłyną i zdaje się, pewnem jest nawet, że rząd od «niego drugich trzech miesięcy zażąda. Lud wymaga, aby Izba «narodowa natychmiast zajęła się środkami dostarczenia mu «pracy. Tysiące obywateli bez zarobku, bez sposobu do życia, «mrze dziś z głodu. Lud doskonale przewiduje odpowiedź Izby, «wie on, że mu powiedzą, iż właśnie te jego poruszenia rzucają «trwożę w przemysł i tamują handel. Zaprawdę, odpowiedź ta «niebędzie całkiem niesłuszną, ale lud ze swojej strony nie-  
«omylnem przeczuciem pojmuje, że gdzieindziej potrzeba szukać «głównego powodu dzisiejszej jego nędzy. Brak zarobku, prze-  
«silenie handlowe i przemysłowe już przed rewolucją Lutego «boleśnie dawały się we znaki; głębiej należy szukać przyczyn «tego oplakanego stanu, należy szukać w stosunkach spo-  
«decznych. Dla czegoż Izba dotąd sumiennie się nad nimi «niezastanowiła? dla czego wbrew chęciom ludu oddaliła «od władzy tych, którzy całym sercem pracowali nad zaradze-  
«niem niedoli robotników?»

Lud grzmiącym głosem powtórzył ostatnie słowa mówcy, gwałcił się jak dziecko pod śmigającą różeczką mentora, niektórzy atoli z przybylców nienależący do pracowni narodowych i za-



przątnięci jedynie główną sprawą, dla której wtargnęli byli do Izby, niezadowoleni z niespodzianej roli, jaką sprzysiężency kazali im odgrywać, poczęli głośno przypominać cel manifestacyi; Blanqui jednym rzutem oka poznał, że wypadło mu z pierwszego stanowiska zadać stanowczy cios, wyprostował się i wyciągając rękę ku miejscu, gdzie najwięcej spostrzegał posłów, tak kończył: «Kwestyę o zarobku i nędzy ludu zahaczyliśmy «tylko ubocznie; zmuszony jestem wyznać, że lud wcale tu nie-  
«przyszedł dla własnej swojej sprawy, lud przyszedł upomnieć «się za Polską (długie oklaski), niemoże wszelako przepuścić tej «sposobności nieprzypomniawszy swoim deputowanym, że on «także cierpi, że on także jest nieszczęśliwy, i że to jest nowy «punkt, w którym losy jego łączą się z losami ludu polskiego. «Z tem wszystkiem napomknąwszy kilka słów o sobie, lud «zwraca wyłączną waszą uwagę na Polskę, zaklina was, wzywa, «abyście natychmiast zawyrokowali, że oręż francuzki spocznie «dopiero po wyswobodzeniu Polski.»

Blanqui, śród poklasków i okrzyków zapału zszedł z trybuny; obejrzał się do koła; narzędzie wydało mn się dostatecznie wyostrzonym, rzucił Izbie warunek bezzwłocznego ogłoszenia wojny za sprawę polską, wiedział doskonale, że posłowie odepchną jego żądania, wtedy śmiało mógł odwołać się do oburzenia ludu i zamach przyprowadzić do skutku. Izba pojęła, że musi przyjąć walkę lub ustąpić; podniosła rękawicę, garnęła ku sobie siły na zewnątrz, podczas gdy na wewnątrz usiłowała upamiętać i przyprowadzić burzycieli do porządku. Prezydent, otoczony swymi zastępcami i sekretarzami, dosiadywał na miejscu, ale napróżno potrząsał dzwonkiem, darmo wzywał do porządku, wrzawa głośzyła głos jego i dzwonek, tłum coraz natarczywiej cisnął się ku niemu i zagrażał wyrzuceniem go za okno. Ledru-Rollin poskoczył na mównicę; zapanował głosem nad zgłębkiem, silny swoją wziętością jął groźnie przyzywać do porządku, jakoż lud chwilowo upamiętał się w szale. niektórzy z klubistów, zwłaszcza zaś Raspail, całemi siłami zachęcali towarzyszków do opuszczenia Izby; zdaleka huczał już loskot bębnow gwardyi, która przybywała rządowi na pomoc; spiskowi przewidywali, że zamach niepoparty rozpacznie, przeciw nim samym się obróci, Huber zażądał, aby na mocy prawa uświęconego



przez Wielką Rewolucję cały lud zgromadzony mógł przeciągnąć przez Izby, krzyknął, że wprzódzy zginie, niż dozwoli zdeptać prawa ludu i zwrócił się do Barbes'a jako do jednego z posłów, o ujęcie się za ludem. Barbes postanawiał w tej chwili o losie Izby; ulubieniec ludu, dowódzca jednej z najliczniejszych legii gwardyi narodowej, dzierżący na swoje rozkazy przedmieścia Paryża, śmiało mógł rzucić wpływ swój na tę szalę, której życzył zwycięstwa.

Pomimo późniejszych wykrzyków mieszczaństwa, które całą winą napadu obarczało byłego więźnia z fortecy Ś<sup>o</sup> Michała, niepodpada wątpliwości, że Barbes przed wtargnięciem ludu do Izby, wcale nienależał do spisku, że niemyślał ani o zamachu, ani o korzystaniu ze sprawy polskiej dla rozwalenia rządu. Wprawdzie, w klubach głośno powstawał na kierunek rewolucyi, stawiał się na czele stronnictwa ostatecznego, marzył o pochwyceniu kiedyś władzy, o popchnięciu ruchu spadzistszą nieco drogą, atoli cel swój odkładał nadal i wprzódzy pragnął zapewnić sobie dostateczny zapas sił. Zamiar nałożenia miliardu podatku na tych, którzy go mogli zapłacić, wzniewał spory nawet między jego zwolennikami; lękano się oburzenia narodu, który przyzwyczał się był cenić i popierać rząd jedynie w stosunku do ciężarów podatkowego systemu. Barbes usprawiliwiał się mówiąc, że on sam jako majątny właściciel, gotów do poświęcenia części swoich dostatków, miał także prawo żądania go od drugich, że rewolucya może tylko przez wojnę odpowiedzieć swemu posłannictwu, że Francya zaciętym uporem przy pokoju nieuniknie bankructwa, że od dwóch miesięcy rząd wymykaniem się od wojny i bakierowaniem ruchu rewolucyjnego, naraził już kraj na straty daleko przewyższające summę podatku, że z każdym miesiącem straty te i klęski będą się wzmaczać, że zateń zamiast wyciągania od narodu kilkunastu miliardów półśrodkami i przesileniami handlowemi, daleko rozsądniej byłoby zażądać od niego doraźnej ofiary, zbawić rewolucję, ocalić godność Francyi i zapewnić jej na przyszłość spokój, pomyślność i potęgę. Barbes utrzymywał, że rewolucya francuzka niejest samolubnie narodową ale powszechną, że przeto, jeżeli chce być logiczna, jeżeli chce niezginąć zadaniem kłamstwa przyjętym zasadom, powinna wspierać się na ludach

i nieszczerdzić pomocy dążącym do swobody, że żywotnym jej warunkiem jest, orężne pośrednictwo w imię zasad wolności, czynne poparcie wybijających się z pod jarzma narodów. W chwilach czynu, Barbes gubił myśl w ogniach swego uniesienia, ślepo wierzył w nieomylną skuteczność zapалу, któremu dawał porywać się bez granic, chociaż więc wszedł był do Izby jedynie z zamiarem popierania sprawy polskiej, atoli widząc że potok roznamiętnionego ludu zaczynał silnie tłuc o podstawy rządu, upojony okrzykami, które wzywały go na mównicę, postanowił ująć chwiejący się ster rewolucyi i nieczekać dalszej sposobności na spełnienie swoich zamiarów. «Obywatele deputowani ludu!» zawołał wniesiony na trybunę na ramionach tłumu, «lud zebrany na zewnątrz Izby, chce przeciągnąć przed «wami uroczystym pochodem; wymagam, abyście dłużej nie «opierali się jego woli; nadto, dla dowiedzenia, że podzielacie «jego uczucia, abyście zeszli w jego szeregi i zapewnili, go że «sprawa Polski jest waszą sprawą.» (Okrzyki: «niech żyje «Polska!.. słuchajcie! słuchajcie!») «Żądam,» ciągnął dalej Barbes, prostując wyniosłą swą postać i ręką zgielk uciszając: «żądam, abyśmy natychmiast uczynili zadość woli ludu, abyśmy «sprawę uciemienzonej Polski za naszą własną uznali i przyjęli, «abyśmy ogłosili, że Francya żadnemu narodowi uciśnionemu «nieodmówi swego pośrednictwa. Niech zatem Izba bezzwłocznie «zawyrokuje wyprawę wojenną do Polski, niech w tym «celu nałoży miliard podatku na bogatych, niech zakaże alarm «po ulicach wybębnić, niech wszystkie wojska cofnie z miasta, «inaczej, w imieniu ludu oskarżam ją o zdradę kraju.»

Oklaski, wrzawa, krzyki, protestacye jednych, wyzywania drugich, pochłonęły dalsze słowa Barbes'a; prezydent śród zgielku, raz jeszcze, ostatkiem wycieńczonego głosu wezwał lud do opuszczenia Izby. Blanqui i Sobrier skinęli na Huber'a, który skupił kolo siebie spiskowych, przedarł się do mównicy i wykrzyknął rozwiązanie Izby, ogłoszenie zdrajcami deputowanych, którzy przeniwierzyli się zaufaniu ludu, odważyli przyzwać siłę zbrojną lub opuścili Izbę. Spiskowi widocznie zaplanowali nad tłumem; z krążganców ciągle lały się na dół fale nowych przybylców, drzwiami lud wśród nieopisanej wrzawy tłoczył się do Izby, prezydent zagrożony śmiercią zaledwie

uciekł z życiem, Huber stojąc na trybunie porwał papier, który mu jeden ze spiskowych na nożu podawał, powtórnie ogłosił rozwiązanie Izby i rządu i wykrzyknął nowy komitet rewolucyjny. Barbes, L. Blanc, Ledru-Rollin, Blanqui, Huber, Raspail, Caussidiere, Stefan Arago, Albert, Lagrange, Cabet, Leroux, Considerant, Proudhon, oto były nazwiska członków nowego rządu, z których większa część przed chwilą niespodziewała się tak nagłego a krótko trwałego wyniesienia. Tym razem atoli szereg broni wyraźnie rozlegał się po korytarzach. Gwardya przybywała w pomoc Izbie; lud przewidując starcie się, wołał przyjąć walkę na ulicach, spiskowi ciągnęli go do zdobycia ratusza jako ogniska rewolucyjnych działań, Barbes objął dowództwo nad tłumem, pierwszy wypadł z Izby i rzucił się ku ratuszowi, Blanqui wysunął się cichaczem, wiedząc, że jeżeli zamach się powiedzie, komitet o nim niezapomni, Huber i Sobrier wywiedli resztę sprzysiężonych za Barbes'em i wraz w drzwiach Izby zabłysły bagnety. Gwardya narodowa i ruchoma wstępnym krokiem wyparła lud z Izby, deputowani wracali z biur i korytarzów na swoje miejsca; na ulicach Paryża szybko gromadziła się siła zbrojna, i w godzinę po wyjściu tłumy ratusz napowrót dostał się w ręce rządu. Barbes'a i Alberta uwięziono, reszta spiskowych rozbiegła się po przedmieściach, ale napróżno; zamach spełził na niczem. W Izbie tego dnia wcale niemyślano o polityce zagranicznej; bezpieczeństwo miasta, porządek publiczny, zajęły wyłączną uwagę posłów. Sprawa polska, obciążona jeszcze wyrzutami wywołania zamachu, utonęła na jakiś czas pośród następstw wynikłych ze spisku 15<sup>o</sup> Maja.

Przenieśmy się teraz myślą w ostatni dzień Izby deputowanych za Ludwika Filipa, a ujrzymy, że co do form zewnętrznych, drugi zamach mało różnił się od pierwszego, co więcej, znajdziemy nawet, że większa część burzycieli z 15<sup>o</sup> Maja, odegrała już tę samą rolę w dniu 24<sup>ym</sup> Lutego, z tą wszakże różnicą, że za pierwszym razem ojczyzna ofiarowała im korony obywatelskie, za drugim, obciążała ich więzami i przeklęstwem. Zamach nieusprawiedliwiony powodzeniem, wczorajszych zwycięzców przemienił dziś w zbrodniarzy stanu, pomimo to upatrując podobieństwo obu wypadków, mimowolnie następcza się



nam zapytanie, co Rzeczpospolita byłaby poczęła w razie, gdyby zwolennicy Barbes'a i Blanqui'ego byli wysłali stronnictwo National'a za wypędzonym przez to ostatnie Ludwikiem Filipem? We Francyi, na to zapytanie uzyskalibyśmy dwie odpowiedzi; większość przepowiadałaby wściekłą wojnę domową, komunizm, słowem organizację wewnętrzną uzasadnioną na rozboju i gilotynie; mniejszość uręczałaby, że Barbes, Blanqui i towarzysze, nieomięszkaliby w krótkim czasie przemienić Francję w Eldorado wolności, braterstwa i ziemskiego szczęścia. Niewchodzimy tu w szczegółowy a trudny rozbiór obu tych przypuszczeń zaczerpniętych raczej w namiętnościach stronnicych niż w spokojnej rozwadze, dodamy tylko, że naszym zdaniem spiskowi 15<sup>o</sup> Maja dalekimi byli od wypełnienia posłannictwa rewolucyi francuzkiej. Klubiści chcieli zadać śmiertelny cios mieszczaństwu i lud natomiast wprowadzić do władzy, niestawiali atoli żadnej nowej zasady, żadnej idei twierdzącej, poprostu tylko żywioł indywidualizmu i samolubstwa we względzie społecznym, od mieszczań przynosili do klasy liczniejszej. Pojmujemy gwałtowne środki w niebezpiecznych chorobach, pojmujemy rdzenne wstrząśnienia, gdy idzie o przeprowadzenie prawd zasadniczych dla całej ludzkości ale niezrozumiemy nigdy potrzeby ruchów, których celem będzie odebranie grzesznych praw mniejszości dla poddania jej pod równie nieświęte ustawy gromad. Cesarz Mikołaj grabiący majątek i ślący na Sybir więźnia politycznego, jest dla nas równym despota, jakim był lud ateński, gdy ostracyzmem wypędzał Arystydesa lub Sokratesowi podawał truciznę. Uznajemy świętość zasady. że wszystko dziać się powinno jedynie dla ludu i przez lud. ale szukamy ludu dalej jeszcze, aniżeli pod bluzą wyrobnika lub pod wieśniaczą siermięgą. Ludem dla nas jest dziś to samo, co stanowiło niegdyś śród barbarzyńców lud wywiedziony z egipskiej niewoli. Kto miłował Boga a bliźniego jako siebie samego. kto bałwanom lub złotym cielcom niewybijał pokłonów, kto modlitwę zamieniał w czyn, prawo boże w obyczaj, ten należał do ludu uprzywilejowanego nad Egipcyanami, Amalecytami, FiliStanami, uprzywilejowanego, dopóki Bóg rozpięty na krzyżu przywileju do całej ludzkości nie rozciągnął. Dziś równie jako dawniej, każdy lud uorganizowany duchowo wedle tychże sa-



nych zasad i głęboko niemi przejęty, znajdzie cudowne pomoce do skruszenia jarzma niewiernych Senacherybów. Francya, niemogąc dotąd wyrzeć się z objęć indywidualizmu, niewyrobiła jeszcze w sobie żywiołów, na mocy których miałyby prawo przystąpić do trwałej budowy nowego gmachu stosunków politycznych i społecznych; żywiołów tych może nabyć jedynie w skutek zaobróbnego swego poświęcenia; naczelnicy ultraliberalnych jej stronnictw dotychczas patrzą tylko jak w tęczę w Wielką Rewolucyę przeszłego stulecia; oślepieni blaskiem i chwałą dziadów-bohaterów, myślą, że dla potęgi i sławy ojczyzny dość niewolniczo ich naśladować. Inni, wyostrzywszy w socyalnych kwestyach straszny miecz zaprzeczenia, nieodrodnie materyalne choć wyrodne dzieci ekonomii politycznej, stają pośród społeczeństwa jedynie na świadectwo Zła je trapiącego. Nie nam algebraicznie obrachowywać siłę namiętności, stopień indywidualizmu, zakres przekonań politycznych republikańców i socyalistów we Francyi, aby następnie odgadnąć niewiadomą jej losów w razie przyjsścia stronnictw ostatecznych do władzy, nam dość z empirycznych naszych badań wyciągnąć wniosek, że ani w dniu 24<sup>ym</sup> Lutego ani 15<sup>o</sup> Maja, ani w okropnych dniach czerwcowych, niespostrzegliśmy jeszcze człowieka narodu, męża rewolucyi. Jako Polakowi może należałoby nam żałować stronnictwa, które chciało rozpocząć rządy od wydania wojnie Moskwie, ale nadaremnie wytężamy ostatnie struny, żadna z nich wiarą dla nas niedźwięczy. Położyliśmy za zasadę i staraliśmy się jej dowieść, że ten tylko rząd przyczyni się do wybawienia Polski, który odpowie potrzebom społecznym, politycznym i posłannictwu Francyi, dzisiejsze zaś stronnictwa rewolucyjne w Paryżu dotąd pod tym względem nieobudzają w nas zaufania. Wprawdzie rewolucya francuzka niewywołując wojny europejskiej, może tylko znaleźć miejsce w szeregu poronionych płodów, atoli wojna takowa niepodobną jest do rozpoczęcia na drodze, jaką Barbes dla niej obierał. Niezaczepiając wcale kwestyi pieniężnej w kraju posiadającym w obiegu przeszło dwa miliardy kruszcowej monety, trudno nam przewidzieć, jakimby sposobem wojska francuzkie przedarły się przez Niemcy do oddalonej Polski i co poczęłyby, raz przekroczywszy granicę. W samym zamiarze podobnej wy-

prawy uderza nas jakaś zuchwała nielogiczność, z której następnie wybuchnęłyby nieprzewidziane, nieprzewyciężone a może nawet i dla sprawy nowe klęski. Dla poparcia oswobodzenia Polski wystarczało, aby Francya wiernie nieodstępowała przyjętych zasad. Rzeczpospolita ogłosiła się sojusznicą uciśnionych narodowości, ludy ufne jej słowu powstały przeciw ciemiężcom, sama zaś Opatrzność zdawała się wskazywać jej logiczną drogę spełnienia uroczystych obietnic. Rząd rewolucyjny pod zarzutem kłamstwa wykrzykniętemu przez siebie hasłu, niemógł pozostać bezczynnym na odgłos pierwszych wystrzałów nad brzegami Minczia i Adygi. Wojska francuzkie przekraczając Alpy, oswobadzając Włochy, zatykając trójkolorową chorągiew na wieży Ś<sup>o</sup>. Szczepana, zapalały wojnę europejską, czyli co na jedno wychodzi, wyjarzmiwały Polskę. Polityka zagraniczna tak jest dziś łatwą dla rządu sumiennego i czującego godność Francyi, tak przeciwną wszelkim rachubom i konszachtom dyplomatycznym, że bez wątpienia prosty wyrobnik byłby dziś najbieglejším ministrem w Paryżu. Na nieszczęście prostota obecnie jest jeszcze głupstwem, rachuba zaś i rutyna jedyną mądrością. Prostoty tej nie było ani w szale Barbes'a, ani w frazesach P. Lamartina, ani w przedsięwzięciach Izby. Pierwszy pokutuje dziś w więzieniu za chwilę niewyrozumowanego zapalu, drugi odsunięty od rządu opęda się ulicznym potwarcom, trzecia wycieńcza ostatnie siły nad literą konstytucyi.

Tymczasem, po uśmierzeniu rozruchów 15<sup>o</sup> Maja, kwestya polska tak żywotnie złączona z francuzką, miała raz jeszcze wystąpić przed spokojnie obradującą już Izbą, cale jednak odmienne usposobienia towarzyszyły jej tak ze strony miasta, jako też i ze strony samychże deputowanych. Lud i stronnictwa radykalne poskromione w swoich zapędach, nieśmiały odzywać się za sprawą, której mieszczaństwo przypisywało gwałt dokonany na Izbie. Wprawdzie dzienniki niebawem przekonały publiczność, że Polacy bynajmniej niemieszali się do rozruchu, że spiskowi jedynie dla osobistych celów nadużyli ich nazwiska, atoli wstęcznicy republiki monarchii żywili pomimo to w sobie niechęć przeciw Polsce, przeciw głosowi własnego sumienia oskarżającego ich o materyalizm i o samolubstwo. Przed kilkoma jeszcze dniami, narodowość polska była pewnym rodzajem

przywileju w Paryżu; Polak dokoła spotykał braterskie uściśnienia, ród jego wszędzie wstęp mu otwierał, wszędzie życzliwie poprzedzał i przychylność zjednywał. Po wypadkach 15<sup>o</sup> Maja chcąc napotkać przyjazne wejrzenia, trzeba było zapuścić się w głąb przedmieść paryzkich, unikać zamożnych części miasta a przestawać jedno z ludem. Mieszczanstwo zdierało z murów doniesienia o Polsce, gorzko wymawiało przez ośmnaście lat świadczoną gościnność, miotało pokryjomo obelgi na sprawę i na naród. W Izbie, ktokolwiek byłby śmiał godnie i otwarcie odezwać się za Polską, tego wiekliwość byłaby natychmiast okrzyczala spiskowym, wichrzycielem, komunistą. Zdania P. Lamartina o narodzie polskim tryumfowały pośród jego towarzyszy, pomimo to Izba, raz umięściwszy w porządku dziennym obrady nad sprawą polską, niemogła całkiem puścić jej w zapomnienie, naznaczyła ją więc na 23<sup>o</sup> Maja, tymczasem zaś poleciła dziennikom uczynić wzmiankę, że katastrofa 15<sup>o</sup>, w której Polacy rzeczywiście niemieli żadnego udziału, w niczem nie może wpływać na bezstronność obrad nad Polską, że Francya zawsze pamięta o swoich obowiązkach względem dawnej towarzyski broni i że takowych dopełnić potrafi. Oświadczenie to, co do wewnętrznej wartości, zupełnie odpowiadało corocznym protestacyom Ludwika Filipa; rząd przed obradami rozstrzygnął już sprawę polską i ubezwładnił kilka przyjaznych głosów, które się za nią odezwały.

Izba, jak wiadomo, dzieli się na różne komitety, w których posłowie przed wniesieniem sprawy na mównicę, tajemnie nad nią obradują i nieprzestrzegając względów koniecznych do zachowania w obec publiczności i narodu, szczerze pomiędzy sobą zdania swoje wynurzają. Często zdarza się, że mówca, który na trybunie z zapalem przedmiot jaki popiera, w komitecie gwałtownie nań powstawał; takowe postępowanie nazywa się taktyką parlamentarną.<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Komitety nie mają stenografów, tylko sekretarzy wybranych z pomiędzy posłów, którzy sporządzają w skróceniu ogólny protokół głosów zabieranych przez członków. Mowy w komitecie spraw zagranicznych bezwątpienia byłyby dla nas ciekawsze od tych, które słyszeliśmy na trybunie, musimy jednak poprzestać na protokóle komitetu spisany dość niedbale przez Edmunda

23<sup>o</sup> Maja, o 10<sup>ej</sup> z rana, sprawa polska wytoczyła się w komitecie spraw zagranicznych, w kilka zaś godzin, razem z kwestyą włoską wprowadzoną została przed Izbę pośród natłoku

Lafayette'a, jednego z najmłodszych i najmniej wprawnych sekretarzy, i takowy w codosłownem tłumaczeniu przytaczamy:

Porządek dzienny na 23<sup>o</sup> Maja.

Prezydent: Drouyn de l'Huys.

Wice-prezydent: Vaulabelle.

Sekretarz: Edmund Lafayette.

Porządek dzienny uznacza obrady nad różnemi przedstawieniami odesłanemi do Komitetu w celu postawienia ostatecznych wniosków względem sprawy włoskiej i polskiej.

X. Czartoryski żąda, aby komitet dozwolił mu wstępu i wysłuchał jego objaśnień.

P. Taschereau sprzeciwia się żądaniom Xięcia, utrzymując, że w takim razie trzeba by również przypuszczać do objaśnień inne stronnictwa polskie, że nieskonczone te posłuchania zabierałyby czas komitetowi i przedstawiałyby wielkie niedogodności.

PP. Bastide minister spraw zagr. Altaroche i Edmund Lafayette podzielają zdanie P. Taschereau.

Prezydent przedstawia względem sprawy polskiej cztery wnioski, mianowicie 1<sup>o</sup> czyli nienależałoby poprzestać na wystosowaniu odezwy do Parlamentu frankfurckiego; 2<sup>o</sup> czy ogłosić ogólną odezwę do wszystkich Niemców; 3<sup>o</sup> czy trzeba także wydać manifest do ludu francuzkiego; 4<sup>o</sup> czyli też poprostu wypadnie ograniczyć się na wymotywowanem przejściu do porządku dziennego, lub czy nareszcie połączyć tenże dzienny porządek z odezwą do ludu francuzkiego?

P. Bastide niechce odezwy do Parlamentu frankfurckiego, utrzymuje bowiem, że dotąd niema jeszcze żadnej prawnej drogi do wręczenia Frankfurctowi jakiegokolwiek aktu rządowego, natomiast poprzestaje na odezwie zamieszczonej w Monitorze rządowym; przejście do porządku dziennego wydaje mu się równie stosownem.

P. Quinet sprzeciwia się wymotywowanemu przejściu do porządku dziennego; postępowanie to znajduje niegodnem wielkiej sprawy polskiej; domaga się przynajmniej uroczystej odezwy do liberalnych Niemiec i zarazem rządowej do Parlamentu frankfurckiego. inaczej poparcie sprawy polskiej nieodniesie żadnego skutku.

P. Aylies przyznaje, że poparcie sprawy polskiej w istocie nieodniesie żadnego skutku.

P. Napoleon Bonaparte niechce odezwy do Parlamentu frankfurckiego, do działań którego żadnej wagi nieprzywiązuje, przypuściwszy bowiem, że zgromadzenie w Frankfurcie w wcale sprawie polskiej niesprzyja, mogłaby stąd powstać niezgoda między Parlamentem niemieckim a Izbą francuzką, niezgoda, któraby ubliżała godności tej ostatniej. Dziś przedewszystkiem należy wezwać władzę wykonawczą do gorliwego i sprężystego popierania reorganizacji księstwa Poznańskiego, Galicyi i Krakowa. Ten cel Izba powinna ściagać wszelkiemi środkami i w tym duchu energicznie wolę swoją objawić.



sluchaczy ciekawych mowy byłego ministra P. Lamartina. Pierwszy to raz Rzeczpospolita francuzka obradowała o Polsce, pierwszy raz urzędowie przemawiała do ludów, pierwszy raz

P. Aylies niechce wymotywowanego porządku dziennego, opiera się PP. Quint'owi i Bonapartemu i usilnie żąda poprzestania na odezwie do parlamentu frankfurckiego, który bąc co bąc wywiera ważny wpływ na politykę.

P. Edm. Lafayette utrzymuje, że komitet zbacza z drogi, że rzeczą jego jest zastanowić się tylko nad wnioskami, które mają być przedstawione Izbie.

P. Garat popiera te uwagi. Komitet przystępuje do obrad; prezydent dowodzi, że można natychmiast głosować nad wnioskami, mianowicie nad odezwą do Niemców lub do parlamentu frankfurckiego lub też ludu francuzkiego.

Wprowadziwszy obrady na tę drogę, P. Basside proponuje odniesienie się do władzy wykonawczej i pominięcie zupełnie wniosków porządku dziennego.

P. Vavin żąda zarazem wymotygowanych wniosków i odezwy do ludu niemieckiego; podziela zdania P. Quinet'a, nareszcie oświadcza swoje zadowolenie z dotychczasowego postępowania rządu względem Polski.

P. Napoleon Bonaparte powstaje przeciw P. Vavin'owi, gromi niedołężność rządu, niepokłada żadnej ufności w spółzuciaci Niemców dla Polski, dodaje, że raz przecie należałoby władzę wykonawczą popchnąć do czynu, śmiało postępować sumienną drogą, nielekając się wojny, energicznie żądać i przyspieszyć wyzwolenie Polski, zmuszając sąsiadów do reorganizacji księstwa Poznańskiego i Galicji, obwinia przytem postępowanie agentów dyplomatycznych Rzeczypospolitej, zwłaszcza zaś agenta w Berlinie, który w najgorszej wierze zdawał sprawę o kwestyi polskiej.

P. Bastide słabo broni agenta rządu rewolucyjnego, powiada, że w pierwszych chwilach zamieszania wybory były trudne, że trudno było coś stanowczego względem Polski przedsięwziąć.

P. Napoleon Bonaparte zbija te objaśnienia i wchodzi w obszerniejsze szczegóły nad poprzedniami swemi uwagami.

P. Bastide mówi, że poparcie reorganizacji księstwa Poznańskiego i Galicji pociągało za sobą wielkie trudności, że w chwili gdy P. Bonaparte odwołuje się do środków energicznych, Francya nie miała ani dostatecznego wojska, ani floty w należytyim stanie, ani potrzebnych materialnych zasobów.

P. Mornay pochwała wszystko, co rząd względem Polski uskutecznił i po piera zdania ministra spraw zagr.

Prezydent streszcza kwestyę i zapytuje, czy trzeba poddać pod głosowanie 1<sup>o</sup> Odezwę do ludu francuzkiego ogłoszoną w dziennikach? (Komitet odrzuca odezwę); 2<sup>e</sup> wymotygowany wniosek porządku dziennego i zarazem odezwę do ludu? (Komitet przystępuje do rozbioru drugiego wniosku).

P. Larochejaquelin nie chce wniosku porządku dziennego i odpiera wszystkie uwagi poczynione w tym względzie przez poprzednich mówców.

P. Quinet proponuje: 1<sup>o</sup> Aby wezwać władzę wykonawczą do usilnego nastawiania na odbudowanie narodowości polskiej, 2<sup>e</sup> aby wydać w tym duchu odezwę do ludu niemieckiego.

P. Vavin zabiera głos, popierając zdanie P. Larochejaquelin'a.

P. Mauguin sprzeciwia się odezwie do ludu niemieckiego i żąda: wymotygowanego wniosku, porządku dziennego i odezwy do ludu francuzkiego.

miała uroczyście ogłosić swoje zasady, rozplomienić dla uciśnionych pochodnię nadziei, zerwać na wieki z kłamstwem i nikiemością gabinetową, wesprzeć się na prawach człowieczych, na bożej sprawiedliwości. W rozwoju ducha Francyi nadchodziła ważna chwila, w której niebyło pośredniej drogi dla godności Rzeczypospolitej. Posłowie zasiedli ławy, zawnazsu już powiększej części znudzeni przedmiotem oczekującym ich zdania, ze zgrozą przypominali sobie, jak przed tygodniem w tejże samej sali rozdąsany motloch krzyczał: «niech żyje Polska! wolność dla Polski!!» i jako ludzie poważni a wysoko wykształceni, niemający nic wspólnego z hołotą, umyślili nauczyć ciemną gawiedź, jak się prowadzi zagraniczna polityka. Kwesytwa włoska miała poprzedzić polską, obrońca jej atoli P. Daragon oświadczył, że z powodu wypadków świeżo zaszłych w Wiedniu, uważa sprawę włoską na nowej całkiem drodze, i że poprzestanie na zapytaniu, co rząd dotychczas względem tejże kwesyty przedsięwziął.

Prezydent zapowiedział obrady nad sprawą polską.

Pierwszy mówca, który wszedł w szranki, P. Wołowski, żywo skreślił obraz nieszczęść swojej ojczyzny, przypomniał stanowisko Polski, która materyalnie wymazana z rzędu mocarstw, dźwigała jednak na swoich barkach despotyzm północy,

P. Quinet zabiera głos i rozszerza się nad poprzednimi swemi uwagami; natarczywie dopomina się, aby komitet takowe przyjął.

Prezydent ogłasza zakończenie obrad i zbiera je w cztery następujące wnioski: 1<sup>o</sup> wymotywowany porządek dzienny; 2<sup>o</sup> Odezwa do ludu niemieckiego; 3<sup>o</sup> Odezwa do rządu Rzeczypospolitej; 4<sup>o</sup> Manifest do ludu francuzkiego, lub uareszcie połączenie dwóch wniosków, pierwszego i czwartego.

Odezwa do rządu Rzeczypospolitej i manifest do ludu francuzkiego stają się wyłącznym przedmiotem obrad.

PP. Mauguin, Larochejaquelin, Vavin, Bastide, Bonaparte, Drouyn de l'Huys kolejno zabierają głosy.

Niektórzy z członków przeciwnych wnioskowi komitetu przed rozwiązaniem posiedzenia opuszczają salę.

Komitet przystępuje do głosowania 1<sup>o</sup> nad odezwą do ludu francuzkiego; (odrzucona) 2<sup>o</sup> nad powierzeniem sprawy polskiej w ręce rządu wykonawczego; (przyjęte). Po długich jeszcze sporach, redacya PP. Mornay i Bastid'a większością głosów jest przyjęta. Komitet postanawia, aby w trzech krotkich peryodach wyrazić zasady, na mocy których Izba odwoła się do uczuć braterskich względem Niemców i zarazem objawi chęć swoją oglądania Polski i Włoch niepodległemi.

skreślił stan obecny K<sup>twa</sup> Poznańskiego, zdradzieckie podejścia Prusaków, zapal i jedność ludu polskiego ze szlachtą, wezwał nareszcie Izbę, aby odwołała się do uczuć i własnej korzyści ludu niemieckiego, i aby razem z nim obmyśliła sposoby wyprostowania wielkiej krzywdy, jaką rozbój nad Polską wyrządził ludzkości.

Prezydent wymienił z kolei nazwisko dawnego przyjaciela Polaków P. Montalembert'a, ale głos ten, który przed kilkoma miesiącami tak wymownie odzywał się w Izbie Parów, odmienne wrażenie sprawiał wśród zgromadzenia republikańskiego. Pamiętano jeszcze filipikę P. Montalembert'a popierającą Jezuitów w Szwajcaryi; stronnictwa ludowe z rozjątrzeniem wówczas były powstały przeciw obrońcy Sonderbundu, P. Montalembert poczuł, że występując za sprawą polską może więcej jej zaszkodzić niż pomódz i cofnął się od głosu. W istocie, w obec prawdy, trudno z tych samych piersi wydobywać potężne dźwięki za Polską i razem za Jezuitami.

Posłowie wchodzili i wychodzili, wiedli między sobą ciche rozmowy, spoglądali na zegarki lub załatwiali prywatne korespondencye. Kilku z bliżej siedzących trybuny lekkim skinieniem głowy podziękowało P. Vavin'owi, następnemu mówcy, który w krótkich słowach zaczął od oddania sprawiedliwości wysokim uczuciom, jakie we wszystkich kwestyach humanitarnych przejmowały szanowne zgromadzenie i zawniósł, aby Izba wystosowała do parlamentu frankfurckiego odezwę, skutkiem której Francya zbawi Polskę, niepotrzebując wdawać się w żadne poświęcenia. Większość pokryła oklaskami ostatnie słowa P. Vavin'a.

Trzeci mówca, P. Sarrans, usiłował obejrzeć kwestyę z wyższego stanowiska, dotknął bliżej posłannictwa Rzeczypospolitej; spokojnemi acz surowemi wyrazy powstał na błędy rządu rewolucyjnego, który nie miał dość odwagi na odrzeczenie się dawnej gabinetowej polityki, na otwarte wypowiedzenie nowych zasad zaczerpniętych w sprawiedliwości i w godności narodu. Pierwszy to był mówca, który w Izbie odważył się niezupełnie potępić Cesarza Napoleona i przeproszać słuchaczów za potęgę i chwałę, jakimi więziem z Ś<sup>ej</sup> Heleny opromienił był niegdyś ich ojezyczne.

W dzisiejszej Rzeczypospolitej francuzkiej przyjęty jest zwyczaj, na mocy którego nikt nieodzywa się o początku XIX<sup>o</sup> wieku, niezłorzeczając Napoleonowi; republikanie wyuczili się na pamięć zarzutów przeciw Cesarstwu; w obec stronników Ludwika XVIII<sup>o</sup> i bratobójczych emigrantów, bohater zwie się przywłaścicielem; historia jednak, która pojmuje Napoleona nie we Francyi ale w całej epoce, w ludzkości, odmiennie te wypadki uważa; historia mówi, że republika sama w falach krwi zatonęła, że dyktatura i tron niepowstały na grobach Franklin'a i Washington'a, ale że musiały uwieńczyć piramidę trupów wzniesioną przez Marat'a, Hebert'a i Carrier'a. Dzisiejsi republikanie niedostrzegając prawdy w postaci Napoleona, próżno nawzajem będą znoić się nad zagadką posłannictwa Rzeczypospolitej. Ludzie, którzy dziś najjaśniej upatrują cele Francyi jak Michelet, Quinet i kilku innych, zawdzięczają swoją bystrość bezstronnym sądom o epoce cesarstwa, i P. Sarrans też o tyle wlał życia w swoją mowę, o ile czystem sercem przypomniał sobie był pierwsze wrażenia swojej młodości. «Jakaż była polityka Francyi,» odzywał się mówca głosem, który na nieszczęście z trudnością nas dochodził, «jaka była jej polityka «od pokoju westfalskiego aż do wstrząśnienia Rzeczypospolitej «i wielkich zwycięstw cesarstwa? kto bronił chrześcijaństwa od «samowładztwa dworu rzymskiego? Francya; kto wyzwolił «brzegi Europy od despotyzmu oligarchii weneckiej? Francya; «kto położył tamę zapamiętałej chciwości domu austriackiego? «Francya; kto pierwszy walczył za wolność myśli, kto uderzył «na przesady i przywileje? Francya: kto przyczynił się do usta- «lenia Rzeczypospolitej amerykańskiej? Francya; zawsze «i wszędzie Francya! Niechże więc raz przestaną już nas oskar- «żać o niepohamowaną naszą chciwość; zostawmy płytki ten «zarzut nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej! Francya dziś żąda, «a żąda, gdyż potrzebuje jeżeli niechce zginąć, ludzi wolnych za «sprzymierzeńców, przekonanych publicznych opartych na tychże «samych celach, żywiołach, dążeniach liberalnych, pojęciach «filozoficznych. Oto są dzisiejsze nasze zdobycze; innych «niechcemy, na tych z rozkoszą poprzestajemy, przekonani, że «pod ich potężnym wpływem ustali się Rzeczpospolita, ta rzecz- «pospolita, która powinna odrodzić świat nie pokojem, ale ideał!»



Prawa strona Izby litościwie wzruszyła ramionami, pojrzała do koła, jak gdyby dla zapewnienia, że słowa mówcy oślizną się po stałych przedsięwzięciach większości, P. Sarrans zaś przeszedł do kwestyi polskiej, wspomniał o zamachu Rossyi na Francją wstrzymanym przez powstanie 1830<sup>o</sup> r., i przywodząc ostatnie wypadki K<sup>twa</sup> Poznańskiego, pytał, jakim sposobem niedawny jeszcze zapal Niemców do narodu polskiego przedzierzgnął się nagle w zacieklą nienawiść, jakie jest słowo tej niepojętej zagadki? «Oczywiście,» mówił, «niespodziany ten «przewrót jest skutkiem wpływów śmiertelnego wroga Polski; «w nienawiści Prusaków widać tajemne działanie Rossyi, która «wystraszyła gabinet berliński dążeniami może nawet zbyt «popędliwemi narodu rozjątrzonego, zdemoralizowanego długą «niewolą, ludu, który uporzyciwie domaga się odrodzenia, który «ostatniemi wysileniami woła o wolność; święty krzyk! na «który chór Niemców, głoszący wyrok śmierci na Polskę, odpo- «wiada: wszystko między nami odrodzi się, Polska tylko jedna «umrze!» — Nie, obywatele, wyrok niezostanie spełnionym. «Niemcy, z któremi tak ściśle węzły winny nas połączyć, Niemcy «których przekonania zgadzają się z naszymi pojęciami o wol- «ności, o prawach człowieczych, o stosunkach społecznych, «Niemcy nieodwrócą głuchego ucha, gdy Izba narodowa Rze- «czypospolitej francuzkiej uroczyście tak do nich przemówi: «Obok was żyje lud szlachetny, lud dzielny, który już raz ocalił «Europę, lud, który ciągle krwią protestuje przeciw wyrokowi «wykreślającemu go z szeregów narodów. Pojmijcież raz, że «jeżeli lud ten niepowróci do życia politycznego, własny wasz «byt wiecznie będzie się chwiał, wiecznie będzie wystawionym «na wojny i zamachy wspólnego nieprzyjaciela wolności» Oto «są słowa, obywatele, które całą piersią powinniśmy powtórzyć «Niemcom. Napoleon, który tak doskonale pojmował stosunki «polityczne Europy, mówił, że za pięćdziesiąt lat, jeżeli Europa «niebędzie republikańską, Moskale przyjdą do Francyi. Jakto? «możecież zrozumieć rewolucyę europejską, któraby wydobyła «na jaw nowe narodowości i dawnym przywróciła niepodle- «głość, któraby obdarzyła ludy nowemi, lub wskrzesiła dawne «ich swobody, możecież przypuścić tę wszechzgodę europejską, «jeżeli pośród was nierozkujecie kajdan najszlachetniejszemu

«ludowi? Cały jeden lud w grobie! Polska martwa! Polska, która przez trzy wieki dawała życie Europie! Nie — to być «niemoże — to niebędzie! Kończę, oświadczając głośno, że potomność rewolucyi takiej, która kładzie za cel odrodzenie «Europy a Polskę zostawia pod grobowym kamieniem, nie «ołtarze będzie wznosić ale pręgierz!»

Izba drgnęła w obec złowrogiej przepowiedni jak człowiek, który następuje na węża; P. Sarrans pośród szmeru niechęci zszedł z mównicy; większość niemogła pominąć groźnych słów bez odpowiedzi, wysłała więc z pomiędzy siebie jednego z tych mówców, którzy z własnego ducha rzadko kiedy występując do walki, potykają się za takie sprawy stronnictw, w jakich koryfeusz nieśpieszą wziętość swoją na szwank wystawiać i dla czczych obrad drażnić powszechnie uczucia narodu. P. Guichard wolno szedł na trybunę, zawczasu pewny okłasków, a jednakże bynajmniej nieodzywał się ani do dumy narodowej, ani do uczucia godności Francyi; tłumaczył tylko, że rząd ujmując się za Polską naraziłby się na niechęć gabinetów, które oskarżyłyby go o chciwość, o zuchwałą chęć zatknięcia republikanckiego proporca na brzegach Renu, że tak samo jak Niemcy napróżno chcieliby poprzeć niepodległość hiszpańską, podobnie Rzeczpospolita niejest w stanie nic przedsięwziąć względem oddalonej Polski, że rząd powinien dziś zwrócić główną uwagę na przywrócenie wewnętrznej spokojności, na obudzenie przemysłu, na ożywienie handlowych stosunków, na dokończenie dróg żelaznych, a wtedy gdy Niemcy ujrzą Francję spokojną, potężną i bogatą, wtedy same przystąpią do wyswobodzenia Polski i wezwą Rzeczpospolitą do wspólnego dzieła. Dziś epoka czynu jeszcze nienadeszła, Izba niepowinna naśladować fałszywych prostetacyi monarchii i dla tego dodał P. Guichard, «odpycham «zarzuty uczynione przez P. Sarransa rządowi rewolucyjnemu. «Nie — władza wykonawcza pod wszelkim względem zasługuje «na nasze pochwały. Niezbijam pojedynczo dowodzeń poprze- «dzającego mówcy, niechaj za mnie odpowiedzą Włochy wyswo- «bodzone, Prusy, Austria, uświęcające u siebie jak najszersze «zasady wolności. Z resztą, wymowniejszy głos od mojego «dokładniej odpowie na niewczesne zarzuty przeciw rządowi Rzeczypospolitej.»

Izba umilkła w oczekiwaniu na wymowny głos P. Lamartina, który miał zadać ostateczny cios szalonym zamiarom zwolenników sprawy polskiej, ale jeszcze jeden obrońca wystawił jej cierpliwość na próbę i poprzedził na trybunie byłego ministra spraw zagr. Tym razem atoli publiczność na galeryach ciekawie wychyliła głowy, posłowie nawet niemogli oprzeć się uczuciu mimowolnego zajęcia. Mówca pierwszy raz swobodnym głosem odzywał się we Francyi; imię i nazwisko nosił posągu wieńczącego szczyt kolumny Vendôme; ruchami, twarzą, wzrokiem i głosem uderzająco przypominał Cesarza ubóstwionego przez lud, przekłętego przez to wszystko, co niebyło ludem. Jakaś dziwna historyczna tajemnica leżała w tym potomku rodziny Bonapartów, który przez rewolucję odzyskawszy ojczyznę i wolność słowa, po raz pierwszy wśród ojczyzny, wśród rewolucyi, używał tej wolności i tego słowa na obronę sprawy polskiej. Gdyby nie żywiły niechęci wrące w Izbie dla sprawy i dla osoby jej obrońcy, gdyby nie drażliwe położenie Bonapartego, który w kilka dni po zamachu, coś nakształt Barbes'a, Raspail'a a co najgorsza pierwszego konsula, odzywa się o wojnie, bezwątpienia mówca byłby głębiej serce swoje otworzył, byłby śmielej rzucił ostateczne wnioski, które na teraz musiał ująć w karby możebności i ograniczyć usposobieniem Izby i rządu Rzeczypospolitej. «Obywatele!» mówił Bonaparte ucinanemi peryodami i głosem, którego dźwięk domagał się pola marsowego, «zabieram głos w sprawie polskiej, dla tego, że uważam ją za sprawę ściśle francuzką i nad wszelkie wyrażenie «ludową. Bez oparcia się na świeżych narodowościach a przede wszystkim na polskiej, Rzeczpospolita nasza nigdy nie zabezpieczy się przeciw Europie monarchicznej. Jesteśmy odosobieni; mówię to w głębokiem przekonaniu, że nigdy nie znajdziemy wiernych sprzymierzeńców w istniejących obecnie «gabinetach monarchicznych. Sumienny przyjaciel sprawy polskiej, poklaskuję szlachetnym żądaniom P. Vavin'a, który chce, aby odbudowanie Polski służyło odąd za zasadę stosunkom naszym i wszelkim układom z trzema północnemi monarchiami; ale wiecież, co powinniście uczynić dla godnego «odpowiedzenia podobnej zasadzie? Związek logiczny wymaga «po was, abyście natychmiast podnieśli 500,000 wojska, abyście

«wypowiedzieli wojnę Austryi, Prusom i Rossyi, inaczej słowa  
 «wasze będą naszym wykrzyknikiem. Izba wszelako uroczyście  
 «pragnie pokazać się daleką od wszelkich wojennych przed-  
 «sięwzięć.

«Co się tyczy odezwy do sejmu frankfurtskiego, potępiam ją  
 «zupełnie. Sądzę, że podobny krok z naszej strony sprzeci-  
 «wiałby się najprostszym pojęciom o rządzie. Zgromadzenie  
 «nasze może tylko odzywać się do drugiego zgromadzenia tejże  
 «samej istoty i to za pośrednictwem władzy wykonawczej  
 «i ministra spraw zagr. Jeżeli odezwiemy się wprost do sejmu  
 «frankfurtskiego, jeżeli tenże sejm nam odpowie, jeżeli wejdzie  
 «z nami w spory, wypadnie nam mianować drugiego ministra  
 «spraw zagr., wyłącznie dla sprawy polskiej przy sejmie frank-  
 «furtskim, ministra, który będzie urzędował obok dzisiejszego  
 «ministra i za obrębem władzy wykonawczej.

«Przystępuję teraz wprost do rozwiązania kwestyi polskiej,  
 «tak jak ją rozumiem i stawiam wnioski możebne, które dziś  
 «dadzą się zastosować, nieprzesądzając wszakże praw całej  
 «Polski. Cóż możemy dziś z pewnym skutkiem przedsięwziąć?  
 «Ocalić tymczasem tę część Polski, która natychmiast może być  
 «ocaloną, to jest Poznańskie, Kraków i Galicyę. Tym sposobem  
 «wzniesiemy zapórę przeciw Rossyi i jej sprzymierzeńcom.  
 «zyskamy czas do ustalenia własnej naszej Rzeczypospolitej  
 «i zabezpieczymy wynikłe z niej następstwa. Dla osiągnięcia  
 «tego celu co wypada uczynić? Oto żądać od Prus i Austryi,  
 «aby dotrzymały słowa danego prowincjom polskim; od Prus  
 «naprzód żądać reorganizacyi narodowej i wolności wewne-  
 «trznej całego K<sup>tw</sup>a Poznańskiego, nie zaś tej części, którą po ru-  
 «chach w Poznańskim rząd pruski nieprawnie od Polski oderwał.

«Mniemam, że agenci dyplomatyczni Rzeczypospolitej powin-  
 «ni by temi słowy odezwać się do gabinetów w Berlinie  
 «i w Wiedniu: dotrzymajcie waszych obietnic prowincjom  
 «polskim, obietnic waszych uroczyście zaręczonych w obec  
 «Europy i Francyi; wymagają tego po was honor i bezpie-  
 «czeństwo zachodniej Europy, honor i bezpieczeństwo, którym  
 «Rzeczpospolita francuzka przysięga zadość uczynić; jeżeli  
 «odmówicie temu ostatniemu i sumiennemu wezwaniu, niechaj  
 «na was spadną skutki odmowy!»



«Słyszę już zarzuty podnoszące się w słowach: co pocznie Rzeczpospolita, gdy Prusy i Austria dadzą jej odmowną odpowiedź? Co pocznie? Panowie! mówmy z sobą otwarcie; na «dnie tych kwestyi równie jak na dnies wszystkich kwestyi «granicznych, leży wypowiedzenie wojny. Dla nas wystarcza «przekonanie o prawności, o słusności naszych żądań i o mo- «żeźności przyprowadzenia ich do skutku. O tem nikt tu za- «pewne nie wątpi. Czyliż zapomnieliśmy już, a przypominam «tu w obec zgromadzonych posłów ludu francuzkiego nieszcze- «śną epokę, czyliż zapomnieliśmy już, powtarzam, jak w r. 1815<sup>ym</sup> «Święte Przymierze pojąć nas upokorzeniem, tłocząc pierś «naszą najezdniczą stopą, zaprzysięgło wówczas obietnice, «o które dziś się upominamy? Król pruski przyrzekł wtedy «Poznańczykom reorganizacyę narodową i wewnętrzne swo- «body; toż samo uczyniła Austria względem Galicyi. Czyliż «zanadto od nich wymagamy, żądając tego, co same wówczas «przyrzekły? co przed czterma tygodniami, w kilka dni po re- «wolucyi berlińskiej, król pruski powtórnie znowu obiecał? «Tak jest; Fryderyk Wilhem IV też same obietnice powtórzył «deputacyi z K<sup>twa</sup> Poznańskiego, ale skoro tylko ujrzał się «mocniejszym, jak tylko uchwycił sposób rozjątrzenia ludności «niemieckiej przeciw plemieniu polskiemu, natychmiast poszedł «za ojcowskim przykładem i skłamał swoim przyrzeczeniem.

«Oto jest mojem zdaniem jedyna droga, która może nas do- «prowadzić do celu; mniej uczynić dla Polski byłoby z naszej «strony nieprzezornością, niewdzięcznością i wybaczcie mi «słowo, — podłością! Do tego zmusza nas obowiązek wzglę- «dem Polski, względem nas samych. Więcej uczynić niejesteście «dziś w sile a może też niebylibyście w chęci.»

«Kończę, przekładając Izbie następujący wniosek: Izba po- «słów ludu francuzkiego wzywa rząd wykonawczy do bezzwło- «cznego przedsięwzięcia stosownych kroków w celu otrzymania «wedle dawnych zobowiązań od Prus i Austrii, reorganizacyi «narodowej i swobód wewnętrznych dla WK<sup>twa</sup> Poznańskiego, «Krakowa i Galicyi; zwraca zarazem uwagę rządu wykona- «wczego na zabezpieczenie losów wychodztwa polskiego, «zbierając je w jeden narodowy legion.»

Łatwo zgadnąć wrażenie, jakie sprawiła mowa ta acz umiar-

kowana atoli tak odmienna od poprzednio wyrzeczonej przez P. Guichard'a; Izba przyjęła ją głuchą niechęcią, P. Vavin tylko dotknięty do żywego posądzeniem go o wojownicze zamiary, poskoczył na trybunę i z uniesieniem zaręczył, że między zwolennikami pokoju on się za najgorliwszego uważa i że Izba krzywdę by mu wyrządziła, upatrując w jego słowach jakiegokolwiek wojenne zamiary.

Nareście z ławy członków rządu wykonawczego powstał P. Lamartine.

Doświadczony walecznik w parlamentarnych bojach, do razu oburącz chwycił kwestyą i potokiem wybrylantowanych słów jął zaspokajać ciekawość Izby względem spraw Włoch i Polski. Opowiedział, jak od pierwszych dni rewolucji gorliwie zajmował się losem polskiego narodu, jak chciał utworzyć legion polski i jak w tym zamiarze napotkał zawady, o których niebędzie wspominał przez cześć dla ludu nieszczęśliwego, odczytał z swego okólnika wyjątki znoszące traktaty 1815<sup>o</sup> r., zwrócił uwagę słuchaczy na oburzenie już nie gabinetów ale ludów za wyprawę z Paryża ochotników na Belgią, Niemcy i Sabaudyę i przystąpił do kwestyi włoskiej.

Nie będziemy iść w ślady za P. Lamartinem w objaśnieniach jego względem Włoch, oczywiście dowodzących, że rządy włoskie same usilnie domagały się, aby Francya nie przekraczała Alp. popartych dokumentami dyplomatycznymi i zakończonych uroczystem zaręczeniem, że byt Rzeczypospolitej nierodzielnym jest od całkowitego wyswobodzenia ziem włoskich. Co się tyczy Polski, P. Lamartine odczytał znowu instrukcyę daną swoim agentom dyplomatycznym, w której wyraźnie polecał im, aby nastawali na gabinety berliński i wiedeński o reorganizacyę prowincyi polskich i aby tłumaczyli Niemcom, że pokój Europy może tylko ostatecznie ustalić się w skutek wyswobodzenia narodu polskiego; co zaś do wypadków zaszłych w K<sup>twie</sup> Poznańskim, mówca zarzucił niedokładność opisowi P. Wołowskiego. Niewdamy się tu wcale w dokładność opisu P. Lamartina, poprzestaniemy jedno na wiernem przytoczeniu jego słów, w których sami czytelnicy należycie potrafią prawdę ocenić. Słowa te, którym pilnie przysłuchiwaaliśmy się w Izbie, wiecznie a zgrzytliwie dźwięczą w naszej pamięci; obejrzelśmy się po galeryach

i z rozkoszą spostrzeżliśmy, że między słuchaczami nader mało było naszych rodaków. Być Polakiem, wracać z miejsc, o których mówił P. Lamartine, wiedzieć i czuć prawdę a słyszyć pośród Paryża, w Izbie republikańskiej Francyi, najwymowniejszy głos bez miłosierdzia policzkujący i w twarz plwający macierzyńskiej sprawie, co chwila boleśnie drgać pod solidarną znie wagą a nie móż ani słowa odpowiedzieć, chociaż zdaje się, że natchnienie pierś rozsądzi a prawda każdy wyraz w spiżowe kształty zetnie, widzieć nieszczęsny naród w obec ludów Europy niewinnie pod pręgierz wleczony przez tę samą rękę, która miała mu podać różczkę wybawienia, a w rozpacznej bezwładzy nie móż między niesprawiedliwym słowem a ludzkością rozwiesić wiecznej a nieprzebitej zasłony, jestto przeżyć chwile, które radzi jesteśmy, że spotkały kilku tylko członków naszego narodu. Czytając niesłuszne zarzuty, zda się nam, że nikt na nas niepatrzy, że nikt nas niesłucha, że sami jedni powszechną boleść w siebie garniemy, inaczej się dzieje, gdy potwarz grzmi nam w uszy miotana z pierwszej w Europie mównicy.

«Przytoczyłem, mówił P. Lamartine, instrukcyę udzieloną naszym agentom dyplomatycznym, udzieloną, proszę uważać, «w kilka dni po ogłoszeniu Rzeczypospolitej francuzkiej i poleciłem im, aby ściśle według niej postępowali w Berlinie. Ale «król pruski, sam, z własnego popędu, jeszcze przed rewolucyą «berlińską, powtarzam, przyjął część zobowiązań, które następnie uzupełnił względem reorganizacyi K<sup>twa</sup> Poznańskiego, «reorganizacyi, która wedle naszego i wielu cudzych zdań była «słabym tylko zarysem, podstawą, że tak rzekę, na jakiej «wkrótce miała wznieść się niepodległość całej Polski. Tegośmy «dókazali jeszcze przed wybuchem w Berlinie, pomimo bezwładności zarzucanej rządowi rewolucyjnemu. W kilka dni po «rewolucyi w Berlinie, jak to już poprzedni mówca przytoczył, «król pruski bynajmniej niechwytając się nowej myśli ale pragnąc przywieść do skutku tę, jaką był powziął jeszcze przed «wypadkami, zagniony nadto powszechnem wstrząśnieniem, «jakie ruchy Paryża i Berlina wywołały w K<sup>twie</sup> Poznańskim, «oświadczał deputacyi polskiej, że zgadza się na zupełną prawie «reorganizacyą Księstwa i na względną jego niepodległość. «Jakoż, co oświadczał, tego święcie dotrzymywał; już K<sup>two</sup> Po-

«znańskie było wolnem, już miało swoją reprezentacyę lub raczej  
 «pierwszy zarys reprezentacyi, już tworzyły się komitety pols-  
 «kie, już król pruski pisał do nas, abyśmy otworzyli granice tym  
 «kolumnom, dla których żądają dziś legionu, zawiadamiał nas,  
 «że wychodzą jak najlepiej będą w Poznaniu przyjęci, że tam  
 «dla nich otworzą szeregi wojskowe, że posłużą na pierwszy  
 «związek tej niepodległości polskiej, która, jak się rozwiła,  
 «opowiem.

«Zaledwie spełniły się wypadki, o których wspomnieliśmy,  
 «zaledwie WK<sup>two</sup> Poznańskie rzuciło podstawę narodowości  
 «polskiej, gdy stało się to, co sami w tej nieszczęśliwej sprawie  
 «radziłyśmy ukryć przed sobą. Nagle buchnęły zewsząd te  
 «anarchiczne rosterki, te nienawiście jednych rodzin do drugich,  
 «ta zaciekłość szczepu przeciw szczepowi, języka przeciw języ-  
 «kowi, narodowości przeciw narodowości, zaciekłość, która od  
 «dawna gubiła Polskę, która była, że tak rzekę, fatalizmem  
 «bohaterstwa tego wielkiego i szlachetnego ludu. Wnet po-  
 «wstały zajścia między mieszkańcami W<sup>o</sup> K<sup>twa</sup>, którzy, jak pa-  
 «nom wiadomo, składają się z Niemców i Polaków i krew obu  
 «szczepów obficie popłynęła. Król pruski wysłał naówczas,  
 «wcale nie w chęci zdobyczy, jak to panom powiedziano, wcale  
 «nie w chęci złamania swoich obietnic, odwołania swoich po-  
 «stanowień, cofnięcia nadanych swobód i konstytucyi, która  
 «zaczynała wchodzić w życie, ale jedynie dla pośrednictwa  
 «między Niemcami a Polakami, wysłał korpus wojska. Wojsko  
 «to miało odznaczyć linię rozgraniczającą część K<sup>twa</sup> zamie-  
 «szkaną przez Niemców w liczbie 300,000<sup>x</sup> od drugiej części  
 «zaludnionej głównie przez Polaków w liczbie 500,000<sup>cy</sup>. Gwał-  
 «towne rozgraniczenie dokonane pośród zatargów między  
 «Niemcami a Polakami, spowodowało nowe klęski; poblądzono  
 «tu i owdzie w rozgraniczeniu, jedna wieś chciała koniecznie  
 «należyć do Polski, druga niepozwalała oderwać się od Niemiec:  
 «wojsko pruskie wdało się w pośrednictwo, stąd wyzywy do  
 «wojny, zaczepki, napady i nakoniec rzezie, które krwią oblały  
 «powstającą wolność w WK<sup>twie</sup> Poznańskim, ale które spodzie-  
 «wam się, że zupełnie jej nie zatopią.

«Co do króla pruskiego, zmuszony jestem wyznać, że tylko  
 «udałem się do jego rządu z ustnem naprzód zapytaniem,



«następnie przez pisaną depeszę, prosząc gabinet berliński  
 «o sprawozdanie o wypadkach zaszłych w WK<sup>twie</sup> po obietni-  
 «cach uczynionych ludowi polskiemu, światu i nam; natychmiast  
 «otrzymałem urzędowe i powtórne oświadczenie, że król pruski  
 «wysłał swoje wojsko do K<sup>tw</sup>a jedynie dla uśmierzenia zamie-  
 «szek, dla powściągnięcia rozruchów, jakie wywołały pierwsze  
 «zgrupowania polskie, że co się tyczy jego samego, jego, który  
 «oddawna pragnął tylko być Wksięciem tej prowincyi, możemy  
 «być pewni, że dopełni swoich obietnic po wypadkach równie  
 «jak przed wypadkami, i że skoro tylko zatargi między dwoma  
 «szczępami ustaną, skoro porządek zapanuje, skoro krew polska  
 «i niemiecka oschnie, natychmiast sumiennie dotrzyma obietnic  
 «uczynionych w Berlinie, zaręczonych Francyi i Europie, na-  
 «tychmiast Poznań będzie mógł się reorganizować, wychodzący  
 «polscy wrócą, i Polacy swobodnie zajmą się ustaleniem swych  
 «zasad i podstawy swej niepodległości.»

Na poparcie tych objaśnień P. Lamartine odczytał list pisany do popiecznika swego P. Cirecourt'a i odpowiedź tegoż, w którym pierwszy dopominał się o wolne wejście wychodźców do Prus i o reorganizację K<sup>tw</sup>a, drugi zaś udzielał mu objaśnień zaczerpniętych w gabinecie berlińskim a jasno pokazujących, że Polacy w najniegodziwszy sposób zdradzili zaufanie JKMei, że chcieli wymordować mu wojsko i cały kraj pogrzyźć w krwi a w płomieniach. Izba zatrzęsła się od zgrozy, słysząc o niesłychanych zbrodniach rozbójniczego narodu polskiego, mówca zaś, silny powszechnem zadowoleniem, tak dalej ciągnął:

«Widzicie zatem obywatele, że ani minister spraw zagra-  
 «nicznych ani rząd Rzeczypospolitej francuzkiej, niczego nieza-  
 «niedbali, coby tylko mogło zabezpieczyć los Polski, mianowicie  
 «zaś tej, która przypadła w podzielnemu pruskiemu.»

«Co się tyczy Krakowa, widokrąg nasz się zaciemnia; daleko  
 «nam trudniej wydrzeć prawdę z chmur, jakimi ją osłaniają,  
 «odległość, miejscowe przeszkody i sprzeczne doniesienia agen-  
 «tów mocarstw zagranicznych.»

Tu nie możemy pominąć drobiazgowej wprawdzie ale dzi-  
 wnej przygody, która właśnie, gdy P. Lamartine mówił o chmu-  
 rach, zmusiła go do zejścia z trybuny. Wiatr odchylił zasłonę  
 z jednego z górnych okien i promień południowego słońca

jaskrawie padł na mównicę. Napróżno orator z jednego końca trybuny przechodził na drugi, darmo prostował się, pochylał naprzód, cofał, struga żywego światła bezustannie lała się na mównicę, obejmowała ją zewsząd, złościła rażącym blaskiem; niepodobna było wśród posiedzenia wnosić drabinę, prostować zasłonę, P. Lamartine musiał zawiesić głos, opuścić trybunę i czekać, dopóki słońce samo nie przejdzie, to słońce, pod którego okiem prawda jego nie mogła na jaw się wydobyć. Po półgodziennym przestanku, mówca tak dalej prowadził:

«Wracam pokrótce do tego, co miałem zaszczyt przedstawić «Izbie; widzicie panowie, że co do narodowości polskiej «w Poznańskim, zarzuty uczynione polityce Rzeczypospolitej «w osobie ministra jej spraw zagr. jako też skargi zanoszone «przeciw szlachetności rządu pruskiego, nieopierają się na za- «dnych zasadach. Nieszczęścia są wspólne dla obu stron, i nie- «słusznie jednej przyznawalibyśmy tylko krzywdy, drugą zaś «obwiniali wyłącznie o kłamstwa lub o potarganie zareczonych «obietnic. Wreszcie, niema wątplenia, że narodowość polska «wkrótce w Poznańskim zostanie szczerze popartą i będzie «mogła rozwijać się na właściwej sobie drodze.

«Co do Polski austriackiej i Krakowa, miałem zaszczyt nad- «mienić, że gęste chmury niepewności pokrywają nam te «prowincye. Wiemy tylko, że Rzeczpospolita krakowska w sku- «tek wypadków paryzkich i wiedeńskich wróciła do dawnej «formy rządu, że powstały komitety organizacyi polskiej, że «kolumny wychodźców polskich codziennie przybywały z Fran- «cyi i z Niemiec, gdy w tem zatargi, których napróżno pragnę- «libyśmy oznaczyć istotę, stały się powodem smutnych wy- «darzeń, o jakich panowie już tu słyszeliście, i zawiesiły na jakiś «czas pomyślnie rozwiązanie kwestyi galicyjskiej i krakowskiej. «Wszelako wypadki zaszły odtąd w Niemczech, o jakich każda «poczta nam donosi, które doszły nas wczoraj z Pragi, oznajmu- «jąc, że Czechowie, naród pokrewny polskiemu, sami wzywają «Polaków do Pragi w celu zawarcia tam z nimi przyjaźni, «sojuszu i braterstwa; wiadomości dzisiejszego poranku z Wie- «dnia, które donoszą nam o nowych tamże wstrząśnieniach, «o coraz gwałtowniejszem rozpadaniu się spróchniałej mo- «narchii austriackiej, o silnych spólczeniach w kraju dla Galicyi

«i Krakowa, wszystko to, powtarzam, zwiastuje, obiecuje, za-  
 «pewnia przyjaciołom narodowości polskiej, że takowa w Austryi  
 «będzie mogła rozwinąć się na szerszych jeszcze zasadach, niż  
 «w Prusiech. Zdaje nam się, że wkrótce, tak jest, za kilka  
 «najdalej miesięcy, przykład Lombardyi powstałej i wyswobo-  
 «dzonej własnem bohaterstwem, przykład Węgier zrywających  
 «dawne związki z Austryą, przykład Czech, jakto wyżej  
 «już powiedziałem, oddzielających się od władzy austrya-  
 «ckiej i przyzywających do braterskiego sojuszu narodowość  
 «polską, dowodnie nas przekona o niezaprzeczonem istnieniu  
 «nieśmiertelnych żywiołów nowego porządku rzeczy, który dla  
 «ustalenia żąda tylko trocha cierpliwości, przezorności, sta-  
 «łości ze strony rządu francuzkiego, ze strony zaś mocarstw  
 «północnych trocha tych wielkich popędów, jakie czasami ważne  
 «wypadki nastęrczają a których nasze stosunki dyplomatyczne  
 «spokojnie nam pozwalają się spodziewać. Oto są dwa opisy  
 «dwóch dzisiejszych kierunków sprawy polskiej.

«Pomimo to, co chwila zewsząd miotają na nas zarzuty  
 «i skargi, obwiniają nas o niedołączność, o nieszczerłość naszej  
 «przyjaźni dla Polski. Pytam was panowie, pytam ducha całej  
 «Francyi, pytam, co chciano, aby rząd tymczasowy przedsięwziął  
 «w trudnem swoim położeniu? co miał uczynić, niezapomina-  
 «jąc o chęciach ale pomny także na swoje siły? Trzebaż było,  
 «jak to szalenie przed kilkoma dniami wykrzykiwano, abyśmy  
 «o wszelkich względach na własną ojczyznę zapomnieli dla tego  
 «jedyne go względu, najświętszego bezwątpienia, równie jak na-  
 «ród polski jest najnieszczęśliwszym ze wszystkich narodów, ale  
 «zarazem dla względu na sprawę najbardziej oddaloną i do roz-  
 «strzygnięcia prawie zupełnie niepodobną? Trzebaż było za-  
 «pomnieć o Belgii, która w pierwszych dniach naszej rewolucyi  
 «w skutek rodzinnych monarszych stosunków mogła odłączyć  
 «się od Francyi i wejść w przymierze z naszymi nieprzyjaciołymi?  
 «Trzebaż było zapomnieć o Hiszpanii, którą podobnież węzły  
 «rodzinne mogły nieprzyjaźnie usposobić przeciw Rzeczypospo-  
 «litej, która południowym naszym granicom mogła zagrozić  
 «intrygami, facyami, napadem? Trzebaż było zapomnieć  
 «o Włochach, o tych 26<sup>u</sup> milionach ludzi, którzy odtąd mają sta-  
 «nowić dopełnienie demokratycznego świata? Trzebaż było



«nareszcie, zapomnieć o własnych naszych granicach, zapomnieć  
 «o owarowaniu się od strony Renu przeciw Przymierz, które  
 «już niepowstanie dzięki naszemu postępowaniu, dzięki mą-  
 «drości i energii Francyi, dzięki oświacie narodu austryackiego,  
 «dzięki nareszcie rozprzestrzenionym zasadom demokracji-  
 «cznym, które do szczytu podkopały, rozwały i zniszczyły na  
 »zawsze możebność Przymierza rządów absolutnych przeciw  
 «Francyi? Trzebaż było zapomnieć o tem wszystkim i zapo-  
 «mnieć jeszcze o wewnętrznych naszych trudnościach? Trzebaż  
 «było zapomnieć o tych milionach robotników, których brak  
 «zarobku nagle i niewiedzieć na jak długo rzucał na pastwę  
 «nędzy i głodowi, o własnym naszym ludzie zapomnieć a pa-  
 «miętać tylko o teoretycznej zagadce odbudowania Polski,  
 «o rzuceniu jak najspieszniejszem armii francuzkiej za Ren,  
 «armii francuzkiej w sam środek Niemiec, jak tego szaleńcy się  
 «domagali? Dziś możemy wyznać bez niebezpieczeństwa, że  
 «na groźnej stopie postawiliśmy wojenne nasze siły, ale kiedy  
 «żądano po nas, abyśmy nazajutrz po rewolucyi rzucili przez  
 «Niemcy armię ze 120<sup>u</sup> lub 200.000<sup>u</sup>, wicież panowie, z czego  
 «się one wówczas składały? Wzywam na świadectwo wszystkich  
 «moich towarzyszków z rządu tymczasowego i tych zacnych  
 «wojskowych, którzy niez mordowaną pracą, światłem, uczestnic-  
 «twem i miłością ojczyzny dopomogli nam do zreorganizowania  
 «armii, niech ci wszyscy zaświadczą, z czem mogliśmy wystąpić,  
 «gdy nam zarzucano, żeśmy nie pospieszili na pomoc Polakom?  
 «W chwili, gdyśmy potrzebowali zasłonić 400 mil własnych  
 «naszych granic, mieliśmy zaledwie 88,000 wojska pod ręką.»

Smer zadziwienia rozległ się po Izbie; niepojmowano, jakim sposobem budżet wojny ministra Guizotowego gabinetu mógł tak bezczelnie klamać, gdzie podziwiał się 400 milionów, które Francya corocznie płaciła na wojsko, zadrżano na myśl o wojnie z tak szczupłemi siłami; oburzenie przejęło posłów na samo marzenie o szalonej wyprawie za Polskę, której niepodobieństwem P. Lamartine zasłaniał całą niedołężność swej polityki, jak gdyby niebyło żadnej innej drogi dla Rzeczypospolitej, jedno w popchnięciu zuchwałem wojsk na Rossyą lub też w podaniu dłoni wstecznym gabinetom, przენiewierzając się przyjętym zasadom, zdradzając zaufanie ludów i fałszywie wy-



wołanemi nadziejami wtrącając je w bezdenną przepaść klęsk. Mówca dowiódłszy Izbie, że Polacy i zwolennicy ich sprawy dla własnych widoków pragnęli zarazić Francję na oczywistą zgubę, i jak następnie Rzeczpospolita winna dziś postawić się względem niewdzięczników i ślepych zagorzalców, tak dalej ciągnął:

«Dziś możemy już rozporządzać półmilionem ludzi i za kilka «dni 80<sup>a</sup> tysiącami koni; zawdzięczamy to niezmordowanej «czynności tego ministra, który sprawiał podwójny wydział «wojska i marynarki, zawdzięczamy to niezmordowanej gorli- «wości tego rządu, na który dziś, korzystając z kilku dni pokoju, «bezcelnie rzuca się potwarz i lekceważy przebyte niebezpie- «czeństwa i poniesione trudy. Wreszcie pytam, co byłoby «spotkało wojsko francuzkie złożone ze stu lub ze stu dwu- «dziestu tysięcy, rzucone w poprzek Niemiec? Zaprawdę, nie «innego jedno nienawisć gwałtowna różnych narodowości, któ- «reby nas obwiniły o chciwość, któreby zarzuciły Francji nie- «pomiarowaną chęć zdobyczy, chęć naśladowania systemu «zaborczego Cesarstwa. Wojsko francuzkie byłoby spotkało po «obu swych skrzydłach 500,000 Niemców, a gdyby było nawet «przedarło się do Polaków, byłoby ujrzało przed sobą 250,000 «Rosyan i Polskę w krwi i w płomieniach. Przeciwnicy nasi «zarzucają Rzeczypospolitej, że niewysłała 100<sup>u</sup> lub 120<sup>u</sup> tysięcy «swoich synów na nieomylną rzeź. Niechajże ci, którzy na nas «powstają, przyjmą na siebie odpowiedzialność przed historją, «przed ludzkością! Co do nas, ze zgrozą ją odpychamy!» (Powszechne oklaski.)

«Nie mi już niepozostaje do powiedzenia. Dzięki, jak to już na «początku mówiłem, niesłychanemu instynktowi politycznemu, «które cechuje każde zgromadzenie francuzkie, prawda stała się «przysłowiem we Francji. Duch polityki jest wspólnem ogniwem «łączącym umysły wszystkich członków tej Izby; każdy z poprze- «dzających mnie mówców, we względzie odbudowania narodowo- «ści polskiej, podawał też same sposoby, opierał się na tychże sa- «mych zasadach, jakich rząd Rzeczypospolitej na chwilę dotąd z «łoka niespuścił, każdy z nich zrozumiał, że trzeba być szaleńcem «a nie patriotą, aby rozpoczynać wojnę, drugą wojnę 1812<sup>o</sup> r., «aby wojsko do Polski rzucać przez Niemcy zgwałcone w ich «granicach, w godności, w dumie, w uczuciu narodowem, wojsko

«któreby po obu swoich skrzydłach znalazło 400 do 500,000 lu-  
«dzi, przed sobą zaś 250,000 Rossyan, każdy z nich pojął, że  
«z ostatniej dziś chaty francuzkiej podniosłby się krzyk oburze-  
«nia przeciw rządowi dającym w skutek słabości zdań i zasad  
«porywać się bezrozumnym uniesieniom — uniesieniom, które  
«zaledwie można przebaczyć obłądowi i ciemnocie. O całej tej  
«kwestyi niepodobna mieć innego zdania, chyba że kto niema  
«najmniejszego wyobrażenia, co to jest pochód wojska, chyba,  
«że kto w życiu swoim niewidział karty geograficznej, nie-  
«mierzył odległości rozdzielającej Ren od Wisły.»

Izba uznała, że w istocie Niemcy powinnyby odbudować  
Polskę; P. Lamartine nadmienil pokrótce, że Polacy nienależeli  
do spisku 15<sup>o</sup> Maja, że sprawy ich użyto tylko za narzędzie,  
rzucił kilka pochlebstw na grób narodu, który tylokrotnie był  
znieważyl i kończył temi słowy:

«Niechaj mi Izba przebaczy to nadużywanie jej cierpliwości;  
«już kończę. Niepodobna nam zbijać wszystkich potwarzy, jakie  
«przeciw nam miotają; rząd tymczasowy miał władzę tymcza-  
«sową, słabą, ale uczucia silne, i temi ostatniemi zawsze się po-  
«wođował. Rząd ściagał jedną tylko myśl, to jest postawienie  
«Francyi w stosunkach przyjaznych z Europą; pragnęliśmy  
«tych stosunków w imię ludu, przez który i dla którego stała  
«się rewolucya. Lud może tylko żyć zarobkiem, zarobek daje  
«mu praca, praca atoli ustaje, gdy przemysł i handel cierpią.  
«Jestto wzgląd. o którym na chwilę niegodzi nam się zapo-  
«minąć. Chcąc pokoju, chcieliśmy powrotu handlu, przemysłu,  
«pracy, zarobku, chcieliśmy, aby lud miał z czego żyć. Nieza-  
«pominajcie obywatele, że dawniej powszechnie uważano pokój  
«za teoryę, za utopię, że dziś jednak ta wielka myśl, którą  
«nazywano teoryą, stała się instynktem, potrzebą, stała się ko-  
«niecznym kierunkiem, jaki zamierzylismy nadać rewolucyi.  
«(Grzmot oklasków).

«Oywatele! kończę jednym słowem; dawniej utrzymywano,  
«że zwycięztwo trzymało się mnogich zastępów; była to nieza-  
«przecona prawda za wszystkich poprzednich rządów Francyi;  
«będzie to fałsz za rządów Rzeczypospolitej. Zwycięztwo odtąd  
«niepowieje nad mnogimi zastępami ale nad prawem, nad ludy  
«uciśnionemi, nad sprawiedliwością!»

Tu już i tchu mówcy zabrakło i przekonywać wreszcie nie miał już o czem; Izba bowiem bynajmniej niepragnęła ani objaśnień w sprawie polskiej, ani obrad nad zaradczemi środkami przeciw niedoli przyjacielskiego narodu, ale żądała tylko zapewnień, że Rzeczpospolita niewda się w żadną wojnę, że dla zewnętrznych kwestyi żaden kram w całej Francyi się niezamknie, że papiery giełdowe poskoczą w górę, stronnictwa zaś ludowe opadną na silach, że powoli wrócą do dawnych warsztatów i losy Francyi zostawią ludziom doświadczenia i rachuby. Zaczem, dla pogrzebania kwestyi, posłowie zaczęli występować z różnemi wnioskami; jedni chcieli przejścia do porządku dziennego, drudzy odezw do Parlamentu we Frankfurcie, do ludu Niemiec lub Francyi, do sejmu w Berlinie, w ogóle większość zgadzała się na uproszenie Niemców, ażeby ci wyręczyli Francuzów w popieraniu zasad przyjętych przez Rzeczpospolitą, zgadzała się na wydanie jakiegokolwiek wykrzyknika, któryby piaskiem zasypał oczy hołocie paryzkiej, dopominającej się o zadośćuczynienie godności narodowej. Chodziło tylko o formę wniosku. Że zaś w Izbie francuzkiej ile razy idzie o formę, tyle razy niemożna precyzyjnie się do trybuny, każdy bowiem poseł czuje się w tym względzie najdzielniejszym do dzieła, prezydent przeto zgodnie z Izbą odesłał wniosek do komitetu spraw zagr. polecając mu wypracowanie frazesów o potędze Rzeczypospolitej i o przyszłym jej postępowaniu w kwestyach ludowych zewnętrznych. Większość tem chętniej przystała na zdanie prezydenta, że chciała powetować stracone posiedzenie, i pomimo spóźnionej pory przejść jeszcze tego samego dnia do spraw bliżej Francją obchodzących. Jakoż P. Lherbette wystąpił z mową o podatku postępowym i stosunkowym, i potrafił wynagrodzić cierpliwość Izby poddaniem pod jej rozagę przedmiotu, który zwłaszcza po zewnętrznej polityce, wydał się słuchaczom niesłychanie zajmującym i bliżej odpowiednim posłannictwu Rzeczypospolitej.

Po skończonem posiedzeniu, prawa strona i pośredkowie tłumem opuszczali salę, skarżąc się na stratę czasu i niewczesność obrad. «Zapewne, że szkoda czasu,» mówił P. Lanjuinais do swoich towarzyszków, «ale trzeba było raz zbyć z karku tę «nieszczęśliwą kwestyę polską; zatopiliśmy ją dzięki Bogu,

«i mam nadzieję, że topielec nie tak prędko na wierzch wypłynie.»

Nazajutrz komitet spraw zagr. zgodnie z Izbą wypowiedział zasady zewnętrznej polityki Rzeczypospolitej, w następujący sposób: «Rzeczpospolita w stosunkach swoich na zewnątrz «przyjmuje trzy zasady, mianowicie: Sojusz braterski z Niemcami; Odbudowanie Polski wolnej i niepodległej; wyzwolenie «Włoch.» Wniosek tak streszczony poprzybijano na rogach ulic, dla zapewnienia ludu, że Francya stale postanawia odpowiedzieć swemu posłannictwu, godności i uczuciom narodu. Lud tym razem z mniejszem niż zwykle zaufaniem poglądał na obietnice rządu i ponuro zadumany rozmyślał, jakimby sposobem czułe oświadczenia do Niemców, którzy bombardowali Kraków, wyrzynali krajowców w Poznańskiem i oświadczały się za Austryą w wojnie przeciw Karolowi Albertowi, można pogodzić z odbudowaniem Polski i z wyzwoleniem Włoch. Tłumy ciemne czyli jak je właścicielstwo inaczej nazywało, kommuński, niepojmowali tych niepowstrzymanych społeczeństw, jakie nagle przejmowały Izbę, razem ku wydziercom i ku pokrzywdzonym.

---



#### IV.

Przechodzimy do Niemiec.

Po rewolucyi francuzkiej, po wypadkach zaszłych w kraju, gdzie na każdy ruch tętno całej ludzkości odpowiada, zstępujemy do narodu, który pomimo geograficznego swego położenia i znakomitej liczby mieszkańców, pośredni tylko wpływ wywiera na losy Europy. We względzie politycznym, rozwiązawszy zagadkę przyszłego postępowania Francyi, Anglii lub Rossyi, wydarłszy tajemnicy przeszłe wypadki w Danii, w Szwecyi, we Włoszech, w Węgrzech, w Słowiańszczyźnie, znaleźlibyśmy tem samem na dnie naszych badań ostateczne stanowisko Niemiec. A przecież nie można powiedzieć, aby Niemcom zbywało na ideach; od niepamiętnych wieków mieli oni ich więcej niż Francuzi, żaden naród niewymęczył tyle ducha ludzkiego dla wyśledzenia wchodzących w skład jego żywiołów, żaden taką masą owoców nauki nieubogacił skarbnicy człowieczej wiedzy, ale żadnego też praca duchowa nienapotykała tyle trudów w wzniesieniu się do wysokości czynu. Francya pełnemi dłońmi czerpała pojęcia z Niemiec, organizowała je, wcielała w życie, Niemcy następnie wlokły się za Francją na drodze rzeczywistości, pożyczaly od niej własnych prawd przeprowadzonych w czyn. Stosunek ten widzimy w starożytności między Grecją a Rzymem, z których pierwsza marzyła, spekulowała, wynajdowała, drugi zaś krzepką dłoń chwytał marzenia, otrząsał je z przyrostków ułudy i zamieniał w rzeczywistość.

W dzisiejszem usposobieniu duchowem, trudno przewidzieć, jak długo jeszcze Niemcy będą cierpieły na bezpłodność, nie-

podpada atoli wątpliwości, że na teraz nie stworzyć, nie urzeczywistnić niepotrafią, nawet tej jedności, do której całemi siłami się garną; zyskają indywidualne prawa, krajowe swobody, przybędzie w Europie kilkadziesiąt milionów wolnych ludzi, ale pomimo to wielki naród po ludzku a przeważnie wpływający na losy człowieczeństwa, w historii niestanie. Mówiąc dziś o ruchach w Niemczech, możemy je tylko uważać jako zaprzeczne względem wadliwej przeszłości i skierowane ku osiągnięciu tych praw, na jakich zachodnia Europa oddawna się już rozwija.

Rewolucya Lutego jest widocznie jednym z najgwałtowniejszych ruchów dziejowych; zamknięta sama w sobie, niewylewając się na zewnątrz, w przeciągu miesiąca poruszyła przeszło sto milionów ludzi, podziemnymi nurty puściła iskry, z których niebawem powszechny pożar rozplonie. Tak jest; nim zabyśnie słońce pokoju, pod którego promieniami ludzkość będzie mogła wziąć się do budowania, massa wstecznych, spróchniałych żywiołów czeka jeszcze trawiącej pochodni; w Niemczech zaś więcej niż gdziekolwiek, światło dopomina się uprzątnięcia zaważających mu średniowiecznych form i przywileju, ciasnych i samolubnych pojęć osobistości, obłądów rozszalałego bezbożnictwa i zgubnych wpływów protestanckiego jezuityzmu. We Francyi chodzi o rozwiązanie zagadki społecznej, w Niemczech naród czeka dopiero na objawienie mu i przypuszczenie go do zasadniczych praw człowieczych, niezwiera się jeszcze w stronnictwa organizacyjne, przedewszystkiem bowiem potrzeba mu oczyścić grunt do nowej budowy; niewystarcza mu terażniejsza jego oświata unosząca się rzeczywistością czynnego życia, czuje różnicę między postępem ducha a przemysłu, konwulsyjnie wstrząsa zgnięłymi podstawami dotychczasowego porządku, niebacząc, że może jak Samsonowi przyjdzie mu na jakiś czas zażrebać się pod rumowiskami wywróconego gmachu. Dla Niemców nadchodzi dopiero rok 1789<sup>v</sup>, epoka wzajemnego obrachunku i pokwitowania, epoka atoli co do istoty odmienna od tej, jaka zamknęła ubiegłe stulecie. Rewolucya 1789<sup>o</sup> roku nosiła na sobie cechy humanitarne, wytaczała się nie dla jednego narodu, ale za sprawę całej ludzkości; wypadki przyszłe w Niemczech, napiętnowane szczepowym indywidualizmem, mniej będą uroczytami, chociaż co do krwawych odwetów przewyższą bez-

wątpienia najczerswieńsze czasy Konwencji. Niepodobna szukać syntetycznych sił w kraju, gdzie tak w narodzie jak nawet w języku niema dotąd obywateli, gdzie cała ludność skupia się w kasty i wiecznym ruchem pnie się tylko po szczeblach uprzywilejowanej hierarchii. Niemiec dotąd nie poczuwa się jeszcze w narodzie, ale w kaście, w urzędzie, w stanie, w powołaniu, w prowincjonalnej narodowości, w rodzinie, najwięcej zaś w sobie samym. Stopniowanie to w hierarchii społecznej wyrabia w nim drobiazgowość i samolubstwo, rodzi dążenie do coraz wyższych stanowisk, budzi zapamiętałą chęć zysku i niechęć ku współzawodnikom; tak dalece, że gdy tenże Niemiec raz zamarzy o rodowej jedności, o pojęciu się w szczepie, wnet osobistość swoją stosuje do narodu, i jako dawniej sam parł się do wywyższenia między swoimi, tak teraz w szczepie radby postawić się urzędnikiem, hofratem, prokonsulem w ludzkości, radby kosztem drugich uprzywilejować się w społeczeństwie, zgubić i obedrzyć sąsiadów dla zaspokojenia własnej chciwości. Wyobrażenia te, nieszczęsne dla samejże sprawy niemieckiej, zmieniają się zapewne po zdruzgotaniu przywilejów, po zniszczeniu kast i hierarchii, ale dziś, przy braku w narodzie dostatecznych pojęć o równości, przy mimowolnej a fanatycznej czci dla dawnych przesądów, łatwo odgadnąć, że praca będzie długą; trud ciężkim, ofiara niesłychaną. W Niemczech chodzi jeszcze o rdzenny przewrót wyobrażeń społecznych, jakimi naród przesiąkł do dna, o polityczne wychowanie ludu na drodze nie teorii ale doświadczenia. Będzie to podobny proces do tego, jakiemu przed 18<sup>tem</sup> wiekami uległy religijne i społeczne pojęcia pogaństwa; zdaje się nawet, że idea światła do ostatecznego zwycięstwa musi użyć niektórych, tychże samych środków. Chrystyanizm objawiał prawdy i zarazem kruszył bałwany; ludy przysłuchiwały się prawdom, najwięcej jednak wrażenia czyniła na nich bezwładność bogów, które pod młotem reformatorów w proch się rozpadały, niewywołując ani trzęsienia ziemi, ani ognistych deszczów, ani powszechnej zatury. Pękł urok, rozwiła się wiara w wszechmocność bałwanów, lud z pogardą odepchnął martwych wyzyskiwaczy jego łatwowierności i padł na kolana przed nieśmiertelną potęgą idei.

Niemcy na drodze osobistych praw szukają dziś siły do roz-

pędzenia ciemności, znoją się nad zaspami dawnych przesądów, które trzeba im rozkopać i ztąd, jeżeli za pośrednictwem historii łatwo wykazać żywiły przeszłego ich bytu, jeżeli z przekonania o ostatecznych celach ludzkości, można mniej więcej oznaczyć ich przyszłość, natomiast nieład obecny, rozprężenie, rozpadanie się dawnych pojęć, kielkowanie nowych, przyspieszona działalność rozkładających pierwiastków, niepozwalają dokładnie uchwycić terażniejszej chwili, chwili, która właściwie mówiąc, jest tylko prologiem zapowiedzianego przez dzieje dramatu. Dziś widzimy tylko w Niemczech dobijanie się ogółu do praw osobistych; z jednej strony stają ludy i krwią okupują rozkucie każdego ogniwa z dawnego łańcucha niewoli, z drugiej królowie i książęta udzielają tyle swobód, ile im rozdąsany tłum gwałtem wydrzeć potrafi, zawistnie poglądają na każdy nowy krok poddanych na drodze wolności, wyężdżają ostatnie siły do zatrzymania ruchu, do odebrania praw przemocą im wyrwanych. Bój będzie długi i zacięty, waleczników dziś więcej, niż ich było podczas Wielkiej Rewolucji francuskiej; ruch tam miał przeciw sobie króla, szlachtę i księży, tu musi jeszcze potykać się z ogromnemi zastępami mieszczaństwa, z tem wszystkim, co nierozumie i niechce innego postępu, jedno na drodze przemysłowo-materyjalnej; dla logiczności jednak rozwoju rewolucyi, źródło jej otworzą ci, którzy następnie najuporczywiej będą tamy potokowi zakładać. Te właśnie źródła, te kratery wulkanów wybuchających co chwila po Europie, pragniemy tu oznaczyć, pragniemy wskazać kierunek niszczących fal, które historia pędzi już dziś niepowstrzymanym biegiem.

Powiedzieliśmy poprzednio o skutkach, jakie musiał wyrzucić wybuch 25<sup>o</sup> Lutego. Wicher rewolucyjny poderwany w Paryżu, rozbiegł się na różne strony; jeden prąd jego powirował ku Niemcom i tam z miasta do miasta kolejno przelatując, niebawem wszystko do dna przewrócił. Małe państwa z istoty swojej przystępniejszemi były dla konstytucyjnej propagandy, jakoż południowe księstwa, Württemberg i Bawarya, pierwsze uległy wrażeniom paryzkich wstrząśnień; w ostatniej zwłaszcza ruch najwidoczniej się objawił. Bawarowie u samychże Niemców słusznie uchodzą za lud ociężalą, do czynu mało pochozny;



przypatrzawszy się im zbliska, zdawałoby się, że wieki upłyną, zanim plemię to zdoła wznieść swoje chęci nad zakres materialnego bytu; wszelako OO Jezuici i rozpusta przeszłego króla potrafiły przebić potrójny pancierz ich zobojetnienia i położyć kres ich cierpliwości. Uwobodzenie Bawaryi ani kropli krwi niekosztowało; mieszkańcy mnichowscy wyrzeczeli sobie konstytucję, wydarli królowi prawa, i otyłemi krokami weszli na drogę systemu reprezentacyjnego.

Jeszcze przed wybuchem w Paryżu, lud bawarski, nieobeznany z historią, zgorszony przeto bezwstydem króla Ludwika, wyzyskiwany z jednej strony przez Zgromadzenie Jezusowe, z drugiej przez monarszą nałożnicę i utworzone przez nią ministeryum, połączył się w swoim oburzeniu ze szlachtą, dopuścił gwałtów na osobie cudzoziemki, znieważył ją i do opuszczenia miasta przymusił. Król Ludwik, w przysądzeniu pierwszeństwa, długo wahał się między hrabiną Landsfeld a swoim narodem, ku pierwszej ciągnęły go uczucia, z drugim wiązał go interes; niemogąc wreszcie na żadną stronę ostatecznie się przychylić, wyprawił tancerkę ze stolicy, ministeryum zaś złożone z jej przyjaciół zachował. Tymczasem, gdy Francuzi wypędzali swego króla, Bawarowie postanowili korzystać z przestachu, jaki padł na trony, pozbyć się za jednym zamachem Jezuitów, nierządniczy i jej ministrów, i trzy te straty dla monarchii zastąpić dla siebie szeroką konstytucją. W tym celu zakrążył między mieszczanstwem adres, w którym stało wyraźnie, że naród bawarski domaga się rządu zupełnie liberalnego, na ministrów zaś PP. Closen'a i Thon-Dittmer'a, dwóch deputowanych znanych ze światła i ze spółczucia ku sprawie wolności. Król Ludwik dowiedziawszy się o treści adresu, uznał, że naród bawarski niesłusznie domaga się rządu liberalnego, i jak przystało na monarchę, który z urzędu najlepiej wie, czego lud potrzebuje, z niczem odprawił deputację. Odpowiedź królewska do wściekłości przyprowadziła studentów, uczniów szkoły malarskiej i młodsze pokolenie mieszczan. 2<sup>o</sup> Marca spostrzeżono na rogach ulic ogromne napisy «Precz z tyranami!» Młodzież i lud rzemieślniczy ciekawie zbierali się koło napisów, rozprawiali o polityce i głośno powstawali przeciw tyranom, to

jest przeciw królowi i jego ministrom. Powoli tłum się powiększał, jedni zagrzewali drugich, rozjątrzenie wzrastało, głos policyi stał się głosem wołającego na puszczy, aż nareszcie ciżba nawalnie wezbrawszy, pociągnęła przed mieszkanie ministra Berks'a i tam podniosła straszne krzyki przy towarzyszeniu bicia w rądle, udawania pisków kocich, wyć wilczych, z pomiędzy których wrywały się czasem głosy wołające: «przec z nierządnicą! precz z jej ministrem!» Przyczem zacięcie rzucono kamieniami do okien. Zapal rewolucyjny coraz się wzma- gał, tłum w braku broni niósł chorągwie, ciągnął przez miasto, sypał gradem kamieni w gmachy rządowe, w dom policyi a nawet w okna królewskiego pałacu; zniszczył opuszczony jeden odwach żandarmeryi przy wykrzykach: «niech żyje wolność «druku, gwardya narodowa! niech żyje reforma! niech żyje Rzeczpospolita!» Ostatnie dwa hasła jak widzimy, świeżo były nadeszły z Paryża; rząd wcale nieżyczył sobie dzielić losów Guizot'owego gabinetu, wysłał więc czempredzej parowe wozy po wojsko do Augsburga, ale tymczasem noc już zapadła, północ nadchodziła, burzliwcy rozeszli się więc do domów: Nazajutrz znowu po rogach ulic pojawiły się doniesienia, wzywające lud, aby podpisywał w ratuszu adres do króla z żądaniami sejmu, wolności druku, sądów przysięgłych, itd., jak to się zwykle dzieje, gdy idzie rzecz o konstytucyą. Król dostał adres, obiecał zadośćuczynić wszystkim żądaniom ludu, osadził ulice wojskiem i rozkazał ogłosić, że radca Votz następuje na miejsce ministra Berks'a.

Na jeden dzień dość było zwycięstwa i wieczorem cichość panowała w mieście.

4<sup>o</sup> Marca, rząd z kolei poprzylepiał doniesienia uwiadamiające o zwołaniu nowego sejmu na 31<sup>o</sup> Maja, ale o uzbrojeniu mieszkańców, o wolności druku, ani słowa. Lud znowu wyprawił deputacyę do pałacu; król niekazał jej wpuszczać. Hałas powstał straszny, mieszczanie zebrali się na placu, niechcieli już słuchać łagodzących mów prezydenta Godin'a, który im tłumaczył, że właśnie w tej chwili rada ministeryalna roztrząsa żądania ludu, coraz głośniejsz domagali się swobód, zaczem komendant miasta polecił wybębnić pobudkę i ratusz wojskiem otoczył. Lud wcale nieuląkł się tych wojennych przyborów;

studenci i artyści powiedli go przed ratusz, wojsko skrzyżowało bagnety ale tu wystąpił jeden z mieszczan i jął opowiadać kapitanowi, jakto w Paryżu żołnierze pobratali się z ludem i za miast wzajemnych mordów, spiknęli się razem na rząd. Po tej powieści, wojsko w Mnichowie także pobratło się z ludem i ratusz dostał się w moc siły cywilnej. Wnet zwycięzcy z niezwykłą szybkością uzbroili się w różną broń rewolucyjną i kilkutyśięcznym hufcem pociągnęli przed zamek, gdzie jednak zastali już dwa szwadroy kirysyerów i kilka harmat. Wojsko roztasowało się po ulicach, z obu stron przemyśliwano o walce, gdy w tem uradzono i postanowiono jeszcze jedną deputacyę do króla wyprawić z żądaniem, aby nowy sejm zebrał się nie 21<sup>o</sup> Maja ale natychmiast. Zgiełk i oburzenie wzrastały i niewiedzieć, co byłoby się stało, gdy szczęściem Książę Karol bawarski wyjechał na miasto i oświadczył, że król zwołuje sejm na 16<sup>o</sup> Marca i przystaje na wszystkie żądania narodu. Zapytano o rękojmię; Książę Karol przysiągł na swoje słowo, studenci zaś i mieszczenie przyrzekli nawzajem uśmierzyć wzburzenie. W istocie po wszystkich ulicach występowali mówcy, zwiastując ludowi zwycięztwo i zaklinając go do porządku. Nowy minister Clozen miał także mowę, którą przyjęto z nadzwyczajnemi oklaskami. Deputowany Thon-Dittmer odebrał nazajutrz rozkaz tworzenia ministeryum i zwołania bezzwłocznego sejmu; ogłoszono wolność druku, odpowiedzialność ministrów itd., wojsko przysięgło na konstytucyę, lud z radością dobił się do swobód i Bawarya weszła w używanie wolnego systemu. Nie wszyscy jednak mieszkańcy Bawaryi cieszyli się z nowego porządku; król Ludwik niemógł znieść zasad konstytucyjnych i upokorzeń deputacyi ludowych; 20<sup>o</sup> Marca złożył koronę na rzecz swego syna, przekładając nad blask tronu życie poświęcone uczuciom. Bawarowie beż żalu rozwiedli się z królem i następcy jego kazali przysiądz na wierność ustawie.

Podobnie jak w Bawaryi, korzystano też z chwilowego wpływu wypadków paryzkich w Badeńskiem, w Nasauskim, w K<sup>twie</sup> Heskiem, w Saksonii. Rozpędzono wsteczne ministerya, upomniano się o zupełne swobody i otrzymano je bez żadnego rozlewu krwi, jedynie za pośrednictwem tak zwanych kocich muzyk i wrzasków ulicznych. Dotąd na zasze przewroty poli-

tyczne, dość było lekkiego podmuchu rewolucyjnego, nadchodziła jednak pora, gdzie ruch miał objawić się i wstrząsnąć państwem z pozoru najmniej przystępnem wszelkim pojęciom politycznym; państwem wyrabiającem żywoły wsteczniectwa dla wszystkich ciemiężców ludzkości, Chinami europejskimi, jednym słowem, Austryą.

Ruch w Austryi spotykał z jednej strony zawady w odwiecznym systemie obskurantyzmu i niewoli, z drugiej wszelako znajdował dzielne poparcie w samemże przesileniu ciemnoty i uciemieżenia, w ścieraniu się nagromadzonych żywiołów różnych narodowości, na których to właśnie Austrya pokazywała dotąd Europie dziwy politycznej równowagi.

System austriacki jest najłatwiejszym do oznaczenia, zwiera się on cały w jednym człowieku, który od czterdziestu lat okuwał nim cesarstwo i z nieubłaganą zaciętością przeprowadzał w reszcie Europy. Książę Metternich podsummował wszystko złe kilkunastu wieków, wcielił je w siebie, wyobraził w czynie, stał się źródłem, z którego potok nieprawości ciągle na świat się wylewał, zarażał, truł ludzkość i opłynąwszy ziemię znowu wracał do swego źródła, do gabinetu Księcia Kanclerza. Dzieje ludów europejskich, od r. 1810<sup>o</sup>, epoki, w której Metternich objął rządy państwa apostolskiego, będą tylko wielkim aktem oskarżenia przeciw merowi pałacu Habsburgów, aktem dowodzącym, że wszystkie klęski, cierpienia, niedole, jakich ludy doznały, wszystkie zbrodnie, jakich dokonano na narodach, wszystkie pogwałcenia praw bożych i człowieczych, spadają na jedną tylko głowę austriackiego ministra. Ogrom zarzutów wywołuje zapytanie, kto jest ten człowiek, który na swoich barkach dźwiga przeklęstwa milionów? Odpowiadamy naprzód, że człowiek ten, wedle pojęć humanitarnych niejest człowiekiem, że oprócz formy nic w nim niema ludzkiego. Człowieczeństwo znalazło w nim najzaciętszego wroga; w każdej walce o światło lub o wolność wszędzie wpływ jego spotykało na czele nieprzyjacielskich szeregów; ile razy przemoc rozpinała je na krzyżu, on pierwszy z octem i żółcią doń przyskakiwał; ile razy w grób je tłoczono, on pierwszy kamień mogilny za niem podnosił. Wszelako, w dotychczasowej polityce człowiek stanu często dla pomyślności swojego narodu, musiał kroczyć wbrew najświę-



tszym powszechnym zasadom, siła i godność rodzinnego szczepu często zniewalała do niesprawiedliwości względem sąsiadów i zarzuty Europy przeciw Księciu Metternichowi, zapewne w jego własnej ojczyźnie zmieniają się w uczucia wdzięczności? Bynajmniej — spójrzmy na historię Niemców od początku XIX<sup>o</sup> wieku! potęga, godność, światło, swobody, oto nieprzyjaciele najnienawistniejsi Metternichowi, pośród własnych jego rodaków. Książę Kanclerz sam podaje ojczyźnie każdą czarę upokorzenia, sam kuje dla niej każdy łańcuch niewoli, sam ją obarcza każdym brzemieniem klęsk.

Jeżeli jednak ani w ludzkości, ani w ojczyźnie niepodobna nic wynaleść na obronę oskarżonego, zostaje nam jeszcze ostatnie stanowisko człowieka, stanowisko, które zwłaszcza w Niemczech obyczaj znakomicie wyrobił, wzniosł i uwylącznił. Mamy jeszcze przed sobą koło rodzinne, ognisko domowe, ostatnie pole, na które dygnitarz zwrócił zapewne całą działalność człowieczych swoich żywiołów. Próżne usiłowania! żaden względnie niezdoła już zmienić treści pierwszego wyroku. Minister ten, który sili się nad utrzymaniem porządku w świecie, pod własnym dachem daje przytułek podstępom, waśniom, rosterkom i nierządnictwu. W domu jego rodzą się ludzie jedni z drugich, ale niema rodziny. Dajmy sobie pokój z tem szukaniem człowieka w Księciu Kanclerzu, porzućmy go w ludzkości, w ojczyźnie, w rodzinie, pójdźmy do jego gabinetu, tam go całego znajdziemy, tam pod formami ludzkimi ujrzymy tak zwanego dyplomatę. Dyplomatyzm, którego samolubnie-dowcipnym objawem był Talleyrand, materyalnym zaś Metternich, jest teorią, na mocy której prawo może tylko być tam, gdzie jest siła, siła zaś powinna spoczywać w rękach przywileju, powinna otaczać berło, którego wszechmocność równa się z fatalizmem, berło kawał ostruganego drewna, który aby pozłocić, trzeba wprzód krwawo pomalować, ażeby w blasku utrzymać, trzeba ciągle krwią i złotem odświeżać, inaczej potęga jego coraz się będzie rozwiewać i talizman z trudnością zdoła za każdym promykiem światła przemieniać w ciemność, wolność w niewolę. Temu to uwielmożaniu berła Metternich całe życie poświęcił, często w pracy samotnej, czasami zaś z całej Europy zwołując kmotrów na narady. Zobaczmy, co się dzieje na tych znowach, gdzie Książę

Kanclerz przewodzi, na kongresach w Wiedniu, w Karlsbadzie, w Weronie, w Mnichowym Hradcu, itd.? O czym radzą ci ludzie w tych kuźniach szatana, gdzie dla całej Europy wyrabiają się kajdany? Radzą przede wszystkim o zgnębieniu wszelkich narodowości, o przydławieniu najmniejszej iskierki wolności, gdziekolwiek takowa wyblyska, radzą nad uwierzeniem rodu człowieczego, walczą przeciw Bogu. Na sposobach im nie brak: środków także podostatkiem. czasami kolejno się niemi posługują, zwykle jednak razem przyzywają w pomoc: szubienice, tortury, więzienia, Jezuitów, cenzurę, policję na ducha, policję na ciało. ogromną siłę zbrojną. Niema jednego zakątka na ziemi, gdzieby Książę Kanclerz wpływów swoich tego rodzaju niewywierał; gdziekolwiek lud wstrząśnie okowami, gdziekolwiek pokaże się rewolucya, we Włoszech, w Grecyi, w Hiszpanii, w Portugalii, w Polsce, w Szwajcaryi, wszędy Metternich staje na stronie przeciwludowej, wszędy popiera absolutyzm, bagnietami, pieniędzmi, układy. We własnych nawet Niemczech, jeżeli naród chce nieco odetchnąć, jeżeli błaga o trocha światła i swobody, Metternich w odpowiedzi urządza mu sejm Rzeszy w Frankfurcie, zakłada otwarty spiszek monarchów przeciw ludów, wskrzesza Inkwizycję z ukoronowanych sędziów i wraz otwierają się więzienia, zbiry tłumem wloką demagogów, którokolwiek bowiem niejest zaprzedańcem, ten demagogiem i jako taki wyjęty z pod prawa. Lombardya, Polska, Słowiańszczyzna austryacka, chcą już nie wolności ale trocha powietrza; znajdują je w Kuffsteinie, w Spielbergu, w Munkaczu lub skoro więzień zabraknie, pod nożem oprawców. Kraj jęczy pod ciężarem podatków, sypie do skrzyń skarbowych olbrzymie summy, z których rząd nigdy grosza mu niepowróci; podatki te idą na niewolnictwo biurokratyczne, na policję, na wojsko, które jest tylko dalszym ciągiem policji, idą za granicę dla Don Miguela, dla Karlosa, dla Ferdynanda neapolitańskiego, dla Sonderbundu w Szwajcaryi, dla wezyrów w Konstantynopolu, dla zaprzedańnych kardynałów w Rzymie, dla takichże publicystów we Francyi, w Niemczech, we Włoszech, którzy za garść złota frymarczą sumieniem.

Wszelako różnica zdań w ludziach jest konieczną i jeżeli Metternich sądził, że ludy są dziećmi, że niemogą żyć spokojnie

jak tylko pod żelaznym drągiem Mentora, jeżeli wierzył, że feodalizm jest najstosowniejszą formą dla stosunków towarzyskich, że jezuitym najstosowniej odpowiada potrzebom ducha ludzkiego, jeżeli wśród takich stałych a niewzruszonych przekonań, los postawił go przy władzy, zaprawdę była to klęska dla ludzkości, ale minister niemógł postępować jedno wedle wrodzonych sobie zasad. Daremne wykręty! przekonanie każde nosi w sobie cechy ludzkie, Książę Kanclerz zaś nie miał żadnych żywiołów człowieczych, Książę Kanclerz był najzupełniejszym wyrazem summy szatańskich pierwiastków, kupował cudze przekonania ale też i swoje z równym pośpiechem sprzedawał. Rossya płaciła mu za każdą usługę, aż wreszcie dla oszczędności zakupiła go raz na zawsze i corocznie opłacała mu cenę krwi i wolności; Ludwik XVIII, Karol X<sup>y</sup>, Ferdinand neapolitański, don Miguel, don Karlos, dopóki mieli z czego, płacili, Fryderyk Wilhelm III<sup>ci</sup> płacił, wszyscy książęta Rzeszy płacili, prywatni nawet za tytuły, za ordery, za urzędy, za przywileje płacili; Książę Metternich za pieniądze byłby poparł i tak zwanych demagogów. Podczas powstania polskiego w r. 1830<sup>ym</sup>, Książę Kanclerz kilkakrotnie na ręce poplecznika swego Götz'a von Berlichingen, kazał sobie wypłacać po kilkaset dukatów, zobowiązał się za cenę trzech milionów złotych sprzedać sprawie polskiej zbrojne pośrednictwo Austryi, ale gdy niebyło skąd zebrać milionów, przerzucił się natychmiast na stronę Mikołaja. O zasadę mu niechodzilo, prawowitość znajdowała w nim obrońcę, o ile opierała się na despotyzmie i wygadzała własnym jego widokom. W roku 1830<sup>ym</sup> w Czerwcu, pomagał jeszcze Karolowi X<sup>u</sup>, w Lipcu już rzucił się w objęcia Ludwika Filipa, zdobył go, opanował, drugą ręką zawładnął Papieżem Grzegorzem Capellarijm, i dalejże dopiero we trzech kneblować usta wolności, ogłupiać, materyalizować, krępować ludy, walczyć do upadłego za sprawę ciemnoty i niewoli. Opatrzność niepozwoiliła Księciu Kanclerzowi umrzeć w nietkniętym gmachu jego systemu; wypędzono go na stare lata, wymieciono z pogardą z Wiednia, jakby na pociechę dla ludów, które już zaczynały powątpiewać o bożej sprawiedliwości; jakim zaś trybem Herkules rewolucyjny zdławił hydrę wstecznictwa, pokrótce opowiemy.

W Austrii jeszcze przed wybuchem Lutego, wyblyskały tu i owdzie pojawy dążeń sprzecznych z systemem gabinetu. Węgry oddawna już najmniej ulegały żelaznej władzy Księcia Kanclerza, ale rodem i mową odosobione od sąsiadów, samolubnie wyzyskiwały przywileje wydarte cesarskiej koronie. Inne narodowości jęczały pod twardym uciskiem, rząd utrzymywał między nimi nienawiść; wojskami jednych dławil drugie, obkurantyzm tylko edukacyjny tenże sam do wszystkich zastosowywał. Lud żył w ciemnocie, mieszczaństwo gonilo za zyskiem, szlachta splugawiona materyalizmem, rozpierała się w przywileju. Pandemonium tej ciemnoty. tej chciwości, tej rozpusty i przesądów, był Wiedeń. Stąd też ludzie, którzy zapomnieli, że na dnie najbardziej nawet zepsutego społeczeństwa, jest jeszcze lud, który niezdolny do zbudowania, potrafi jednak zaprzeczyć i rozwalić, że wśród najchorowiciej zgangrenowanych gromad, zdrowa krew krąży jeszcze w młodzieży, która do uzwierżenia się nie miała dość czasu, ludzie ci powtarzamy, niemogli jedno za pośrednictwem cudu wytłumaczyć sobie wypadków wiedeńskich. Niebyło w Wiedniu tajemnych stowarzyszeń, ani żadnej podziemnej politycznej pracy, co zaś do mniemanego wpływu Stanów niższej Austrii, któremu Wiedeńczycy jeszcze przed rewolucją paryzką przypisują dążenia liberalne, wyznamy, że takowy ograniczał się tylko na nieco poprawniejszej niż zwykle redakcyi postulatów i bez wybuchu 24<sup>o</sup> Lutego niebyłby skłonił Księcia Kanclerza do żadnej powolności. Francya dała popęd; robotników owionął duch kwestyi społecznych, młodzież zapal polityczny, różnorodnych krajowców pojedyncze uczucia narodowości, mieszczaństwo obyczajem trzody Panurga dało porwać się niepowstrzymanemu potokowi, oburzenie ogółu zaczerpnięte w rozmaitych pobudkach, wyraziło się na wspólnej wszystkim drodze czynu, i Metternich ze szczątkami swego systemu musiał uciekać za granicę.

Odgłos o Rzeczypospolitej w Paryżu, zwycięstwa ludów nad rządami odniesione w Bawaryi i w południowych Niemczech, obudziły w Wiedniu ruch, który Książę Kanclerz pragnąc w samym zawiązku przytłumić, zwołał na 30<sup>o</sup> Marca Stany niższej Austrii i na drodze wrzkomo prawnej, chciał zmusić burzycieli do porządku. Tym razem atoli mieszczaństwo podniecane przez



młodzież akademicką, w celu dowiedzenia swojej pełnoletności, pierwszego zaraz dnia zjazdu Stanów, wygotowało adres z stereotypową prośbą o wolność druku, sądy przysięgłych. itd., pokryło go tysiącami podpisów i doręczyło Stanom. Tłum mieszczan pociągnął przed gmach Stanów, studenci zaś zajęli podwórze i tam studnię zamieniwszy w mównicę, gwałtownymi słowami domagali się krajowych swobód. Studentom, prawdę mówiąc, nietyle chodziło o swobody, jak raczej o wywołanie rewolucyi i pod tym względem należy im oddać słuszną, że gorliwie wzięli się do wprowadzenia w życie pierwszego i najświętszego prawa człowieka, jakim jest podnoszenie rewolucyi i zbrojne występowanie przeciw wszelkiemu uciskowi.

Marszałek Stanów, stojąc w oknie odpowiadał studentom; zawiązała się rozmowa; pierwszy mówił o potrzebie porządku, drudzy dowodzili konieczności konstytucyi, gdy jednak przestrzeń nie dozwalała wyraźnie porozumieć się, studenci wysłali deputacyę do Stanów, Stany zaś rzuciły ku studni projekt adresu do Cesarza. Adres był w wyrazach dziwnie dla ludu upokarzających, zwłaszcza w czasach tak krytycznych dla tronów, podarto go więc i ruszono przed kancelaryę cesarską, gdzie znowu jeden ze studentów na barkach swoich towarzyszków wystąpił z liberalną mową. Lud głośniej się już odzywał, ale ręce trzymał przy sobie, w gmachu tylko stanowym, skutkiem przypadkowego zatrzęsnięcia drzwi za deputacyą, tłum myśląc, że uwięziono jego posłów, wysadził drzwi, wytłukł jedno okno i połamał kilka ław. Wyjaśniło się nieporozumienie, zgiełk ucichł, Stany wysłały deputacyę do Cesarza, studenci zaś czekali na odpowiedź.

Rewolucya wiedeńska od samego początku dziwny przybierała charakter; lud zacięcie domagał się przyzwoleń od Cesarza, chociaż wiedział, że JCMość gwoli słabo rozwiniętym władzom umysłowym, z trudnością mogła rozróżnić monarchię od republiki, że byłaby nawet chętnie zgodziła się na tę ostatnią z warunkiem zachowania tronu i przywrócenia spokoju w mieście a zwłaszcza też w pałacu. Właścicielstwo obłąkańca nad milionami zdaje się było pierwszym upokorzeniem, z którego należało się otrząsnąć. Wiedeńczycy atoli znali, że Cesarz w niczem nieprzyczyniał się do krzywd im wyrządzanych, zostawili go

więc w pokoju, wołali zaś tylko o konstytucyę. Policya dotąd wcale się niemieszala; gdy jednak zgiełk coraz wzrastał, Książę Kanclerz postanowił w kolebce leć urwać hydrze. O 3<sup>ej</sup> wybrano pobudkę, wojsko rozstasowało się przed gmachem Stanów i po kilku przemówkach z ludem, dało ognia. Krew trysnęła; sprawa ludu była tem samem wygraną; tłum rozbiegł się po ulicach, wyrwał z bruku kamienie, wznosił barykady, ścierał się tu i owdzie z żołdactwem; wnet pozamykano sklepy, massy wojska przybywały, zawarto bramy i postawiono przy nich działa nabite kartaczami w obawie ludu wyrobniczego, który zdaleka huczał na przedmieściach i groził wtargnięciem do miasta. Mieszczanstwo dotąd biernie się trzymało, aż dopiero gdy Arcyksiążę Albert wyjechał na ulicę i kazał strzelać do ludu, oburzyło się na to logiczne jednak postępowanie Arcyksięcia i zaczęło na gwałt nawoływać do broni. Zastęp mieszczan przedarł się do pałacu, gdy zaś niechciano go wpuścić, wylał drzwi i niebacząc na szczyby zadane etykietom, opowiedział niebezpieczeństwo, jakie zagrażało miastu w razie gdyby nie cofnięto wojska i cywilnym niepowierzono straży publicznego porządku. Arcyksiążę Jan, dziesięcioletni wikaryusz wymarzonej Niemiec, namówił szturmujących, aby wyraźnie oświadczyli Radzie, czego żądają? Mieszczanie krzyknęli: «precz z Metternichem!! Metternich musi ustąpić! miliony tego żądają!» — Książę Kanclerz stał obok Cesarza i niemogąc pojąć tak niespodzianych wymagań, mówił: «nieustąpię, już od pięćdziesięciu lat pielęgnuję dobro domu cesarskiego i będę pielęgnował je dalej.» Arcyksiążę Jan i mieszczanie na to: «krew leje się z twojej przyczyny, musisz oddalić się i to natychmiast!» Książę Kanclerz ujrzał przed sobą groźne postacie, jakich w życiu jeszcze niebył widział, szybko się więc namyślił i rzekł: «jeżeli koniecznie mam ustąpić, to niechże już tak będzie,» i przy tych słowach natychmiast się oddalił.

Wyznać należy, że koniec wielkiego dyplomaty wcale nieodpowiadał całemu jego życiu; długo świeciła mydlana bańka jego potęgi, aż wreszcie pękła w brudną kroplę wilgoci.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Do upadku Metternicha przyczynił się także AKsiążę Ludwik i Arcyksiężniczka Zofia, ta sama, która w siedm miesięcy później wydawała do

Gdy się do działa w pałacu, lud niewiedząc o pożądaney zmianie, z niesłychaną szybkością wznosił barykady i żwawo potykał się z wojskiem; waleczników za wolność coraz przybywało; żołnierze podnieceni rozkazami Arcyksięcia Alberta, z równą zaciekłością waleczyli za niewolę; z obu stron oczekiwano krwawej nocy, aż dopiero gdy gruchnęła wieść o wypędzeniu Księcia Kanclerza, rozległ się ogromny okrzyk radości; wojsko upadło na duchu, cofnęło się do koszar, oprócz hufku zasłaniającego pałac i kancelaryą cesarską i nastąpiła spokojność, przerywana gǳieniegdzie pojedynczemi strzałami zapamiętalszych harcowników. Też samej nocy zpostrzegano tu i owdzie przemykające się między barykadami ciemne postacie; byli to poplecznicy Księcia Kanclerza, szlachta austryacka i księża Liguryanie, którzy w przeczuciu wypadków kiedyś dopiero mających nastąpić, uciekali chyłkiem z miasta, gnani przypomnieniem zasłyszanych gǳieś szczegółów o wielkiej rewolucyi francuzkiej z 1792<sup>o</sup> r. Patrole z mieszczan i studentów krążyły po mieście, niezapuszczały się jednak na przedmieścia, gdzie pewna część różnorodnego wyrobnictwa austryackiego rozpoczynała rewolucyę, wprowadzając w zastosowanie co najostateczniejsze teorye komunizmu.

Nazajutrz, dnia 14<sup>o</sup> Marca, pomimo wypędzenia Metternicha powstanie coraz wzbierało, Cesarz a raczej jego doradcy coraz łagodnieli i na wszystko zezwalali. Urządzono natychmiast gwardyę narodową, bataliony mieszczan szybko się organizowały, z arsenałów pełnemi rękoma rozdawano broń, z czego nawet chłopcy uliczni nieomieszkali korzystać. Mieszczanie i studenci osadzili gmachy i strażę, place napełniły się zbrojnymi. Oczekiwano na dekret cesarski, jakoż niebawem nadeszli deputowani z wieścią, że dwóch Arcyksiążąt Albert i Ludwik uciekło już z miasta i że Cesarz przystaje na utworzenie gwardyi narodowej. Lud uznał, że Cesarz zbyt mały trud podejmował, przystając na to, co już było dopełnionem, znowu więc wyprawił delegatów do pałacu z podziękowaniem za to co otrzymał i z usilną prośbą o więcej. Dzień to był pomyślny dla prośb,

---

urzędników anstryackich w Galicyi skryte rozporządzenia. wzywające ich do wywołania morderstw 1846<sup>o</sup> roku.

gdyż wkrótce wrócili posłańcy, oznajmując, że Cesarz znosi cenzurę, że udziela wolność słowa ustnego i pisanego. Lud z zapalem powitał upragnioną swobodę i korzystając z niej, natychmiast bez ogródek oświadczył, że dopóty broni niezłomy, dopóki rząd niezgodzi się na wszystkie jego żądania. Deputacya znowu pobięła do pałacu; w mieście studenci poosadzali bramy, lud bratał się z wojskiem, zwłaszcza zaś z kompaniami włoskimi i węgierskimi, które podczas walki okazywały najmniej zaciętości, teraz zaś szczerze cieszyły się z odniesionego nad nimi zwycięstwa. Na przedmieściach tylko palono jeszcze rękodzielnie i łupiono sklepy; chciano także dobrać się do wili Księcia Kanclerza, ale tę studenci obronili. Tym razem atoli deputacya długo niewracała; niespokojność, i obawa zakrążyły między ludem, powtarzano słowa o zdradzie, o wstecznych zamiarach Księcia Windish-Graetz'a, nowego dowódcy miasta, o tajemnych konszachtach samego Metternicha, o niebezpieczeństwie zwłoki, której rząd używał w celu pomnożenia swoich sił i wymordowania ludu, zaczęła radość zmieniać się w okrzyki wojenne, lud znowu stanął na barykadach i powywieszał czerwone chorągwie, mieszczanie i studenci znowu zbrojnie ruszyli do pałacu, wołali, że nieulekną się nawet kartaczów, że nieszanbnią się w oczach Europy, która na nich pogląda, słowem dopóty nieustąpili, dopóki Rada uroczyście im niezareczyła, że Cesarz nieodmiennie przystaje na wszelkie żądania. Zapewnienie to przywróciło spokojność i tłum z weselem przez całą noc zalegał ulice. Naza jutrz znienawidzony Windish-Graetz złożył dowództwo w ręce Lichtensteyn'a i wyszło rozporządzenie podpisane przez Cesarza, zwolujące czempredzej sejm w celu wypracowania jak najszerszej konstytucyi. Tu i sam Cesarz wyjechał na miasto śród nieopisanych okrzyków radości mieszkańców; lud połączywszy się z deputacyą węgierską, która przybywała z Presburga, ciągnął przez miasto ogromnym zastępem, zatrzymał się na placu Józefa, gdzie Cesarz wyszedł doń na ganek i dziękował za okrzyki, jakimi go witano; następnie niosąc wizerunek cesarski uwieńczony kwiatami, stanął przed pałacem Nuncyusza papieżkiego, podniósł krzyk na cześć Piusa IX<sup>o</sup>, zaczęła Nuncyusz wyszedł także na ganek i błogosławił tłumy, lud zaś skierował się ku domowi Towarzystwa Prawniczego, gdzie jakiś Włoch wystąpił



z mową w niemieckim języku, w której śród grzmotu oklasków pod niebiosą wynosił Cesarza, zapowiadał wszechwładność całej ludzkości i wyswobodzenie własnej ojczyzny.

16<sup>o</sup> Marca uspokoiły się już i przedmieścia, lud pełną piersią oddychał nowem dla siebie życiem politycznem i z zapałem rozchwytywał masę proklamacyi, odezw, wierszów, śpiewów na cześć trzech dni wielkiej a niespodzianej rewolucyi, której nikt niepojmował, jakim się stała sposobem. Cesarz Ferdinand podzielał radość swoich poddanych; upoiły go okrzyki ludu, oburzał się na złą wiarę i oszustwo doradców, powtarzał, że teraz kiedy poznał, o co rzecz idzie, gotów jest na wszystko zezwolić. Przy podaniu mu pierwszej odezwy w pośpiechu olówkiem nakreślonej, gdy wziął pióro, aby ją podpisać, jeden z doradców zbliżył się, czyniąc uwagę, że wypadaloby wprzód dostatecznie się namyśleć. Monarcha z gniewem skruszył pióro i zawołał: «cóż to? jestemże Cesarzem lub nie?» — Nikt nie mógł zaprzeczyć, podano mu świeże pióro i wolność milionów została podpisaną. Po ośmnastu wiekach chrześcijaństwa widzimy, od czego jeszcze zależała wolność milionów; przywilejowcy nieprzestali uważać ludu za bydło, którego losy spoczywały w samowładnych dłoniach pastuszych.

17<sup>o</sup> Marca, śród muzyki, śpiewów i licznych mów, Wiedeńczycy wyprawili ofiarom wybuchu wspaniałą księżęcy pogrzeb. Pękl mur chiński odgraniczający Austryę od reszty Europy, dopełniła się rewolucya form politycznych ale pomimo ucieczki Księcia Kanclerza, żywioły wsteczne tak długo przezeń wypracowywane zostały jeszcze w kraju. System biurokracyi, przesąd, przywilej, przeszły już były w obyczaj i wywrot ich dłuższego czasu wymagał. Z jednej strony świeżo zdobyte swobody, z drugiej głęboko zakorzenione pierwiastki obskurantyzmu, z innej narodowości pomimowolnie przykute do korony cesarskiej, zapowiadały długie ścieranie się, wewnętrzne niesnaski i kłęski, długą walkę nieznoszących się nawzajem żywiołów, w skutek których Austrya prawem woli ludów i historycznej konieczności miała rozpaść się i zniknąć z karty mocarstw europejskich.

Zamieć rewolucyjna rozburzywszy zemszałe formy państwa austryackiego, zakłębiła się ku północy, ku Prusom, krajowi

gdzie najwięcej pojęć wyrabiało się w teorii, najmniej w czynie. Prusy, państwo żyjące na dziedzicznych szczątkach ducha krzyżackiego, powstałe i rozrosłe w skutek uporczywych walk, uważało żywioł wojskowy za główną i konieczną formę swego bytu. Fryderyk Wilhelm IV<sup>y</sup> średniowieczny cywilny rycerz, widział w sobie wyobraziciela summy tych pojęć, jakie od najdawniejszych czasów zaprzętały kiedykolwiek umysły wszystkich Brandenburgów i Hohenzollern'ów. Pozbawiony od natury wszelkiej twórczości, niemogąc we własnym duchu zaczerpnąć działalnych sił, w młodzieńczym jeszcze wieku oddał się badaniom rodzinnych kronik i ze starych wspomnień powiązanych sofistyczną logiką, zbudował sobie monarszy swój program, swój własny system, pewien rodzaj fatalizmu historycznego, według którego przyszłość musiała tak układać wypadki, ażeby następnie przymierzwszy je do ubiegłych kolei jego domu, można było utworzyć z nich symetryczną, geometrycznie-dziejową figurę, ze wszech stron doskonale zamkniętą. Samego siebie uważał za ognisko tej figury, władzę zaś swoją, położenie, siłę, lud, wojsko, szlachtę, klasę pracującą umysłowo lub fizycznie, jako boki, które ciągle jedne do drugich przypasowywał. Stale powodowany jedną myślą, czasami krzywił te boki, czasami ucinał, byleby tylko przy końcu dowodzenia mogła mu wypaść żądana figura. Podstawą wieloboku, podobnie jak to bywało za margrabiów brandenburskich, za pierwszego Kurfirsta, za Fryderyka W<sup>sz</sup>, było wojsko. Antenaci, z niczego, jedynie za pomocą wojska stworzyli Prusy, Fryderyk Wilhelm na tejsze zamej zasadzie chciał je dalej rozwijać. Stąd w Prusach żywioł kaprański przewodził z poniewierką reszty narodu i musiał przewodzić, gdyż uważano go za konieczny warunek bytu monarchii Kraj łożył ogromne summy na wojsko, że zaś rycerze powinni być o ile możności, jak to dawniej nazywano, dobrze urodzonymi, szlachta przeto zajęła wszystkie szczeble hierarchii wojskowej, niekałała się obcowaniem z ludźmi bez klejnotu, wyższość widziała jedno w królu, równość w swojej kaście, niższość w tem wszystkim, co do niej nienależało. Obowiązkiem pruskiego szlachcica było: służyć w wojsku z wzrokiem ciągle wlepionym w majestat królewski, pilnować swego honoru, co tem łatwiej przychodziło, że nikt mu niezagrażał, i pogardzał

resztą narodu, co było tem snadniejszym, że nikt na to niezwracał uwagi. Żołnierz, w skutek dziennego rozkazu wydanego jeszcze przez Fryderyka W<sup>sz</sup>, nie miał prawa myśleć, był machiną do nabijania broni na dwanaście ruchów, znał tylko swego kapitana, słyszał jedno o królu.

Absolutyzm w Niemczech opierał się na szlachcie, na biurokracyi, na Jezuitach i na policyi; w Prusach miał jeszcze jedną podporę w doskonale wyćwiczonem do pokojowych posług żołdactwie. Ażeby zaś wojsko nieporozumiało się z ludem i nieznikczemniało nabraniem w siebie cywilnych pojęć, rząd kwaterował je tylko w koszarach i tym sposobem utrzymywał za obrębem narodu, jak równie ażeby mieszczenie bliższością pochodzenia nie zepsuli żołnierza, aby maszyny czasem nieprzemienili w człowieka, szlachta wszelkiemi siłami spychała ich ze stopni officerskich w szeroce dla nich otwartą otchłań biurokracyi. Każda zmiana polityczna mogła być wywrócić drabinę hierarchii wojskowej podpieraną przez szlachtę, łatwo więc pojąć, o ile wojsko pruskie było usposobionem do rewolucyi.

Mieszczanstwo odsadzone od zaszczytów wojskowych, weto wało straty, stawając w równie mnogich zastępach biurokracyi.

Powiedzieliśmy już, że w Niemczech człowiek sam przez się uważa się za zero, dopóki jednostka jakiegokolwiek urzędu postawiona na lewym jego boku, nieuczyni z niego dziesiątki, to jest dopóki charakter urzędowy niewywyższy go w dziesięćkroć nad zwykłą wartość człowieka. W Prusach ludzie źle urodzeni (wyrażenie to niejest anatomiczne ale heraldyczne) zawsze gorliwie starali się zamazać pierworodną plamę rodową i hurmem parli się na obszerne pole urzędnictwa. Absolutyzm pojmował, że wśród licznych kohort urzędniczych, silnie dla siebie znajdował poparcie; w administracyi więc, w sądownictwie, w zakładach naukowych, cudownie mnożył posady, zapełniał je tłumem wprawdzie niezbyt hojnie płatnych urzędników, dla zajęcia ich zastosowywał teorię nieskończenie małych co do formalności, nieskończenie wielkich zaś co do aktów niezbędnych w każdym rozporządzeniu, w każdej sprawie, w każdym procesie. Biurokracya tak uorganizowana, fanatycznie obstawała przy statu-quo i ktokolwiek przeciw niej występował, ktokolwiek natrącał o zmianach politycznych, tego

natychmiast jako demagoga, jako burzyciela prześladowała, wlokła do więzienia lub karami pieniężnymi okładała. Berlin był siedliskiem tej szlachty pozapinanej pod szyję w mundury, obcej pojęciom ludowym, oddanej z duszą sprawie dworu, którego powietrzem oddychała, i tej biurokracyi, która wszelkimi siłami czepiała się za tylne koła wozu dziejowego postępu. A jednak pomimo tak przemożnych zastępów wstecznictwa, ruch 1848<sup>o</sup> roku do dna wstrząsnął monarchią pruską. Gdzież więc tliły rewolucyjne żywioły? Głównie w duchu czasu, podrzędnie zaś na drodze teorii w ludziach wyłącznie poświęconych naukom, w professorach przesławnych pruskich uniwersytetów, w pisarzach, z których jedni pławili się w chmurach oderwania, inni niecierpliwie żuli wędzidło cenzury; na drodze wykonawczej prawdziwym rewolucjonistą był lud, czyli tak zwany przez szlachtę i biurokracyą motłoch, lud, który od kilku już lat na swoich zgromadzeniach pozwalał sobie rozumowań, zapalał się pojęciami nienawistnemi policyi, potakiwał różnym sekciarzom religijnym i wyśmiewał zatyłe niemieckie mieszczaństwo. Protestancki a więc rdzennie zaprzeczny, lud berliński gwoli narodowej ociężałości, cierpliwie dotąd niósł jarzmo; wieść jednak o wybuchu w Paryżu, o wypadkach w południowych Niemczech, w Bawaryi, o uzyskanych przez naród swobodach, o zaburzeniach w Kolonii, rozchłostała jego wyobraźnię, pojrzał więc sam po sobie i zapytał, w czem go natura upośledziła nad inne plemiona i zacz on także niemógłby być gwardzistą narodowym, wybieraczem posłów, itd.

Nie wszyscy atoli w Berlinie z jednakowemi uczuciami przyjmowali wiadomości z zagranicy.

Stronnictwa stołecznego miasta monarchii pruskiej dzieliły się stosownie do tego, czem się kto karmił lub poił. W cukierniach oburzano się na rewolucję paryzką, na probatanie się wojska z ludem, na poniewierkę królewskiej osoby, na niedołężność dowódców, którzy nieumieli dać sobie rady z rozszalałą hołotą. Zatwardziałe mieszczaństwo siedziało w sklepach białego piwa (Weiss-Bier-Stuben), wychwalało króla i drżąc na myśl o wojnie, ogromnemi głosy powtarzało, że utrzymanie porządku jest pierwszym obowiązkiem prawego obywatela, rozsiewało o szczegółach wypadków najstraszniejsze pogłoski



aby tylko od ruchu odstraszyć, gromiło zapaleńszych, gdy zaś rozprowadano mu o zaburzeniach w Niemczech, przysięgało, że w Berlinie nie podobnego się niestanie, że zamachy tam się mogą udawać, gdzie niema wojska tak licznego i nad wszelki opis dzielnego, jakim jest wojsko pruskie, tętno giełdy coraz słabiej bijące, podniecało w niem jeszcze zawziętość przeciw demagogom i kommunistom. W gospodach, czyli knejpach beczkowego piwa (Fass-Bier), młodzież uniwersytecka skrycie przypinała niemieckie kokardy, z zapalem rozprawiała o wolności, o zjednoczeniu rozczłonkowanej ojezyny, wyśpiewywała zakazane pieśni, wrzała na odgłos o europejskim ruchu, niepotrzebowała się przysposabiać, już bowiem gotową była do rewolucyi. W szynkach wódki i marcowego piwa (Branntwein- und Maerzbier-Schänke), lud ciekawie przysłuchiwał się opisom, które mu czytano z dzienników, mało mówił, śmiał się tylko grubo, zacierał dłonie i zakasywał rękawy.

Gdy tak poddani Fryderyka Wilhelma zapijali jedni na zgubę, drudzy za pomyślność rewolucyi, gdy powszechne polityczne przewroty silnie wstrząsały umysłami a swobody poudzielane ludom przez książąt niemieckich, słuszną zazdrość budziły w Prusakach, król niewzruszony w swoim historycznym systemie, zamknął 7<sup>o</sup> Marca posiedzenie Stanów, zniewolony żwawo rozwijającą się opozycją, przystał wprawdzie na peryodyczność sejmu ale w mowie tronowej wystąpił niemniej jako nieograniczony właściciel swego narodu i wręcz wypowiedział że kraj do łask jego tylko ma prawo, że Prusy od dawnych czasów zawsze należały do swoich monarchów, którzy z bożego prawa byli jedynymi i najwyższymi sędziami potrzeb narodu. Z początku poddani JKMei, zdawali się podzielać to zdanie, zwykłym więc obyczajem ruszyli potulną drogą prośb, chcieli złożyć pokorny adres u stóp majestatu, ale członkowie Stanów, po większej części należący do szlachty lub do biurokracyi, wzdrygali się od spółuczestnictwa w tak zuchwałym zamiarze. Stronnictwa postępowe same niwiedziały co począć, gdy w tem przyjechała z adresem deputacya z Wrocławia, z miasta, gdzie żywioł słowiański dodawał ruchawości niemieckiemu i przykładem swoim wzmogła otuchę i natarczywość mieszkańców stolicy. Symptomata rewolucyjne zaczęły wyraźnie się objawiać; obwo-

lano na 13<sup>o</sup> Marca walne zgromadzenie pod namiotami; zeszyły się tłumy śród głucho szmeru oburzenia, rozniesiono bowiem pogłoskę, że policya pochwytala mnóstwo obywateli do więzienia, że rząd zamierza siłą zapobiedz zgromadzeniom ludowym. Jakby na dowód prawdziwości pogłoski, w jednym z namiotów pokazał się uzbrojony żandarm; lud przyjął go gwizdaniem, żandarm śród wrzasków i przekleństw uciekł na odwach przy brandeburskiej bramie. Elektryczność rewolucyjna spłynęła za tym dobrym przewodnikiem ku odwachowi, ale rząd zawczasu już był przygotował się na podniesienie rekawicy i na jeden znak hufce piechoty i jazdy rozszykowały się po ulicach. Jezdni wyparli tłum z pod Lip i z okolic zamku królewskiego, lud bronił się wykrzyknikami znajdującymi się tylko w dopelnieniach niemieckich słowników, czem wojsko pruskie do żywego na honorze dotknięte, konno i pieszo uderzyło na bezbronnych i kilkunastu z nich ciężko poraniło. Lud poznawszy, że wojsko nieprzyjmowało dysputy, rzucił się do barykad, z których jednak niebawem musiał ustąpić; siła zbrojna poosadzała rogi ulic i plac zamkowy, policya pełnemi rękoma garnęła burzycielów i na tem pierwszego dnia skończyła się przegrywka do berlińskich wypadków. Wojsko zajęło gmachy publiczne, król kazał trzymać działa w pogotowiu. Około północy cisza zaległa miasto i część żołnierstwa wróciła do koszar. Lud pienił się od zgrozy, rozpowiadając postępowanie wojska, które często nieczekając rozkazów, z własnej zaciętości, niewinnych nawet bez miłosierdzia zabijało. Lud mylił się; wojsko chociaż czasami bez szczegółowych rozkazów, ogólnie jednak działało w duchu rodzinnym JKMc. W Wiedniu widzieliśmy Arcyksięcia Alberta dzielnie potykającego się z bezbronnym tłumem. w Berlinie ujrzemy Księcia Pruskiego, przewodzącego wszystkim mordom, własną wściekłością zażegającego żołdactwo i ostatecznie dającego wielką naukę gromadom zbydlęconym w bałwochwalczej części dla purpury.

14<sup>o</sup> Marca, dzień przeszedł na wewnętrznem konwulsyjnem pasowaniu się ludu z wrodzoną mu ociężałością; w mieście było spokojnie, ku wieczorowi dopiero zaczęto się gromadzić, podczas gdy na ulicy łączącej plac Piotra z zamkowym, kilkunastu małych chłopców, takich jacy wszędzie służą do mszy rewolu-

cyjnej, bawiło się ustawianiem barykady. Wojsko pruskie spragnione rycerskich czynów, znalazło godnych siebie nieprzyjaciół. Szwadron kirysierów śmiało w imię króla ruszył na małych napastników, chłopcy odpowiedzieli mu kilkoma kamieniami i rozpierzchli się w przyboczną ciasną uliczkę, niektórzy jednak niemogąc umknąć, ujrzeni się zewsząd otoczonymi przez wojsko. Dowódzca szwadronu, biegły strategik, wiedział, że niedość jest zwyciężać, ale że trzeba jeszcze umieć ze zwycięstwa korzystać, rozkazał przeto zsiąść z koni; żołnierze wleźli na opuszczoną barykadę, rozwalili ją, poczem napadłszy na chłopców i na kilku spokojnych mieszczan, dalejże bez litości ich mordować. Z przyległych domów i z kawiarni widzowie wybuchnęli głośnym oburzeniem, rozległy się wściekle krzyki zemsty i zgrozy, kirysierzy w braku ofiar powybijali drzwi i potłukli okna w dolnych mieszkaniach. Siła zbrojna sprawiała się podobnie na różnych punktach Berlina; nadaremnie wystraszeni oficerowie tu i owdzie starali się wstrzymywać rozlew krwi, rozjuszone żołdactwo bezprzymtomnie rzuciło się na lud, walczyło do upadłego, tam gdzie spotykało opór, kłuło i siekło tam nawet, gdzie nikt się niebronił. Po uporczywym boju lud musiał opuścić dwie barykady wzniesione w pobliżu placu Szpitalnego i około północy zgłębł ustał na chwilę. Miasto dyszało boleśnie, z obu stron gromadzono nowe zapasy, po obu stronach nienawiść rozdmuchiwała swoje ognie. Zaburzenie widocznie dojrzewało na rewolucję.

15<sup>o</sup> Marca, z pierwszym brzaskiem lud wylał się na miasto, ciekawy nowego widoku i miotany nowemi dlań uczuciami wojny domowej. Gromady przerażonych mieszkańców otaczały kaluże krwi, przypatrywały się zniszczeniu dokonanemu przez wojsko i przypominały niesłychane okrucieństwa żołdactwa. Zadusznym głosem, ze zgrozą rozprowadano o zasiekaniu na Bratskiej ulicy jednego rękawicznika, który spokojnie odprowadzał siostrę do domu, o zarabaniu jakiegoś małego ucznia z gimnazyum, o lekarzu, który śpiesząc do chorego ciężko został ranny, o dwóch bezbronnych mieszczanach, którzy niespodzianie zaskoczeni przez wojsko, nadaremnie błagali, aby ich uwięziono; strasznie porąbani krwią znacząc ślady za sobą, z życiem zaledwie schronili się do piwnicy; pod kolumnami na



Königstadt kilku z młodzieży wołało o wolność druku; «będziecie ją mieli,» odparł officer dowodzący oddziałem i wraz jazda zaczęła tratować niewinną cizbę. Lud udzielał sobie nawzajem tych wiadomości, wrzał gniewem, przeklinał, ścisnął pięście, knuł zemstę. Samo nawet białopiwne stronnictwo, w obec wypadków, złagodniało trocha na krzywdy ludu, zwołało do radcy Berling'a zwolenników różnokolorowych piw i sporządziło protokół wszystkich szczegółów podpisany przez kilkudziesięciu nacownych świadków. Mieszczanstwo drżało na myśl o skutkach przedłużonej walki, umyśliło więc wyteńczyć ostatnie siły dla wstrzymania nie tyle rozlewu krwi jak raczej ruchu rewolucyjnego; każdy czynił co umiał, lud bił się na barykadach, mieszczanie spisywali protokoły i wyprawiali deputacye. Pięciu członków poniosło protokół Burmistrzowi, naczelnikowi policyi i kommandantowi miasta, z których każdy oświadczył im z kolei, że gorliwie przyłoży się do utrzymania porządku. Deputacya zadowolona z obietnic, udała się na tajemne posiedzenie Stanów i tam wspólnie z sejmem, po długich i głębokich naradach zgodziła się na pamiętne postanowienie: 1<sup>od</sup> aby działaniu wojska zapobiedz; 2<sup>re</sup> gdyby to się nieudało, aby przynajmniej zniewolić wojska do łagodnego postępowania. Tu sejm od siebie znowu wysłał do różnych władz deputacyę, prosząc o przywrócenie porządku i o upamiętanie zawziętości wojska. Uważajmy, że dotąd ze strony deputatów niechodziło jeszcze o żadne prawa, o żadne swobody ale tylko o przywrócenie porządku i o wyproszenie u wojska miłosierdzia nad ludem. Wróciła pierwsza deputacya do radcy Berling'a; mówca jej zabrał głos zaklinając lud do pokoju, przysiągł, że rząd chce wszystkim zadośćuczynić i na dowód pokazał rozporządzenie ministra spraw wewn. i kommandanta miasta, zapewniające, że winni ostatnich gwałtów srodze będą ukarani. Lud na chwilę dał się otumanić i spokojnemi zastępami przechadzał się po zamkowym placu. Rewolucya w samym zawiązku tylko co nieskonała na protokół i dyplomatyczne układy, gdy w tem na szczęście w kilka godzin gruchnęła wieść o wypadkach w Wiedniu, o zwycięztwie ludu nad wojskiem, o wypędzeniu Księcia Kanclerza, o wydarcie Cesarzowi konstytucyi. Wiedeń zbawiał w Berlinie sprawę wolności; lud poznał, że rewolucya niekończy się na przywró-



ceniu ale przeciwnie na wywróceniu porządku. Przykład Wiedeńczyków podniósł w nim zapał, obudził dumę narodową, dodał siły i rozżarzył zaciętość. Wszczęły się kłótnie między ludem a strażą zamkową, zaczęto krzyczyć, gwizdać, kilka kamieni padło na zamek i na żołnierzy; noc nadchodziła i wraz z nią coraz więcej tłumu na plac przybywało. Nagle rozwarły się wielkie wrota zamkowe i liczne szeregi jazdy, którą tyłem wprowadzono do pałacu, sunęły na plac w groźnej postawie. Lud z zgiełkliwym pośpiechem rzucił się w ulice Bratską i Szeroką, gdzie aż do Królewskiej, jakby za uderzeniem czarodziejskiej różeczki jedna za drugą wytryskały barykady. Stronnictwo białopiwne w gorączkowym przestraszu puciekowało do domów, pozamykało bramy i pogasiło światła. O 7<sup>ej</sup> wojsko z placu ruszyło w ulice; kilkudziesięciu walczących za barykadami zmusiło jazdę do odwrotu. Piechota poszła na bagnety. Lud, po części bezbronny rozpierzchł się w boczne uliczki ale i tam wpadł na żołnierzy, którzy przyjęli go gęstym ogniem; padło kilkunastu rannych i zabitych, rozległy się okropne jęki i krzyki i o północy wojsko znowu winaowało sobie zwycięstwa. Ucihło w mieście, co chwila tylko przeciągały silne patrole z bronią nabitą i z kurkami odwiedzionymi.

Nazajutrz, rewolucya w Berlinie, snąc wedle wyrobionego już pewnego systemu, zaczynała się zwykle od oglądania znaków kul w ścianach i oknach, śladów krwi na bruku, następnie, gdy ciekawców coraz przybywało, rozwijała się w uparty bój. Wściekłość żołdactwa rozjątrzyła mieszkańców; zdawało się, że walka może tylko ustać w skutek zupełnego wytepienia jednego z dwóch stronnictw. Białopiwcy, widząc, że niestrzelano już na ulicach, znowu podali wniosek ustanowienia Kommissyi Ochrony, która miała zająć się łagodzeniem zażartego wojska, w kilku okręgach wdali się nawet w czynne pośrednictwo, ale już było zapóźno. Lud zaczynał domagać się już nie porządku, nie wymiaru sprawiedliwości za dopełnione gwałty, ale praw, swobód, przede wszystkim zaś gwardyi narodowej jako rękojmi własnego bezpieczeństwa. Studenci, z których kilku było rannych i jeden zabity, także ze swojej strony żądali złączyć się w zbrojny legion; odmówiono im broni i upoważnienia. Następnny dzień przeszedł podobnym trybem na cząstko-

wych utarczkach, w których wojsko wyzwierzyło się do ostatka. Mnóstwo osób uwięziono, Książę Pruski nieprzystawał kierować ruchami, lud wznosił coraz silniejsze barykady, uzbrajał się, lał kule i krecił ładunki; mieszczanie stracili wszelką nadzieję możebności pośrednictwa, tem bardziej, że za barykadami przysięgano wywalczyć wolność druku, konstytucyę, oddalenie wojska, słowem rzeczy, o których nikt dotąd w Prusach bezkarnie się nieodzywał. Nareszcie, 18<sup>y</sup> Marca, miał sprowadzić przesilenie, dzień zwycięstwa ale zarazem ciężkich bojów, w którym Fryderyk Wilhelm potokami krwi kazał ludowi okupować każdą wydartą sobie swobodę. Gwar rozjątrzenia szerzył się po ulicach; z obu stron oczekiwano pory ostatecznego wytężenia sił, gdy w tem o 3<sup>ej</sup> z południa rozeszła się wieść, że król zezwala na pierwsze żądania narodu, że obiecuje deputacyom nadreńskiej i miejskiej dać wolność druku, oddalić ministrów, zwołać sejm na 2<sup>o</sup> Kwietnia i wojsko z miasta wyprawić. W jednej chwili zapomniano o świeżo doznanych krzywdach, każdy chwycił w siebie obietnice nowego życia, lud uważał się za obdarowanego i wraz jakby z jednej piersi wyrwany ogromny krzyk radości rozległ się po placu zamkowym. Król wyszedł na balkon i mówi do uciszającego się tłumu: «zgodzam się na wszystko, ufam nieograniczenie kochanym moim Berlińczykom:» okrzyki i wiwaty grzmią pod niebiosy, lud niemoże pohamować uczuć szczęścia, które go przepelnia, gdy nagle pokazuje się jazda na placu a za nią tuż od bramy ciągnie piechota. «Precz z wojskiem!» krzyczą zewsząd tłumy, kilku mieszczan podchodzi ku dowódczom, wzywając ich, aby cofnęli swoje szeregi: dowódczy za całą odpowiedź dają znak: konnica rusza naprzód, słycać pojedyncze strzały ludu i rotowe żołnierstwa, jezdni tną palaszami, tratują końmi, krzyki zemsty i zgrozy rozrywają powietrze. Lud rozbiega się po ulicach, niesie straszną wieść, chwyciła za broń i na gwałt bije w dzwony. Na rogu ulicy Strzeleckiej, z powozów i z kamieni wstaje groźna barykada: druga naprzeciw gmachu Rządowego, rozbrajają strażę, do domów i na dachy wnoszą kamienie. Oddział dragonów puszcza się na ulicę Strzelecką ale niemoże dotrzeć pod gradem kamieni, ustępuje więc miejsca piechocie; ta sypie gęsty ogień przeciw oknom i barykadom, szturmem zdobywa domy, traci swoich ale

też nawzajem zajadłe morduje uciekających. Studenci, z niemieckimi kokardami, dowodzą między ludem; walczą i kobiety; dziewczyna jakaś mszcząc się za śmierć kochanka, zabija z pistoletu oficera od dragonów. Południowa i wschodnia część miasta pieni się wzbierającym ciągle tłumem. Mieszczanie, studenci, robotnicy, rwą bruk i płyty granitowe, podnoszą barykady, całe miasto przecinają zasiekami. Na dachach siedzi lud, gromadzi koło siebie kamienie i czeka na wojsko.

Noc zapadła, ognie palą się przy zasiekach, wyrobnictwo rewolucyjne grzeje się i strawę sobie gotuje, strawę, której do ust nieponiesie, już bowiem na ulicach Fryderyckiej, Królewskiej i Szerokiej grzmią harmaty i kartacze w mur się wżerają. Dom cukiernika Heureuse, na rogu ulicy Szerokiej, naprzeciw zamku, zamieniono w małą fortecę i na szyldzie zawieszono niemiecką chorągiew; w ten dom wojsko gradem miotało granaty i ręczne strzały, nareszcie po uporczywym boju pułk gwardyi potsdamskiej go opanował. Lud nie miał już ani kul, ani prochu; nad rankiem więc znaczną część miasta ustąpił żołnierstwu, na Königstadt atoli mocno się owarował, pod Lipami rozbroił szwadrony naukowe, najzacieciej zaś strzelał na koszary gwardyi landwehry, skąd mu wojsko morderczym ogniem odpowiadało; ze świtem landwehra uciekła z koszar, lud wpadł, zabrał broń i ładunki. Nastąpiła chwila oddechu, jęk dzwonów przerywał tylko ciszę, naprawiano w milczeniu barykady, opatrywano rannych, sposobiono się do odnowienia walki, znowu rozprowadano półgłosem, jako wojsko z niesłychanem barbarzyństwem sobie poczynało, jako w jednym domu, którego drzwi dziewczyna niedośpiała zamknąć a skąd myślano, że padło kilka strzałów, żołdactwo wdarło się i niebacząc, że mieszkańcy w łózkach leżeli, mordowało bezbronych i zrzucając po schodach, czaszki im druzgotało. Na Königstadt bitwa trwała w najlepsze; ogień ręczny i harmatni na chwilę nieustawał, nareszcie Generał Möllendorf wyjechał z białą chorągwią i zaczął parlamentować; mieszczanie dla wygodniejszej narady oskoczyli go, wzięli w niewolę, zaprowadzili na odwach i tam zmusili do podpisu rozkazu niestrzelania i bezzwłocznego opuszczenia przez wojsko placu Aleksandryjskiego. Lud rzucił się na plac oczyszczony z żołnierzy, zbierał łupy po zabitych, podczas gdy jeden z mów-



ców wstąpiwszy na barykadę, jął prawić o uzbrojeniu mieszkańców. Lud gwałtem dopominał się o broń i pociągnął na plac zamkowy, gdzie ledwo można było przecisnąć się od tłumu. Chodziło głównie o cofnięcie wojsk, któremu księżę Pruski i radcy nadworni uporczywie się sprzeciwiali; król, naciskany przez deputację miejską, odpowiedział, że potwierdza wszystkie obietnice wyrażone w pierwszej odezwie do kochanych Berlińczyków, że cofnie wojsko, skoro tylko znikną barykady i porządek się ustali, gdy jednak co chwila nadechodziły wieści o coraz zażartszej walce, JKMość zapomniał o kronice Hohenzollern'ów i Brandeburgów, przypomniał sobie historię Ludwika XVI<sup>o</sup>, otworzył serce sprawie swoich poddanych i zezwolił na zmianę ministrów, na wypuszczenie uwięzionych, na cofnięcie wojska. Daremnie Generał Prittwitz, stary żołnierz, który walczył był jeszcze pod Jeną, dowodził, że wojsko pruskie nieumie się cofać; rozkaz monarszy był już wydany, trzeba było go wykonać. Pułki królewskie zmęczone bojem, wybladłe od głodu i bezsenności, wybrzydłe od rozboju i sprawy, za którą się potykały, z pochyłonemi głowami, wśród ciżby zwyciężkiego ludu, wracały do koszar. Okrzyki tryumfu głużyły łoskot bębnow; tłum chciał się bratać nawet z swemi nieprzyjaciołymi; z okien i balkonów wiały białe chustki na znak pogodzenia. Król powtórnie wyszedł na balkon, obwieścił drogiemu ludowi uwolnienie więźniów i prosił, aby mu pozwolono przez godzinę wypocząć. Lud nieuszanował tej prośby, zaraz bowiem wtargnął na podwórzec zamkowy i wyprawił deputację domagając się uzbrojenia. W tejże samej chwili przywieziono trupy poległych za wolność, ozdobione wieńcami z kwiatów i złożono je na zamkowym podwórzcu. Zastęp ludu z religijną czcią i w milczeniu postępował za wozami, z których jeden zwłaszcza przedstawiał okropny widok. Cztery trupy strasznie porabane ale uwieńczone w kwiaty i w zieloność, złożono przed królewskim krążgankiem. Orszak się zatrzymał, lud wywołał naprzód Arnim'a i Schwerin'a dwóch nowomianowanych ministrów, następnie uporczywie zaczął wzywać monarchę. Król z królową wyszli na ganek i pozdrowili lud; ukłony te przywiodły na pamięć przedostatnie chwile Ludwika XVI<sup>o</sup> i Maryi Antoniny. Twarz Fryderyka Wilhelma była przerażającej bladeści, żona jego ze zgrozą cof-



nęła się na widok pomordowanych. Pomimo wzruszenia król niemógł oprzeć się nałogowi do krasomóstwa, ale napróżno część zgromadzenia chciała nakłonić resztę do uwagi, zgiełk na chwilę nieustawał i świeży konstytucyjny panownik w milczeniu ustąpił do pałacu. Minister Arnim skinął ręką, prosząc o głos, ale lud wyniósł na ramionach jakiegoś młodego trybuna, który donośnie zażądał broni dla narodu, w celu ubezpieczenia się przeciw morderstwom wojska. Arnim odrzekł, że wojsko oddaliło się już do koszar, że lud może bezpiecznie wracać do swoich zatrudnień; mówca dodał, że lud powróci, ale że wprzód wymaga, ażeby książę Pruski zrzekł się następstwa do korony; Arnim udał, że ostatnich słów nie słyszy i odszedł za królem. Tłum straszliwie zawrzeszczał i zaledwie pozwolił się uspokoić Schwerin'owi, który uroczyście go zapewnił, że uzbrojenie natychmiast nastąpi, jakoż o 10<sup>ej</sup> gabinet wydał rozporządzenie cofające wojsko, jakoteż odezwę wzywającą naród do zapomnienia wzajemnych uraz, wzburzenie atoli dalekiem było do ukołysania. Monarchizm przed chwilą tak dumnie zawinięty w fałdy absolutnej purpury, z poniewierką głównych swoich zasad musiał staczać się i rozbijać po coraz twardszych szczeblach upokorzeń, jedna po drugiej ronił najkosztowniejsze perły z przekazanej mu dziedzictwem korony. Fryderyk Wilhelm, który przysięgał, że Bogu tylko złoży władzę nietkniętą a powierzoną mu przez wyroki Opatrzności, musiał zaprzeczyć się swoich postanowień, wyszedł znowu z całą rodziną na ganek i powtórnie zaręczył, że uwięzieni wkrótce odzyskają wolność. Lud dopominał się ułaskawienia dla żołnierzy, którzy przeszli na stronę narodu. Król tym razem konno wyjechał na ulicę i między innymi mówił do ludu: «ufajcie mi, ja przecie kocham was jak ojciec własne dzieci.» — Okropny krzyk: «nieprawda! zdradziłeś nas!» wydarł się z piersi tłumu. Deputacya wystąpiła w imieniu króla i zaręczała, że wojskowi natychmiast będą ułaskawieni; «piśmiennie! inaczej niewierzymy!» zewsząd jej odpowiadano. Pośród ciżby niesiono jednego zabitego obywatela, obecni poodkrywali głowy, król tak dalej mówił: «Kochane dzieci, stało się wiele nieszczęścia, wiele krwi popłynęło, ale to wszystko przez nieszczęśliwy przypadek: dam wam

«wszystko co mogę, życzenia wasze i prawa są także mojemi, «idźcie do domów i przywróćcie porządek.»

O 1<sup>ej</sup> z południa już ani jednego żołnierza niebyło na ulicach. Zezwolenie na cofnięcie wojska i uzbrojenie mieszkańców król wyrzekł temi słowy: «Moi panowie, przekonałem się, «tak jest, mocno się przekonałem, że spokojność i bezpieczeństwo miasta i mojej osoby wam najlepiej mogę powierzyć «i dla tego rozkazałem, aby wam wydano broń ku temu potrzebą.»

Gdy lud uzbrojony po raz pierwszy zaciągnął do zamku na wartę, weszły w nim uczucia potęgi, własnej godności i swobody, uciszył się i wnet ogromnym chórem zawiódł uroczysty psalm: «Dziękujmy Bogu!» Zwycięstwo uwieńczyło jego sprawę, rewolucya się spełniła.

W roku 1848<sup>m</sup> niemożemy pominąć jednego zgawiska, objawiającego się we wszystkich ruchach europejskich. Ile razy lud powstawał za wolność, ile razy krwią i ciężkim trudem wywalczał pierwsze swobody i uczniał się zdobytymi prawami człowieka, zawsze na dnie swojego zapалу spotykał wspomnienie tego narodu, który w historii najdłuższe męki za sprawę bożą wycierpiał. Rewolucyoniści berlińscy, wyszlachetnieni tryumfem nad ciemnotą i niewolą, przypomnieli sobie proces polski i więźniów politycznych; 20<sup>o</sup> Marca odbili drzwi więzienia Moabickiego i w uroczystym pochodzie prowadzili wyzwoleńców ku zamkowi. Tłum ludu towarzyszył im i hucznymi krzykami wesela zapraszał do cieszenia się z wspólnego zwycięstwa, król jeszcze raz wyszedł na ganek i pozdrowił więźniów, Polacy dziękowali ludowi, obiecywali mu przyjaźń, sojusz i przedmurze przeciw Rossyi, przeciw Rossyi, której pewna część potęgi rozbiła się o berlińskie barykady.

22<sup>o</sup> Marca miasto wyprawiło wspaniały pogrzeb poległym za wolność. Od czasów Ulricha von Hutten i Tomasza Münster'a, lud niemiecki po raz pierwszy ginął za świętą i swoją własną sprawę. Naród pruski toporem wyrąbał sobie wstęp do nowej historycznej ery, zatknął rewolucyjną kokardę niemieckiego zjednoczenia, (w którą król także ustroił się jako niegdyś francuzki jego kuzyn we frygijską czapkę) i olbrzymim rozpędem odepchnął łódź swoich losów na pełne morze poli-

tycznego żywota. Wstecznicstwo pokonane na chwilę w szlachcie, w biurokracyi, w wojsku, zachowało jeszcze przeważny wpływ w państwie i zapowiadało długie pasmo walk, których zaciętość, szczegóły i skutki przyszłość nam dopiero objawi. Naród skruszywszy formy polityczne przystępował do mozolnej pracy duchowego przerodzenia. Fryderyk Wilhelm IV<sup>y</sup> uznał po niewczasie krzywdę, jaką w reformacyi politycznej Niemiec, uporem swoim ojczyźnie wyrządził, po niewczasie wyjechał z trójbarwnym germańskim proporcem i chciał się ogłosić naczelnikiem jednoplemiennych niemieckich ludów. Naród jego i cały szczepek odpowiedziały mu sakramentalnem dla wstecznicstwa słowem naszej epoki: «za późno!»

---

## V.

Wypuszczono więźniów moabickich przy wykrzykach: «niech żyje Polska! hurra na Rosyję!»

Fryderyk Wilhelm widząc, że niepodola ruchowi, dał się unieść jego nurtom, ronił absolutną władzę powierzoną mu przez Opatrzność i nabytą prawem dziedzictwa, umyślił przeto powetować stratę, zamieniając samowładną koronę Hohenzollern'ów na konstytucyjne berło wszechgermańskiego państwa. Król pruski, w sobie dotąd upatrując cały naród, łącząc nierozdzielnie losy jego z własną osobistością, teraz odwrócił stanowisko i chciał wyłączne zasługi tegoż narodu skonfiskować na swój pożytek. Rzeczywiście bowiem, w ujednoczeniu Niemiec, któreż państwo miało stanąć na czele ruchu? Austria, w germańszczyźnie nie położyła była żadnych zasług, większość ludów poddanych jej berłu rozwijała narodowość odrębną a nawet wręcz przeciwną niemieckiej, brzask nowej ery zapowiadał rozpadnięcie się Cesarstwa Habsburgów, zagładę zlepkę dyplomatycznego, którym każdy postępowy Niemiec gardził za jego obskurantyzm i dotychczasowy system niewoli. O mniejszych państwach nie było co myśleć; te odgrywały podrzędną rolę, żyły z łaski ludów, chwiały się widocznie na kruchych swoich podstawach. Pomimo to umysły silnie pracowały nad ujednoczeniem Niemiec, nie tyle może dla zadośćuczynienia dumie politycznej, jak raczej dla pozbycia się trzydziestu sześciu rządów, tyluż kohort pasożytnego dworactwa, tyluż list cywilnych, tyluż gabinetów dyplomatycznych, które wszystkie, gwoli rozdrobieniu szczepowemu, niepotrzebnie żyły kosztem ludów.



W oczekiwanym politycznym przewrocie Prusom bezwątpienia należało się przewodnictwo; Prusy, dzięki swoim zakładom administracyjnym i naukowym, głównie wyrażały postęp i oświatę niemiecką, Prusy nadto były wskrós protestanckie a zatem najwięcej germańskie. Gdyby Fryderyk Wilhelm mniej był zagłębiał się w przeszłości a więcej badał przyszłość, gdyby miesiącem wprzód był udzielił tych praw i swobód, jakie lud później krwią musiał okupywać, chorągiew niemiecka byłaby nabrała w jego dłoniach znaczenia; Berlin byłby mógł stać się stolicą już nie królestwa ale całej germańszczyzny. Fatalizm atoli spychający pomazańców z politycznego widokregu, zacięta walka na ulicach Berlina, niepojęcie swego położenia aż dopiero po niewczasie, wysunęły z pod nóg monarszych ostatnią kładkę ratunku i odstręczyły na zawsze ludy niemieckie od powierzenia losów swoich królowi pruskiemu. Wszelako przez kilka dni po 22<sup>im</sup> Marca, unosiło się jeszcze nad Berlinem złudzenie, że Fryderyk Wilhelm zdoła pochwycić ster głównych szczepowych wypadków, że Prusy staną na czele ujednoczonych, liberalnych Niemiec. W tej nadziei postępując, król wydał rozporządzenie, na mocy którego wzywał jednoplemiennych swoich poddanych do łączenia się pod germańskim proporcem, obce zaś swoje dzierżawy zostawiał rozwijaniu się właściwemu względny ich narodowościom. Oczywiście, takowe rozgradzanie szczepów w imię bożych praw i słuszności ludowych zasad, w następstwie równało się wypowiedzeniu wojny Rossyi, w razie nawet, gdyby Cesarz Mikołaj spokojnie był poglądał na demokratyzujące się dawne Ś. Przymierze. Prawdopodobieństwo wojny z Rosyją uderzyło nietylko lud niemiecki, nietylko Polaków, którzy w każdej chwili gotowi byli ją rozpocząć, ale nawet pierwszych ministrów porewolucyjnych Prus. Stąd gdy na wieść o wypadkach berlińskich, Polacy w Poznaniu jęli przypinać polskie kokardy, organizować gwardyę narodową, otwarcie sposobić się do mającego nastąpić ruchu, Niemcy wystraszeni zmianami w stolicy, nadewszystko zaś możebnością napadu ze strony Rossyi, trwożliwi i przyjazny niby wzrok rzucali na tych, w których widzieli najdzielniejszych obrońców przeciw groźnemu nieprzyjacielowi. Pierwsze uniesienia zapału brylantowym tumanem drogich złudzeń zasłoniły Polakom prawdę; wierzone

w zgodę i w braterstwo dwóch szczepów na tejże samej ziemi zamieszkałych a rdzennie sobie przeciwnych, zapomniano, jak do r. 1815<sup>o</sup>, w którym Fryderyk Wilhelm III zapewnił był WKsięstwu organizację narodową, każde następne lato miało tylko na łamaniu królewskich obietnic, jak rząd, przez najzaciętszego zwłaszcza wroga sprawy polskiej Flottwell'a, uparczywie przeprowadzał poniemczenie, jak w tym celu oddalał polskich urzędników, śmiecie zaś z całej monarchii, to wszystko, co gdzieindziej niemogło się utrzymać, zmiatywał do prokonsulatu poznańskiego, gdzie dla uzyskania posady dość było nienawidzieć krajowców. Zapomniano, jak wiarołomnej pamięci przeszły monarcha, z własnej kieszeni łożył pieniądze na wykupywanie dóbr polskich, które następnie kazał odprzedawać Niemcom, jak koronne majątki rozdzielał między niemieckich osadników, jak wbrew prawom istniejącym w reszcie monarchii, sam począł mianować wybieralnych dotąd landratów, jak nakoniec syn jego w r 1846<sup>ym</sup> zniósł w Poznaniu krajowe szkoły, ostatni przybytek polskiego wykształcenia i zastąpił je niemieckim zakładem, zapomniano, że ci urzędnicy, ci osadnicy, ci nauczyciele zgubę swoją widzieli w urzędowej przewadze polskiego żywiołu i że niebawem przyjdzie czas, w którym obojętną dla nich sprawę polską zechcą i muszą poświęcić własnym kwestyom żywotnym. Niedziw atoli, że o względach tych zapomniano, krajowcy całym duchem żyli w przyszłości, Niemcy zaś pod chwilową obawą wojny z Rosyją, poczuwszy swoją słabość, w stosunku wzmaganą się jej, szlachetnie.

Niewdamy się tu w szczegółową kronikę zdarzeń zaszłych w WKsięstwie; mnogie opisy, broszury, artykuły ogłoszone w tej mierze przez naszych rodaków dostatecznie zaspokajają publiczną ciekawość, strona tylko ruchów wojskowych dotąd mało jest wyświeconą ale i ta zapewne wkrótce pod piórem Mierosławskiego lub innych naocznych świadków, nic niepozostawi do życzenia; poświęcimy chronologiczną zupełność kilku ogólnym a krótkim uwagom nad duchem i wpływem na cały naród krwawych poznańskich wypadków.

Komitet narodowy, zawiązany w Poznaniu, wysłał do Berlina deputację celem zdania sprawy rządowi o poruszeniu umysłów w WKsięstwie, o słusznych nadziejach, jakie wypadki

europęjskie obudziły w uciemionem plemieniu i celem domagania się niepodległości, nie zupełnego oddziału od monarchii ale przynajmniej administracyi narodowej, odrębnej a obiecanej już przed 33<sup>ma</sup> laty. Przez pięć dni deputacya niemoęła zgodzić się z komitetem polskim, jaki zastała już w Berlinie, nareszcie poszła do króla, gdzie z obu stron skończyło się na gorzkich przymówkach, aż dopiero, gdy delegowani komitetu niemieckiego poparli jej żądania, otrzymała d. 24<sup>o</sup> Marca reskrypt królewski, przyzwalający na reorganizacyę WKsięstwa. Reskrypt ten, godny Eskobarowego pióra nic niestanowił, wchodził jedno z miejscowemi stronnictwami w bezmiar czczych formalności.

Tymczasem sama myśl reorganizowania dzierżaw skradzionych Polsce, rzuciła popłoch między napływową ludność niemiecką i żydowską. W Berlinie żar rewolucyjny stygnął, wstecznictwo wystraszone zwycięstwem ludu powoli zaczęło wypęłzać z kryjówek, król poznał, że niezdolał pochwycić wszechgermańskiego berła, że musi poprzestać na pruskiej koronie, jeżeli los pozwoli mu i tę nietkniętą zachować, rozstał się więc z marzeniami o zajęciu stanowiska Karola W<sup>so</sup>, natomiast zaś obiema rękami uczepił się tronu i szczerze przystąpił do cugłowania ruchu rozszałaych swoich poddanych. Z Rossyą myślano raczej o przymierzu niż o wojnie, urządnicwo poznańskie rozzuchwalało się wraz z ustępującą obawą walki, w reorganizacyi widziało kres swemu zdzierstwu, odrzuciło więc larwę i dalejże do dzieła, którego skutkiem miało być utrzymanie się w prokonsulacie, chociażby na zgliszczach siedzib polskich, chociażby przyszło im po kolana zabrnąć w krwi krajowców. W Poznaniu utworzył się komitet niemiecki, lejek, gdzie ściekały wszystkie brudy pruskiego wstecznictwa, owinął zacięte własne widoki w fałdy trójkolorowej germańskiej chorągwi, prawil o pogwałceniu świętych narodowych uczuć, w istocie rozumiejąc pod nimi własne pieniężne straty. Ministeryum w Berlinie ujęło się za sprawą rodaków, o ile możliwości zwlekało szczerze rozporządzenia względem reorganizacyi; nieprzewidując podobieństwa wojny z Rossyą, lękało się rzucenia związku siły wojskowej polskiej, zbywało Poznańczyków dwuznacznemi odpowiedziami, podczas gdy dwaj patryarchowie



wsteczniectwa, Colomb i Steinaecker na gwałt wojsko ściągnęli do Księstwa, osadzali miasta załogami, wyprawiali na kraj ruchome kolumny rozzwierzonej 'landwery. Przelotny stan braterstwa między dwoma szczepami w Poznaniu, zmienił się w stan oblężenia; wojsko zajęło tak zwany Bazar, przyczem zabawiło się zamordowaniem stróża. Jenerałowie Colomb i Steinaecker widząc rozprężenie władzy w Berlinie, pomiatali ministeryalnemi reskryptami i umyślili na wasną rękę zabrać się do uspokojenia Księstwa. Wybiła godzina prześladowań; ludność niemiecka i żydowska w tej walce o kieszeń niemogła rozwinąć innych jedno najostateczniejsze rozbójnicze żywioły; wojsko do tego zażarcia przeciw wolności, o jakim mówiliśmy przy wypadkach berlińskich, dołączyło jeszcze rodową nienawiść, chęć rabunku, rozbijało więc, kradło i mordowało to pojedynczych bezbronych obywateli, jako dzierżawcę Brodzkiego, Potockiego, Chłapowskiego, lub szczupłe oddziały jako kilkunastu ochotników, którzy na wieść o wojnie przemykali się z królestwa do Prus. Steinaecker podniecał zaciętość żołnierzy, wystawiał im krajowców jako najczarniejszych zbrodniarzy i zatruwaczów, komitet zaś niemiecki na cywilnej drodze doniesień, gazeciarskich oszczerstw i ulicznych potwarzy, ział plugawą strugą fałszu oskarżając Polaków o własne swoje przestępstwa. W Bydgoskim powiecie urzędnicy rozpoczęli istne polowanie na krajowców; ludność i wojsko niemieckie mordowały ich, zdzierały kokardy, rabowały kościoły, rzucały się na księży. Niezaniebano też popuszczać ludu polskiego do wyrzeźniania szlachty, ale w tem przedsięwzięciu pruscy dyplomaci pokazali się mniej szczęśliwymi od Księcia Metternicha. Komitet narodowy ze swojej strony wszelkiemi siłami utrzymywał spokojność, zachęcał do cierpliwości, błagał o wytrwałność, obiecując w nagrodę spełnienie najgorętszych życzeń narodu — wojnę z Rosyją. Lud polski dławiał w sobie krzywdy, czekał tej wojny a unikając pojedynczych zajęć z kolumnami ruchomemi, zebrał się w cztery obozy mianowicie we Wrześni, w Środzie, w Pleszewie, w Książu. Wojsko pruskie otoczyło zewsząd obozy; po rozjątrzeniu ludu i po wściekłości żołdactwa widać było, że krew się poleje, zanim wojna z Rosyją nastąpi. Rząd dla zadowolenia obu stronnictw, przystał na utworzenie kommissyi reorganizacyjnej, złożonej



z pięciu Polaków i z czterech Niemców; kommissya udała się do Berlina ale Niemcy w obawie narażenia się swemu komitetowi zostali w Poznaniu, i ten więc zamiar nieprzyszedł do skutku. Tymczasem rozdrażnienie z obu stron się zaogniało, gabinet jakkolwiek biernie stawiał się względem Polaków, nieżyczył sobie atoli rozlewu krwi, pragnął przedewszystkiem spokojności i w tym celu wysłał do Poznania na rozjemcę, Jenerała Willisen'a.

Autor wojskowego dzieła o ostatniej wojnie polskiej, znany z przychylności ku Polakom, Willisen d. 5<sup>o</sup> Kwietnia przyjechał do Poznania, niosąc różeczkę oliwną poważnionym stronnictwom. Z samego już założenia, jakie stawiał sobie królewski kommissarz, łatwo było przewidzieć, na czem skończą się jego usiłowania; każda rola, jaką przybierał, groziła mu niepowodzeniem; jako pełnomocnik niemiał dostatecznej władzy nad Colomb'em i Steinaecker'em, którzy w gwałcie tylko wojskowym widzieli prawo, w nienawiści do rodu polskiego skazówkę postępowania; jako rozjemca łudził się mrzonką, że obu stronnictwom potrafi zadość uczynić; nadto z wrodzonego swojego stanowiska niemógł pojnować, że sprawa między napływową ludnością WKsięstwa a krajowcami jedynie na drodze orężnej podobną była do załatwienia. Teraźniejszość nas przekonywa, przyszłość nam pokaże, że Themis wkroczyć może do Księstwa tak tylko, jako ją starożytne posągi przedstawiają, to jest z mieczem w prawicy, a szalą w lewej dłoni, Willisen atoli, błędny marzyciel tej utopii, którą między przeciwnemi sobie szczepami nazywają kompromisem, śnił o pobrataniu wilków z owcami, przejeżdżał się od jednych do drugich, ale w Poznaniu Niemcy gwizdali go i obrzucali przeklęstwami, podczas gdy Polacy pomimo spółczucia, jakie pośrednik ku nim wyrażał, słusznie obwiniali go o przyłożenie ręki do nowego rozbioru Polski, o słabość i o dwuznaczność nawet w wykonaniu danych mu w Berlinie poleceń.

Komitet narodowy od czasu jak widokrąg kraju krwawo zaszedł, zaledwie dawał znaki życia; kilkanaście tysięcy luda stało jeżeli nie pod bronią to przynajmniej w obozach, Mierosławski ujrzał się na czele bezbronnych prawie zastępów, z któremi przez samą litość dla krwi rodacznej niepodobna było ani

przeciw Rosyji ani przeciw Prusom nic stanowczego przedsięwziąć. Colomb w 36,000 wojska opatrzonego we wszelkie wojenne zasoby, gotował się do uderzenia na lud zebrany w obozach, Willisen wymodlił u niego trzy dni zawieszenia broni i przez ten czas zawarł z dowódcami ugodę Jarosławiecką, która rozwiązywała obozy i w czterech tylko punktach <sup>1</sup> zostawiała po 600 ludzi piechoty i 120 jazdy, zawiązek niby przyszłej siły narodowej; uгода zapowiadała wreszcie reorganizację według zasad godziwych dla obu szczepów. W obozach panowało straszne wzburzenie; lud w nieomylnych swoich przecuciach opierał się rozejściu, ostrzegał, że Niemcy zdradzają, dowódców nawet obwiniał o zdradę, przeklinał konszachty, parł się do boju; aż na koniec gdy zaczęto mu tłumaczyć, że wojna w tej chwili z Rosyją jest niepodobną, że z Niemcami trudno zadzierać bez broni, bez harmat, bez zasobów, łagodniał powoli, ale znowu z uniesienia zemsty przechodził w szaleństwo rozpaczy, płakał, rwał sobie włosy, na kolanach prosił raczej o śmierć w boju niż o życie pod Niemcem. Była to jeszcze jedna czara żółci i octu, jaką ukrzyżowany na polskiej Golgocie musiał wychylić, jeszcze jedno upokorzenie, które wgrzyzało się mu w serce, ale darmo, trzeba było przejść przez wszystkie czyście. Rozwiązały się obozy, tłumy ludu z tęschnem sercem i z łzawemi oczyma wracały do rodzinnych zagród, tu i owdzie trafiając na pruskie żołnierstwo, które je bez litości mordowało; reszta obozów stosownie do ugody cofnęła się do wyznaczonych stanowisk. Zdawało się, że nadszedł czas reorganizacyi; Polacy święcie dochowali raz przyjętych warunków, Niemcy atoli i Żydzi na wieść o ugodzie Jarosławieckiej wybuchnęli wścieklemi krzyki oburzenia; podżegani przez Steinaecker'a i przez urzędników, otoczyli w Poznaniu dom Willisen'a, przeklinali go, grozili mu śmiercią, dopominali się zupełnej zatraty polskiego plemienia. Willisen widząc podłość komitetu niemieckiego, dowódców wojskowych, wyższych urzędników, rozbestwienie wojska, odjechał do Berlina po dalsze niby rozkazy względem reorganizacyi, w istocie jednak dla porzucenia raz na zawsze sprawy, która z obu stron goryczą zaprawiła mu pobyt w Księstwie;

<sup>1</sup> Miłosław, Książ, Nowe-Miasto i Pleszew.

w Berlinie, komitety miejskie okrzyknęły go zdrajcą kraju. Duch niemiecki wyszlachetniony na chwilę walką uliczną pierwszych dni rewolucyi, wrócił niebawem do dawnego tonu; z niewolnika, zwyczajem służalców przeszedł na tyrana, z uciemionego na ciemną: wsteczność otwarcie już potykało się z postępem, wyzwierało na wszelką wolność i wśród rewolucyjnej zawieji samolubnie poglądało, gdzie są słabsi, aby ich do szczytu obedrzeć.

W Księstwie tymczasem, urządztwo zagrożone zgubną sobie reorganizacją, tudzież Niemcy rozjuszeni szczepową nienawiścią, chwycili się nowego sposobu; korzystając z władzy urzędowej, którą wyłącznie dzierżyli, jak równie z wszędożytu w Księstwie żywiolu niemieckiego, zarzucili króla, Izbę w Berlinie. sejm w Frankfurcie, mnóstwem adresów domagających się przyłączenia ich do Rzeszy jako prawych synów Germanii. Prawi ci synowie Germanii, po większej części pochodzili z Palestyny, silnie jednak popierani byli przez urzędników niemieckich, którzy niedość, że między swoich rodaków rozsyłali okólniki o podział, ale nadto zdaje się, że na samem dnie piekła zaczerpnęli sposobów nakłaniania krajowców do zradzieckiego względem ojczyzny podpisu. Nie pora tu spisywać szereg wszystkich niecnót popełnionych w tej mierze przez urządztwo, wspominamy tylko dla przykładu: landrata Junker'a, który w Czernikowie zmuszał lud do podpisywania prośb, ogłaszał obywateli polskich Szuman'a, Paliszewskiego i innych jako wyjętych z pod prawa; burmistrza Kleiber'a w Jutroszynie i kommisarza powiatowego Findklea, którzy zaręczali włościanom, że król za wyróżnienie szlachty przeznaczą im w nagrodę dobra pomordowanych. Podobnie komunistyczne zasady szczepili: Kramer urzędnik w Słonawach, Niemiec Krupiński i wszyscy urzędnicy w powiecie Bydgoskim. Cóż dopiero mówić o sumieniu, gdy przyszło do obliczania ludności? kto był protestantem, tego zapisywano za Niemca; do jednorodowości z Żydami z rozrzewnieniem się przyznano, robotnikom z Pomeranii i z Szląska spędzonym do robót fortecznych i do dróg żelaznych kazano głosować jako krajowcom; obywateli, którzy usiłowali lud oświecać, prześladowano i więziono. Gabinet berliński i sejm frankfurcki, grabieżą znacząc pierwsze kroki na



drodze konstytucyjnej, ufne, że garstka Polaków niezdola oprzeć się kilkudziesięciu milionom Niemców, zawyrokowały przyłączenie do Rzeszy przeszło dwóch trzecich części Księstwa. Rewolucya w Niemczech jak widzimy, zależała jedynie na sprowadzeniu ze stopni tronu między naród żywotnych zasad absolutnej polityki. Pomazańcy z prawa bożego poczwórnje okradli Polskę, piąty raz okradał ją cały naród. Takowe postępowanie świadczyło o niezaprzeczonem ze strony Niemców postępie. Polacy niewiadomo dla czego, składali protestacye przeciw nowemu rozbiorowi ojczyzny, rząd zaś jak gdyby dla przekonania ich, że na drodze cywilnej sprawiedliwości nigdy nic z nim niewskórają, milczeniem zbywał ich skargi. Podział Księstwa rozżarzył jeszcze w obu stronach nieubłaganą zaciętość.

Tymczasem Niemcy zawisnem okiem poglądali na zawiązek siły narodowej kielkujący z wolna w obozach; niecierpliwie oczekiwali sposobności zdławienia reorganizacyi w samym pączku, ale niebyło nawet pozoru do zaczepki, gdyż Polacy w niczem nieprzekraczali ugody Jarosławieckiej; jeżeli zaś obozy zawierały większą liczbę ludzi, niż ugoda ją ograniczała, winni temu byli dowódczy pruscy, którzy rozsyłaniem kolumn ruchomych po kraju, zmusili lud do szukania w obozach przytułku przeciw barbarzyństwu rozpasanego żołdactwa. Prusacy brak wszelkich pozorów zastąpili gwałtem; pułkownik Bonin niezważając na piśmienne pozwolenie Willisen'a, na mocy którego ludzie z Pleszewskiego obozu, dla łatwiejszego wyżywienia przeniesli się byli w pewnej części do Odolanowa, uderzył na nich i zajął w niewolę; w kilka dni później, po krótkiej utarczce, rozbił oddział rozkwaterowany w Raszkowie.

Tu dopiero wszczęły się między Polakami a Niemcami zacięte boje, których prawdziwego filozoficznego znaczenia niepojmujemy, jak dotąd nikt z opisujących wypadki poznańskie niedotknął. Z jednej strony wojsko regularne, wyćwiczone, zaopatrzone w niewyczerpane wojenne zapasy, rozwścieklone w braku szlachetnych pobudek nienawiścią szczepową, rabunkiem, mordem i pożogą; z drugiej szczupłe zastępy ludu wiejskiego, powiększej części uzbrojone w kosy i w piki, zażęgnięte miłością do rodzinnej ziemi, prące się nie do zwycięztwa ale na śmierć. Przebiegnijmy kroniki bojów, poszukajmy, w jakim



czasie, w jakim narodzie wojna toczyła się pod równymi warunkami? Bywało dawniej, bywa i dziś, że występują naprzeciw siebie dwie strony, obie zbrojne, obie mające na widoku jakiś cel materyalny, ku któremu pycha je prawdopodobieństwo wygranej, ale napróżno badalibyśmy archiwa krwawych w ludzkości zatargów, nigdzie nieznajdziemy, aby kraj cały z próżnemi prawie rękoma powstawał przeciw dziesięćkroć przemagającej sile, aby z weselem rzucał się do boju bez żadnej nadziei zwycięztwa, bez żadnego celu materyalnego, bez żadnej możebności jakiegokolwiek zmiany na lepsze w jego losie, wywalczenia czego innego prócz garści rodzinnej ziemi, którą mu po zgonie oczy zasypią. W obec Prawdy i Ducha, bitwy poznańskie są w naszych czasach jednym z najznakomitszych wypadków. Zgangrenowane materyalizmem warstwy społeczeństwa, ciemne na sprawy toczące się nad zmysłowym ich widokręgiem, słysząc o walce, wołają: «czegoż chciał lud ten szalony, niedołączny karlik wyzywający olbrzyma? skądże w nim siła do tak nierównego boju? gdzie jakakolwiek korzyść z daremnie przelanej krwi?» — Niema odpowiedzi dla tych, których wzrok oslepił na wielkie boże sprawy! co tu mówić tym, którzy widzieli wrodzoną tylko a bezużyteczną waleczność w ludzie śpiewającym psalmy pod gradem kartaczów, którzy niezrozumieli, żeby lud mógł iść do walki niesiony przez ideę, nie zaś w skutek rozkazów gabinetowych lub rozbójniczej chęci zysku, którzy niepojęli, że siła tego ludu tak się miała do mocy nieprzyjacielskiej, jak nieśmiertelność do wiecznej zatraty, którzy za cel boju pragnęli stawiać doraźne korzyści, wystarczające dzisiejszej rewolucyjnej hałastrze a niepostrzegli nieocenionej dla całej ojczyzny zdobyczy, jaką lud poznański ostatnim swoim ruchem wywalczył. W istocie, idea świętego posłannictwa Polski, niezsumieniona w żadnym osobniku, niewcielona w żadnego z przywódców, niepojęta tem bardziej dla ludu, ale sama sobą potężna, ogarniająca massy niepowstrzymanym choć niewytłómaczonym zapałem, wyższa nad wszelkie ludzkie oględy i bożemi dary wieńcząca spełnienie swoich warunków, słowem: ta idea, która wbrew materyalnej przemocy, uwielmoża ciągle ducha Polski, przewodniczyła w tych strasznych pojedynkach, inaczej bowiem walk poznańskich nazwać niemożemy. Rok 1848<sup>y</sup> odpowiada w dzie-

jach Polski pierwszym dniom X<sup>o</sup> wieku, w których przesławny syu Mieczysława 1<sup>o</sup> obejmował władzę nad różnorodnemi słowiańsko-lackiemi plemiony. Bolesław Wielki założył państwo polskie; ostatnie wypadki poznańskie pokazały nam po raz pierwszy tworzący się naród polski. Przez te ośm wieków, które upłynęły od śmierci Chrobrego, niemieliśmy jeszcze narodu; niezapominajmy bowiem, że kraj, gdzie są niewolnicy, gdzie przywilej wywyższa jednych nad drugich, gdzie urodzenie jednym wszystko daje, drugim wszystkiego odmawia, kraj ten, powtarzamy, może być państwem, ale niejest jeszcze narodem. Wprawdzie żywioly składające naród tkwią w państwie, wyrabiają się między ludem, ale dopóki zupełnie się niewyrobiją, dopóty jest państwo ale niema narodu. Państwo, gdzie żywioly te pracują między ludem, nosi w sobie zarody nieśmiertelności, niemoże zaginać, ale jeżeli jęczy przemocą, wtedy tylko do bytu niepodległego koniecznie a niebawem dobić się może i musi, gdy pracą wewnętrzną za zasadę swego bytu w czynie postawi naród i w jedno z nim się zleje. Naród tak jest w państwie jak kwiat w pączku; kwiat dopóty się nierozwinie, dopóki światło i swobodne powietrze zarówno wszystkich jego części nieogarną. Dziś, z religijnem jedno przejęciem się uroczystością chwili, wolno nam poglądać na kształtowanie się stosunków społecznych w Poznańskiem; przed pięćmi miesiącami widzieliśmy tylko lud polski dzielnie odpierający gwałty niemieckie; przyzwyczajeni od dziesięciu wieków do wrodzonej narodowi naszemu odwagi, wcale niedziwiliśmy się powszechnemu męztwu i zapalowi, dziś atoli, gdy czas już nieco odsunął od nas wypadki, gdy nam je w całości obejrzyć dozwolił, z podziwem przypatrujemy się płodności wylanej krwi i podjętych poświęceń, rozpamiętywamy. jako w tej części Polski żywioly tworzące naród, poderwane naprzód wojennem uniesieniem, jęły w boju skupiać się i ustalać i jako następnie rozwijają się we wspólności oporu przeciw ciemnościom, w poczuciu wzajemności ojczystych obowiązków, w braterstwie, które zaczyna ogarniać wszystkie klasy na drodze równych dla ogółu praw, wspólnego trudu i wspólnych celów. Podania naznaczają pierwsze związki państwa polskiego w okolicach Gniezna i Kruświcy; historia w tychże samych stronach umieści kiedyś po raz pier

wszy powstający w człowieczeństwie naród polski, naród, którego napróżno szukalibyśmy w żyjącem z pańszczyzny królestwie, że niewspomnimy już o pogańskich pod względem społecznym Litwie i Rusi. Wypadki poznańskie w stosunku do całej sprawy uważać możemy jako różeczkę oliwną, zwiastującą, że dopelnia się już miara cierpień, że ziemia polska zaczyna osychać z potopu łez i krwi, z kału niewoli. Idea zwyciężyła nad materją; do wykształconych mieszkańców Księstwa należy teraz umieć ze zwycięstwa korzystać.

Rozmiar naszej pracy niedozwala nam wdawać się w szczegółowy opis walki, którego z resztą zważając na powyższe wnioski, usilnie dopominamy się od ludzi będących w stanie dokładniej pod tym względem zadośćuczynić ciekawości rodaków; co do nas, z żalem musimy poprzestać na ogólnem dotknięciu głównych wypadków.

Powiedzieliśmy już, że szalona zaciekłość Niemców, w braku innego, posłużyła im za dostateczny powód do uderzenia na obozy polskie rozłożone w miejscach ugodą Jarosławiecką wyznaczonych; po pierwszym zaś wystrzale niebyło już przyczyny, dla której Prusacy byliby niemieli korzystać z trzydziestu sześciu tysięcy królewskiego wojska, którego przeważna siła łatwe zwycięstwo obiecywała im nad szczupłemi hufcami narodowemi. W istocie w kilka dni po wyprawie na Raszków, pułkownik Brand w 3,000 ludzi uderzył na Książ broniony przez 750<sup>u</sup> Polaków, między którymi zaledwie 120<sup>u</sup> miało broń palną. Po krwawej bitwie okupionej życiem połowy krajowców a na ich czele dowódcy Dąbrowskiego, Prusacy weszli do miasta, spalili je, zrabowali, mordowali bezbronnych i rannych, dopuścili się gwałtów i okrucieństw, jakich wojny europejskie od dawna nie dały były przykładu. Kraj jęknął strasznym głosem przerażenia i rozpacz, ale warunki walki niepozwalaly mu marzyć nawet o zwycięstwie; drgnął więc boleśnie i w gorączkowej niespokojności gotował się do nowych klęsk. Bitwy poznańskie przybierały charakter rycerskich przygód opisanych nam przez Aryosta; z obu stron po większej części walczone pojedynczo; ogólne pobudki boju ustępowały miejsca osobistym nienawiściom i zapałowi. General Blumen w blisko 7,000 ludzi ruszył na Miłosław. 1,200 Polaków głównie uzbrojonych w kosy,



niemogąc wytrzymać gęstego ognia ręcznego i harmatniego, w nieładzie cofnęło się z miasta; wypadki Książa miały się powtórzyć, Prusacy zacierali ręce do rzezi, ale zwycięstwo nie mogło do razu odzwycząć się od wiania nad ulubioną mu chorągwią; w chwili, gdy obie strony najmniej się tego spodziewały, Białokórski, pamiętny dowódzca Pleszewskiego obozu, poparty przez Garczyńskiego z Nowego Miasta, nagle pokazał się z lasu, napadł na kirysyerów i żwawo począł siec ich kosami. Jazda pruska, nieznosząca oporu, złamała swoje szyki, zawróciła na miejscu i zdjeta dziwną żądzą nienaruszalności, pierzchała z nieopisanem przerażeniem, rozbijając po drodze szeregi własnej piechoty. Tu dopiero, Polacy z trzech obozów, wsiedli Niemcom na karki i jak za dobrych dawnych czasów daleko pędzili ich przed sobą. Zaledwie chciano wierzyć własnym oczom; odgłos o zwycięstwie rozbiegł się po okolicy, lud poczuł w sobie nieśmiertelność i odetchnął nadzieją przyszłego bytu, jaki mu Opatrzność zwiastowała cudownym wypadkiem potrzeby pod Miłosławiem. Zdaje się, że gdyby wówczas stanęło było w Poznańskim kilkanaście tysięcy takiego żołnierza, z jakim w r. 1831<sup>m</sup> zwątpiono o wyswobodzeniu narodu, Polacy byłiby szczerze pomyśleli o posunięciu się pod mury Berlina. Mierosławski atoli, z tym nawet biednym ludem wieśniaczym nieomieszkał korzystać z jego zapala, nieczekał już na Prusaków, ale sam na nich ruszył. Między Wrześnią a Sokołowem nastąpiła znowu bitwa i znowu wygrana dzięki trafnym i szczęśliwym rozporządzeniom Mierosławskiego. Lud z kosami nie wachał się natrzeć na działa; Jenerał Hirschfeld poszedł za przykładem Blumen'a, Prusacy naciskani przez powstańców nieoparli się aż o trzy mile od Wrześni, za wsią Gołczewkiem. niespodziany ten wypadek dwóch potyczek z Niemcami przewyższył wszystkich nadzieje; godność narodowa była zaspokojną, Polska poznała, że synowie jej nieodwykli od korda, czas było zaprzestać niepotrzebnego odtąd krwi rozlewu, tem bardziej, że z jednej strony Prusacy zbierali coraz groźniejsze siły, z drugiej zaś szczupłe hufce Polaków tak w ludzie jako i w dowódcach ciężkie poniosły straty i z każdym dniem coraz dotkliwiej cierpiały na brak zasobów wojennych a nawet żywności. Powstańcy pociągnęli ku Gnieznu ale dowiedziawszy się, że



w mieście pełno było wojska, nadto widząc się zewsząd otoczonymi przemagającą siłą, zawrócili do Miłosławia. Lud zaczął roschodzić się do domów; Mierosławski nieprzewidując żadnej przyszłości dla bezbronnej prawie garstki pozostałych, złożył dowództwo w ręce pułkownika Brzeżańskiego, który zawarł z Jenerałem Wedell'em ostateczny rozejm. Gdy przyszło do składania broni, Prusacy ujrzeli naprzeciw siebie zaledwie 35<sup>u</sup> uzbrojonych. Zdawało się, że kraj będzie mógł przez jakiś czas spokojnie odetchnąć, ale wojsko, Niemcy i Żydzi nienasycili jeszcze rozwścieklonej zawziętości przeciw narodowemu szerepowi. Żołdactwo rozbiegało się po dworach, rabowało, niszczyło, mordowało, wiązało właścicieli i wlokło ich do fortecy; żydzi po drodze z bezprzykładnem okrucieństwem pastwili się nad więźniami; lud polski nawzajem rozjątrzony postępowaniem ciemieżców i podochocony zwycięztwami pod Miłosławiem i Wrześnią, niepytał już o dowódców, powstawał z własnego popędu i gdzie mógł krwawo mścił się na wrogach. Poruszenia te ze strony ludu, jakkolwiek pociągały za sobą nieszczęsne skutki, logicznie atoli dadzą się wytłumaczyć, logiczniej za prawdę aniżeli zaślepienie kilku obłąkańców, którzy widząc, że oddalenie się Mierosławskiego, Białoskórskiego i innych sumiennych dowódców, było najwyraźniejszym znakiem bezużyteczności wszelkiej wojny, że podnieta ludu do boju wyrównywała prowadzeniu go na nieuchronną rzeź, niewachali się przecie dla zgubnego szalu lub dla junakieryi, rozpoczynać wojnę, którą nazywali partyzantką i gromadzili szczupłe zastępy w Gostyniu, w Rogalinie, w Trzeboni. Wyzyskiwano bezczelnie zapał ludu kosztem najzacniejszej części narodu; poświęcenia było bez miary, czerpano w niem też bez granic.

W Poznaniu tymczasem, po zgwałceniu przez Prusaków ugody Jarosławieckiej, komitet narodowy uważał swoje posłannictwo za skończone; rozwiązał się więc i zostawił obszerne pole komitetowi żydowsko-niemieckiemu, który z zaciętością wzrastającą w stosunku słabnięcia sił polskich, jady swoje na krajowców wylewał po miejscowych, szląskich, pomorskich i berlińskich dziennikach, podniecał wściekłość osadników i żołnierzy, wychodził na spotkanie więźniów prowadzonych do fortecy, plwał im w twarz i obluźgiwał błotem. W kraju roz-

jątrzenie coraz straszniej się rozplómięniało; nienawiść z obu stron fanatyzowała umysły, przyszłość zapowiadała ciężkie klęski, dla zapobieżenia którym Polacy wysłali do Berlina jeszcze jedną deputację, dopominając się w imię praw bożych i ludzkich o sprawiedliwość. Rząd, który, gdy chodziło o wymierzenie słuszności, nieumiał udzielić dostatecznej władzy Willisen'owi, tym razem z dyktatorską powagą wyprawił Generała Pfuel'a, dzisiejszego ministra tak zwanego zbrojnego wstecznictwa. Pfuel zaopatrzony w działa i w bagnety, przyjeżdżał jako rozjemca i uspokajacz i ażeby wedle nowo zdobytych przez swój naród zasad wolności i braterstwa kraj uspokoić i sprawiedliwość komu należało wymierzyć, ogłosił prawo doradne, na mocy którego każdy Polak schwytyany z bronią w ręku miał być natychmiast rozstrzelany; dalej zapowiedział reorganizację ośmiu powiatów, ośmnaście zaś wraz ze stolicą Księstwa przyłączył do Niemiec, zamknął miasto, niepozwolił żadnemu krajowcowi wchodzić ani wychodzić bez pozwolenia policji lub komitetu niemieckiego, poodbierał Polakom broń, natomiast zaś uzbroił Żydów, Niemców i osadników, pozapelniał powstańcami więzienia, wydał ich na łup rozjuszonemu żołdactwu, nareszcie przypomniawszy sobie średniowieczne germańskie zwyczaje, rozkazał piętnować lud wypuszczany z więzień. Mierosławski, po zawartej już ugodzie i złożeniu broni, wbrew wszelkiemu prawu także został schwytyany i do fortecy zaprowadzony; rząd dla nadania pozoru gwałtowi oskarżył go o zabicie jakiegoś rabusia, którego Mierosławski schwytawszy na gorącym uczynku, w chwili uniesienia, własnoręcznie był zastrzelił. W istocie, uważając postępowanie wojska i urzędników JKMei, niemożna było dziwić się, że Prusacy karzenie rabunku uważali za zbrodnię. Niemcy i Żydzi dzielnie dopomagali Pfuel'owi w uspokajaniu Księstwa; w kraju żołdactwo rabowało po wioskach, w Poznaniu Polak niemógł pokazać się na ulicy, w powiecie Bydgoskim dwaj właściciele niemieccy Treskow i Lüttichau, których nazwiska lud polski zapewne głęboko w pamięci zachował, gromadzili zbrojne szajki na wytępienie Polaków. Wkrótce dzięki gorliwości nowego pełnomocnika, w Poznańskim było tak spokojnie jak w szpitalu rannych; rząd nie miał już żadnej przyczyny zwlekać święcie

przyobiecanej reorganizacji, ale urządztwo i ludność cudzoziemcza jeszcze nienasyciły się ośmnastą wydartemi powiatami, jeszcze podnioły rozwścieklone głosy przeciw spełnieniu królewskich przyrzeczeń i sprawiły, że Pfuel przystąpił do nowego podziału. Trzy powiaty wraz z okrawkami kilku innych oddzielono dla Polaków, resztę zaś rzucono w paszczę Cerberowi poznańskiej biurokracji. Pomimo to i wtedy jeszcze ani jednej wioski niezreorganizowano, według treści bowiem postanowienia, Polak miał stanąć na czele tej administracyjnej reformy, Polak który podejmując się urzędu reorganizatora, zapisywał tem samem swoje nazwisko w czarną księgę zdrajców ojczyzny. Poznańskie niemogąc zdobyć się na podobnego urzędnika, uniknęło haniebnej reorganizacji i zaprawdę nic na tem niestraciło, jak tego niedaleka przyszłość dowiedzie.

Taki jest krótki zarys głośniejszych wypadków zaszłych w Księstwie, na których po rewolucyi berlińskiej, wstecznicztwo pruskie po raz pierwszy poszło w zapasy z duchem postępu i wolności. Sprawa polska w Prusach równie jak w reszcie Europy była probierzem dla wszelkich charakterów i postępowań, probierzem, który za jednym dotknięciem jasno wyświecał sumnę szatańskich żywiołów głęboko ukrytych w stronnictwach na zewnątrz jej działających; postępowcy niemieccy pierwszy raz w Poznaniu spostrzegli, że z berlińskich ulic zawczasie podjejmowali barykady. Lud poznański, główny bohater tych wypadków, z krwawego zamętu wyniósł promienną ideę narodowego bytu, umysłowi zaś pracownicy około losów ojczyzny mogli byli na przyszłość siła zbawiennych nauk wyciągnąć. Czyli nauki te pod pewnym względem niepójdą w las? — niewiemy, wątpimy nawet o zupełnej ich skuteczności, nikt bowiem niezaprzeczy, że gdyby Polska była korzystała z każdego ciężko nabytego doświadczenia, miałyby dziś z czego utworzyć niesłychany dotąd w dziejach naród mędrców. Nauki te do zaczerpania są nie w części bojów ludu z Niemcami, ale w działaniach cywilnych komitetu.

Po pierwszy to raz od ośmnastu lat, garstka Polaków mogła na rodzinnej ziemi odetchnąć przez chwilę życiem publicznem; obaczmyż, jakie po tylu latach wyprowadziła na jaw żywioły, z jakim wystąpiła doświadczeniem? Na nieszczęście, próżno



szukalibyśmy jakiegokolwiek siły organizacyjnej, darmo chcielibyśmy przymierzać ludzkie działania do wysokości wypadków, pierwsze znikną nam w obec drugich. A przecież zważając na gwar i na krzątania, zdawałoby się, że pracownicy ci świat zbawiają, niemówiąc już o podrzędnej kwestyi wywalczenia niepodległości ojczyzny. Zaledwie promyk samodzielności zaświta, wnet powstaje massa komitetów po wszystkich miastach, po wszystkich powiatach, w każdym komitecie mnóstwo członków, hurmem zbierają się radcy, wyprawiają na wszystkie strony deputacye, Atlasowemi siły podpierają ziarna piasku, stawiają ostateczne humanitarne zasady, rozporządzają szczegółami dalekiej przyszłości, sypią grad broszur, odezów, artykułów, aż dopiero gdy przychodzi do czynu, pęka bańka czczych usiłowań, pokazuje się, że wszystko co uczyniono, bez szkody a nawet często z korzyścią, mogło być nieuczynionem, komitety i rady rozwiewają się bez śladu jak nocne mary za nadejściem dnia rzeczywistości, krew tylko tu i owdzie ścina się w szerokich kałużach i girlanda tęschnych mogił wyrasta na ziemi dłużej niedoli.

Jednocześnie prawie z wypadkami berlińskimi, zawiązał się w Poznaniu komitet, przeciw składowi którego trudno co zarzucić, pomimo że w ogólnych jego działaniach bezpłodność rażąco wzrok nasz uderza. W obec bohaterstwa ludu poznańskiego i tych, którzy w szeregach jego walczyli, historia ma prawo zażądać surowego sprawozdania od cywilnych przywódców Księstwa.

Wspomnieliśmy już przy opisie rewolucyi w Berlinie, że z ostatnią swobodą wydartą królowi, z pierwszym zachceniem Fryderyka Wilhelma ujęcia steru losów ujednoczonej Germanii, przedstawił się wszystkim logiczny wniosek nieuchronnej wojny z Rosyją. Sama wreszcie idea wolności zwyciężająca w Europie, wywoływała koniecznie do boju wrażą jej zasadę caratu, czyli sprowadzając wniosek do dotykanych wypadków, kwestya wyswobodzenia Polski niezwłocznie musiała wystąpić na pole czynu. Przekonanie to oparte na prawdopodobieństwie szerokiego rozwijania się rewolucyi, cudzoziemcy nawet dzielili z Polakami i w tym też właśnie duchu, w tej nadziei walki mającej wkrótce nastąpić, komitet poznański wziął się do dzieła.



Reorganizacya Księstwa słusznie wydawała się podrzędnym celem w obec wyjarzmienia całej ojczyzny, o przeszkodach ze strony niemieckiej wcale niemyślano, szczerem sercem ofiarowano jej nawet braterstwo w zamian za szlachetne postępowanie ludu berlińskiego względem więźniów moabickich. Skoro zatem wojna z Rosyą była jedynem następstwem wypadków i celem powszechnych usiłowań, nie dziw, że komitet wszelkie inne względy dla tego głównego porzucił i postawił logiczną zagadkę, jak się należy do tejże wojny sposobić? Odpowiedź była nie trudną; do wojny trzeba było wojska, dla utworzenia wojska należało zwołać lud, uorganizować go i uzbroić, dla uzbrojenia zaś wypadało zebrać potrzebne na temu pieniądze i zakupić broń. W dopełnieniu tych warunków, komitet nie mógł żalić się na brak zasobów. Zapału i poświęcenia było jak zwykle w Polsce siła, czyli że lud gotowym był do walki, właściciele do podjęcia wszelkich pieniężnych ofiar. Oficerowie tak w samem Księstwie osiadli jako też przybywający z wychodztwa, czekali na rozkazy zajęcia się organizacyą wojskową. Szeregowanie i zbrojenie ludu mogło tylko w jeden sposób dać się korzystnie skutecznic; komitet miał na swoje usługi masę kommisarzów, nic zatem niebyło łatwiejszego jak za ich pośrednictwem urządzić w każdej gminie poszczególną organizacyę oddziałów, ćwiczyć je i wprawiać w wojenne obroty i następnie w danej chwili staropolskim wiecowym trybem rozsypane po kraju części skupić w jedną całość. Gmina była i będzie osiową zasadą życia publicznego i prywatnego u polskich pokoleń; na gminie jako na zasadzie wynikłej z ducha czysto narodowego, należało oprzeć cały porządek działań, jeżeli komitet chciał urządzić siłę, która w razie nieużyteczności byłaby łatwo mogła zwinąć się, niewywołując żadnych rozruchów, w razie zaś potrzeby stawała gotowa na pierwsze hasło. Gromadzenie tysięcznych zastępów w jedno miejsce, wtedy, gdy komitet nie miał jeszcze żadnego zapewnienia urzeczywistnionego ze strony rządu, ani nawet sumiennego przekonania o następstwie ruchów politycznych, wtedy gdy niesprowadził jeszcze ani jednej sztuki broni, gromadzenie to powtarzamy oprócz trudności i kosztów wyżywienia, którym po gminach byłoby daleko łatwiej zadośćuczynić, wywoływało nieszczęsne skutki, jakie koniecznie mu-

siały wyniknąć z massowania ludu, który przestał już być wieśniaczym a nie był jeszcze żołnierskim. Jeżeli komitet nie miał dość władzy i sprężystości, ani do zaprowadzenia systemu gminowego, ani do zapobieżenia oczewiście zgubnemu gromadzeniu się 20<sup>0</sup> tysięcznego zastępu, w takim razie otwarcie przyznawał się do bezwładności i jako bezużyteczny, z samejże istoty każdego bezużytku, mógł tylko zgubnie przynieść skutki, co było do dowodzenia. Komitet sejmikował i niemógł co innego czynić, dotąd bowiem jest u nas w zwyczaju, że gdzie tylko zbierze się kilku rodaków, tam natychmiast tworzy się komitet i od początku aż do końca swego bezpłodnego istnienia, ciągle sejmikuje.

Następnie gdy zebrały się obozy, gdy dowódcy rozpuścili je wbrew woli ludu, gdy Niemcy zgwałcili haniebnie ugodę Jarosławiecką i krew polska popłynęła, słowem, gdy przyszło do czynu, komitet uznał posłannictwo swoje za skończone, rozwiązał się i zostawił obozy własnym ich losom. Drugi dowód bezwładności a zatem bezużyteczności komitetu, niepodobna bowiem przyjąć tłumaczenia, że skoro komitet niepodzielał idei wojny ludowej, miał tem samem prawo usunąć się na zewnątrz działającego narodu. Obowiązkiem każdego rządu jest regulowanie ruchów narodu, nie zaś w skutek sprzeczności zdań, Achillesowy odwrót do namiotów, i jeżeli komitet nieumiał zapobiedz gromadzeniu się obozów, jeżeli niezdolał przewidzieć następstw i bieglemi zachody uniknąć rozlewu krwi rodaczey, wtedy niepowinien był wachać się w przyjęciu odpowiedzialności za logiczne wyniki ze swoich błędów, wtedy mógł być odgadnąć, że w epokach rewolucyjnych przychodzą chwile koniecznego rozbratu z rachubą, że niema nad czem rozmyślać tam, gdzie krew się leje i wściekła wojna wybucha, że jedynem hasłem jest: «czyń co powinienes i niech się dzieje wola boża,» i że nareszcie, gdy lud pędzony przeczuciem parł się do wojny, gdy Niemcy szczerze chcieli go wytępić, niepozostawało jak rozbić się po kraju, wywołać najostateczniejsze siły i rzucić je w wojnę szczepową. Zwycięstwa pod Miłosławiem i pod Wrześnią-przekonały, że z Prusakami łatwiejsza była sprawa aniżeli z początku myślano; że dawszy im się kilka razy we znaki, można było zawrzeć korzystniejszą od Jarosławieckiej ugodę. Tu komitet dałby się jeszcze usprawiedliwić brakiem

broni, w skutek którego zbrodniczy tylko obłąd mógł tłumy ludu polskiego wyprawiać na niezawodną rzeź. Zaprawdę, ciężki to do pokonania argument, wszelako pozwolimy sobie napomknąć, że komitet miał dość pieniędzy na zakup broni, i jeżeli lud z kosami musiał wytrzymywać ogień kartaczowy, winą to było delegatów komitetowych, którzy z bezprzykładnem niedołęztwem dopełniali wydanych im poleceń. Za czasów Konwencji komitet paryzki Zbawienia Publicznego byłby niezawodnie pod tym względem daleko lepiej usłużonym, ale też rozkazy swoje na czem innem opierał niż na sentymentalnem uczuciu obowiązku, tam gdzie to uczucie zaledwie dopiero kiełkuje. Niedbalstwo to w sprowadzeniu broni wymawia nawet Mierosławskiego, że w stanowczej chwili niepokusił się o pochwylenie dyktatury i o przyjęcie całej odpowiedzialności na siebie. Komitet umiał przewidzieć, że wojna szczepowa kłęski tylko może za sobą pociągnąć, niepotrafił atoli odgadnąć, że gromadzenie obozów musi też wojnę wywołać. W ogóle, zjawisku temu, ujemnego całkiem wypadku z dodania ważnych przecie samych w sobie jednostek, dwojaką przyczynę można naznaczyć; pierwszą, którą postrzegamy, zważając, że w Europie rewolucyjnej, komitety, rady, rządy, mało lub prawie nic już dziś niedziałają, że historia bezpośrednio wyrabia się przez gromady, że lud zwykle porywa przywódców wbrew ich chęciom a zwłaszcza zamiarom; drugą przyczynę względną i wyłączną naszej narodowości spotykamy w zupełnym a nieszczęsnym dla nas braku żywiołów organicznych w Polsce. Duch polski, w skutek długiego uciemnienia narodu, niemogąc rozwijać się wedle rodzinnych, właściwych sobie warunków, w wykształconej zwłaszcza warstwie, chętnie czepiał się form zagranicznych, między któremi lgnął najbardziej do społecznych francuzkich jako do najpokrewniejszych swojej istocie. Silne skupianie się francuzkich stronnictw w czasie pokoju i tworzenie władzy w chwilach najgłębszych zaburzeń, nęciło Polaków do naśladowania przyjaznego im ludu; chociaż warunki wywołania tejże samej formy, w obu narodach rdzenną między sobą przedstawiały różnicę. Francya jest krajem, gdzie żywioł organizacyjny, otrzymany w spadku jeszcze po Rzymianach, najsilniej się między ludem rozwinął. Kilkunastu chłopców ulicznych



broniących barykady, wcale się z sobą nieznosząc, mimowolnie ślepo ulega władzy jednego przywódcy, i tak dalej moglibyśmy rozwinąć długie pasmo dowodów tej niesłychanej siły dośrodkowej, jaka między wszystkimi klassami, we wszelkich położeniach, spojnością i potęgą zjednoczenia, ukrzepia każdy ruch ludu francuzkiego. Cale inaczej dzieje się w Polsce, gdzie siła odśrodkowa jest pierwszą zawadą do pokonania w każdym przedsięwzięciu, gdzie żywioł rozprzężenia nieda się wytłumaczyć ani anarchią ani indywidualizmem. Zarzut anarchii, o którą powszechnie nas obwiniają, jest zupełnie niesłusznym; pod względem organizacyjnym niedorośliśmy nawet do anarchii, w istotnem bowiem nie zaś napływowem znaczeniu tego wyrazu, anarchia oznacza ten stan, gdzie każda jednostka działa na swoją rękę, gdzie każdy poczuwa w sobie zdolność do kierowania losami narodu, gdy tymczasem w Polsce, większość popędliwiej niż gdziekolwiek garnie się pod władzę, ale stawiając ją na czele, nigdy nieumie jej uszanować, zawsze pogląda nań z nieufnością, z zawiścią a nawet z pogardą; dziś opromienia ją urokiem nieograniczonej wziętości, nazajutrz znudzona wydziera jej ster z dłoni i ubezwładnia nieuzasadnionym ostracyzmem opinii. Co do indywidualizmu, mówiąc o narodzie nie zaś o wyjątkowej klassie, która od stu lat własnemu bytowi sprawę ojczyzny poświęca, ten w samolubnem pojęciu wyrazu niepostał nawet na żadnej karcie dziejów polskich. Przeciwnie, — jedynym żywiołem zdrowej części narodu, żywiołem, który okupił nieśmiertelność Polski, który wywalczył jej w historii tak wzniosłe stanowisko, który jest osiowym warunkiem i rękojmnią konieczności wyjarzmienia jej i przyszłego bytu, którego potęga ostatecznie przyczyni się do rozwiązania rewolucyi w społeczeństwie, żywiołem tym od dziesięciu wieków złotą nicią przetykającym pasmo dziejów polskich, jest przymiot wstrętny indywidualizmowi, jest poświęcenie bez granic, jest duch braterstwa i bezprzykładnej miłości dla idei ojczyzny. Gdyby ten zapal ku sprawie, gdyby ta każdochwilowa gotowość do poświęcenia, dały osadzić się na odpowiednich sobie biegunach władzy i posłuszeństwa, reszta trudności w wyswodzeniu o co większa w ukonstytuowaniu Polski zajęłaby podrzędne tylko stanowisko. Dziś, gdy wszelkie względy polityczne i spo-



łeczne, względy pomniejszych w kraju, który sam jeden w Europie najwięcej ma do budowania a najmniej do burzenia, ustępują pierwszeństwa wyłącznej dla wszystkich umysłów sprawie wyjarzmienia, dziś jasno i ostatecznie przekonywamy się, że żaden kongres, żaden układ, żadne poplecznictwo Francyi lub wrażyż nam Niemiec, niewyswobodzą Polski; wolność niedaje się ale zdobywa i Polska jedynie na polu bitwy zatknie po raz pierwszy proporzec niepodległości. Walka jest nieuchronną; wszyscy się do niej sposobią, ale dla upłodnienia właśnie każdej kropli krwi rodaczey pragnęlibyśmy, aby powyżej wzmiankowane żywioly, których brak tak dotkliwie dotąd nam dolegał, raz przecie objawiły się w narodzie w chwili podjęcia najcięższego trudu, spełnienia najważniejszego dzieła. Nieprzesądzając wypadków, dalecy od systemów i doktryn, którym nie od dziś już wypowiedzieliśmy zaciętą wojnę, niemożemy jednak uniknąć od postawienia naszych wniosków na przyszłość. Bolesnie uderzeni stanem rozprężenia, brakiem żywioly władzy i posłuszeństwa, nieraz zastanawialiśmy się, jaką koleją rozwinie się proces wyjarzmienia Polski, i zawsze badania nasze sprowadzały nas do tychże samych wniosków, które wyrazimy tu nie w kształcie teoryi ale po prostu w formie pierwszego rozporządzenia przyszłego rządu rewolucyjnego polskiego. Oto mniej więcej treść, w jakiej radziłybyśmy widzieć ogłoszoną pierwszą odezwę naczelnika powstania:

«Zważywszy:

«że głównym i jednym celem, dla którego naród porywa się «do broni, jest niepodległość ojczyzny;

«że niepodległość ta, jako skutek wyswobodzenia może być «jedynie osiągniętą za pośrednictwem pomyślniej walki przeciw «dotychczasowym ciemiężcom kraju;

«że kwestye wolności społecznej, praw osobistych, swobód «wewnętrznych, ustępują pierwszeństwa głównemu celowi wy- «jarzmienia narodu;

«że pomieniony cel do jednego sprowadza wszystkie usiłowa- «wania, wszystkie obowiązki;

«że cel ten pod jedną kategorię podciąga wszystkie zbrodnie «począwszy od obojętności aż do wykroczeń przeciw prawom «ogólnym i osobistym członków narodu;

że potrzebując wywołać wszystkie potęgi, wszystkie siły «w kraju, wchłania w siebie zarazem całą działalność krajowców;

«Naczelnik powstania postanawia, co następuje:

«Od dnia dzisiejszego aż do skończenia wojny, zawiesza się «używanie wszelkich wolności, jakoto wolności druku, stowarzyszenia się, zawięzywania komitetów lub klubów, podawania «prośb lub adresów, słowem jakiegokolwiek mieszania się «w sprawę rządu.

«Razem z wydaniem powyższej odezwy, Naczelnik powstania wybiera i ustanawia trybunał rewolucyjny, który pod «jedną kategorię podciągnie i zgodnie z jednością celu, z jednością obowiązku, jedną karą obejmie wszystkie zbrodnie «począwszy od obojętności aż do wykroczeń przeciw prawom «ogólnym i osobistym członków narodu.

«Trybunał rewolucyjny niebędzie mógł dłużej nad dwadzieścia cztery godzin zatrzymywać więźnia bez sądu.

«Lud polski w imię Boga i Ojczyzny zabierając się do świętego dzieła, przyjmuje za hasło: walka przeciw wrogom! «posłuszeństwo władzy!»

W podobnym duchu, powtarzamy, radzibyśmy widzieć pierwsze rozporządzenie człowieka, który stanie na czele narodu; mniejsza o jego osobistość; jakakolwiek ona będzie, dzięki pojedynczości władzy, mniej on poblądzi aniżeli sejm, niż komitet, niż rada; nadto, rękojmia odpowiedzialności, która niknie wśród wielu przywódców, niewypowiedzianie silną jest dźwignią, gdy spoczywa na jednej tylko głowie. Stan takowy byłby najwyższym wyrazem despotyzmu; niezaprzeczymy, przeciwnie, — rzucając ten ogólny zarys, mieliśmy na celu zaprowadzenie żelaznego despotyzmu, spartańskiej dyktatury; podczas wojny bowiem uważamy naród za jeden obóz podlegający prawu wojennemu, z resztą. rząd podobny dla ludu niemiałby nic odstraszającego; lud, nawet w chwilach najsromotniejszego rozprężenia, poświęcał się, walczył, nierozprawiał, ulegał władzy i pomimo to zapadał później w niewolę gwoili niepoświęcającym się, niewalczącym, rozprawiającym i nieulegającym władzy. W kraju, gdzie toczy się bój za niepodległość, jedynym zgiełkiem ma być wrzawa wojenna, jedynym odgłosem huk wystrzałów

i okrzyk «hurra! naprzód na wroga!» Na zewnątrz pola bitwy powinna panować cisza, przerywana kiedy niekiedy wyrokami sprawiedliwości ludowej, wyrokami trybunału rewolucyjnego. Gdy krew buchnie człowiekowi do mózgu, lekarz niezwołuje towarzyszków na narady, ale ratuje go pierwszym lepszym ostrym narzędziem, jakie mu pod rękę podpadnie; środek to jedyny do zastosowania w rozpacznych położeniach narodów, środek, który w roku 1792<sup>im</sup> ocalił Rzeczpospolitą francuzką. Rostwórzmy obce, zwłaszcza też własne nasze dzieje a przekonamy się, że w ostatecznych chwilach narodu, ludzie samowładnie chwytając ster rządu, wyrwali kraj z przepaści; sejmy, komitety i rady lud okupywał zawsze ciężkiem jarzmem niewoli. W r. 1848<sup>ym</sup> na ziemi narodowej mieliśmy dwa komitety, z tych jeden, poznański, niewywołując wywołał wojnę ludową, wywoławszy ją, znikł w obec wypadków, niestanął pośród obozów; drugi, komitet krakowski, gdzie naśladowano rewolucję paryzką, chociaż niebyło Ludwika Filipa do wypędzania, gdzie rząd liczył więcej członków, aniżeli wojsko narodowe żołnierzy, rozprawiając i sejmikując na bruku krakowskim, zamiast bezzwłocznego przedarcia się do Galicyi, gdzie obecność jego daleko więcej mogła się przydać, rozwścieklił czyhających na krew polską zbirów austryackich, spowodował że żołdactwo zaufane w fizyczną przewagę odważyło się bombardować miasto, że wypędzono emigrację, która ledwo co odetchnęła rodzinnem powietrzem, że nareszcie lud znowu krwią i mieniem okupił dobrodziejstwo komitetów i przyjemność sprowadzonych z Paryża klubów.

Przez Boga, czas już potrzaskać spleśniałe larwy, czas, aby hasło: «wszystko dla ludu i przez lud» raz z zgiełkliwego wykrzyku w sumienny czyn się zmieniło.

## VI.

Rewolucya w Niemczech zakładała sobie dwa cele, których cieszyła się nadzieją bezwzględnego dopięcia: pierwszym było uzyskanie praw i swobód właściwych ludom ulegającym systemowi konstytucyjnemu, drugim ujednoczenie Niemiec za pośrednictwem sejmu obradującego we Frankfurcie i władzy centralnej dla wszystkich germańskich plemion tamże ustanowionej. Pierwszy cel, dzięki wypadkom zaszłym po głównych miastach, zdawał się zupełnie osiągniętym, chociaż wstecznicstwo w tej mierze całę przeciwnego było zdania; drugi, w teoryi również nic niepozostawiał do życzenia, w czynie atoli niemógł wmówić wiary w swoją powagę, chociaż zjazd frankfurcki szczerze brał się do dzieła, chociaż na całę gardło zewsząd jednoplemieńców pod swój proponiec zwoływał, a raczej każdą ziemię, gdzie Niemcy gwoli grabieżom lub gościnności krajowców byli osiedli, w registr prawnych germańskich własności zaciągał. Parlamentarne te podboje, których sejm frankfurcki dokonywał, uderzając tam, gdzie niełekał się oporu, wywoływały konieczne oddziaływanie między plemionami słowiańskimi jako głównymi ofiarami popędliwości Niemców do zdobyczy przedsiębranych za pomocą skrzyppu piór i obradnych zgiełków. Cheiwość teutońska, która przypominała dawne krzyżackie grabieże, omijała wszelako przyjętą zasadę połączenia jednoszczepowych krajów tam, gdzie byłoby jej wypadło zetrzeć się z przeważniejszą siłą; zjazd frankfurcki udawał, że niepostrzega, jakiego rodu mieszkańcy zaludniają nadbałtyckie prowincye Rossyi. Alzacę lub Lotaryngią, natomiast atoli wetował straty napadami na K<sup>two</sup>



Poznańskie lub na Słowian poddanych Habsburgów. Wprawdzie dotąd były to tylko pia desideria sejmu frankfurtskiego, była to chętka niepoparta ani władzą ani czynem, wszelako samo objawienie tych zaborszych chuci, w chwili, gdy właśnie narodowości dobijały się praw swoich i swobód, rzuciło popłoch między pokrzywdzonych, nietyle między Poznańczyków, którzy oderwani od reszty ojczyzny, najpomysłniejsze nawet dla siebie stanowisko uważali za tymczasowe, jak raczej między Słowian austryackich, którzy niepodzielnie złączeni pod rządem cesarskim, w zwyczajkiej rewolucyi wiedeńskiej witali i dla nich świtającą erę swobody.

Wojny napoleońskie, których najważniejszym skutkiem w historii było rozbudzenie różnych narodowości. główny pod tym względem wpływ wywarły na różnorodne plemiona poddane władzy austryackich monarchów. Słowiańskie zwłaszcza narodowości zaczęły odtąd poczuwać w sobie prawa do samoistnego bytu, ale krępowane szatańskim systemem Księcia Metternicha, zaledwie na drodze literackiego i to gramatykalnego, że tak powiemy, postępu, dawały słabe oznaki życia. Wszelako potęga prawdy sama z siebie była tak silną, że i na tej ścieżce pokątnych usiłowań, przyprowadziła odwiecznych pokrzywdzeńców do uznania w sobie pierwszych praw człowieczych i jeżeli nie uwielmożyła ich dostatecznie do śmiałego i otwartego dobijania się o te prawa, to przynajmniej rozdrażniła na zadawane im krzywdy, zsumieniła w nich brzask uczucia własnej godności i zaszczepiła żądzę do oddzielnego, samoistnego a właściwego im rozwoju. Wtedy to Słowianie austryaccy naciskani z jednej strony przez Niemców, z drugiej przez Węgrów, widząc się w niemożności sprostania dwóm zażartym wrogom a pomnąc jednak, że co do liczby, szczerp ich razem złączony, w dwójnasób przewyższał ilość ciemiężców, poczęli marzyć o zjednoczeniu wszystkich plemion słowiańskich, raz dla tego, że w tym związku upatrywali jedyny dla się środek wyzwolenia, drugi raz, że przyprowadzenie do skutku ich zamiarów obiecywało im czynną pomoc Słowian niezawisłych i mogących wdać się w dzielne poparcie ich widoków. Z niedołężności więc wywalczenia własnymi siłami swobody, powstał między Słowianami austryackimi panslawizm, idea, której celem było połączenie

się z Rosyją, w zamian za pomoc tejże w zrzuceniu jarzma Niemców i Madziarów. Rosyja całemi siłami choć tajemnie, ideę tę podtrzymywała, rozsyłała słowiańskim literatom ordery i książki, gorąco przyznawała się do spółplemiennych uczuć, nareszcie w r. 1828<sup>ym</sup> przedsięwziąwszy wojnę przeciw Turcyi; za jeden z głównych powodów postawiła ucisk, jakiego pobratymcy jej doznawali pod rządem Mahmuda. Szlachetne to postępowanie względem ciemiężonych braci, roznieciło w Słowianach austriackich niewypowiedziany zapal ku Rosyi; Cesarza Mikołaja nazywano pierwszym swojego wieku bohaterem, zbawicielem ludów, panslawizm zaś z błędnej doktryny zaczął przechodzić w religijne przekonania narodu. Tymczasem bohater, pomimo zwycięstw wojsk swoich, uciekłszy sam z pod Warny, zawarł z Sułtanem pokój, w skutek którego carat rozszerzał swoje granice, ale Słowianie z pod jarzma tureckiego w niczem losów swoich niepolepszali. Zwolennicy panslawizmu z zadumieniem spojrzeli po sobie; polityka Rosyi oczywiście na fałszu oparta, za cel kładła podboje, nie zaś rozwijanie narodowości, za środek ujarzmienie, bynajmniej zaś wyzwalenie uciemiężonych. Większa część panslawistów ostygła z pierwszego zapalu, inni niemogli od razu odepchnąć długo pieszczonych marzeń, niektórzy powodowani osobistemi widokami pod pokrywą społecznia dla ludu, uparcie trzymali stronę rządu rosyjskiego, gdy w tem powstanie polskie 1830<sup>o</sup> r. do reszty otworzyło oczy dobrej wiary panslawistycznym zaślepięcom. Krwawe boje Polaków przekonały Słowian austriackich, że połączenie z Rosyją jednoznaczniem było z poddaniem się w ciężką niewolę, że braterstwo Cesarza Mikołaja ze Słowiańszczyzną wyrównywało mitologicznemu stosunkowi Kaima z Ablem. Runęła idea panslawizmu między południowo-zachodnimi Słowiany; przestano marzyć o dobrodziejstwie carskiej opieki, zwłaszcza zaś po powrocie kilku młodych Czechów, którzy dla naocznego przeświadczenia się o stanie wewnętrznym Rosyi wyprawili się byli w odwiedziny do północnych spółbraci, wszyscy sumienni panslawiści z pośpiechem wyparli się pierwszych przekonań. Odtąd Rosyja tyłu tylko miała zwolenników, ilu ich potrafiła zakupić; w Czechach najmniej, więcej zaś u Czarnogórców, gdzie władzka całe niebył obojętnym na

dary Patryarchy swego wyznania i Cesarza Wszech Rossyi. Ogół Słowian austriackich, porzuciwszy ideę panslawizmu, jął przemyślać nad wyzwoleniem się o własnych siłach, pracował nad wykształceniem ludu, zakładał dlań szkółki, pisał książki, wydawał czasopisma, otrząsał z pyłu zapomniane ojczyste dzieje, oczyszczał z cudzoziemskiej pleśni rodzinną mowę, wprawiał się w jej używanie; o bycie niepodległym, o samodzielnem wystąpieniu na polu historii wcale niemarzył, drobne przyzwolenia dla form narodowych i także swobody konstytucyjne, pod których letniem ciepłem mógłby dalej się rozwijać, za ostateczny kres marzeniom swoim zakładał. Korzyści otrzymane przez ruch wiedeński z 15<sup>o</sup> Marca, od razu przewyższyły oczekiwania najzapaleńszych patryotów. Ochłonawszy z pierwszych uniesień, Słowianie austriacy pomyśleli zaraz o wyciągnięciu dla siebie wszelkich wygod, jakie system konstytucyjny zapowiadał mieszkańcom Cesarstwa, ale wraz z świtającą dla nich jutrzenką swobody wystąpili przeciw nim dwaj wyż wzmiankowani nieprzyjaciele: Niemcy i Madziarzy, którzy także swoim sposobem zapragnęli poszukać własnego zysku w nowym porządku rzeczy. Niemcy mieli już swój zjazd frankfurcki, który krzątał się około ich sprawy; Madziarzy najswobodniejsi w Cesarstwie przed rewolucją, po wypadkach wiedeńskich zdobyli sobie wyłączne ministryum, rozparli się u siebie kosztem sąsiadów, zaczęli więc i Słowianie, mianowicie Czechowie, dzięki wywalczonej przez lud wiedeński swobodzie stowarzyszania się, obwołali zjazd probatymców do Pragi celem wspólnej narady nad stanowiskiem, jakie wypadało im zająć w obec otwierającej się przed Europą nowej epoki. Pradze jako najstarożytniejszemu w Słowiańszczyźnie miastu, należało pierwszeństwo w wyborze na miejsce zjazdu, zewsząd więc uprzejmie odpowiedziano na zaprosiny Czechów; ci zaś z swojej strony, aby także i cudzoziemców uwiadomić o celu zebrania, wydali odezwę do innorodnych ludów Cesarstwa, w której wyraźnie oświadczyli, że wierności swojej do domu Habsburgsko-Lotaryngskiego nigdy nienaruszą, że obcym narodowościom niechęcią ubliżać ani też ich uciskać, ale że owszem pragną, aby każda bezpiecznie praw swoich używała i że nareszcie zjazd słowiański ma jedynie za cel zawarcie przyjaźni i zapewnienie sobie z pobratymcami wzajemnego

sojuszu, z wszelkim szacunkiem dla cudzych praw i swobód. W istocie, przy końcu Maja, wielu deputowanych a więcej jeszcze gości zjechało się z ziem południowo słowiańskich, morawskich i galicyjskich. Zjazd rozdzielił się na trzy części wedle trzech gałęzi szczepu słowiańskiego w Austrii zamieszkałego, mianowicie na 1<sup>a</sup> złożoną z Czechów, Morawian i Slovaków; 2<sup>a</sup> obejmującą Polaków, Rusinów i Ślązaków i 3<sup>a</sup>, w której zasiedli Słowienicy, Chorwaci, Serbowie i Dalmaci. Powybierano starostów, kommissye, doradców, zastępców, słowem upożytkowano doświadczenie, jakiego Słowianie nabrali, podlegając przez tak długo niemieckiej biurokracyi, i 3<sup>o</sup> Czerwca zjazd otworzył swoje czynności uroczystym posiedzeniem, na którym z każdego plemienia wystąpił jeden mówca, witał po raz pierwszy zebranych pobratymców i wspominał o celu zjazdu mianowicie o zawarciu sojuszu między jedнопlemiennymi ludy i o utrzymaniu praw należnych wydziedziczonym od dawna narodowościom.

Ciekawa to była chwila zebrania tych różnorodnych odrostków z jednego pnia Słowiańszczyzny, tych pobratymców, którzy oddawna słysząc o sobie, po raz pierwszy gromadzili się w jedno miejsce, którzy mało znani Europie, sami niewiele więcej znali się między sobą, którzy dotąd podzieleni, pilnowani przez rządy, niemogąc poznać wzajemnych dążeń i zasobów, znosząc się jedynie na małych badanych ścieżkach literackich, przystępowali teraz do ważnego dzieła, do okazania, ile kto z nich talentów przyrobił, ile rostrwonil, ile zakopał. Każde plemie przynosiło właściwe sobie i odmienne od drugich żywioły: każde z względnie sobie stanowiska poszczególne cel ściagało, cel, który dopiero za wspólnem porozumieniem chciano jeden dla wszystkich postawić.

Polacy, politycznie najwyżej wykształceni, zaufani w nieśmiertelność tej narodowości, którą kraj wywalczył długą krwawą pracą, bynajmniej nietroszczyli się o uchronienie w jej zatraty. Chcąc zatrzeć ich narodowość, trzeba było wprzód zaprzeczyć jej historję, fałsz zadać utrzymującym ją ciągłym poświęceniom, zagładzić długi szereg ofiar i wspomnień, zniszczyć dziejowe Polski stanowisko, na którym rewolucya opierała rdzenny przewrót wszystkich stosunków Europy a nawet ludzkości, słowem, trzeba było cały chyba ród do szczytu wytępić,



lub co w możebności wykonania na jedno wychodziło, ziemię polską wydrzeć z globu i w bezmiar ją rzucić. Narodowość dla Polaków miała też same co ludzkość warunki i prawa do bytu; niepożyta w swoich posiadach zarówno niepotrzebowała uznania, jak niełękła się zaparcia. Polsce chodziło o niepodległość, o wyjarznienie, którego mogła dostąpić w skutek szeroko rozwijającej się w Europie rewolucyi; część jej zagarnięta przez Austryę dążyła przedewszystkiem do złączenia się z resztą ojczyzny, stan tej części pod każdym względem mógł tylko być tymczasowym i wszelkie prawa lub swobody, według jakich wolno było innym ludom austriackim stale się organizować, dla Galicyi o tyle tylko miały wartości, o ile przysparzały jej środków do dzielniejszego kiedyś wystąpienia w walce za wolność całej ojczyzny. Stąd, między oddziałem polskim a resztą zjazdu, w ogólnym celu leżało niezwalczone przeciwieństwo; Słowianie austriaccy niespodzianym trafem dostawszy się do jakich takich swobód i lękając się, aby nowy traf nieodebrał im tego, na co sami niezapracowali, postanowili wszelkiemi siłami wstrzymać, na miejscu osadzić rewolucyę; przeciwnie, Polacy, jeżeli dobrze pojmowali swą sprawę, musieli chwycić się co najdzielniejszych sposobów dla doprowadzenia rewolucyi do ostatecznych jej wniosków. Tak więc, chociaż zjazd zdawał się obradować na wspólnie przyjętych zasadach, w czynie jednak treściwe rozłamanie ducha byłoby ubezwładniło wszelkie jego przedsięwzięcia; jeżeli bowiem reszta Słowian zawzięcie czepiała się polityki zachowawczej, nawzajem Polacy musieli działać rewolucyjnie a więc wstrząsać, rozwalać i niszczyć.

Czechowie zwłaszcza, Morawianie i Słowacy, znajdowali się wcale odmiennem położeniu.

Od 228<sup>u</sup> lat, czyli od bitwy pod Białą Górą, w której narodowość czeska uległa pod stanowczemi ciosy Niemców, kraj zapadł był w ciężki letarg. Cesarz Ferdynand I., wymordowawszy znaczną część mieszkańców, wypędził 30,000 rodzin z ojczystej ziemi, ogniem i mieczem tępił materyalną siłę narodu, podczas gdy Jezuita ostatecznemi środkami dławili w nim ducha i zarzucali na powalonych gęsty kir przesądów i ciemnoty. Odebrano zwyciężonym dawne ich prawa, rodzinną mowę i zwyczaję, popalono im ojczyste księgi, ziemię ich rozdzielono

między obcych osadników i między zwyciężkie żołdactwo, narreszcie, gdy już prawie śladu czeskiego imienia niestało, zwrócono działalność pomieszanej tej ludności na drogę wyłącznie przemysłową, na zaspokajanie wymóg materialnego bytu. Naród pod jarzmem biurokracyi i mniszego obskurantyzmu, zapomniał o dawnej dzielności ojców; napróżno byłby chciał niedołęzną dłonią podźwignąć straszny cep husycki; przez dwa wieki nie dał żadnego znaku życia, drzemał jedno gnuśnym snem przepkupnia i na całą monarchię dostarczał handlarzów i urzędników. Po wojnach napoleońskich, gdy godzina rozbudzenia wybiła dla uletargowanych narodowości, lud czeski jął z wolna odradzać się, przychodzić do samowiedzy, piórem kronikarskiego i gramatycznego badacza począł dobywać z grobu ojczyste dzieje i mowę. ale wycieńczony z ostatnich sił, nie mężem jedno dzieckiem odrodził się wśród Słowiańszczyzny. Dążenia też jego i nadzieje nie są dążeniami narodu-męża, ani młodzieńca nawet, ale dziecka. Obyczajem niedorostków chciałby uchodzić już za pełnoletniego; przed rokiem 1848<sup>ym</sup> zdawało się mu, że do mężkości dość jest umieć używać własnego języka, usilnie więc ćwiczył się w rodzinnej mowie; po ostatnich wypadkach sądził, że będzie mężem-narodem, gdy ustroi się w staroczeską odzież, gdy zdoła na pewne dorwać się osobistych prawek, swobódek, konstytucyjki, o jakich dotąd zaledwie w najrozkoszniejszych snach swoich marzyć się zaledwo ośmielał. Niespodziany ten stan, w którym od razu pozwolono mu i myśleć i mówić i pisać, tak dalece przewyższył jego nadzieje, że dziś niczego już więcej niepragnie; wolność spadła nań przypadkiem; niezdo był jej w skutek żelaznych trudów i krwawych poświęceń i jakby w poczuciu, że za mało ją opłacił, lęka się, aby mu jej nie wydarto, zapomina, że wolność tę już mu dziś cała ludzkość solidarnie zaręcza, że nawet wkrótce rewolucya matkobójczego wyzwolenca nowemi jeszcze łaski obdarzy.

Inni Słowianie z pod berła austryackiego, jak Chorwaci, zamieszkali między Drawą, Dunajem i morzem Adryatyckiem, jeżeli nieprzynosili wykształcenia politycznego Polaków. natomiast dalecy od zmaterializowania czeskiego i od zniewieścianości, występowali z dzielną choć niezsumienioną żądzą niepodległego bytu. Szczęściem dla narodowych ich żywiołów,

Madziarzy przegradzali ich od Niemców, Madziarzy, którzy obyczajem ludu na pół barbarzyńskiego umieli gnieść żelaznym despotyzmem ale nie znikczemniać na duchu, jakto czynili Niemcy ze zwyciężonemi plemiony. Dodawszy do tego, że Chorwaci wolni byli od raka przemysłnictwa i od gangreny stanu średniego, otrzymamy w wypadku lud rażny, mężny, nieumiejący jeszcze rozeznawać Zła od Dobra politycznego ale też o tyle tylko chciwy osobistych praw, o ile osiągnięcie takowych wyswobadzało go od jarzma madziarskiego. W sporze południowych Słowian z Madziarami, rodacy nasi po większej części ujmują się za ostatnimi, my przeciwnie, — jakkolwiek pierwsi walczą dziś ze strony kontrrewolucyi, w zasadzie jednak stale ich stronę trzymamy. Powodem tej sprzeczności zdań jest społeczenie, jakie od dawnych lat łączy naszych rodaków ze szczepem węgierskim, społeczenie, które dla nas cale nieistnieje jako wynikające z pewnych analogii między indywidualizmem szlachecczyni polskiej a butą węgierskiego magnactwa. Obie kasty, pobratane jak mówi stara piosnka przy szabli i szklance, dziś już się przeżyły; jeżeli więc idzie o sentymentalne uczucia między narodami, wolimy ich w żywych, nie zaś w wyschłych źródłach poszukać. W istocie, Chorwaci przyjeżdżali na zjazd pragski ze stałą myślą obmyślenia środków przeciw coraz dotkliwшему uciskowi Madziarów; dowodzili oni, że z dawien dawna pewne prawa łączyły ich z koroną węgierską, że w r. 1526<sup>m</sup> oni pierwsi, przed Węgrami jeszcze i przed Czechami ogłosili Ferdynanda królem, że od niepamiętnych czasów mieli własne swoje ustawy, własne sejmy z władzą prawodawczą, że jeszcze w końcu XV<sup>o</sup> i początku XVI<sup>o</sup> wieku, według konstytucyi ich zamieszczonych w kodeksie węgierskim, królestwa ich były uważane za odzielną całość i że sejmy ich tylko w pewnych wspólnych potrzebach wysyłały delegatów na sejm węgierski. Oczywiście dokumenta wyraźnie przekonywały, że prawa wydawane na sejmach w Presburgu, o tyle tylko obowiązywały Chorwatów, o ile zgadzały się z ich niepodległością, że władza Banów ulegała tylko królewskiej, że Palatyn i sędziowie węgierscy niemieli u nich władzy sądowej, że królowie przy koronacyi przysięgali bronić nietylko praw węgierskich ale także i praw trzech królestw Kroacyi, Sławonii i Dalmacyi

i że nareszcie koroną węgierska była symbolem związku różnoplemiennych ludów, nie zaś znakiem absolutnej jednego z nich przewagi.

Jakkolwiek przeciw tym dowodom najskrupulatniejszy układacz traktatów nie niebyłby mógł zarzucić, było przecież jedno prawo silniej jeszcze popierające żądania Chorwatów, mianowicie wola ludu, który poczuwa w sobie, uznaje warunki bytu i chce być narodem. Madziarowie atoli zarówno pomietli prawem bożem jak pisanem, tłumili mowę Słowian i narodowość ich obracali w pogardę. Chorwaci udali się z pokornymi prośbami do przedostatniego sejmu węgierskiego ale sejm ten uporczywiej niż kiedykolwiek odepchnął ich domagania a nawet zaufany w przemoc, wykreślił Sławonię z rzędu państw istniejących. Syrmją, Werowitycę i Pozege zamienił na komitaty madziarskie; port Fiume i wybrzeże chorwackie od Sławonii oderwał i do korony węgierskiej przyłączył, język swój za jedyny w urzędowych, kościelnych i świeckich rzeczach ogłosił, we Fiume zaś i na wybrzeżu, gdzie tylko po chorwacku i po włosku mówią, tego ostatniego jedynie narzeczka używać dozwolił. Postępowanie to do najwyższego stopnia rozjątrzyło Słowian przeciw ciemności. Tymczasem w Wiedniu wybuchła rewolucya, rozkuwszy pęta absolutyzmu, zdawała się nieść nową epokę dla uciśnionych. Madziarzy na pierwszym porewolucyjnym sejmie wydobyli sobie nowe swobody, Chorwaci znowu wystąpili z swojemi żądaniami ale i tym razem sejm z niezem ich odprawił. Wprawdzie deputowani madziarscy zaręczali wszystkim ludom sąsiednim jak najszersze swobody, w zamian jednak żądali wyrzeczenia się właściwych tym ostatnim narodowości, czyli, że w udzielaniu praw patrzyli nie na sprawiedliwość ale na własną potęgę. Chorwaci widząc, że na drodze pokoju nie niepotrafią wskórać, zerwali z ciemnościami, poczęli się zbroić; dla zapewnienia zaś sobie przewagi rzucili się w objęcia Austrii, z warunkiem pomocy przeciw Madziarom. Takowa polityka wiążąca sprawę wolności z żywiołem oddawna jej najprzeciwniejszym, prędzej czy później musiała wydać zgubne owoce. Idea wolności, jeżeli sama przez się niezwycięży, ulegnie bezwątpienia w połączeniu ze sprawą obskurantyzmu i wstecznicstwa. Słowianie południowi w skutek rewolucyi do-



stawszy się do przedśionku wolności, jedynie za pośrednictwem rozwoju tejże rewolucyi mogli zdobyć sobie cały gmach uswobodzonych politycznych stosunków, następstwem zaś logicznem szeroko rozwijającej się rewolucyi było wyrzucenie z posiad monarchii Habsburgów; wszelkie galwanizowanie systemem federacyjnym gnijącego już ciała, zatrzymując rewolucyę, posługiwało tem samem wstecznictwem. Toż samo Czechowie, którzy w obawie frankfurtskich grabieży, jęli podlepić splekany cesarski kolos, pomimo zgielkliwie wykrzykiwanych zasad wolności, koniecznością historyczną niebawem musieli być zepchnięci do obozu wsteczników, Polacy zaś z Galicyi, niemając do walezenia ani z Niemcami ani z Madziarami ale z prawa zmuszeni w spełnieniu jedynie rewolucyi szukać własnego ocalenia, już tem samem, jak to poprzednio założyliśmy, znajdowali się na drodze całkiem przeciwnej od tej, jaką zamierzali kroczyć spółobradnicy ich ze zjazdu pragskiego. Główną wyższością innych Słowian nad Polakami z Galicyi, był lud-naród, który w Czechach razem z wykształceńszą klasą odrodziwszy się dziecięcim, zdążył powoli do młodzieńczego wieku, u Chorwatów zaś jednoczył się z resztą krajowców we wspólnej nienawiści przeciw ciemnościom. Ostatni odcień Słowiańszczyzny składało kilku wysłańców od Serbów tureckich, plemienia wojowniczego ale zdziczałego pod długim uciskiem, które ogólny prąd losów całego szczepu w danej kiedyś chwili także musiał za sobą porwać.

Wskazaliśmy główne żywioły, jakie na pierwsze wejście dawały się spostrzeżać w pragskiem zebraniu, do których dołączywszy uczestnictwo kilkunastu wyobrazicieli Słowian nie-austriackich, zjazd powinien był wydobyć na jaw zasadniczą ideę Słowiańszczyzny. Historia przekonała już nas o tem, czego niezdolalibyśmy dość napowtarzać, mianowicie, że pojaw Słowian na swobodnem polu dziejów, może i musi nastąpić jedynie w skutek rewolucyi; niemiecki nawet uczony, Herder, dawno już był zapowiedział, że młode, świeże i dzielne pokolenie Słowian odrodzi zestarzałą Europę, że przyniesie jej nową sasadę, że w zastygłe jej żyły wleje gorącą krew i wycieńczone ciało nowem życiem obdarzy. W istocie rewolucya tylko za czynnem współdziałaniem żywiołów tego szczepu może być spełnioną, re-

wolucya powtarzamy, dotychczasowych bowiem europejskich rozruchów tą nazwą nie zaszczycamy. Co więcej; w ciągu naszej pracy tylekroć wspominamy o rewolucyi, tylekroć gwoli zwyczajowi nadużywamy tego wyrazu, że nareszcie sami czujemy potrzebę, raz dobitnie określić rzeczywiste jego znaczenie. Rewolucyą nazywamy taki przewrót stosunków, w skutek jakiego wali się dawny porządek a z popiołów jego wykwitają: nowa zasada, nowy kierunek, nowe dążenia i cele. Rewolucyi było daleko mniej, aniżeli historia ich naliczyła; co do nas, od ośmnastu wieków ani jednej niedopatrzyliśmy się w archiwach losów ludzkości. Chrystyanizm wywracając dawne stosunki społeczne a z niemi razem zbutwiałe rzymskie imperium, stawiając zasady wolności i braterstwa, był Objawieniem czyli rewolucyą, oba te bowiem terminy są z sobą nierozłączne. Odtąd niebyło rewolucyi, wypadki zaś tą nazwą objęte były po części konwulsyjnymi drgnięciami ludzkości znaczącemi ogniwa wielkiego łańcucha postępu; historia potoczyła się dwoma kolejami dwóch głównych zasad władzy i praw osobistych; wstrząśnienia w ludzkości pokazują nam kołysanie się tej władzy, przechodzenie jej od biskupów rzymskich do Cesarzów, od panujących do możnowładztwa, od baronów do królów, od monarchów do stanu średniego, od mieszczaństwa wreszcie tu i owdzie do ludu, pokazują nam, powtarzamy, te prawa osobiste wydzierane tronem przez coraz liczniejsze zastępy, aż nakoniec rozbryzgujące się między wszystkich członków narodu. Zasady więc, jak widzimy, zostały te same, coraz szerzej się tylko zastosowywały; że zaś pojaw każdego nowego systemu znaczyły rwaniem dawnego łożyska stosunków, kronikarze zatem przejścia te zamiast postępem mianowali rewolucyami. W niedalekiej przyszłości, historia po raz pierwszy słusznie naszą epokę nazwie rewolucyjną, ale też wtedy potrójna zagadka narodowa, polityczna i społeczna, jaka się nam przedstawia, będzie już zupełnie rozwiązana. Zagadkę tę, jak to powiedzieliśmy w początku naszej pracy, ma postawić Francya, Polska zaś jako węzeł wszystkich kwestyi i żywiołów słowiańskich, ostatecznie ją roztajemniczy i resztę Słowiańszczyzny na nowe szlaki za sobą uniesie.

W obec przedwstępu takiej rewolucyi, jakże miała wystąpić Słowiańszczyzna? — jeżeli pragnęła objawić się jako pragnąca

swobody dla czynnego spółczestnictwa w dziejach ludzkości, musiała pokazać, z czem przychodzi, jaką zasadę przynosi, czem jest w stosunku do rewolucyi? musiała przekonać, że idzie jej o całkowitą wolność, o ważność historyczną, o pełnoletniość, nie zaś o ścięcie w martwy kryształ niespodzianie spadłych na nią praw osobistych i zbędkarconych politycznych swobód; musiała stanąć czynnie ale nie biernie, pierwotwornie, nie naśladowczo, rewolucyjnie, nie zachowawczo czyli wstecznie.

Dotykając bliżej szczegółowych działań zjazdu pragskiego, przekonamy się, o ile tenże odpowiedział lub raczej co bezpiecznie a priori wyznać możemy, o ile nieodpowiedział swemu posłannictwu. Zjazd głównie zamierzał rozważyć stosunki Słowian austryackich względnie do nich samych, do innych ludów cesarstwa, do reszty Słowian, do europejskich narodów, narzeczcie chciał obmyślić sposoby wprowadzenia w czyn wypadków wzajemnych obrad. Program zjazdu zgodnie z przyjętymi zasadami ogłaszał żądanie zawarcia między Słowianami austryackimi sojuszu ku wzajemnej obronie konstytucyjnych swobód przeciw roszczeniom ościennych ludów cesarstwa; względnie do reszty pobratymczych plemion wyrażał gorące spółczucia i życzenia, aby i one także dostały kiedyś dobrodziejstw konstytucyi; tymczasem zaś dla utrzymania związku moralnego przedstawiał zamiar zjazdów uczonych i literackiej propagandy. Dwa te ostatnie wnioski, prawo paszportowe i cenzura rossyjska ubezładniały w samym związku, nienależy bowiem zapominać, że gospodarze pragskiego zjazdu pokładali status-quo jako zasadę wszelkich działań. W stosunku do innych narodów europejskich, program zwracał szczególnie wzrok na obrady parlamentu frankfurtskiego i rzucał protest przeciw zamiarom jego wycieńczenia sił cesarstwa przez osłabianie pojedynczych narodowości, wreszcie zjazd prawomocnego charakteru sobie nieprzyznawał, zwoływał się tylko na mocy świeżo otrzymanych swobód, i postanowienia swoje, przez względnych posłów słowiańskich na sejm wprowadzić obiecywał.

Program ten, jak widzimy, mdły i bezbarwny co do szczegółów, mieścił przecie w sobie dwa stanowiska, na których oparłszy się, można było w zupełności odpowiedzieć posłannictwu pierwszego zjazdu słowiańskiego; pierwszym stanowiskiem był fakt

zebrania się różnoplemiennych wyobrazicielów tego samego szczepu; drugim, uchylenie działań zjazdu z pod form urzędniczych a więc tem samym podniesienie ich do potęgi wypowiedzenia ogólnych, osiowych zasad, nierozbijających się na atomy materyalnych form i drobnostek; resztę programu, pełne zebranie mogło dowolnie zmienić lub nawet całkiem odrzucić.

Zjazd rozpoczął nareszcie swoje posiedzenia i połamawszy tysiące drobnych foremek, o jakie co krok się potykał, naradziwszy się do sytu, zwarł wszystkie swoje działania w trzy następujące punkta, które łącznie miał opracować, mianowicie: 1<sup>od</sup> manifest do narodów europejskich, obejmujący zasady i cele zjazdu słowiańskiego; 2<sup>re</sup> adres czyli prośbę do Cesarza, zawierającą żądania narodów słowiańsko-austriackich i po 3<sup>e</sup>, wniosek do stowarzyszenia pobratymczych plemion jako też środki do popierania zasad i celów powyżej oznaczonych. Nad opracowaniem trzech tych punktów zasiadły osobne komitety, które sprawozdania swoje miały następnie poddać pod obradę ogólnego zboru.

Manifest do narodów europejskich był bezwątpienia najważniejszym punktem, chociaż zjazd zdawał się nań podrzędną obracać uwagę; w nim to szczep wrócony do życia politycznego winien był wykazać, z czem przychodzi do ludzkości, jakie zasady wyrobił w sobie przez tyle wieków poświęceń, trudów i niewoli, na mocy jakich praw żąda zająć godne rodu swego stanowisko.

Słowiańszczyzna, sama w sobie sumiennie się uznawszy, w obec troistej rewolucyi, jaka huczała nad Europą, względnie do każdej z trzech stron musiała wypowiedzieć stanowisko swoje i żądania, musiała wyrzec, że stosownie do rewolucyi narodowej chce: samoistnego oddziały każdego plemienia, uznania narodowości jako bożej zasady wynikającej nietylko z historii, nie z praw politycznych ale przedewszystkiem z woli ludu, narodowości, jako głównego i jedyne go warunku, za którego dokonaniem społeczeństwo może wejść na właściwą mu a istotną drogę postępu. Względnie do rewolucyi politycznej wypadało nadmienić, że Słowianie żądają niepodległości jako narzędzia do pełnienia naznaczonego szczepowi ich posłannictwa, wypadało raz zdruzgotać to przeklęte a dziwnie za-



korzenione mniemanie, mianowicie, że niepodległość może być ostatecznym, wyłącznym celem narodów, a nie środkiem jedno, którego Opatrzność temu tylko udziela, kto zdoła go użyć na pożytek sprawy ogółu. Kramarska to i samolubna niepodległość, która za obrębem swego bytu dalszego celu niespostrzega; naród dla tego tylko walczący przeciw uciskowi, aby następnie mógł swobodnie myśleć, mówić i pisać, co mu przez mózg przejdzie, aby najezdnic niewiązał go, niemordował, niejadał jego dochodów, ale aby on sam bezpiecznie trawił wszystkie owoce swej ziemi, naród taki powtarzamy, wiecznie będzie podlegał, jeżeli nie obcym, to wewnętrznym, rodzinnym swoim wrogiem.

Wracając do drugiej kategorii, zostawało jeszcze do wypowiedzenia, że świeżo występujący szczep na widownię dziejów żąda wolności osobistej tak, jako żąda niepodległości narodowej; bez wolności bowiem niema czynu, niema bytu, niema dobra, że chce równości to jest wymiecienia przesądów i przywilejów, gdyż te szczyrbiają wolność, przeszkadzają więc w działaniu i poddają człowieka pod niewolę. Przecież filozofia słowiańska to filozofia czynu, należało więc na niej oprzeć się w ważnej chwili ogłoszenia zasad, należało do czynu nie zaś do materyjalnej osobistości stosować cały wykład żądań, całe wyznanie wiary.

Nadchodzi wzgląd trzeci i najważniejszy, wzgląd na rewolucję społeczną, na syntezę dwóch wyżej wymienionych; punkt to był najważniejszy, powtarzamy, na nim albowiem Słowiańszczyzna spotykała się z całą ludzkością, na nim miała wpływem swoim ostatecznie przyczynić się do rozwiązania potrójnej zagadki, co zaś więcej, świeżemi żywioły pomódz do odrodzenia Europy, o jakim wspomnieliśmy wyżej. Cóż to? czyliż Słowianie nigdy nie mieli właściwej sobie zasady? czyliż plemiona te wiecznie żyły okruciami z cudzoziemskich stołów? Podczas gdy szczep romański rozwijał pojęcie municypalności, gdy Germanie wyrabiali zasadę pokolenia, gdzieżto się pojawiła potężniejsza a świętsza nad poprzednie idea gminy? Zjazd pragski, jeżeli w istocie krył w sobie rodzime słowiańskie żywioły, nie mógłże wypowiedzieć, że na to ostatnie pole rewolucyjnych działań, przynosi chęć ograniczenia, praw osobistych obowiązkiem, wolności poświęceniem, indywidualizmu poczuciem siebie

w drugich, że wespół z ludzkością pragnie popracować nad wynalezieniem stosunku między pracą a kapitałem, między trudem a wynagrodzeniem, że przychodzi z dawną rodzimą zasadą, według której przodkowie jego żyli gminnie wszyscy dla jednego a jeden dla wszystkich, że chce prawo zastąpić obyczajem, władzę wolą ogółu a nie większości. Zaprawdę, godniej było w skarbnicy własnego ducha poszukać klejnotów niż stroić się w lachmany i w rupiecie, z których dziś rewolucyjna Europa szczerze zaczyna się otrząsać. Ale niemogło być inaczej; zjazd pragski cierpiał na brak rodzimych pojęć ducha swego szczepu, niebyło (ludu słowiańskiego, jedno wykształceńsza niby klasa, to jest ta, która pod zalewą form napływowych, głęboko zatopiła treściwe krwi swojej żywiły. Zjazd zupełny brak własnego ducha zastępował wypełzłemi swojemi i zbutwiałemi cudzemi formy.

W obec tak ogromnych rozmiarów manifestu odpowiadających godności i posłannictwu szczepu słowiańskiego a których podaliśmy lekki tylko zarys. niebędziemy wdawali się w szczegółowy rozbiór maluczkiej odezwy przez zjazd wydanej, poprzestaniemy jedno na dotknięciu ważniejszych jej punktów.

Akt ten wspominał o uznaniu zasad wolności, równości i braterstwa, zwłaszcza zaś równoprawności wszystkich narodów, potępiał dotychczasową politykę, według której monarchowie uważali ziemię i ludy za osobistą swoją własność, zanosił prośbę do Cesarza Ferdynanda, aby tenże stosownie do powyższych zasad urządził państwo swoje w związek równo uprawnionych ludów, ujmował się krzywd dokonanych na różnych plemionach słowiańskich, mianowicie protestował przeciw rozbiorowi Polski, przeciw grabieżom pruskim w K<sup>twie</sup> Poznańskim, przeciw systematycznemu wynarodowianiu Słowian w Łużycy, we Wschodnich i Zachodnich Prusach, przeciw prześladowaniom rządu madziarskiego wywieranym na Serbach, Chorwatach, Słowakach i Rusinach, nareszcie zachęcał do wytrwałości i obiecywał pomoc pobratymcom jęczącym pod jarzmem tureckim. Jako środek na wszelkie bole polityczne, manifest kończył wezwaniem narodów europejskich do zwołania walnego kongresu, któryby bezzwłocznie zajął się wymiarem powszechnej dla ludów sprawiedliwości. Odezwa ta, jak widzimy,

bynajmniej niezapowiadała narodom europejskim, czem Słowianie są, czego chcą, z czem przychodzą i co w zamian ofiarują, ale po prostu uwiadomiła obce rządy i ludy, że Słowiańszczyzna pragnie być niepodległą, że niektóre jej plemiona otrzymały już pewne swobody, zjazd więc żąda od sąsiadów urekrojnienia tychże swobód, tak aby nikt im nigdy niemógł takowych odebrać; ponieważ zaś niektórzy z członków wielkiej rodziny jęczą dotąd pod przemocą, zebranie zatem pragskie wzywa Europę, aby zwołała w jedno miejsce wysłańców krzywdzących i pokrzywdzonych i namówiła pierwszych do wynagrodzenia zgodnym sposobem krzywd drugim. W walce przeciwnych zasad, wolności i niewoli, światła i ciemnoty, przemocy i prawa, zjazd obie strony nakłaniał do pewnych przyzwoleń, w skutek których kongres uorganizowałby ludzkość w wielki amalgam drobnych wolnostek i lekkiego jarzma, mrocznego światła i szarawej ciemnoty, amalgam osadzony na uprawnionej przemocy i na zgwałconem prawie. Wprawdzie, uhomeopatyzowanie to rewolucyi, byłoby może wydało poroniony płód wolności, ale z dwojga złego wybierając, lepszą była pół-wolność okupiona tanim kosztem kongresowych układów, aniżeli całkowita, do której byłoby potrzeba dobijać się przez trudy, walki i poświęcenia. Względnie do stanowiska polskiego narodu, myśl ta znalezienia w powszechnym kongresie panaceum na rany ludzkości, fałsz zadawała dziejom Polski i na przeszłość jej rzuciła ciężki zarzut szaleństwa a nawet i zbrodni.

Następował manifest do Cesarza, którego konieczność najtrudniejszą była nam do zrozumienia. W istocie bowiem, jeżeli Austria z absolutnego przemieniała się w państwo konstytucyjne a tem samym jeżeli Cesarz z samowładcy przechodził na dziedzicznego tylko i nieodpowiedzialnego naczelnika rządu, jeżeli według nowej ustawy naród sam miał się rządzić przez swoich deputatów, niepojmujemy, o co można było prosić Cesarza, chyba o to, aby jako nieodpowiedzialny, nieodpowiadał, gdy go będą do odpowiedzialności pociągać. Zdawało się, jakgdyby Słowianie, składając swoje prośby u stóp majestatu, czuli się niegodnymi systemu reprezentacyjnego, jakgdyby ustawę uważali za martwą literę prawa w niczem nieubliżającą uświę-

conej zwyczajem zasadzie samowładztwa. Pogańska ta cześć dla purpury dziwnie zgrzytliwym rozdzwiękiem cechowała głosy ludowe odzywające się po ostatnich wypadkach w Niemczech i w austryackiej Słowiańszczyźnie. Przez wieki monarchowie postępowali z poddanymi jak z bydłem; nareszcie, gdy lud krwawą walką na barykadach wydarł im pierwsze przyzwolenia, gdy każdy krok na drodze postępu okupił ciężkiem poświęceniem, wtedy jeszcze klasa, która w boju nie miała żadnego udziału, nazywa ojcem kartaczującego swój naród monarchę, i niewolniczo błaga go o udzielenie tych praw, które pasterz o tyle tylko daje, o ile przemoc gromad z obuchem nad nim stoi. Skoro atoli niewolnictwo krąży jeszcze w krwi przez tyle wieków ciemnionej ludzkości, niedziw, że nowy duch niemoże dotąd przełamać starej nałogowej formy, niedziw, że zjazd układał potulny manifest, który zaczynał od dzięków JCMości za otrzymane łaski, że po Bogu w Cesarza rękach składał losy ludów (sic) i że sam bez krwi i bez życia, za najwyższy cel chęci swoich i usiłowań stawiał galwanizowanie trupa austryackiego imperium.

Manifest wskazywał stan rozprzeżenia, szczepowych nienawiści i bankructwa w Austrii i za środek ratunku podawał usamowolenie sprzymierzonych narodowości, które skupiając się koło tronu, miały wlać weń nową potęgę i siłę; następnie przechodził do supplikacyi, do nieustannego młynka prośb o prawa i swobody. Czechowie rozpoczynali od dzięków za otrzymaną a wystarczającą dla nich zapewne wolność; Morawa dopraszała się o taką samą; Galicya żądała podobnych praw, jakich udzielono Czechom, nadto, wymagała zwołania sejmu prowincjonalnego przed sejmem wiedeńskim, administracyi wyłącznie narodowej, szkół polskich i ruskich, i oświadczała zgodę, jaką zawarła z ruskim plemieniem; Słowacy i Rusini węgierscy chcieli, aby im przyznano narodowość we wszelkich względach na równi z Madziarami, aby ich zabezpieczono przeciw uciskowi tych ostatnich; Serbowie żądali wypełnienia przeszłych i prawomocności przyszłych postanowień sejmu karlowickiego; Chorwaci prosili, aby dokonano tego wszystkiego, co Ban ich dotąd był uczynił na korzyść naprzód dynastyi, następnie ich narodowości, aby na przyszłość uprawniono



uchwały sejmu królestw: chorwackiego, dalmackiego i sławońskiego; Słowienicy zamieszkali w Styryi, w Karyntyi, w Krainii i na Przymorzu, wymagali, aby ich spojono w jedną polityczną całość pod nazwą królestwa słowieńskiego ze stolicą w Lublani, aby im zaprowadzono administracyę, uniwersytet i szkoły narodowe; nareszcie Czechowie, Morawianie i Słowienicy, wspólnie wyprasali się od przyłączenia ich do Rzeszy niemieckiej, tłumacząc, że wstrętny ten im związek przyniósłby ujmę potędze austryackiego monarchy i skrzywdził różnoplemienne narodowości poddawaniem spraw ich pod sąd zagranicznego parlamentu. Manifest kończył się uroczystym zaręczeniem, że Słowianie wcale niemyślą, jakto o nich nieprzyjazne wieści były rozniosły, odrywać się od Cesarstwa lub zwierać w osobne państwo słowiańskie, ale przeciwnie, że chcą całemi siłami podtrzymywać tron austryacki, tak, aby wszystkim ludom sprawiedliwość wedle równej miary była wydzielaną.

Zaprawdę, święte to były żądania i nic przeciw nim zarzucić niepodobna; wszelako jeżeli urzeczywistnieniem ich, nie same narody, nie względne ich sejmy, ale Cesarz miał się zająć, wyznać należy, że Ferdynand I<sup>o</sup> chcąc odpowiedzieć powziętym o nim nadziejom, byłby musiał przewyższyć w czynności wszystkich Habsburgów i Lotaryngskich, począwszy od Rudolfa aż do Franciszka i Księcia Metternicha. Jeżeli zaś trudno było po Cesarzu austryackim spodziewać się tej wszechmocności, jeżeli ludy zwykłym w historyi trybem te tylko swobody mogły osiągnąć, jakie same sobie wypracowały, jeżeli stawiając się biernie i wewnątrznie krzepiąc na siłach, logiczną koniecznością wypadków musiały tychże swobód dostąpić, w takim razie manifest był nieużytecznym, nikczemnym, a nawet powołując się na wszechwładztwo monarchy zamiast na odpowiedzialność właściwych ministrów, zdradzieckim względem konstytucyi, względem systemu reprezentacyjnego.

Przechodząc do częściowych działań plemiennych, do kwestyi poszczególnych, do wyłącznych pojedynczym ludom, trudno nam zamilczeć o ciężkich przeprawach, jakie polski oddział zjazdu miał do przebycia z galicyjskimi Rusinami. Członkowie ruscy z początku zaraz wystąpili jako wyobraziciele odrębnego

całkiem od Polaków narodu, tych ostatnich mianowali sąsiadami i domagali się podzielenia Galicyi na dwie niezależne jedna od drugiej narodowości, polską i ruską; żądania swoje opierali na prawach każdego plemienia do samoistnego bytu. Zaprawdę, niepodobna nic ująć świętości zasady; wszelako jeżeli półśrodkami gubią najlepszą sprawę, nawzajem niema pojęcia, którego by ostateczność a raczej absolutne stanowisko nieprzeszatanilo. Zła wiara kilku członków ruskiego plemienia, którzy przybyli na zjazd więcej dla rozdawania niż dla zgody, przyczyniła się do nader drażliwego postawienia kwestyi. Od 500<sup>et</sup> lat plemię ruskie na ziemi galicyjskiej żyło w tak ścisłym spojeniu z polskiem, że historia nigdzie niepokazuje nam śladów szczepowej niechęci lub wyłącznych celów obu spółosiadłych rodzin. Szlachta ruska rej wodziła na sejmach, najwyższe godności piastowała w Rzeczypospolitej, lud zaś temu samemu co i polski podlegał uciemieniu. Dziś, gdy rozbudziły się narodowości, których zawsze i wszędzie jedynym warunkiem bytu jest wola ludu, Rusini także mogli zażądać swoich praw, mogli poczuć się narodem i dopomnieć o uznanie go przed światem; ale w takim razie pytamy, któż się o te prawa dopominał? nie szlachta, której nigdy przez myśl nieprzeszło wypierać się sprawy okupionej wiekowem poświęceniem, nie lud, któremu jedynie chodziło o prawa człowiecze, o urządzenie stosunków społecznych, ale pewna część klasy ruchomej, pośredniej, wyzyskującej łatwowierność ludu i żyjącej jego kosztem a która to w Polsce od wieków szukała przede wszystkim własnego zysku i służyła stronie takowy jej zapewniającej. Żywiol małoruski na Wołyniu, Podolu i Ukrainie stanowi narodowość, w Galicyi jest tylko narodowostką: gdyby zaś nam wedle tej ostatniej przyszło dzielić kraje, musielibyśmy rozbić Polskę na Łytyszów, Litwinów, Mazurów, Kaszubów, itd., równie jak Francya powinna wywołać z grobu Burgundów, Bretonów, Prowansalów, lud dalej sięgając Gallów i Franków. Narody składają się z różnych pierwiastków, z których każdy do wspólnego ogniska niesie swoje żywioły i przyczynia się do powszechnego rozwoju ojczyzny; odłączać dziś od siebie te pierwiastki byłoby to samo, co chcieć zachować kształty spiżowego posągu, ręką bożą ula-

nego, czyniąc zarazem zadość zachceniom atomów miedzi i cyny, któreby żądały potargania wiecznego prawa przyrodzonego, jednych ku drugim pociągu. Wreszcie, jeżeli chodziło o szkoły dla ludu, należało zaprowadzić je w właściwym mu narzeczu, ale co się tyczy wywołania odrębnej narodowości, o jaką dopominali się członkowie ruscy, którzy nieumieli nawet używać swego narzecza, takowe w dzisiejszej chwili było jedynie wyostrzeniem w Galicyi przeciw Polsce wrażej broni, którą obecnie chwytała Austria, w stosownej zaś porze byłby ujął Cesarz Mikołaj. Z resztą o sprawie tej lud tylko sam miał prawo zawyrokować, ale lud przemawiający w czystości sumienia nie zaś podbechtywany przez popleczników systemu austriackiego, nienawistnego i przeciwnego prawdziwym pojęciom wolności a tem samem przyszłym celom Słowiańszczyzny. W odpowiedzi na podstępne żądania Rusinów, wypadłoby dla dostatecznego zarazem wyświecenia całej kwestyi, dosłownie przytoczyć mowę mianą w tej mierze przez jednego z ich spółplemieńców, członka zjazdu, Cięglewicza, po którą wszelako gwoli rozmiarowi naszej pracy musimy odesłać ciekawych czytelników do archiwów pragskiego zebrania; z mowy tej przekonaliśmy się o prawdziwym w Galicyi stanowisku kwestyi ruskiej, opartej na pojęciu wolności, na gorącej miłości do ludu, na dobrej wierze.

Zgrzytliwy dźwięk, jakim pewna część członków ruskiego plemienia zakłóciła obrady części polskiej, wynagrodziła Polakom odezwa Ślązaków z okolic Cieszyna, którzy od tylu wieków oderwani od matki ojczyzny, zacięci germanizowani przez Niemców, tłoczeni przez cudzoziemski rząd, szlachtę i przemysłnictwo, pozbawieni zakładów naukowych a nawet stosunków z Polską, potrafili jednak święcie przechować iskrę narodowości, założyli sobie małe pisenko dla ludu w polskim narzeczu i dziś, w rzewnej, zygmunto wskim stylem pisanej odezwie, prosili, aby matka Polska przytuliła ich (sic) napowrót do serca, aby niezapominała od tak dawna gnębionych sierot, które pod twardem jarzmem nieprzestały kochać ją i modlić się za jej szczęście. Odezwa Ślązaków była tęschnym, do głębi wzruszającym akordem, najpoetyczniejszą struną ducha słowiańskiego, jaka za-

drgała śród materyjalnego zgiełku pragskich obrad; było dźwięk czysto ludowy i tem droższy, że prawie jedyny.

Tymczasem zjazd jał rozważać trzeci punkt swoich obrad, to jest obmyślenie sposobów do utrzymywania związku między słowiańsko-austryackimi plemiony. Przypomniano sobie historię agitacyi Cobden'a i na mocy swobody zgromadzania się i stowarzyszania rzucono plan słowiańskiej ligi. Projekt ten wspominał: o urządzeniu stałego komitetu, który miał dalej prowadzić czynności zjazdu, o założeniu słowiańskiej akademii nauk, biblioteki i czasopismów, nareszcie o poddaniu ustaw związku pod zatwierdzenie plemiennych sejmów w Czechach, na Morawie, w Galicyi, u Chorwatów i u Serbów. Za kilka dni miało nastąpić ostatnie posiedzenie, zamykające czynności zebrania, gdy w tem niespodziany wypadek w samym związku zwarzył dzieło pragskiego zjazdu.

12<sup>o</sup> Czerwca, na rynku S<sup>o</sup> Wacławskim, odbyła się msza słowiańska, na której mówiono, że miało przyjść do zbratania różnych klass mieszkańców służących w miejskich gwardyach. Pogłoska spelzła na niczem, wszelako pomimo zupełnie nierewolucyjnego, owszem, fanatycznie zachowawczego ducha pragskiego zebrania, wsteczniectwo i na ten niewinny zjazd niemogło patrzeć obojętnie. Windischgraetz, dowódzca miejskiej załogi, patron arystokracji i wszech stronnictw wstecznych w Austrii, ze strojów czeskich i zgiełku brał miarę ważności słowiańskich działań; odsunięty od władzy w Wiedniu, szczerze nienawidził nowego porządku rzeczy, wrzкомо udawał, że niezważa na krzątania się zjazdu, tymczasem nocami rozsyłał patrole, które z nabitą bronią i z odwiedzionemi kurkami krążyły po ulicach; nareszcie dręczony nieustanną obawą wybuchu, kazał zatoczyć na Wyszehrad dwie harmaty. Niemcy, jak widzimy, postępowaniem swoim sami dokładnie wskazywali, jaką musiała być istota słowiańskiego ruchu, zjazd atoli zaufany w swojej niewinności, wcale nietroszczył się podejrzeniami rządu. Przeciwnego zdania była w tej mierze pewna część młodego mieszczaństwa zwłaszcza zaś studenci: ci ostatni czuli się upokorzonymi bezwładnością. wówczas, gdy wiedeńscy ich koledzy tak ważne w losach Cesarstwa zajmowali stanowisko. Aula pragska wyprawiała do Windischgraetz'a deputacyę, prosząc o cofnięcie



harmat i o uzbrojenie legii akademickiej. Windischgraetz nie przyjął delegatów, żołnierze zaś jednego nawet z nich poranili. Praga była jedynem miastem w Niemczech, które nie miało dotąd swojej rewolucyi, korzystano więc z pierwszej sposobności; pokrzywdzeni rozbiegli się po ulicach, wzburzyli ruchawą część ludności i wzięli się do stawiania ulicznych zasieków. Studenci, druciarze, mnichy, kobiety i trocha południowych Słowian stanęło za barykadami; Windischgraetz natychmiast ogłosił prawo dożądanie i oblężenie miasta, rozpędził zjazd, obcoplemiennych członków zmusił do opuszczenia Pragi, przeciw burzycielom zaś rozwinął straszny ogień ręczny i harmatni. Pomimo tak stanowczych środków ze strony rządu, popartych bez porównania przewyższającą siłą, walka trwała przez kilka dni i Austriacy byliby ulegli, gdyby choć trocha organizacyjnych żywiołów między powstańcami było się znalazło. Brak dokładnie oznaczonego celu i wszelkiego dowództwa zmusił studentów do złożenia broni. Niemcy myśląc, że olbrzym słowiański na prawdę zabiera się do dzieła, wybuchnęli swoim zwyczajem przeraźliwemi krzykami trwogi a następnie oburzenia; zaczęli po wszystkich dziennikach rozpisywali odezwy i wzywali pomocy Frankfurtu, rozpuścili wieść o wybuchu okropnej szczepowej wojny. Drażnieni wielkookim strachem, własnem sumieniem a może i przecuciem przyszłych wypadków, podnieśli zaburzenie pragskie do potęgi sycylijskich niesporów. Rząd dla usprawiedliwienia przedwczesnej swojej obawy, udał, że wpadł na trop głębokiego sprzysiężenia, rozwiązał i rozbroił słowiańską część gwardyi miejskiej, rzucił popłoch między nienawistnych sobie studentów, dla nadania większej wagi rozruchowi szlachtę nawet powięził, która w Czechach pierwszy raz posądzona o zamiary jakiegokolwiek czynu, niemogła ochłonąć z zadziwienia.

Zdawało się, że niegodziwość austriackiego wstecznicstwa przyczyni się do otworzenia Czechom oczu na prawdziwą sprawę wolności, ale potrójny pancerz ich materializmu oparł się nawet kartaczom Windischgraetz'a. Ludzie istotnie rewolucyjni od pierwszej zaraz chwili pojęli wartość zaburzenia pragskiego, zrozumieli, że było przelotny rozruch, w żadnym zaś razie rewolucya, która w Czechach, zważając na stosunki szczepów

i kast, na szerszej daleko drodze i tylko pod troistą swą postacią mogła się objawić.

Niespodziane rozbitcie zjazdu pragskiego, którego czynności uleciały wraz z dymem austriackich wystrzałów, w niczem przecie niewpłynęło na zatamowanie rozwoju losów Słowiańszczyzny; zgadzł zgodnie z istotą składających go żywiołów w każdym razie musiał pozostać bezpłodnym. Słowiańszczyzna zaprawdę wielkie ma przed sobą cele, ale ludzie, którzy dziś ruchami jej sterują, nigdy jej do nich niedoprowadzą; strupieszale to pokolenie, niczem nieusprawiedliwiającej solidarności swej z ludem, formę ma tylko popregowaną w ojczyście i w cudzoziemskie pasy, formę-lupinę, z której historia jądro ducha dawno już wywiała, formę, której próchno może tylko posłużyć do użyznienia ziemi, do podniesienia roślinności dla następnych pokoleń. Słowiańszczyzna odbicie swych losów i dziejowego swego stanowiska dziś jeszcze może dostrzedz w starych legendach Izraela. Duch wieku, duch wolności i prawdy, niby drugi Mojżesz, chłoscze plagami Faraonów i lud z niewoli egipskiej wywodzi, ale zanim lud boży wejdzie do ziemi obiecanej, długo jeszcze będzie błakał się po puszczy fałszywych swoich wyobrażeń, balwochwalczy nieraz jeszcze odciągną go od Judei, nieraz Mojżesz, gniewny, ziemię pod nimi otworzy, głód, mor i srogie kary na nich spuści. Przyjdzie jednak chwila, gdy na sam odgłos trąby rewolucyjnej padną mury carskich i cesarskich Jerychów, gdy rewolucya schłonie zbutwiałe pierwiastki a dla świeżych szerokie miejsce uprzątnie. Dziwna istota ruchów europejskich z każdym dniem popiera prawdę słów naszych; ludzi rewolucyjnych mniej dziś, jak w którymkolwiek wieku, mniej jak za upadku państwa rzymskiego, mniej jak za krucyat, mniej jak za reformacyi, mniej jak wśród republik włoskich, wśród kominun francuzkich, wśród parlamentu Kromwella, wśród ostatnich chwil przeszłego stulecia we Francyi, a jednak rewolucya coraz to na innym punkcie wybucha, szerszy niż kiedykolwiek zakres ogarnia, liczniejsze jak w dawnych wiekach umy porusza. Niepotrzeba już dziś ludzi rewolucyjnych, sam stan społeczeństwa, który gnije i rozpada się, najdzielniejszym jest rewolucyonistą. Zachowawcy powstają na zaciekłość burzycielów, ale rządcy ci,

niedołężni, niegodni nawet uwagi dziecięcia światoburczy, z założonemi rekoma spokojnie mogą stanąć na uboczu, mogą siły swoje ku zachowaniu nawet spróchniałego budynku wyteżyć; pomoc ich lub opór zarówno nieprzeszkadzają spełnieniu tego, co się ma dopełnić.

---

## VII.

Stanęliśmy na tym punkcie naszej pracy, gdzie musimy zatrzymać się, odwrócić ku początkowi i puścić wzrok po różańcu uciekających za nami wypadków.

Począwszy od chwili, którą możnaby nazwać prologiem dramatu 1848<sup>o</sup> r. czyli od zjawisk poprzedzających burzę we Francji, jakoteż od zdarzeń zaszłych przed dwoma laty w Galicji i w Poznaniu, a w którychto duch Polski, wyrosły pod jarzmem despotyzmu, coraz uporczywiej wrywający się na jaśnię, z sumienniejszem niż kiedykolwiek samego siebie poczuciem, w imieniu Słowiańszczyzny przemówił ważnym dla dziejów głosem: począwszy, powtarzamy, od tego brzasku przyszłej ery, rozwinęliśmy przed oczyma czytelnika panorama zawieruchy, której pierwszym objawem była rewolucya 24<sup>o</sup> Lutego w Paryżu a która skończy się na przewrocie powszechnych stosunków, na uprzątnięciu gruzów, na odmłodnieniu ziemi pod światłem nowej zasady. Teraz, kiedyśmy powiedzieli o co idzie: kiedy potępiliśmy tych za zakamienialość w zachowywaniu zbutwiałego porządku rzeczy, tamtych za niedołęztwo i niepojmowanie ani prawdy, ani wieku, ani ludu, ostatnich wreszcie za wspólny miernym duchom fanatyzm jednostronności: kiedyśmy wykazali i dowiedli: że ani socjaliści, ani demokraci wszechstronnie prawdy niewidzą; że żydowska Francuzów wyłączność, osaczenie się w samych sobie i teoria nieinterwencji, są żywiołami nienawistnemi postępowi a tem samem koniecznie wlokącemi na manowce wstecznicstwa; że kwestya społeczna we Francji bez politycznej a polityczna bez narodowej w żaden sposób roz-



wiązać się nieda; że rewolucya 1848<sup>o</sup> r. pod swą troistą postacią jest wszędzie jedną i tąż samą równie jak jednym i temże samem jest wszędzie wsteczniectwo; że rewolucya ta jest walką, którą nie jeden udzielny naród ale wszystkie ludy, ale cała ludzkość toczy z pogaństwem zmartwychwstałem pod postacią rządów, władzy, praw i instytucyi, walką na śmierć i życie, walką ostateczną; że jako taka, złączonemi siły wszech ludów bezwzględnie na ich różnicę, przeciw ciemieżcom prowadzoną być winna; że niebędąc jedynie bezwarunkowem zniszczeniem ale poczuciem się w sobie świata nowego, wręcz pogańskiemu sprzecznemu, ma na celu postawienie społeczeństwa prawdziwego, w którymby ludzie niebyli jak dotąd koniecznymi wrogami bliźnich, lecz równie koniecznymi stali się przyjaciółmi i braćmi przez solidarność interesów, przez małżeństwo kapitału z pracą; — kiedyśmy następnie wykazali: nędzotę ducha niemieckiego, jego niemożebność stworzenia nic z siebie, chińskie niemal naśladownictwo Francuzów w stawianiu politycznych kroków, w istocie zaś samolubne parcie się do praw li osobistych, brak sił organizacyjnych i rewolucye, które są raczej gnijącą dezorganizacją, rozsypywaniem się strupieszalnych składów, niż dziełem bohaterskiego zapалу ludów, niż tworzeniem nowego świata; kiedyśmy pełni religijnej czci wspomnieli o wojnie ludowej w K<sup>twie</sup> Poznańskim i w tych bitwach, w tych obozach powitali nowonarodzony, składający jedną rodzinę ludu ze szlachtą naród polski; wskazawszy niedołężność komitetów, brak żywiołów władzy i zbawienne ku temu na przyszłość środki, weszliśmy nareszcie w łono kwestyi słowiańskiej i zaprowadzili czytelnika na zjazd pragski. Teraz, dla dopełnienia obrazu, wypada nam dodać niektóre postronne fakta, jakoteż sąd nasz o Francyi stwierdzić dowodami ze spraw włoskich.

Mówiąc o Włoszech, bynajmniej niepodzielamy zdania samolubnego a zawsze ze złej woli wypływającego, mianowicie, że Włosi jako naród nikiemny i zdzieciniały, niezasługują na wolność. Naszym sądem należało i należy Włochów ratować, nie dla nich, nie przez nich ale dla powszechnej sprawy rewolucyi. Włochy, ta ofiara najokropniejszej tyranii, tyranii ducha, są nieszczęśliwym, zdzieciniałym starcem, któremu jeżeli nie

przez litość to przez wdzięczność winniśmy szacunek i pomoc, dla tego też sądzimy, że niebaczając na to, czego chciano i co mówiono w Turynie i w Rzymie, Francuzi dla własnego interessu, dla spełnienia warunków rewolucyi, dla sprawy ludzkości i wolności, dzierząc w dłoni pioruny, któremi łatwo mogli byli rozwalić martwą już formę austryackiej monarchii, natychmiast po wypadkach w Medyolanie, winny byli wojska swoje za Alpy przerzucić, wypędzić Austryaków a potem dopiero zapytać Włochów wyzwolonych i podźwigniętych, ażali im są radzi? Tak nakazywał obowiązek, k'temu wiodło sumienne swego stanowiska pojęcie; inaczej pojął to dowcip kramarzów i Lamartinyowy sentymentalizm. Z drugiej strony fałszem jest, jakoby Włosi bali się byli lub niechcieli czynnej pomocy od Francyi; *l'Italia fara da se* było hasłem pochlebców Karola Alberta, wsteczników i przywilejowców; lud powtarzał to hasło dla tego jedynie, że głaskało jego biedną miłość własną, że poraz pierwszy od kilku wieków poczuwał w sobie niepohamowaną żądzę niepodległego bytu, lud rozumiał pod niem raczej zaufanie w samym sobie, aniżeli obawę lub wstręt do Francuzów i zaprawdę niebył jeszcze tyle skażonym, aby w przerażeniu pojęciami francuzkiemi wołał był w ostatecznym razie wrócić pod jarzmo austryackie. W obec zapału i spółczucia, jakie wybuch 24<sup>o</sup> Lutego obudził we Włoszech, jezuicka tylko dyalektyka mogła w słowach *fara da se* upatrywać ducha nieprzyjaznego Francyi. Jedna iskra tego zapału wystarczyła na rozniecienie za Alpami ognia rewolucyi, na wypędzenie Austryaków z Medyolanu i z Wenecyi, na cały ten szereg wypadków zakończonych powstaniem w Sycylii a zawieszonych przez anglo-francuzkie pośrednictwo.

Pomimo niecierpliwości, z jaką Lombardia dźwigała jarzmo austryackie, wieść dopiero o ogłoszeniu Rzeczypospolitej we Francyi, przekonanie, że zaświtał ostateczny dzień walki swobody z przemocą, wywołały w niej te siły, jakich dotąd nieznała ani w festynach, ani w processyach, ani w duchu liberalnie wiejącym z Watykanu; duch święty, zagrzewający do czynu i cudotworeczy, nie w Rzymie ale w Paryżu miał swoje ognisko.

Po pierwszym zaraz drgnięciu ludów włoskich, spowodowanem wypadkami Lutego, zawiązał się w Medyolanie komitet

z ludzi młodych, najdalej w owym kraju sięgających rewolucyjnych wyobrażeń, i jał przemyśliwać nad uorganizowaniem powstania na Włoszech. gdy w tem śród podziemnych jego robót wypadły pamiętne zdarzenia w Wiedniu. Stronnictwo postępowe, ufne w bohaterstwo powszechne i w zapal, przejęte duchem wiary i potęgi, jaki owiewał podówczas ludzi dobrej woli, z obawy, aby umiarkowani i zachowawcy, jeżeli nie przez brak uczucia narodowości, to przez strach wpływu i ducha Francyi, nieweszli w układy z konstytucyjną Austryą, postanowiło, w dniu ogłoszenia pierwszych, ze strony gabinetu wiedeńskiego przyzwoleń, rozwinąć chorągiew powstania. Lud, jak zawsze, jak wszędzie, godnie i po rycersku odpowiedział na wezwanie, lecz jak zawsze, jak wszędzie, łatwowierny i nieprzewidujący, zdradzieckim i niedołężnym dłoniom ster swoich losów powierzył; jak zawsze, jak wszędzie, ludzie mali, nikkzemni, bez wiary i bez ducha, kałający rewolucyę i zgubni dla jej rowoju, na czoło jego wyszli i władzę zagarnęli. Ludzie ci wkrótce potrafili zagrabić na swój pożytek owoce bohaterskiego męztwa, przygasić ognie wulkanów i trupią, wyschłą prawicą, młodzieńca po raz pierwszy powstającego, w chwili, gdy ostatecznie miał pęta swe skruszyć, napowrót w letarg pogrążyć. Ci to zmateralizowani wyzyskiwacze, frymarczący krwią i zapalem, niezdolni ani cokolwiek stworzyć, ani dla ogólnego dobra upożytecznić, umiejący jedno grzebać żywych i rozbudzone życie wszędzie znicestwiać, pogrzebowi sładzy rewolucyi, których mowa wywiewa odwagę, mądrość jest mądrością śmierci, czyn wpływem zwątpienia, sprawili, że Lombardczycy, bez harmat, bez broni, bez zasobów wypędziwszy austryackie żołdactwo, w kilka miesięcy później, z harmatami, z bronią, z zasobami, umundurowani i wyćwiczeni, niemogli oprzeć się pochodowi Radeckiego. Ludzie ci, których w ciągu naszej pracy spotykaliśmy po wszystkich komitetach i na spodzie wszystkich odezw, manifestów i adresów a którzy wszędzie jak stado karłów pojawiają się na zwalenie z nóg powstającego olbrzyma, którzy zabijają najsilniejsze i najświętsze sprawy i materyalizmem wymokłym w bagnie półśrodków i zwątpienia bardziej niż brakiem zdolności lub jawną zdradą w ręce wrogów oddają kraj własny, zaraz po wypędzeniu Austryaków złożyli rząd tymczasowy

w Medyolanie. Rząd ten natychmiast zapragnął neutralności jako środka połączenia z sobą wszystkich stronnictw, wszystkich interessów, połączenia dziwnych żywiołów, kamarylli rzymskiej nieulegającej już wpływowi przerażonego ruchami Papieża, druha carskiego króla obojga Sycylii, niedołącznego Arcyksięcia Toskanii i nareszcie kilkakrotnego przeniwiercę Karola Alberta, połączenia ich ze sprawą ludu, z wolnością, z rewolucją, z walką przeciw Austrii; życie wzywało śmierć do sojuszu, czyścowy potępieniec błagał szatana, aby mu otworzył wrota do nieba. Wówczas ujrzano kupnych mówców i dziennikarzy, tych kondottyerów wstecznictwa naszej epoki, przebiegających Włochy, zachęcających do miłości ku tronowi, opiewających cnoty Karola Alberta, wystawiających monarchię jako jedyny środek zbawienia, w istocie zaś pod faryzeuszowską pokrywą godności narodowej i dumy, usiłujących przedewszystkiem rozniecać ducha nienawiści przeciw Francji i jej pojęciom; król sardyński zwał się u nich «spada d'Italia», hasłem wyswobodzenia były słowa «l'Italia fara da se.»

Tymczasem Karol Albert, raz dla ratowania swego tronu, to znowu dla uprzedzenia pośrednictwa Francji lub może nawet dla osobistych widoków władzy, wypowiedział wojnę Austrii. Wnet korzystając z propagandy, zacięcie przez popleczników swoich rozszerzanej, niezależność Lombardyi odebrał, tem samem zaś rzucił rewolucję w ręce zdradzieckiego stronnictwa, którego jaskinią był Turyn, podporami zaś Jezuici, w ręce ludzi, których podstępny i knowania dopięły zamierzonych celów w cofnięciu się z pod Goito, w ucieczce z pod Medyolanu, nareszcie w zawieszeniu broni d. 9<sup>o</sup> Sierpnia. Stronnictwo to zgielkliwie wykrzykując powiedziane przez Karola Alberta wyrazy: *l'Italia fara da se,*» wybijało pokłony gabinetowi angielskiemu, którego interesem było zwicnięci wpływu Francji, umawiało się z Ferdynandem neapolitańskim, groziło Papieżowi, przerażało każdego, ktokolwiek coś posiadał, strachem ogłoszenia rzeczypospolitej i wprowadzenia teoryi komunizmu jako bezpośredniego następstwa wejścia Francuzów, aż nareszcie ognisko zapału przywaliło bryłami lodu, tak że najszlachetniejsi ludzie niewiedzieli, co począć. Genuńczyk Ricci, przestraszony widmem gilotyny i grabieży, upiorem wymarzonem przez ka-



maryllę, o kwestyi bowiem społecznej cale we Włoszech nie-myślano, opuścił ministeryum sardyńskie, zostawując rządy w rękach uczonego geologa Pareto, najzacniejszego z ludzi ale najniezdolniejszego z ministrów. W Turynie nadto poseł angielski wszechwładnie panował, czyli wszelkiemi sposoby usiłował przeszkodzić pośrednictwu ze strony Francyi. Polityka Anglii, tej Kartaginy XIX<sup>o</sup> wieku, jak wszędzie tak i we Włoszech, wypowiadała śmiertelną wojnę wolności, kierowała ruchami wstecznicstwa, które lękało się wyobrażeń równie, jak gabinet londyński politycznego wpływu Francyi. Poseł angielski ciągle szeptał Karolowi Albertowi o zgubnych skutkach, jakie musiały wyniknąć z pośrednictwa młodej Rzeczypospolitej, przerażał go następstwem wojny powszechnej i tylko w zamian za uległość obiecywał dyplomatyczną opiekę Anglii. Ministeryum sardyńskie kroczyło ścieżką wskazaną mu przez Palmerstona; dobroduszny Pareto zasypał szczęśliwie w lubem oczekiwaniu na wszechmocną opiekę Anglii a z nim też usypiały i Włochy, aż dopiero zbudził wszystkich huk dział austriackich. Poznano naówczas tradycyjne angielskie szalbierstwo i zwrócono błagające dłonie ku Francuzom; sam Karol Albert dobrowolnie lub mimo chęci, zażądał jednak pośrednictwa, chociażby tylko dla zwalenia głucho krążących pogłosek, jakoby król sardyński zagrożony w granicach państwa domowi jego traktatem wiedeńskim zaręczonych, miał okupić nietykalność dzierżaw swoich wiarołomnem wydaniem Medyolanu i skrytymi umowami z Radeckim. Wartość tych pogłosek historia dowodnie nam kiedyś pokaże, tymczasem powtarzamy, że Włochy urządowie zażądały pośrednictwa Rzeczypospolitej francuzkiej, urządowie, lud bowiem włoski oddawna całym duchem jej pragnął. Rząd tymczasowy lombardzki w odezwie swej do Rzeczypospolitej przymuszonym był te prośby wynurzyć, po kapitulacyi Vicenzy wnosił nawet do gabinetu piemontskiego radę, aby wkroczenia Francuzów urządowie i publicznie zażądać i nareszcie za pierwszą wieścią o pobiciu wojsk sardyńskich, wysłał do Paryża jednego z swych członków Guerrier'ego, prosząc o bezwzględną pomoc.

Tymczasem Karol Albert wachał się i namyślał, Ricci żądał trzech miesięcy zwłoki, trzech miesięcy w kwestyi życia i śmierci,

gdzie każda chwila była nieocenioną, aż dopiero, gdy głos ludu jak gdyby z jednej piersi wydarty, zwrócił się ku Francyi, Karol Albert temu i innym powodom ulegając, ośmielił się sprzeciwić woli posła angielskiego. Kamarylla wcale nie uznała się za pobitą; przeciwnie, wystąpiła z większem niż dotąd żarciem, zmusiła króla, że nawet po wydaniu Medyolanu, po układzie w Vigevano, prośbę o pośrednictwo Francyi zawiesił, ministeryum liberalne odsunął i sprawy kraju ręką stronnictwa jezuicko-magnackiego powierzył. Oczywiście, Karol Albert nie był przedstawicielem ducha i pragnień narodu włoskiego, w chwili bowiem, gdy układał się z Radeckim, gdy uciekał z Medyolanu i rządy państwa oddawał stronnictwu, które wrzкомо na wojskowych dowódców narzekając, samo całą sprawę zgubiło, gdy nareszcie pośrednictwo Francyi i wyzwolenie Włoch dla widoków dynastycznych i zamiarów wstecznicstwa jednocześnie z prośbą do Rzeczypospolitej odpychał, w tejsze samej chwili powtarzamy, gwardya narodowa medyolańska, komitet zbawienia publicznego, naród cały nawet, rzucając domową strzechę, dwiestotysięcznem wychodztwem przeciw zdradzie ojczyzny protestował i głosem rozpaczycy jako o ostatni środek ratunku, błagał Francję o pośrednictwo. Wtórowały Lombardyi, Wenecya, Genu, dzienniki piemontskie, Izba i lud rzymski, Legacye, Florencya, Liwurno, słowem wszystko, co parło się do życia dla wolności, nie zaś do śmierci dla widoków domu Sabaudskiego. Widziano wówczas starców umierających nagle z rozpaczycy na widok wtargnięcia Austryaków, widziano ludzi, którzy niemogąc znieść myśli powtórnego zakucia ojczyzny w kajdany, tracili zmysły, odbierali sobie życie, rzucali pustkami domy i z całemi rodzinami opuszczali kraj, z jedną tylko nadzieją wybawienia, z nadzieją pomocy od Francyi. Wiadome następstwa tego wychodztwa, wiadome wysilenia rozpaczycy stronnictw liberalnych i los legii Garibaldego.

Na wieść o wzięciu Medyolanu w całej Europie dla wolnych piersi zabrakło powietrza; z jednej strony zwątpiono o tej rewolucyi, która zdawała się ostateczną i dość potężną do rdzennego wywrócenia despotyzmu, z drugiej co chwila oczekiwano wiadomości o wtargnięciu Francuzów do Lombardyi, o ich koniecznych zwycięztwach, tem bardziej, że National uważany

jako urzędowy organ Rzeczypospolitej, ciągle groził wojną, ciągle przysięgał Włochom, że za pierwszym ich niepowodzeniem wojska francuzkie natychmiast przekroczą Alpy. Ktokolwiek widział rewolucję Lutego, temu przez myśl nawet nieprzeszło, aby ta Francya, która wówczas była gotową lecieć na krańce świata dla skruszenia kajdan ucisnionej ludzkości, która bezustannie odgrażała się, że prędzej wojnę powszechną przeciw sobie zapali, niż miała by poświęcić Włochy; która 23<sup>o</sup> Maja urzędownie niepodległość Włoch za zasadę swej polityki ogłosiła, ażeby Francya republikańska, Francya 1848<sup>o</sup> r. popełniła nikczemność, na jaką gabinet z czasów Dubarry lub Guizot'a nigdy niebyłby się odważył, nikczemność i błąd polityczny zarazem, oczywiście bowiem najprostsza rachuba, doświadczenie przekazane przez Richelieu'go i Ludwika XIV<sup>o</sup>, że już niewspominamy o dawnej Rzeczypospolitej ani o Napoleonie, pod karą uszczerbku na narodowej potędze, Włoch opuszczać niedozwalały. Tak się jednak stało. Po cudach rewolucyi ujrzano cud wstecznicstwa; strach wojny powszechnej przemógł; niedołęztwo i brudny kramarzów egoizm zwyciężyły. Podczas gdy rząd co chwila groził swoim pośrednictwem, gdy odgrywał komedię zbierania w okolicach Grenobli tak zwanej armii włoskiej, gdy w kolumnach dzienników zwodził bitwy z Austryakami, Radecki rozgasał się w Lombardyi, odbierał napowrót Peschierę, rzucał zdobyty kraj na łup rozpasanemu żołdactwu i Ferrarę nawet, miasto, z którego przyczyny gabinet Guizot'a był się już raz zachwiał, wojskiem swoim osadzał. Gazeta augsburska, organ Metternichowego wstecznicstwa, tryumfowała i nieszczęśliwie upokarzających dla Rzeczypospolitej przycinków; w Paryżu nikt sumiennie nieodważył się jąder jej odeprzeć, dzięki postępowaniu rządu w sprawie włoskiej.

Wypadki zaalpejskie zastały Lamartina w pałacu spraw zagranicznych, Lamartina, o którego działaniach wspomnieliśmy już kilkakrotnie i dość wyraźnie, aby uniknąć potrzeby szczegółowego zastanawiania się nad ich barwą. Tu jak wszędzie, jak od pierwszego dnia rewolucyi, P. Minister zdradzał sprawę wolności; zamiast bezpośrednich układów z wyobrazicielami ludu, knuł konszachty z gabinetami, niewyjawiał wprawdzie otwarcie wstecznych swoich widoków, ale

członek rządu republikańsko-rewolucyjnego w Paryżu, w Turynie był monarchistą zaciętszym od samego Karola Alberta, upartszym od magnacko-jezuickiego stronnictwa. Podczas gdy krasomówca ten, któremu przeznaczonem było do ostatka zużyć na sobie siłę francuzkiego frazesu, palił przed oczyma narodu fajerwerki przedsiębiorczej swojej wymowy; w istocie, wystraszony obawą powszechnej wojny, przez agentów swoich odradzał Karolowi Albertowi pośrednictwo Francyi, groził mu włoską republiką i to czerwoną, któż bowiem za Alpami byłby zdolny trójkolorowej zapewnić zwycięztwo? Takowy sposób postępowania, który harmonią słów usypiał rozdrażnioną godność narodu i zarazem niewystawiał Francyi na żadne ofiary, równie zadowalał dążenia paryzkich kramarzów, jak odpowiadał widokom włoskiego wstecznictwa, Karola Alberta, polityki angielskiej i najdroższym oczekiwaniom Ś<sup>o</sup> Przymierza. Następcy P. Lamartina, w skutek Czerwcowego wybuchu, silniej jeszcze chwycili się przekazanego im systemu.

Kiedyżeśmy je zahaczyli, wspomnijmy więc kilka słów o zaburzeniach Czerwcowych.

Wypadki te pod tym względem są ważnemi, że wyjawily prawdziwe słowo rewolucyi 1848<sup>o</sup> r., że Francya, że Europa, dowiedziały się o postawieniu nowej w ludzkości zagadki. Dotąd rewolucye byly dźwięczną symfonią wolności; krwawe ich ustępy łagodniały pod opromienieniem uroczych zjawisk ludowego bohaterskiego zapalu, pod rycerską jakąś i estetyczną barwą, pod szlachetnym entuzjazmem kobiet, zwłaszcza zaś pod dobitnem bo politycznem rysowaniem się dwóch stronnictw wolności i niewoli, światła i przesądu, lub praw człowieczych i przywileju; były one poezją niejako zatargów w ludzkości, zatargów, które po raz pierwszy w Czerwcu przedstawiły się w prozie.

Zwichnięcie rewolucyi Lutego w samej jej rękomości, zmaterjalizowanie ludu, poniewierka, zamiast świętego upożytecznienia jego zapalu, wystarczyły, jak to już dawno powiedzieliśmy do przeszatanienia rycerza-apostola w bratobójcę, w zbrojnego najeźdzcę na społeczeństwo. Celem tychże samych dziś wszędzie rewolucyi było treściwe przebudowanie świata, ustalenie nowych stosunków nietylko między rządami i narody,



ale pomiędzy wszystkimi członkami wielkiej ludzkiej rodziny. Socjalizm wszelako dopiero wśród walk Czerwcowych jako otwarcie wojujący wystąpił, ruszył jawnie w zapasy z dawnym porządkiem i śmiertelną wojnę dotychczasowemu społeczeństwu wypowiedział. Trwoga zdjęła najśmielszych, gdy po raz pierwszy ujrano krwawe proporce ze straszniemi napisami «Wspólność» — «Śmierć i grabież.» Stara rewolucya w ostatecznych swoich hasłach sięgała tylko «braterstwa lub śmierci,» dziś wydziedziczone pokolenia, przywiedzione niedołążnością rządu do szaleństwa rozpacz, na mocy słowa dopominały się o rzecz, na mocy braterstwa o wspólność. Używając języka socjalistów, powiemy, że ci, którzy mieli *jus ad rem*, domagali się o *jus in re*: ponieważ zaś każdy posiadający *jus in re* wcale nie dbał o *jus ad rem*, dopóki więc socjaliści obu zasad w jedną niezleli, zostawiał im swobodne drugiej używanie; skoro jednak przyszło do czynu. teorye socjalistów prosto wystąpiły jako napad na własność a zatem na wolność, i z obu stron zawrzała wściekła walka. Rząd musiał przyjąć następstwa zmateryalizowania ducha i ciasnoty swego widokręgu, wybuch atoli Czerwcowy, to pierwsze zjawisko powszechnego kiedyś kataklizmu, wcale nie był jednorodnym a tem mniej jeszcze początkiem z sumiennego poczucia zasady.

Główną przyczyną strasznej tej walki było zniesienie tak zwanych *pracowni narodowych*, które tem były dla socjalizmu, czem dla rządu *gwardya ruchoma*. Po rewolucyi Lutego, gdy pierwsze zaraz kroki rządu zapowiedziały rzucenie fałszu posłannictwu Francyi, część ludności walczącej na barykadach została wnet umundurowaną i uszykowaną w szeregi *gwardyi ruchomej*. Część druga, wzrastająca ogromnym napływem robotników z prowincyi, sama umundurowała się w bluzy i uszykowała w *pracowniach*; pierwsza była rewolucją uorganizowaną na obronę *statusquo*, obronę pojęć, jak tego całą naszą pracą dowiedliśmy, wstecznych, a tem samem *kontrewolucją*; druga w składzie swoim i w zasadzie była uorganizowaną *anarchią*, stękiem żywiołów niezsumienionych ale rdzennie *zaprzecznych* a tem samem *rewolucją*. Rząd oba te zapalne stronnictwa zakuwszy w ciasne granice *samolubnej Francyi*, musiał przywieść do *wzajemnego starcia*, do *wybuchu*, do *bratobójczej walki*.

W historii Rzymu, w epoce mitycznej królów, spotykamy podanie o Tulii, córce króla Serviusza, która przymusiła swego woźnicę do roztratowania ciała zamordowanego jej ojca. Król Serviusz oczywiście był wyobrazicielem zwyciężkiego gminu, jak to samo jego nazwisko powiadało,<sup>1</sup> historykowie zaś w zbrodniczej Tulii oddawna upatrywali mglistą niby allegoryę o części ludu, która to w skutek zdrady miała roztratować zwłoki swojego ojca. Dziś, śród walk Czerwcowych, w żywole zaciętości, jaki gwardyę ruchomą daleko namiętniej aniżeli samo nawet wojsko liniowe ogarniał, trudno niespostrzedz tej Tulii, tej córki królewskiego gminu, która urzędowym strojem osłoniwszy serce, przed upojeniem jeszcze bojową wrzawą, z godnym lepszej sprawy szalem ostrzyła broń przeciw nieszczęśliwemu ojcu; od pierwszych bowiem chwil rewolucyi pomiędzy pracownikami a gwardyą panowała nieublagana zaciętość. Dotąd dziwiono się tylko szczególnej nienawiści, jaka śród walk zażęgała gwardyę ruchomą przeciw pracownikom, nikt atoli dwoistości, o jakiej wspomnieliśmy, niezauważał. Pod formą wypadków, szukając ducha, łatwiej zrozumiemy przyczyny tej nienawiści; ze strony gwardyi występowała niespokojność sumienia, ze strony ludu zemsta za przeniwierstwo; w szeregach pierwszej walczyła stara forma, między drugim, pod krwawym materializmem błyskały przecie iskry nowego ducha, pomimo bowiem całej wadliwej strony pracowni, jaką w początku dzieła naszego potępiliśmy, niepodobna zaprzeczyć, że przedczucie nowego ducha wyraźnie się w nich objawiło. Zapamiętaliśmy słowa tych wyrobników, którzy, gdy ich rozpędzano, mówili: «jakim prawem chcecie targać węzły, któreśmy między sobą na «zasadach braterstwa zawiązali? jakim prawem rozłączacie «ludzi, którzy, po raz pierwszy od stworzenia świata, w miłości i zgodzie żyją jak bracia?» Słowa te zaczerpnięte w świętych żywiołach, jakie koniecznie i wszędzie tkwią między ludem, wskazywały moralną stronę socjalizmu, oczywiście bowiem nieszło tym ludziom o nędzną płacę 30<sup>u</sup> soldów na dzień, wówczas gdy niejeden z nich dopokąd na własny rachunek pracował, po pięć i więcej franków zarabiał, nie wszystkim szło o próżnowa-

<sup>1</sup> Servius. ex servo rex.

nie, gdyż wada ta we Francyi klassem roboczym jest obcą, wreszcie jeżeli pracownie próżnowały. winą to było ministra i administracyi, jednym słowem rządu, który oddawna najniższy sługa bankierów, wzdrygał się zawsze w ręce swoje roboty publiczne obejmować. Kwestya toczyła się o warunek bytu całej ludzkości, o zasadę, bez której społeczeństwo istnieć niemoże, bez której życie wśród dzisiejszych stosunków jest walką, grą, przekupstwem i piekłem dla bogaczy równie jak dla biednych, o zasadę, którą wśród zmateryalizowania i usamolubienia się wyższych warstw towarzystwa, gdzież można było zaczerpnąć, jeżeli nie między ludem? Socyalny wzgląd rewolucyi stawiał zagadkę przebudowania społeczności, postawienia stosunków prawdziwie społecznych, jakich dziś nigdzie niema, dziś, gdy ludzkość zamiast być stowarzyszeniem i szkołą, rodziną i kościołem, jest wielkiem forum nierządu i lichwy, kłamstwa i nieprzyjaźni, dziś, gdy jeden musi drugiego być wrogiem. Żywiołom postępowym szło o osadzenie społeczeństwa na zasadach równości, wzajemności, obowiązku i rodzinnej pomiedzy ludźmi miłości, a to przez złączenie od wieków rozerwanych interesów, przez zbratanie i spojenie w jeden łańcuch zawziętych na siebie duchów, przez zlanie w jedno zapalne dla świata miłości ognisko wszystkich iskier, jakie dziś w młodych już sercach tłumi odosobienie, przygasza spółzawodnictwo, zawiść i walka, bez której zdawałoby się, że życie jest niepodobnem. Słowa te fałsz zadały opasłym filantropom, Cyceronom naszej epoki, którzy rozparci w wygodach światowego położenia, gwałtownie powstają na materyalizm i na zepsucie klass roboczych. Odtąd niemiano już prawa zwać socyalizmu religią brzucha, gdyż socyalizm jawnie i otwarcie dowiódł, że był religią serca, taką, jaką nam Zbawiciel przekazał, równie jak od 24<sup>o</sup> Lutego dowiodły wypadki a to we Francyi równie, jak i gdzie indziej, że serce było tylko pod bluzą i pod siermięgą, że z ludu tylko mogło wybylsnąć objawienie prawd i czysto duchowych potrzeb, o którychto ani filantropy, ani adwokaci, ani kramarze, ani demagogi najmniejszego niemieli wyobrażenia. W ogóle jak we Francyi tak w Europie niepojęto zwiastowania, i nie dziw: we wszystkich bowiem dziś rewolucyach widzimy jakiś fatalizm, który zmusza ludzkość do zbawiania się omackiem; zewsząd rozlegają

się utyskiwania na brak wielkich ludzi; niema ich w istocie i pojaw geniuszów z każdym dniem staje się niepodobniejszym. Społeczeństwo zbawi się niedołężnością, głupotą i zaślepieniem indywiduów, które powszechną anarchię sprowadzą i chaos, nad którego wodami unoszący się Duch Boży, nowy świat zeń wywoła. Ludzkość kroczy naprzód bez wiedzy i bez uznania się w swoim jestestwie, rewolucye bowiem dzisiejsze nie są budowaniem ale rozkładem, nie są czynne ale bierne, jako przystoi stanowi, który bez żadnych obcych jedno z własnych przyczyn, ze skaduczalej starości i z gangreny materjalizmu jest konaniem starego świata.

Z tego to stanowiska zapatrując się na wypadki Czerwcowe, mimowolnie przyszliśmy do sądu o nich odmiennego od zdania ogółu; oczyma ducha musieliśmy w nich dojrzeć symptomata śmiertelnej choroby i zarazem w skutek przesilenia czasu, zapowiedzenie jakiejś oddalonej epoki wyzdrowienia, epoki życia, miłości i prawdy, niezależnej od dzisiejszego społeczeństwa, od słabych i niezdolnych indywiduów, które ani ratować konającego świata ani dobić go nie są w stanie. Raz jeszcze powtarzamy, pojedyncze jednostki żadnego dziś wpływu na wypadki niemają, nikt, chociażby kto był Napoleonem niepotrafi przeszkodzić lub pomódz wypadkom, na rozwiązanie to albowiem, którego jesteśmy świadkami, sześćdziesiąt wieków i myriady ludzi pracowały; potęga czynów przez nich dopełnionych silniejszą jest od woli, przeto cokolwiekbyśmy powiedzieli, co ma się stać, stanie. Stąd też w zaburzeniu Czerwcowem litość naszą, żal i spólcucie, zachowujemy jedno dla zabitych, dla rannych i osieroconych; potępienie rzucamy na tych, którzy niezdolni zwrócić właściwem łożyskiem potoku rewolucyjnych żywiołów, przyczynili się do nieszczęsnej a krwawej dla kraju powodzi, na tych, o których dawno powiedziano, że pomimo oczu nie niezobaczą, którzy w skutek głupoty lub złej woli sądzili, że rewolucyi 1848 r. potrafią frazesami zadośćuczynić, którzy w śnie samolubnym pogrążeni, w słowach równości i braterstwa na chorągwiach Francyi wypisanych, żadnej treści, żadnych następstw, żadnego urzeczywistnienia w przyszłości nieupatrywali, którzy mniemali, że pod trójbarwnym republiki proporcem będzie można dalej prowadzić kramarską politykę



Ludwika Filipa, słowem, że rewolucya 1848 r. fakt przypadkowy, przygodni, bynajmniej zasad dotychczasowego porządku niezmięła. Ci to ludzie, a których wyobraża il w potoku, pyrz w roli, rdza w stali, stronnictwo wsteczne, cały obszar niedoślewem swoim ogarniające, sprawili, że rewolucya, która w zarodku swoim była miłością, którą ludzkość witała jako brzask dnia nowego, jako zwiastowanie Królestwa Niebios, w dniach Czerwowych rozzwierzyła się w zemstę, w okropność, w zacieklą bratobójczą walkę, w kannibalskie okrucieństwo. Zamykając się w swojej wyłączności, zdradzając sprawę rewolucyi w Niemczech, we Włoszech, w Polsce, Francya równie jak każdy samolub musiała przecierpieć wewnętrzne bole, musiała karę wojny domowej ponieść za nikczemność zewnętrznej swej polityki: któż bowiem niewie, że krwią na barykadach Czerwowych przelaną można było wolność Europy okupić, że zapal powszechny wybuchem Lutego obudzony, można było ku celom szlachetnym, ku wyzwoleniu człowieczeństwa obrócić, na krucyatę przeciw Rossyi, przeciw Turcyi, przeciw wszystkim gniojącym ludzkość tyranom skierować i upożytecznieć, że tenże sam proletaryat długo niczego prócz tej świętej wojny niepragnął, że za wychodzącymi kolumny Polaków i Włochów, klnąc nikczemność rządu, że łzami o kilkanaście mil od Paryża ciągnął, że rozstać się z nimi niemógł i ostatki chudoby niósł im w ofierze, że w nadzieji tej zbawczej dla świata wojny, konwulsye głodu w łonie swem tłumił i ciągle czekał tylko i czekał. Lecz jak żądać, aby ludzie bez miłości, bez wiary, aby giełdowi wyzyskiwacze, obłudnicy i samolubcy, błotnisty ten wynik rządów Filipa, pojowali lud, aby śmierć mogła odpowiedzieć rozwojowi życia? Łatwiej podobno z niczego świat stworzyć aniżeli wywieść go ze zgnilizny. Co tylko w zgangrenowanej rządami Filipa Francyi, do władzy się dostało, było szumowinami starego społeczeństwa; byli to wytarci w pieniackich rozterkach adwokaci, urzędnicy wyzyskiwacze i wyobrażający samolubstwo i niedołężność swego wieku, demokraci z National'a. Mała liczba prawdziwie rewolucyjnych ludzi razila pośród nich swoją bezwładnością, chociaż i ci, starej epoki wyobraziciele, ani czasu, ani ludu, ani wybuchu 1848<sup>o</sup> r. niepojowali. Na nieszczęście daleką była chwila, w której lud sam

sobie zaufa; jak dotąd tak i podówczas jeszcze ludziom pojedynczym on zawierzał i warunki wybawienia w nich upatrywał. jeszcze z dzieciennem niemal zaufaniem do ratusza, siedziska rządu tymczasowego przychodził, jeszcze frazesami Lamartina się karmił. Wiara ta ze strony ludu dodała otuchy przeciwnym mu żywiołom. wsteczniectwo wzmagало się w siły, na zgrzytliwy strój naprężało struny ducha narodowego, wtlaczało w ziemię iskry zapalu, aż nareszcie wywołało straszny wybuch Czerwcowych wypadków. Sprawozdanie okropnych tych chwil powszechnie jest wiadomem; niemamy potrzeby wdawać się we wszystkie szczegóły, jakie zaburzenie Czerwcowe cechowały, poprzedzamy w tym względzie historję, która ducha dając pod faktami, w szczegółowe opisy podobnych tej chwil gwałtownego przeradzania się ludzkości niewchodzi. Dość na tem, że następstwem tej rewolucyi była koutrewolucya, która na miejscu rządu tymczasowego osadziła Cavaignac'a i całą Europę na pastwę wsteczniectwu wydała. Stronnik National'a, opromieniony pogrobową sławą ojca swego i brata, Cavaignac, człowiek sumienny i szczerzy republikanin, ale republikanin formy nie ducha, republikanin z rządu tych, którzy mniemają, że republikę stanowi wypisany na chorągwi frazes, z resztą jako żołnierz, przywykły do rządzenia i posuwania machinami, co zaś gorsza, w wojnach i razziach algierskich straciwszy zapewne wszelkie dla praw człowieczych a tem samem dla wolności poszanowanie, ani serca ani głowy niepospolitej niemając, wykartaczował wprawdzie napastników, ale też i wulkan, w jakim ludzkość nadzieje swe pokładała, zadławił. Odtąd poznano, że rewolucya 24<sup>o</sup> Lutego skołała jako przedwczesny poród, że od Francyi ani od Cavaignac'a niczego spodziewać się nienależało, dla tego też, gdy Włochy pomocy od Rzeczypospolitej zażądały, pomimo szumnych gazetarskich wykrzyków, ludzie położenia rzeczy świadomi, w istotnych zamiarach rządu francuzkiego żadnego ratunku dla spraw włoskich niewidzieli. Jakoż, zamiast bagnętów, rzucono za Alpy nawałnicę not dyplomatycznych, i ta Francya, która za Wielkiej Rzeczyposolitej, nikogo prócz śmierci lub zwycięstwa za pośrednika między sobą a wrogami swymi niebrała<sup>1</sup>,

<sup>1</sup> Za przesławnych czasów Konwencyi, eskadra pod dowództwem admirała

dzisiaj wdała się w matactwa i gabinetowe konszachty, podczas gdy gazeta augsburgska, wyraz polityki austriackiej, podczas gdy Times, organ ministerium angielskiego, rewolucyi, Wlochom, całej sprawie wolności, bezczelnie urągały.

Dokąd nas ta nędzna komedia zawlecze? nie wiemy, wręcz tylko oświadczamy, że po wypadkach Czerwcowych, kontrrewolucya dalej jeszcze Francją cofnęła, niż Ludwik Filip był ją zawrócił. Wstecznicstwo, zuchwale rozgościło się na gruzach rewolucyi, jawnie zarzuciło fałsz najświętszym jej celom i udawało, że niepostrzega symptomatów nowego ruchu, które jednak co chwila otwarcie skakały mu do oczu.

1<sup>o</sup> Sierpnia, w Izbie francuzkiej, znowu ciemni tylko lub zakrywający wzrok, niedojrzeli kierunku, jakim pomimo wszelkich zawad rewolucya usiłowała wydrzeć się na jaśnią. P. Manguin wysunął naprzód kwestyę spraw zagranicznych, przekonywał słuchaczy, jak rząd republikański na zewnątrz i na wewnątrz miał dwie polityki, jedną dla tumanienia wzroku narodu, drugą dla przeprowadzania własnych swoich widoków. Mówca koniecznie chciał wyrwać ministrom tajemnicę przyszłego ich postępowania w obec wypadków europejskich, ale tak P. Bastide jako i Jeneral Cavaignac, nieulegli naleganiom; przeciwnie, z bezprzykładną w dziejach monarchii nawet naiwnością, oświadczyli, że nieuznają potrzeby udzielenia Izbie w tym względzie jakichkolwiek objaśnień. Kwestya polityczna, równie jak na polu czynu, tak nawet śród czczych obrad parlamentarnych, wywiodła za sobą kwestyę socyalną. W skutek podanego przez siebie projektu założenia banku reorganizują-

---

Latouche, staje w zatoce neapolitańskiej, wystawia boki swe najeżone działaniami i grozi bombardowaniem, w razie jeżeli król nieuzna Rzeczypospolitej i nieodwoła ze Stambułu posła swego, który knuł konszachty przeciw Francji. Latouche wyprawia jako posła prostego grenadyera; król neapolitański oglądając z okien na eskadrę, przyjmuje go z wszelkimi honorami należnemi ambasadorowi. przyrzeka spełnić żądania i ofiaruje nawet pośrednictwo pomiędzy Rzeczypospolitą a jej nieprzyjaciółmi: «Rzeczypospolita, odpowiada «grenadyer, między sobą a wrogami dwóch tylko zna pośredników: śmierć «lub zwycięstwo.»

Porównajmy owczesną powagę Rzeczypospolitej z dzisiejszą ważnością jej pośrednictwa w sprawach włoskich, lub też godną postawę Latouch'a z postępowaniem admirała Baudin przy bombardowaniu Messyny, któremu ten ostatni jako obojętny świadek spokojnie się przypatrywał.



cego podatek i kredyt, wyobraziciel socjalizmu we Francyi, P. Proudhon zajął mównicę.

W ustępie naszym o rewolucyjnych żywiołach we Francyi za Ludwika Filipa, wspomnieliśmy kilka słów o śmiałym nowatorze, który obdarzony jedną z najpotężniejszych zaprzecznych sił, jakąśmy w dziejach spotkali, w razie wyzwania go do syntetycznego czynu, przydawał tylko jeden więcej dowód bezwładzy ducha francuzkiego gwoli zmateryalizowaniu tegoż i dziwnie ślepej wyłączności. O ile wysoko cenimy Proudhon'a jako nieubłaganego analityka, o tyle odmawiamy mu wszelkiej wartości na drodze organizacyjnych usiłowań; niewdamy się więc w uwagi nad możebnością praktycznego zastosowania jego teoryi; ponieważ jednak zagadka socjalna objawiła się w czasie nie zaś w ludziach, sądzymy przeto, że w obec tej aż nadto wyraźnej zagadki, Izba acz przeciwna zasadam Proudhon'a mogła atoli godniej odpowiedzieć wymaganiom ducha epoki. Wsteczniectwo jednak wypierało się kwestyi społecznej, tak jak wyparło się całej rewolucyi; zawczasu już zażarta niechęć trzęsła słuchaczami i wszczyniała między nimi zgiełk, jakiego dotąd nie widziano wśród najburzliwszych nawet klubów paryzkich.

«Obywatele deputowani, «mówił Proudhon poglądając do koła na wrzawę, «niecierpliwicie się, nie aby mnie usłyszyć, ale «aby raz zemną skończyć. Socjalizm od 20<sup>u</sup> lat porusza ludem, «socjalizm spowodował rewolucyę Lutego, wasze bowiem parlamentarne rosterki niebyłyby jednego człowieka naprzód «popchnęły. Pracownie narodowe były karykaturą socjalizmu, «ale ponieważ nie on je wywołał, nie na nim przeto cięży odpowiedzialność. Socjalizm to posłużył za proporzec ostatniemu «powstaniu; ci, którzy powstanie to przygotowywali i którzy je «teraz wyzyskują, użyli tej wielkiej sprawy dla zjednania sobie «klass roboczych; dziś idzie wam o zadanie stanowczego ciosu «socjalizmowi i dla tego wzywacie go, aby się wytłumaczył na «tej trybunie.» Głośny wybuch niezadowolenia zagłuszył ostatnie słowa i odtąd napróżno ciekawi teoryi P. Proudhon'a starali się chociaż jeden peryod z mowy jego pochwyć. Mówca przez trzy godzin dla prezydenta ledwo i dla kilku bliżej go otaczających czytał swoją rozprawę, reszta Izby w epileptycznem oburzeniu każdy jego wyraz tłumila ulewą gniewnych wykrzykni-



ków. Nienależy wszelako sądzić, aby gwałtowny ten sposób potępiania stosował się bezpośrednio do P. Proudhon'a i jego zasad; większa część słuchaczy nawet z okładek zapewne nieznała dzieł zuchwałego przywódcy socjalistów i w Proudhonie nietyle uderzała na własne jego teorie jak raczej pastwiła się nad powaloną i zgwałconą przez siebie rewolucją, do której karłowaty duch wstecznictwa wzbicie się niebył w stanie. Większość z radością przyjmowała najazdy Proudhon'a na własność, mogła bowiem pod pokrywą obrony społeczeństwa od barbarzyńców zamknąć się w swoim samolubstwie i wszystkie najświętsze cele rewolucyi zespoliwszy razem z teoryjami materialnego komunizmu, za jednym zamachem wbić w ziemię i na wieki, jak sądziła, kamieniem grobowym przywalić. Co do nas, jak z jednej strony niebronimy zasad autora *Sprzeciwieństw ekonomicznych*, tak z drugiej atoli dowodów przeciw fałszom doktryny Proudhon'a, poszukalibyśmy w szlachetniejszym nieco źródle niż to, w jakim Izba czerpała wrzaskliwe swoje wota.

Po tem, czego dowiedliśmy całą naszą pracą, niepotrzebujemy dłużej zastanawiać się nad dzisiejszem usposobieniem zwycięzkiego we Francyi stronnictwa; widzimy, że Rzeczpospolita rozdziela się na dwa główne obozy, jeden tych, którzy posiadają *jus in re*, drugi zaś mających *jus ad rem*; reszta odcieni na podrzędną tylko zasługuje uwagę. Wprawdzie zagrożone w swoich posiadach społeczeństwo może chwycić się różnych jeszcze form rządu, cofając się coraz dalej, tak jak dotąd się cofa, może nawet z Cesarzem Mikołajem zawrzeć zaczepny i odporny sojusz; postępowanie bowiem ludzi będących przy władzy, do obecnej chwili, do dnia 1<sup>o</sup> Listopada 1848<sup>o</sup> r. w którym to ostatni arkusz naszej pracy do drukarni odsyłamy, w niczem za przyszłość nam niezaręcza, z drugiej atoli strony wiemy, że pod tą martwą dzisiejszych stosunków skorupą, podziemne ognie rosną w potęgę, że zbliża się epoka ostatecznego przesilenia, że spokój i zaufanie z trudnością dadzą się ustalić, że gwoi powszechnemu rozprzężeniu stronnictwo zaprzeczne coraz się powiększa, że żadna moc ludzka rdzennej rewolucyi niezdolna zatrzymać; rewolucya ta albowiem, jakeśmy powiedzieli, nie jest wpływem woli ale konieczności, jest konaniem śmiertelnie rannego i samego przez się rozpadającego się świata, objawia

się, postępuje i działa na zewnątrz ludzi, bez ich uczestnictwa i pomimo ich woli.

Słowa nasze stosujemy zarówno do Francyi, do Niemiec, do Włoch i do całej Europy, zwłaszcza też Niemcy bardziej niż którykolwiek inny naród stwierdzają nasze założenie. Cały szereg rewolucyi niemieckich przedstawia nam tylko pękanie chrząstek i urywanie się muszkułów tego potwornego ciała, pokazuje nam rozkład, któremu idea ujednoczenia plemion germańskich i zwołanie sejmu frankfurtskiego w niczem niezaradzą. Zgodnie z zaprzecznym charakterem swego ducha, charakterem, którego najwyższym a śmiertelnym dla swojej ojczyzny objawem był Luter, Niemcy pomimo cheiwości, z jaką pragnęłyby całą ludzkość w siebie wchłonąć, nie zbudować niepotrafią. Szczep germański niepospolitą ma jeszcze w sobie potęgę i przyszłość, nie w pniu atoli, ale w gałęziach, nie w środku Europy ale w Anglii, ale w plemionach skandynawskich, zwłaszcza zaś w Ameryce. Stąd też uczucie przywiązania do rodzinnej ziemi najmniej dziś wykształconem jest w Niemczech, stąd lud niemiecki rad ciągnie do Ameryki jak gdyby przeczuwał przyszłość, która go tam czeka; w Europie nawet, gdy mu się gdzie pole zysku się otworzy, bez żalu na zawsze ojczyznę opuszcza.

Zjazd frankfurtski niewczesnem marzeniem wywołany i na teorii oparty, w imię zasady narodowości wyciągający rękę po Schleswig-Holstein i Limburg, i wraz wbrew tejże zasadzie grabiący Poznań i domagający się zaboru Włoch, i znowu sam z sobą spreczny, niewspominający nawet o pobratymcach podległych rządóm, na które Germania lękałaby się targnąć, na drodze obradnych zgierków pragnący urzeczywistnić wielką ideę ujednoczenia, zjazd ten, powtarzamy, zawsze nam się wydawał naksztalt zebrania niedojrzałych alchymistów, którzyby zgromadzili się celem stopienia w jeden aliaż kawałków różnorodnych kruszców. Marzyciele ukuli więc k'temu ogromny kocioł, wrzucili weń bryły żelaza i cyny, miedzi i ołowiu, i wyniosłszy naczynie na mroz dalejże potrząsać niem z niesłychaną gwałtownością i z hałasem, którego zgrzyt kaleczył uszy najod-daleńszych sąsiadów; po każdej z takich operacyi utopiłci ciekawie podnoszą pokrywę, patrząc, czy aliaż już nastąpił, ale

darmo, bryły leżą nietknięte, dno tylko kotła coraz się wyszczerbia; proźne chęci do stopienia kruszców, potrzeba zapalu, potrzeba ognia i na zimno nikt jeszcze dotąd ziarnka ołowiu nierozpuścił. W samej nawet idei ujednoczenia Niemiec za pośrednictwem zjazdu frankfurckiego niema dotąd zgody między germańskimi plemionami. Państwa drugiego rzędu i drobne księstwa bynajmniej nie dla zjednoczenia, ale z obawy wchłonięcia ich przez Prusy łączą się z Frankfurtem; Austria szarpana przedśmiertną konwulsją, oparta na mniejszym u siebie co do liczby żywiole germańskim, widzi w zjednoczeniu środki dławienia wspólną siłą wybijających się na jaw narodowości, gabinet wiedeński w kwestyi włoskiej lub w prawdopodobnem kiedyś powstaniu Słowiańszczyzny, liczy na pomoc wojsk Rzeszy; Prusy przedstawiające istotną treść ducha germańskiego, oświatą najwięcej w szczepie swym zasłużone, opierają się przeciw tej konfiskacie swej indywidualności na korzyść wspólnej sprawy, w ogóle zaś, zjazd frankfurcki razem wzięty, w obec zasady wolności jest powtórnem znowu sprzysiężeniem rządów przeciw ludom; widzimy bowiem, że gdziekolwiek ruch się jaki rewolucyjny pokaże, tam natychmiast Wikaryusz pcha wojska drobnych księstw, wojska, które niezdolne do utworzenia armii, wsteczniectwo zamieniło w policję. Ciekawa to historia zjazdu, wśród którego żalujemy, że odezwał się jeden z najmowniejszych w Polsce głosów, głos jednego z kapłanów WK<sup>twa</sup> Poznańskiego, prawdziwy głos wiary, ludu i wolności, a który to zjazd od początku zaraz w niemieckim nawet ludzie mniej wzbudzał zaufania i otuchy, niż demokratyczne kluby i ludowe zebrania. Zjazd ten, wyłączając lewą stronę, był stekiem zaprzędanych rządów pedantów, dziennikarzy, urzędników i magnatów, był on na wielką skalę coś nakształt komitetów i Rad, o jakich wspominaliśmy, był ześrodkowaniem niedołęztwa i materjalizmu, wcieleniem żywiołów nienawistnych wolności, kamieniem grobowym rewolucyi, niedziw więc, że oczekiwaniom ludu odpowiedział zupełnym zwrotem rzeczy do dawnego porządku. Tak więc w Niemczech jak i w Francyi krew niewinna napróżno płynęła; w Monachium, nad Renem, w Wiedniu, w Berlinie, równie jak w Paryżu, rewolucya 1848<sup>o</sup> r. w kierunku swoim zwicniętą została. Niedołęzne i zdradzie-

ckie względem wolności stanowisko zjazdu wznieciło w ludzie oburzenie i wściekłość, wywołało frankfurtskie barykady, zabójstwo Auerswald'a i Liechnowskiego i tę szaloną, bez celu i wyrachowania walkę uliczną, z której oczywistym wynikiem wsteczniectwo umiało skorzystać, w skutek której miasto w obłęzeniu ogłosiło, swobody poodbierało i jeło naśladować Cavaignac'a, równie jak lud w wybuchach swoich uliczników paryzkich przedrzeźniał. «Die deutschen Cavaignack'en» tak nazwani przez wsteczne dzienniki ministrowie Wikaryusza, w powagę Sylli się udrapowawszy, Frankfurt, mający być stolicą wolności zamienili w siedlisko carskiego niemal terroryzmu, rozpuścili policyjnych zbirów i aresztowali za postać, za rewolucyjną jak mówili formę kapeluszy. Toż samo ministerjum Państwa niemieckiego, które dotąd niby oderwane słowo pławiło się niewidzialne śród wrzawy obrad parlamentarnych, nagle na potępienie uliczników frankfurtskich, stało się ciałem; po raz pierwszy znalazł się ktoś poczuwający w sobie władzę ujednoczonego Państwa i jego Wikaryusza, po raz pierwszy abstrakcyja objawiła się w przedmiotowej rzeczywistości i dawała się we znaki, — komu? ulicznikom. Wszelako Times jako głęboki polityczny rachmistrz, ze zwycięstwa odniesionego przez Wikaryusza nad chłopcami ulicznymi, wywiódł wniosek, na jaki żaden z profesorów siedzących na ławach zjazdu frankfurtskiego niebyłby się zdobył. Wypadki Czerwcowe w Paryżu i Wrześniowe w Frankfurcie, zdaniem organu ministerjum angielskiego śmiertelny cios zadały rewolucyi i nauczyły rządy, jak mają postępować z ludami, które zbyt natarczywie o swoje prawa dopominać się ośmielają. Odtąd, z wielką pociechą aldermanów londyńskich, dzięki wydoskonaleniu ulicznej strategii, ludzkość o tyle tylko może uzyskać swobód, o ile panujący oparci nie na prawie już, lecz na harmacie, nie z berłem ale z lontem zapalonym w ręku, raczą jej takowych udzielić.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> «Wypadki frankfurtskie, mówi Times, powinny w Europie zadać śmiertelny cios republice czerwonej; jest to nowy dowód (jeżeli potrzeba jeszcze «dowodów»), że energia i harmaty aż nadto wystarczają do utrzymania w posłuszeństwie uzbrojonego ludu. W końcu Lutego b. r. Europa poznała nowy «system wojny, o jakiej historia niedawała nam dotąd żadnego pojęcia. «Z jednej strony widzieliśmy rokosz, z drugiej władzę rządową i dzięki nie-



Ze wszystkich działań zjazdu frankfurtskiego, oto jedyny ważny wynik, jaki Times dla ludzkości wyciągnął. Co do nas, którzy odmiennemi od organu polityki angielskiej rządzimy się przekonaniem, niemożemy i w tym razie przyznawać sejmowi jakiegokolwiek ważności, tembardziej, że nietyle obwiniamy zasiadających w nim ludzi, jak ogólne stanowisko Niemców, plemienia umierającego, jeżeli już na pół nieumarłego a które we dwa ognie między szczepy romański i słowiański wzięte, do małego nader znaczenia co do granic, do żadnego prawie co do siły sprowadzonym zostanie. Tymczasem musimy być widzami tego powszechnego u nich rozkładu i gnicia, równie jak współuczestnikami powszechnego przeradzania Europy. Wszakże w różnorodności duchowej plemion i ich posłannictw, w różnorodności dzisiejszych rewolucyi, jasno, jaśniej nad wszelki wyraz spostrzegamy fakt jeden: solidarność ludów; obok tego czujemy, że ludziom dobrej woli serca się rozrosły, że duch człowieczy w strefy wyższe wstąpił, że dzień związku narodów nadchodzi. Słyszym, jak godzina wybawienia bije dla wszystkich bez wyjątku utrapionych, słyszym, jak huragan burzyciel starości i spróchnienia, od Gibraltaru do Kameczatki się podrywa, słyszym do koła konwulsyjną niespokojność oczekiwania i mówimy do tych, którzy oczy mają a niewidzą: «chrońcie się, dopóki czas, «gdyż skoro huragan was uniesie, napróżno będziecie wzywać «ratunku.» Tymczasem trapi nas zawile pytanie: jako Polacy, jako ci, którzy niestracili w sobie ducha społecznego, co po-

---

«dołężności rządu, rokosz zawsze sądził się pewnym zwycięstwa. Szczęściem «przekonanie to już dogorywa. Przytaczamy tu słowa, które Jenerał Lamori- «ciere miał podobno wyrzec w ostatnim dniu Czerwca: «możecie bezpiecznie «pozwolić im znowu rozpocząć, skoro im się tylko zachce; znam już ten rodzaj «wojny.» Republika czerwona potrzykroć już została zwyciężoną z tej strony «Alp, gdyż co do spraw włoskich, tych niepodciągamy jeszcze pod tę kate- «goryę. W Londynie (szartyści), w Paryżu, we Frankfurcie, rewolucya co- «fnęła się przed walką lub też musiała uleść. Wyraz b a r y k a d a stracił swoje «strasliwe znaczenie dla rządów miast. Gdyby wiadomości strategiczne «w Lutym były na tak wysokim stopniu, na jakim stanęły we Wrześniu, Lu- «dwik Filip niebyłby dziś w swoim zaciszu w Claremont, król pruski nie- «byłby porzucal stolicy dla samotnego Sans-Souci. Niezaprzeczonem dziś już «jest pewnikiem, że lud uzbrojony, za barykadami nawet niewytrzyma strza- «łów harmatnich, które ostatecznie staną się argumentem rozstrzygającym «w przyszłości wszelkie tego rodzaju nieporozumienia.» — Ob. Times z dnia 27<sup>o</sup> Września 1848<sup>o</sup> r.

czniemy? Pytanie to łatwiejszem do rozwiązania jest dla naszego jak dla któregośkolwiek innego rodu, ale trzeba pamiętać, że w tem, co w nas jest zewnętrzną oświatą, trzy niemal części są rzeczą napływową, obcą, jeżeli zaś u cudzoziemców rewolucya trzęsie posadami społecznego gmachu, jeżeli u nich oświata umiera, wtedy to, co w nas jest francuzkiego, angielskiego, niemieckiego, bez niebezpieczeństwa zgnilizny lub śmierci, przeciwnie, gwoli warunkom bytu, wykorzeniem być musi; trzeba pamiętać, iż znów to, co być powinno, jest tak dalece przez to, co jest, zgłuszonem, uciśnionem, że samo tego ostatniego pojęcie, pojęcie rdzennych, treściwych w nas żywiołów, przywykliśmy uważać już nie jako oderwane od rzeczywistości, nie jako świadomość istotną, lecz niemal jako poetyczno-idealne wspomnienie, jako myt. Stąd też praca naszego przerodzenia naszej rewolucyi jest niesłychanie bolesną, musimy bowiem płomieniem wybuchłym z rodowego zarzewia, ogniem wewnętrznym ducha, zewnętrzny nasz kształt rozłamać i skorupę na nas narosłą spopielić, musimy święty pożar rozplomienić, ażeby ze zgłiszczów naszej formy Feniksem się wypierzyć, musimy rozbudzić palne żywioły najgłębszych warstw i wyprowadzić na wierzch w czynie to, co w nas jest i co być powinno.

Słowiańszczyzna jak to już powiedzieliśmy, z potężną odradzającą siłą wystąpi w rozbłysłej nam epoce dziejów nowożytnych, Słowiańszczyzna, której Polska jest ogniskiem świętych żywiołów, biegunem światła i wolności, arką wątków dla przyszłości płodnych bo poświęceniem okupionych, równie jak caryzm moskiewski jest źródłem szatańskich sił, biegunem ciemnoty i niewoli, wiązką liktorską różg zużywanych na uzwierżanie człowieka. Dziś Słowiańszczyzna ma tylko nazwę i przyszłość przed sobą; działalność jej historyczna rozpocznie się dopiero w skutek ostatecznej, czynnej walki światła z ciemnotą, w skutek rdzennej a zwieszanej już nad nami społecznej rewolucyi w Rossyi, w skutek wyswobodzenia Polski, to jest dopełnienia osiowego warunku bytu społeczeństwa. Wtedy to olbrzymie moce, jakie Polska dziś zużywa na wewnętrzny bój przeciw carskiej niewoli, wystąpią ku pożytkowi a zbawieniu powszechnej sprawy ludzkości i porwą za sobą potęgi jej pobratymców ukryte pod materyalizmem, pod cudzoziemczyzną

i pod jarzmem, jakie Waregi i Niemce od wieków na nią nałożyli. Żywioly budownicze w ludzkości, towarzyskość, wspólność, gwoli uorganizowanej w społeczeństwie Zachodniem walce pracy z przywilejem, zatopione w krwi, zabite w duchu i abstrakcyjnie ledwo objawiające się w literze braterstwa, wzajemności i. t. d. w formie, która napróżno woła o rzeczywistość i o wcielenie, żywioly te, powtarzamy, w Słowiańszczyźnie przedewszystkiem twierdzące i twórcze, żyją w niej dotąd, żyją w duchu bardziej niż w formie, gdyż formy słowiańskie jakkolwiek z pierwiastków gminnych wyrosłe, wiele atoli uległy wpływowi ducha indywidualizmu germańskiego jakoteż romańskiej metodycznej centralizacyi i martwej unitarności, czyli z jednej strony swawoli i dowolności, z drugiej zaś literze i metodzie. Duch słowiański jako syntetyczny dla *thesis* romańskiej i *antithesis* germańskiej, czyli dla równości centralizacyjnej i osobistej wolności (a więc i dla własności), za słowo swoje postawi wolność we wspólności, ciałem zaś tego słowa będzie stan, antinomię wolności z równością rozwiązujący w trzeciej zasadzie, to jest we wspólności, a to według niepożytych prawd dyalektyki, według istoty rzeczy, według rzeczywistości i czynu.

Tymczasem, witając z każdym dniem nowe a coraz potężniejsze objawy powszechnego rozkładu, te kilka ogniw nieskończonego łańcucha, które podjęliśmy w przeszłości, upuszczamy w otchłań wypadków, jakie przyszłość nam zapowiada.

---

Drukiem F. A. Brockhauſa w Lipsku.







D            Chojecki, Karol Edmund  
387            Rewolucyonisci i stronnictwa  
C56            wsteczne  
1865

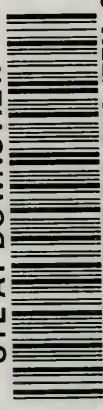
PLEASE DO NOT REMOVE  
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

---

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

---

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C  
00 45 17 00 005 6